

DLP INT - 4-3-50008179

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 9/384

1979



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

D. MORAWSKI : **KORESPONDENCJA Z RZYMU**

H. GRYNBERG : **ŻYCIE ARTYSTYCZNE**

J. BIEREZIN : **CIEMNOGRÓD NIEZALEŻNY**

RADIO WOLNA EUROPA/RADIO SWOBODA

SPIS RZECZY

Witold Wirpsza:	<i>Łatwizna</i>	3
Henryk Grynberg:	<i>Życie artystyczne</i>	11
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	33
Brukselczyk:	<i>Widziane z Brukseli</i>	46
RADIO WOLNA EUROPA / RADIO SWOBODA		
Siergiej Fiedotow:	<i>Wstęp do likwidacji</i>	56
Bernard Kamiński:	<i>Polska Sekcja RWE</i>	62
Jan Kowalski; Leszek Meyer i Marek Łatyński:	<i>Listy do Redakcji</i>	66
K R A J		
Norbert Żaba:	<i>Sytuacja w Kraju</i>	69
Jadwiga Kwiatkowska:	<i>Życie codzienne w PRL</i>	74
—	<i>Krajowe wydanie „Kultury”</i>	80
—	<i>Kronika</i>	83
	1) Powstanie „Ruchu Młodej Polski”	
	2) Szpitalnictwo w PRL	
	3) 35-ta rocznica Powstania War- szawskiego	
SĄSIEDZI		
George Gómöri:	<i>Dylematy „giętkiego” reżymu</i>	87
—	<i>W sowieckiej prasie</i>	92
Adam Kruczek:	<i>Pięć lat „Kontynentu”</i>	99
Benedykt Heydenkorn:	<i>Nadzieje Jarostawa Stecko</i>	100
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i>	103
—	<i>Kronika ukraińska</i>	106
	a) Nagroda im. J. Ławruk ze Sta- rzyckich	
	b) List prof. dr. J. Kielanowskiego do W. Moroza	
	c) Stulecie St. Ludkewycza	
CI, CO ODESZLI		
M. Broński:	<i>Zmarł Antoni Gołubiew</i>	109
SPRAWY I TROSKI		
Janusz Kowalewski:	<i>Penrhos</i>	113
Jerzy Jankowski:	<i>Uniw. Letni Wspóln. Polsko-Francuskiej</i>	118
—	<i>Kronika</i>	121
	a) „Punkt Skarg KBWE”	
	b) Zagrożenie polonistyki na Uni- wersytecie Londyńskim	
KRONIKA KULTURALNA		
—	<i>Międzynarodowe Targi Książki w War- szawie</i>	124
—	<i>Herbata w Monachium</i>	127
WOŁANIE NA PUSZCZY		
Kisiel:	<i>Historii krok leniwy...</i>	128
Z PUSTYNI I Z PUSZCZY		
Jacek Bierezin:	<i>Ciemnogród niezależny</i>	131

(Dalszy ciąg na str. 176)

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Wrzesień - Septembre 1979

INSTYTUT



LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Aleksander I. Bragiński, Pittsburgh, Pa. (USA), po raz 22-gi	F. 84,00
Dr Włodzimierz Brus, Oxford (Anglia), po raz 2-gi	F. 400,00
Andrzej Brzeski, Davis, Cal. (USA), po raz 42-gi	F. 246,00
Ewa i Roman Buch, Libertyville, Ill. (USA), po raz 2-gi	F. 33,60
Tomira Buxell, Wellesley, Mass. (USA) — zamiast kwiatów na grób Jana Beegera	F. 240,00
Katarzyna Ciulis, Lackawanna, N.Y. (USA), po raz 4-ty	F. 277,00
Piotr Kalinowski, Paryż, po raz 7-my	F. 100,00
Karol J. Krótki, Edmonton, Alta (Kanada), po raz 4-ty	F. 175,00
Aleksander Jaxa-Kwiatkowski, Bethesda, D.C. (USA)	F. 240,00
Adam Nasielski, Cooma North, N.S.W. (Australia), po raz 7-my	F. 500,00
Witold Osiniński, Lund (Szwecja), po raz 4-ty	F. 100,00
Aleksandra Stachelska, Johannesburg (Afryka Płd.)	F. 200,00
Stowarzyszenie Polskich Kombatantów w Waszyngtonie, po raz 4-ty	F. 420,00
A. Surmacz, Spanga (Szwecja)	F. 50,00
Stefan Taraszkiewicz, Eden, N.Y. (USA), po raz 4-ty	F. 33,60
Janusz Zembrzusi, Anglet (Francja), po raz 31-szy	F. 100,00
Bezimiennie z Kanady, po raz 4-ty	F. 200,00
Bezimiennie z Holandii	F. 50,00
Bezimiennie z USA	F. 4.913,80

Bezimiennie z Kanady — na niezależną prasę	F. 100,00
Federacja Uchodźstwa Polskiego w Szwecji — wpływy ze sprzedaży <i>Dziennika i Tygodnika Polskiego</i> w czasie wykładu prof. S. Swianiewicza (28. 4. - 3. 5. 1979 r.) — F. 80,00 i Adolfa Pamuckiego (16. 6. 1979 r.) — F. 100,00 — na opozycję demokratyczną w Kraju	F. 180,00
Witold Osiniński, Lund (Szwecja) — na pomoc dla opozycji w Kraju — F. 100,00 + F. 150,00	F. 250,00
Dr Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, Man. (Kanada) — na opozycję w Kraju	F. 350,00
Tadeusz Rytko, Winterthur (Szwajcaria) — stary wiarus-emigrant z myślą niepodległego przed 40-tu laty w kampanii wrześniowej, czy w Katyniu, Oświęcimiu lub Warszawie, oprócz powinności na Skarb Narodowy, opodatkowuję się, za przykładem p. A. Zalewskiego, dodatkowo na pomoc dla opozycji w Kraju rocznie sumą	F. 365,00
zapytując, kto w podobny sposób chciałby nam towarzyszyć?	
Wiktor Węgrzyn, Chicago, Ill. (USA) — na opozycję w Polsce za II-gie półrocze 1978 + 1979 r.	F. 840,00
Józef Wiśniewski, Toronto, Ont. (Kanada) — na pomoc dla opozycji w Polsce	F. 175,00
Adam Zalewski, Sztokholm — na pomoc dla opozycji w Polsce za styczeń-czerwiec 1979 r.	F. 300,00

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 174 i 175)

Łatwizna

To bardzo ładnie, że Jacek Bierezin zatelefonował do Gustawa Herlinga-Grudzińskiego; to bardzo ładnie, że mu Herling-Grudziński „Szkieletem w szafie” (ale właściwie gdzie? — w *Pulsie*, jak pisze, czy w *Kulturze*, gdzie przed *Pulsem* drukuje? — no, mniej-sza) odpowiada¹. Co do oceny książki Bratnego z oboma się zgadzam i w ogóle sprawę tę należy uważać za zamkniętą. Co do reszty nie zgadzam się, i to zarówno z Bierezinem, jak i z Herlingiem-Grudzińskim, tudzież z Sulikiem oraz z cytowanym przez Herlinga-Grudzińskiego studentem. Wszystkich trzech wymienionych po nazwisku cenię i szanuję; co do studenta, to jest on dla mnie postacią anonimową, która w rozmowie z Herlingiem-Grudzińskim strzeliła tęgiego byka.

Wszystkim czterem zarzucam nieznamość przedmiotu.

Według relacji Herlinga-Grudzińskiego Bierezin postawił sprawę tak: „[...] chodzi o rozrachunek (słowo z piekła rodem — po polsku mówi się porachunek, obrachunek, rozliczenie się) pisarza z samym sobą, z komunistyczną opcją w Polsce powojennej, przez pryzmat własnych książek; [...] powinni odezwać się pisarze, którzy ją (tę opcję) w roku 1956 odepchnęli, powinni opisać, opowiedzieć, zanalizować, wyjaśnić swoją drogę i swój odwrót; jeśli tego nie zrobią, pozostawią w historii naszej literatury szereg białych plam [...]”.

Student. Znowu relacja (parafraza) Herlinga-Grudzińskiego z rozmowy z owym studentem w roku 1971: „Dlaczego *Kultura* drukuje autorów, którzy jeszcze do niedawna pisywali w Warszawie z identycznym fajerem w odwrotnym kierunku? Nie twierdzą, że nie powinno się ich wcale drukować, ale czy nie łąska wprowadzić czytelników w tajniki tej akrobacji intelektualno-politycznej? Nie łąska opowiedzieć, jak się kiedyś hasało i na jaką melodię śpiewało? [...] Niech oszukiwani wierzą odtąd na słowo honoru ex-oszukującym?”.

1. *Kultura* Nr 5 z 1979 r.

Sulik: „Nie wolno na własnej drodze pozostawiać niezbadanych kraterów, nie starać się zrozumieć najgłębszych swoich kłęk, swojej hańby. [...] Bratny tego nie zrobi; nadzieje na takie dzieła należy dzisiaj wiązać z jego byłymi kolegami, a obecnymi chorążymi liberalizmu”. „Próby dotychczasowe — relacjonuje tekst Sulika Herling-Grudziński — 'Literaturę' Woroszyłskiego, 'Nierzeczywistość' Brandysa, fragmenty 'Kalendarza i klepsydry' Konwickiego — uważa Sulik za 'zbyt defensywne i wąskie'. Użyłbym mocniejszego określenia, dorzucając jeszcze 'Miazgę' Andrzejewskiego, której Andrzejewski nie zdecydował się nawet wydać bez cięć cenzury²”.

Takie jest więc stanowisko czterech osób, które żądają od pisarzy *ex* rozliczenia się ze swoich grzechów, ponieważ „ze szkieletem nie mogą sobie jakoś poradzić w obrębie własnej twórczości” (Grudziński). Zobaczmy, jak to wyglądało naprawdę.

Najprzód u Bierezina data się nie zgadza; Bierezin mówi o roku 1956, a tymczasem proces „odchodzenia” rozpoczął się w roku 1953. Nie po to, aby siebie chwalić — rzecz wisiąca w powietrzu i ktoś musiał rozpocząć, a referat Chruszczowa bynajmniej do tego nie był potrzebny — stwierdzam, że to ja zapaliłem lont, który trzy lata później miał doprowadzić do wybuchu beczki. We wrześniu 1953 roku mianowicie opublikowałem w *Nowej Kulturze* zadedykowany Woroszyłskiemu (dedykowałem, ponieważ wiedziałem, że się ze mną zgodzi) wiersz pod tytułem „List o sumieniu”. Jak dzisiaj to widzę, była to retoryka, wymierzona przeciwko kłamstwu i zakłamaniu, i przeciw tchórzostwu; o sprzężeniu kłamstwa i tchórzostwa; przeciw fałszowaniu historii; przeciw obłudzie (cytaty: „Bo wszelka prawda zrodzona z tchórzostwa / Jest kłamstwem. Kłamstwo rodzi spuszczenie”. „To oni dzieje fałszują na swoje / Podobieństwo i owo podobieństwo — / Papier wysuszony, papkę z trocin — / Podają do wierzenia”). Oczywiście, wiersz został napisany w błędnym założeniu, czy złudzeniu, że partia komunistyczna jest reformowalna i że tkwiące w niej zakłamanie da się odkłamać. Ale takie były początki tego procesu nie tylko u mnie. Na „List o sumieniu” odpowiedział Woroszyłski dłuższym poematem („Z rozmów 1955”), wydrukowanym w roku 1956 w *Po prostu*, gdzie problematykę poruszoną przeze mnie rozwinął i pogłębił, i w końcu znowu ją opublikowałem w tymże *Po prostu* poemat „Sobie i diabłu”, napisany jakie dwa lata przedtem (1954/55). Oba te ostatnie utwory — Woroszyłskiego i mój — przedostały się do druku dzięki rozluźnionej podówczas cenzurze; w tomikach już się ukazać nie mogły, w każdym razie nie w całości³.

W czym rzecz? A no w tym, że bohater liryczny (czy może

2. „Miazga” na dniach wychodzi. Sądzę, że bez cięć cenzury.

3. Tę problematykę poruszył częściowo Stanisław Barańczak w swojej recenzji z „Wyboru wierszy” Wiktora Woroszyłskiego. W: „Etyka i poetyka”, Instytut Literacki, Paryż, 1979.

„retor”) tych poematów daje się rozszyfrować jako polemista czy wręcz zajadły przeciwnik bohatera lirycznego z okresu stalinowskiego socrealizmu. I widzi mi się tak, że był to powszechnie stosowany w owym czasie model rozprawiania się pisarzy polskich z gatunku (już wtedy) *ex* z własną przeszłością, wręcz dosłownie z dniem wczorajszym. I tak u Andrzejewskiego w okresie poprzedzającym rok 1956 powstają opowiadania „Niby gaj” i „Złoty lis”, będące jak gdyby szczeblami do napisanego w roku 1955, a opublikowanego w roku 1956 w tygodniku *Świat* „Wielkiego lamentu papierowej głowy”, gdzie narrator jest nie tylko przeciwnikiem (wrogiem) narratora „Partii i twórczości pisarza”, ale nadto jeszcze demaskuje niszczyielskie jegoż mechanizmy. Podobnie ma się rzecz i z Andrzejem Braunem: narrator opowiadania „Pieńko wybrukowane” rozprawia się z narratorem uprzedniej jego prozy (a także z bohaterem lirycznym z „Wiosny sześciolatki”), co staje się jeszcze wyraźniejsze, gdy weźmie się pod uwagę jego „październikowe” felietony w *Nowej Kulturze*. Przykłady dają się mnożyć, dwa chciałbym jeszcze wymienić: reportaże węgierskie Woroszyłskiego (opozycja — i znowu ten tytuł — wobec „Wiosny sześciolatki”, socrealistycznego reportażu poetyckiego, którego był inspiratorem i współautorem) oraz olbrzymi wysiłek twórczy Jacka Bocheńskiego — jego przez lata pisana trylogia antyczna („Boski Juliusz”, „Naso poeta” i „Tyberiusz”), gdzie różnie za każdym razem i pisarsko świadomie oraz kunsztownie konstruowany narrator rozprawia się ze zjawiskiem władzy samowolnie despotycznej, której szczególnej formie autor osobiście w innym historycznie czasie udzielał przez krótki okres swego życia poparcia.

I jeszcze jeden bardzo istotny zespół tekstów, dotyczący porachunków pisarskich ze stalinizmem. Są to stenogramy przemówień na sesji Rady Kultury z roku 1956. Rozsiane są po całej ówczesnej poważniejszej prasie literackiej, znaleźć je można głównie w *Przeglądzie Kulturalnym*, *Nowej Kulturze* i *Życiu Literackim*. Ciekawe są te teksty o tyle, że zawierają niekiedy wynurzenia bardzo osobiste, niekiedy zaś próby teoretycznej analizy; nadto milczenie niektórych też mówi za siebie. Najciekawsze wszelako, moim zdaniem, są przemówienia tych, co później stali się rewizjonistami (pół-*ex*ami), aby w końcu stać się *ex*-ami całymi.

To jest jedna z trzech części zagadnienia, wobec której wszyscy czterej bohaterowie artykułu Grudzińskiego, łącznie z autorem, okazali się niekompetentni — owo „odchodzenie”, a więc faza w czasie ostatnia. Łączy się ona z fazą drugą, z okresem środkowym poszczególnych życiorysów, z samą twórczością socrealistyczną; rozliczenie się z nią daje się (choćby sposobem przeze mnie pokazanym: narratorzy opozycyjni i bohaterowie liryczni) prześledzić, w każdym razie rozliczenie się to jest jawne u większości interesujących nas autorów. Nieznajomość przedmiotu u całej czwórki wynika z nieznajomości tekstów i z nieznajomości literatury przedmiotu. Do cytowanego przez Herlinga studenta

mam jeszcze dodatkową pretensję: powiada on, że *ex-ow*ie „do niedawna pisywali [...] w odwrotnym kierunku”. Dla niego więc lat osiemnaście to „niedawno”. Ja myślę, że osiemnaście lat w życiu ludzkim to szmat czasu; nadto jeszcze sens rzeczywistych proporcji został w tej lekkomyślności wykoślawiony: trzy-cztery lata stalinizmu i dwadzieścia lat opozycji (a dzisiaj już lat dwadzieścia pięć) — mało tej różnicy? Czyżby najprostszej arytmetyki uczyć trzeba było? Nie tylko tej na paluszkach, ale także i arytmetyki napięć osobniczych i społecznych?

Zanim cofnę się do fazy pierwszej (samej opcji na rzecz socrealizmu), chciałbym uczynić dość istotną, jak mi się zdaje, poprawkę do artykułu Stanisława Barańczaka „Życie zaczyna się po trzydziestce?”⁴. Barańczak, mówiąc o trzydziestoleciu (1944-1974) powojennej poezji polskiej, dzieli ją na cztery fazy: 1) zgoda plus etyka (socrealizm), 2) bunt plus estetyka (pokolenie *Współczesności*), 3) zgoda plus estetyka (Orientacja Hybrydy), 4) Bunt plus estetyka („pokolenie 68”). Zgadza się to, jeśli chodzi o następujące po sobie fale debiutów. Poprawka moja dotyczy okoliczności, że w momencie, kiedy wystartowało pokolenie *Współczesności*, pokolenia (tak jest, w liczbie mnogiej) starsze dokonały — i to nawet nieco wcześniej, aniżeli pokolenie *Współczesności* pojawiło się jako formacja — czegoś w rodzaju „reorientacji”, „przełomu”, „porachunku z przeszłością, rzeczywistością i z własnymi postawami politycznymi, filozoficznymi, etycznymi i estetycznymi; (po barańczakowsku: /bunt plus (etyka plus estetyka)/). Najmłodszy spośród pisarzy tych pokoleń (Woroszyński, Jacek Bocheński) nie pokończył jeszcze podówczas trzydziestki, najstarsi (Jastrun, Ważyk) przekroczyli pięćdziesiątkę. Rozpiętość więc lat ponad dwudziestu. A znajdujemy tam, oprócz wymienionych, i Andrzejewskiego, i Szyborską, i Kołakowskiego, i Andrzeja Brauna, i Jana Kotta, i Kazimierza Brandysa, i Pawła Hertza, i... W tej właśnie to scenerii, skomponowanej przez pięknych trzydziesto- i pięćdziesięciolatków, debiutuje pokolenie *Współczesności*, a przedtem jeszcze Marek Hłasko, równocześnie zaś pojawiają się tzw. spóźnione debiuty Białoszewskiego (co nieścisle, bo Białoszewski wydał tomik w roku 1947, a jakże, recenzowany) i Herberta (a co, gdyby wydać jego wiersze z lat 1945-1951, publikowane w *Tygodniku Powszechnym* — byłby tego spory tom), a także tzw. debiuty wtórne Karpowicza czy Szyborskiej. Moja poprawka w stosunku do Barańczaka czyniona więc zostaje w zamiarze nie tyle pogmatwania mu wywodu, co w zamiarze wykazania, że start pokolenia *Współczesności* (bunt plus estetyka) nie był taki samodzielny, jak to może się wydawać (i co długi czas jakby bezwiednie sugerowali i Błoński, i Łukasiewicz). Zmiana warty dokonywała się równoległe do zmiany fazy (powtarzam raz jeszcze: nie w rozumieniu Barańczaka — następujących po sobie debiutów — ale w rozumieniu faz życiorysowych poszczególnych pisarzy, dokonywują-

4. W: „Etyka i estetyka”, Instytut Literacki, Paryż, 1979.

cych i w sobie i na forum publicznym desowietyzacji) u pokoleń już działających na planie; przypuszczalnie zmiana warty bez zmiany fazy byłaby nie do pomyślenia, a w każdym razie jest zadaniem historyków literatury najnowszej tę równoległość uwydatnić.

Po tym ekskursie cofam się wreszcie do fazy pierwszej, czyli do samego już aktu opcji na rzecz realizmu socjalistycznego czy stalinizmu w polityce kulturalnej i nie tylko kulturalnej. Tu muszę wyznać, że poniekąd też czuję się niekompetentny i zapewne nie mam dobrej znajomości przedmiotu, a co najmniej jest mi on nieprzejrzysty (dla powodów, które niebawem wymienię) i w tym znachodzę się w sytuacji podobnej, co Herling-Grudziński, Sulik, Bierezin i nieznajomy mi student. Im bardziej zastanawiam się nad tym, co się — zwłaszcza w moim, ale nie tylko moim, pokoleniu — stało, tym bardziej dochodzę do przekonania, że każdy poszczególny wypadek jest poszczególnym właśnie i osobnym, i że na dobrą sprawę spowiedź powszechna dzieciątek pięćciolecia jest niemożliwa, ponieważ każde popełniało grzechy na własny rachunek i katechizmu grzechów pospólnych być chyba nie może. Ciemne staje się wobec tego, skąd się wziął wspólny mianownik, inaczej: jak to się stało, że różne w substancji swojej gazety zawiodły do tego samego piekiełka; bo tak niewątpliwie się wydarzyło. W każdym razie należy przyjąć, że wspólny katechizm i wspólny mianownik to nie to samo; chyba, że doznało się sławetnego ukąszenia Hegłowskiego, ale mnie tam żaden Hegel nie ukąsił i nie wiem jakie to jady jego wydrążone zęby w sobie kryją — mając w pamięci dawne lektury podejrzewam, że wydrążenia te są wynikiem wulgarnej próchnicy i żadnych wykwinnych trucizm do zażycia u Giegla nie uświadczysz. Dość żartów.

Krąg osób należy zacieśnić. Wykluczyć zeń, po pierwsze, oportunistów i karierowiczów — dusze to nieciekawe i osobowości literackie ostatnie. Wykluczyć trzeba by było także przedwojennych komunistów, jako ludzi uczciwie na ogół i od dawna przekonanych do błędu. Chodzi o tych, co dokonali opcji na świeżo, niedługo po roku 1945, przy czym na świeżo nie znaczy, że od jednego zamachu. Trzymając się rozumowania Grudzińskiego, Bierezina, Sulika i studenta oraz biorąc pod uwagę moje wywody, dotyczące indywiduacji grzechu, należałoby wezwać grzeszników do odbycia publicznej spowiedzi indywidualnej. I tu nasuwają się dwa pytania, bardzo różne co do konsystencji. Pierwsze: czy poszczególnym grzesznikom starczy po temu mocy duchowych w sensie sprawności pamięciowej i analitycznej wnikliwości? Bo jeśli nie, rozciasz tylko się zwiększy. Drugie: czy nie ma przypadkiem w tej materii świadectw osobistych i obiektywnych, ówczesnie publikowanych? Bo jeśli tak, to najsamprzód należałoby owe świadectwa opisać, przebadać i ocenić.

Co do pytania drugiego: świadectwa takie niewątpliwie są. Nie tu miejsce na ich opisanie i szczegółowy rozbiór, sygnał wszelako trzeba dać. Przykładowo: publicystyka literacka An-

drzejewskiego od artykułów w *Odrodzeniu* z roku 1945 aż po „Partię i twórczość pisarza” i felietonów z *Głosu Szczecińskiego*; publicystyka literacka i polityczna Tadeusza Borowskiego z przełomu lat czterdziestych i pięćdziesiątych; „Batalia o Majakowskiego” Woroszyńskiego (1950), będąca zarówno świadectwem skrajnych jego poglądów na socrealizm, jak i nonkonformizmu; całe „dochodzenie” do socrealizmu zespołu *Kuźnicy*, poprzez teorię o „socjologicznej konstrukcji losu ludzkiego” w prozie (Kott, K. Brandys) aż po socrealizm rzeczywisty i jako tako zgodny z wyobrażeniami politbiura o przedmiocie, którego tak naprawdę owo biuro nie znało. Były także i różne połowiczności, różne nieistotne w gruncie rzeczy wahnięcia u pisarzy, których do socrealistów zaliczyć się nie da (Różewicz, Karpowicz). Czy i o ile, i u kogo w jakiej mierze odgrywał tu rolę strach, trudno określić; zapewne był i wielu się doń przyzna, choć nikt zapewne nie opisze, bo w formie autobiograficznej nie potrafi, także i dlatego, że strach ów był wymieszany z wolą autentycznie dobrą służenia sprawie, którą z różnych powodów uznawało się za słuszną, sprawiedliwą czy jak tam jeszcze, nie mając zresztą w tym subiektywnym uznaniu obiektywnej racji; nie opisze zaś, ponieważ sensownie i wiarygodnie opisać tego przypuszczalnie nie można, jako że mieszanka wydaje się nierealna. A istniała.

Istotne jest to, że świadectwa „dochodzenia” są i że da się je odczytać i zinterpretować; czytelników tylko i interpretów jakoś mało, wiele natomiast miłych ciotek z uroczymi radami.

Pytanie pierwsze tedy wypada pozostawić bez odpowiedzi, ponieważ otwarte. Każdy z autorów *ex post* powinien rozstrzygnąć sam, czy ma napisać sobie spowiedź czy nie. Co do mnie, to gdybym spotkał się z takim dzisiaj napisanym tekstem, byłbym mocno nieufny co do jego wartości dokumentalnej; w sensie dokumentacji tego, co się wydarzyło dobre trzydzieści lat temu. Nie tylko obawiałbym się idealizacji, ale i różnorakich zniekształceń wynikających stąd, że przekształciła się psychika piszącego oraz układy, w jakich żyje obecnie. Bardzo to grząska gleba i nieurodzajna.

Na jedną rzecz wszelako chciałbym zwrócić uwagę, ponieważ da się sprawdzić obiektywnie, nie brana zaś pod uwagę, stworzyć może zamieszanie. Mianowicie: jak się ma wstąpienie do partii do opcji na rzecz nazywaną socrealizmem? Bo oto mamy takie wypadki, jak Przybosisia, który nie będąc przedwojennym komunistą, wstąpił zaraz po wojnie do partii, ale nie miało to żadnego wpływu na jego pisarstwo — ani tematycznie, ani pod względem poetyki: „A Przyboś został, tak jak był, Przybosiem” powiada Miłosz. Mamy i przykłady takie, jak Andrzejewski, który przez kilka lat i z oporami dojrzywał, ale jak już dojrzał, to i partyjnie (w sensie organizacji), i socrealistycznie (w sensie ideolo). Mamy zakołysanie się Słonimskiego, kiedy to pisał o ręce, którą, że źle zrosnięta, trzeba drugi raz łamać i kiedy to w roku 1948 zamieścił w *Odrodzeniu* wywiad z Shaw'em, twierdzącym,

że Stalin jest największym politykiem współczesnym. Mamy wypadki młodzików, nie mających w chwili ukończenia wojny lat dwudziestu (Woroszyński, Kołakowski, J. Bocheński), a bez których dzisiaj nie możemy sobie wyobrazić procesu desowietyzacji kultury polskiej. Mamy opcję całej grupy *Kuźnicy* — lecz i tu pamiętać należy, że każdy z „kuźniczan” miał inną subiektywną motywację opcji, podobnie zresztą jak najmłodszy. I mamy wypadek tak tragicznie zagmatwany, jak Tadeusza Borowskiego (niechaj z piekła nie wyjrzą ci, którzy i wtedy, i teraz jeszcze pomawiali i pomawiają go o nihilizm w opowiadaniach obozowych!) i równoległe przypadek jego równolatka, Tadeusza Różewicza, który, gdy należało chwalić Stalina, cytował Nerudę, aby potem, w roku 1955 wyjść z całej afery z ciosem, publikując poemat „Kryształowe wnętrze brudnego człowieka”, który to poemat można odczytać nie tylko jako ripostę na „Poemat dla dorosłych” Ważyka.

Powtarzam: zrekonstruowanie wewnętrznego (subiektywnego) i zewnętrznego (obiektywnego) sensu i motywacji, jakie doprowadziły do opcji pro Stalinowskiej jest w rozumieniu wykrycia wspólnego mianownika mało prawdopodobne. Prawdą zapewne jest, że obudziliśmy się z obiema rękami w nocnikach: z jedną w prywatnym i z jedną we wspólnym. Ale dlaczego po włożeniu jednej do prywatnego druga znalazła się razem z innymi drugimi we wspólnym, tego dociec chyba nie sposób; jednakże poznawczo istotny jest moment drugi; sprawozdawczość z momentu pierwszego (prywatnego) doprowadziłaby do równoczesnego bełkotu setki zminimalizowanych Dostojewskich.

Rekapitulując przychodzi mi powiedzieć, że napominania Grudzińskiego, Sulika, Bierzina i nieznanego mi studenta są mało uzasadnione i wywodzą się właśnie z nieznanego przedmiotu: te różne białe plamy i niezasypane kraterki wypadają między bajki włożyć. Że istnieją niedopowiedzenia, że istnieją rwące się wątki, że, przede wszystkim, wiele jest możliwości interpretacyjnych — rzecz inna; ale tak zawsze jest przy pisaniu historii. Śladów natomiast działań dobrych czy złych pozostawili *ex-ow*ie dużo, wystarczająco dużo, i to czytelnym, wystarczająco czytelnym; należy chcieć tylko trochę przysiąść fałdów i powdychać trochę kurzu. Bo jak się fałdów nie przysiada i kurzu nie wdycha, sięga natomiast po książeczki najświeższe, i na podstawie takiej to lektury feruje wyroki, i nawołyduje do dostojewszczyzny dla ubogich, no to się ma dostojewszczyznę dla ubogich *à rebours*.

Umówmy się dla wielkiej zgody i żeby zostać przy obrazie, proponowanym przez Grudzińskiego: szafa, owszem, jest, ale żadnego szkieletu w niej nie ma. Jest bezwątpienia kupa brudu, ale ta szafa należy do takich szaf, gdzie brudy są zawsze i będą, i nic na to nie pomoże drużyna sprzątaczek, uzbrojonych w szczotki, zmiotki i detergenty; można nawet żywić obawę, że owe sprzątaczkę, usunawszy zanieczyszczenie dawne i organiczne, naniósł w to samo miejsce zanieczyszczenie nowe; nieorganiczne

chemikalia⁵. Wołę naturę od antynatury, która z kulturą nie jest tożsama.

Takie postępowanie byłoby, myślę, łatwizną.

Witold WIRPSZA

P.S.1. Po napisaniu artykułu dostałem dziewiąty numer *Zapisu*, gdzie znajduje się bardzo ważna polemika między Piotrem Wierzbickim a Adamem Michnikiem o „gnidach”. Rzecz sprowadza się do zagadnienia: czy człowiek działający publicznie i mający publiczne zasługi musi być zarazem, aby można było zasługi jego uznać, nieskazitelny? A jeśli już jest na nim skaza, to czy musi jej istnienie uznać i przed publicznością się w tej czy innej formie korzyć? Wydaje się, że Herling-Grudziński, Bierezin i Sulik są tego właśnie zdania. Wierzbickiemu oponuje Michnik i ja jego właśnie zdania jestem.

Spółeczeństwa dojrzałe i niezakompleksione dają sobie z tym zjawiskiem wcale nieźle radę i nie mają zwyczaju sądzić czyichkolwiek osiągnięć twórczych wedle jego postawy politycznej czy moralno-politycznej. W Europie Zachodniej nikt nie dał się zwariować i nie wyklucza z kanonu literatury dzieł Knuta Hamsuna, Celine'a, Hauptmanna, Ezry Pounda; zaciekli przeciwnicy komunizmu nie „skreślają” Picasse'a, Aragona, Brechta czy Eluarda. Społeczeństwo dojrzałe stara się zrozumieć, nie musi wybaczać; nie stać go na wyrzucanie istotnych wartości z repertuaru. Zmuszone jest do uczczenia twórcy i sądzenia człowieka zarazem.

Czy bywają genialne gnidy? I owszem, niestety, bywają i musimy się z tym pogodzić. *Magis amica veritas*. I nie każdy musi mówić: *pater, peccavi*.

P.S.2. W przedostatnim numerze *Kultury* pliszka Kisiel chwali swój własny ogon. Powiada: „[...] niektórzy Niemcy milczą dyplomatycznie: to prawdopodobnie ci, co marzą skrycie o neutralizacji i finlandyzacji za cenę zjednoczenia (patrz mój felieton „Moje prorocstwo” — *Kultura*, listopad 1977)”. Tym pobudzony, zamieniam się też (na chwilę tylko) w pliszkę i proszę Czytelnika, aby zajrzał do n-ru 12 z 1973 r. *Kultury* i przejrzał mój artykuł „Tour d'horizon z Polską pośrodku”, gdzie o neutralizacji i finlandyzacji Niemiec piszę i cztery lata wcześniej i z cztery razy lepszą argumentacją. Ku rozwadze: dzisiaj pojawiło się już w Niemczech słówko „samofinlandyzacja”. — Bywaj, proroku!

W. W.

5. Jak się wydaje, ostatnio Artur Sandauer w artykule, opublikowanym w *Polityce* pryska obficie po tej szafie detergentami. Wychodzi z tego nieprawda.

Życie artystyczne*

Od tramwaju musiałam podejść spory kawałek wzdłuż rozległych trawników i klombów, które otaczały wielki gmach z szarego kamienia. Obeszłam go dookoła, mijając kamiennego lwa i panterę, które strzegły głównego wejścia i trafiłam do tylnej portierni. Z opowiadań Maryli zapamiętałam sobie nazwisko profesora Mikołajczaka. Portier wskazał mi schody na górę. Stałam w otwartych drzwiach sali, gdzie tancerki w czarnych tunikach rozgrzewały się, kręcąc piruety i podrzucając wysoko nogi. Na mój widok zaczęły jeszcze wyżej podrzucać nogi i jeszcze szybciej kręcić piruety. Zapukałam do sąsiednich drzwi. W gabinecie zastawionym szafami zobaczyłam łysiego, starszego pana w miękkich pantoflach. Zdziwił się i zapytał, kogo tu szukam. — Przyjechałam z Kalisza, żeby tańczyć w operze. — Czy ktoś cię tu przyprowadził? — Nie. — A masz tutaj kogoś w Poznaniu? — Nie. — A gdzie są twoi rodzice? — Ja nie mam rodziców.

Profesor obejrzał mnie uważniej. — Ile masz lat? — Piętnaście i wiem, że jestem spóźniona. — Tamte dziewczyny — wskazał w kierunku sali — mają rodziców, którzy za ich naukę płacą. — Ja mam pieniądze. — Ile? — Dwadzieścia złotych...

Profesor podrapał się po łysinie. — Podnieś spódniczkę! — rozkazał. Speszylałam się i uniosłam nieśmiało podołek nad jedno kolano. Profesor podszedł i zadarł mi spódnicę do pachwin. Potem kazał mi zdjąć pantofle i obmacał mi dokładnie stopy.

Fragment przygotowywanej powieści.

* Żadnych postaci z tej opowieści nie należy utożsamiać z autentycznymi osobami, nawet w wypadku łudzącego podobieństwa.

— Stopy masz mocne. Jak chcesz to chodź ze mną na lekcje i sobie popatrz.

Lekcja składała się z ćwiczeń przy drążku, w różnych pozycjach baletowych, a potem na środku, gdzie wykonywano niezwykle figury o jeszcze niezwyklejszych, francuskich nazwach, jak *jeté, pas de chat, grand plié*. Nigdy przedtem nie widziałam prawdziwego baletu, wydawało mi się, że nigdy w życiu nie będę umiała takich rzeczy zrobić i chciało mi się czym prędzej stamtąd uciec. Lekcja była trudna nawet dla tych dojrzałych tancerek. Pot stróżkami spływał im po dekoltach i twarzach, włosy miały zupełnie mokre od potu, a profesor wciąż je poganiał, wystukując rytm kijem o podłogę. — Dobrze się rozgrzać, dobrze się spocić! — wołał.

Pod koniec lekcji profesor dał mi tunikę i miękkie pantofle, kazał mi się przebrać w gabinecie i wrócić na salę. Kiedy wróciłam, baletnice usiadły pod ścianami na podłodze, a profesor zapytał, co mi zagrać. — Jakiegoś walca — powiedziałam z drżeniem w głosie. Pianistka zagrała walca z „Dziadka do orzechów”, a ja zaczęłam w rytm tej muzyki demonstrować figury i kroki z tańca mojego życia — „Nad pięknym modrym Dunajem”. Wiedziałam jednak, że tańcem nikomu tu nie zaimponuję, więc unikałam zbędnego płasania, starając się wplatać jak najwięcej akrobacji z repertuaru bezkonkurencyjnej Zdzichy Wasiakówny z naszej kamienicy: gwiazdy, mostki, przerzutki, szpagaty, aby wykazać całą moją sprawność fizyczną. Gdy skończyłam, nie widziałam na niczyjej twarzy zachęty, ale też nikt się nie śmiał — co już było dobrym znakiem.

Baletnice poszły pod prysznic, a profesor powiedział, że owszem, mam zdolności, ale nie wiadomo, jak długo potrwa zanim będzie można ze mnie zrobić baletnicę. Po chwili zastanowienia dodał, że przy wytrwałej, ciężkiej pracy mogłabym jeszcze, pomimo spóźnionego wieku, zostać nawet primabaleriną, ale to nie jest możliwe bez dobrej opieki fizycznej, bo żeby dużo i dobrze ćwiczyć, trzeba też odpowiednio i regularnie odżywiać się i odpoczywać. Powiedziałam, że mogłabym na siebie zarobić, występując jak moja znajoma Maryla, ale profesor wyjaśnił, że do osiemnastego roku życia nikt w operze nie dostaje gaży ani kontraktu i można liczyć najwyżej na piętnaście złotych za występ, jak za zwykłe statystowanie, nawet jeśli ktoś dojdzie do *corps de ballet*. — Piętnaście złotych za występ mi w zupełności wystarczy — powiedziałam. — Opery, które teraz idą są już obsadzone — odpowiedział profesor, wyjaśniając, że opera to bardzo drogi spektakl, więc jak się ją raz wystawi, to bardzo długo idzie i nawet jeśli wejdę na czyjeś miejsce do obsady, to

przedstawienia wciąż się zmieniają i mogę liczyć na nie więcej niż dwa występy na tydzień, a przeważnie jeden. Maryli to może wystarczy, bo mieszka z rodzicami, ale ja jako sierota powinnam, zdaniem profesora, poszukać sobie miejsca w jakimś domu dziecka. — Ja nie chcę iść do domu dziecka — powiedziałam stanowczo. — No, to będziesz musiała wrócić do Kalisza, bo w Poznaniu w żaden sposób się nie utrzymasz. — Dobrze, zgłoszę się do Pogotowia Opiekuńczego...

Profesor zabrał mnie do stołówki i zapłacił za mój obiad. Przyniósł mi nawet ciastko z bufetu. Potem poszedł na następną lekcję, a mnie zostawił pod opieką dwóch chórzystów, studentów szkoły muzycznej. Liczyłam na to, że zobaczę przedstawienie, ale to był poniedziałek i opera była nieczynna. Chórzyści pokazali mi imponujące zestawy dekoracji na głębokim zapleczu sceny. Stały tam przepiękne krajobrazy „Jeziora łabędziego”, monumentalne posągi z „Aidy” i mnóstwo innych nieznanych mi światów, ale mało mnie to cieszyło, bo myślałam o tym, że wszystkie moje plany okazały się na nic, że pewno nie dam tu sobie rady, a w dodatku przerażała mnie myśl o domu dziecka.

Na noc zostałam w gabinecie profesora, gdzie stała skórzana kozetka. W całym gmachu było ciemno jak w ogromnym grobowcu. Czułam się mała i bezradna jak pyłek rzucony na wiatr. Przerzała mnie śmiertelna cisza w tym wielkim gmachu i budziłam się co kilka minut. Niewiele jest tak strasznych rzeczy jak głucha cisza w operze. O świcie wstałam i poszłam na salę ćwiczeń. Próbowałam wykonać jaskółkę, którą tu zwano „arabeskkiem”. Trzeba to było zrobić ze stopą skręconą pod kątem prostym do ściany, ale nie mogłam w żaden sposób utrzymać równowagi, a z przysiadu ze stopami rozwartymi do pozycji pierwszej, padałam na tyłek jak kaczka i chciało mi się płakać.

Profesor przyszedł jako jeden z pierwszych i zabrał mnie na jajecznicę do bufetu. Potem dał godzinną rozgrzewkę tancerkom, które szły na próbę i pojechaliśmy tramwajem na drugi kraniec miasta, gdzie ulice zabudowane były podłużnymi, drewnianymi barakami. Przy końcu jednej z tych ulic stał rząd baraków za wysokim drucianym parkanem, zakończonym kolcami. Ogrodzone drutem baraki różniły się od pozostałych także tym, że nie było przy nich żadnego drzewa ni nawet krzewu, tylko pusty, wymieciony plac. Stanęliśmy przed zamkniętą, żelazną bramą. Miałam tam wejść sama, ale widząc tę bramę i druty, profesor postanowił, że sam naciśnie na dzwonek. Otworzyła nam starannie ubrana pani w średnim wieku i poprowadziła do frontowego baraku. Znacznie starsza od niej siwa kierowniczką przejrzała moje papiery i powiedziała, że chyba będę musiała tu spędzić większość lata. — A czy będę mogła chodzić na lekcje baletu?

— spytałam i spojrzałam przerażonym wzrokiem na profesora.
— Porozmawiam o tym z panią kierowniczką — odpowiedział profesor.

Pani w średnim wieku kazała mi zabrać walizkę i poprowadziła mnie do drugiego baraku, do pokoju, w którym stały cztery łóżka, starannie zaścielone czarnymi kocami. Postawiłam walizkę pod łóżko, które mi wskazała. Potem zaprowadziła mnie do biblioteki, gdzie również nikogo nie było. Spośród cienkich książeczek Mickiewicza, Prusa, Konopnickiej i Orzeszkowej, wydrukowanych na gazetowym papierze, wzięłam sobie „Grażynę” i wróciłam do pokoju, gdzie przesiadziałam parę godzin, czytając po kilka razy każdą stronicę i nic nie rozumiejąc, bo o czym innym myślałam. Potem usłyszałam głosy i kroki i do pokoju wbiegły trzy dziewczyny. Były w moim wieku, ale miały pantofle na wysokich obcasach, trwałe ondulacje, wąskie spódnice i talie mocno ściągnięte szerokimi pasami z czarnej ceraty, żeby uwydatnić biodra. Miały też ślady szminki na ustach. Ze zdziwieniem patrzyły na moją dziecinnie skrojoną sukienkę z falbankami i włosy w skromny kok. — Za co cię wzięli? — spytała najmniejsza. — Nikt mnie nie wziął, sama przyjechałam. — Po co? — Mam być skierowana do domu dziecka. — A, to jesteś smoczek... A skąd jesteś, z Poznania? — Nie, z Kalisza.

Po tej krótkiej rozmowie straciły wszelkie zainteresowanie moją osobą i więcej się do mnie nie odzywały. Między sobą zaś mówiły trudno zrozumiałym językiem i do tego zawsze z pośpiechem. Zorientowałam się tylko, że naradzały się, w jaki sposób zdobyć papierosy. Potem rozległ się przeraźliwie ostry dzwonek w korytarzu i poszłyśmy do jadalni, gdzie stały długie stoły przykryte ceratą i ławy. Przy każdym stole siedziała wychowawczyni. Moja wychowawczyni, ta sama, która otworzyła mi bramę, posadziła mnie obok siebie. Na obiad była gotowana wołowina z kartoflami i buraczkami, a potem cieniutki kompot. Jedzenie wydało mi się wspaniałe. Po obiedzie wychowawczyni zaprowadziła mnie z powrotem do kierowniczkii, która trzymając w ręku moją cenzurę spytała, co robiłam od skończenia siódmej klasy. — Chodziłam do gimnazjum. — A gdzie masz cenzurę? — Nie mam. — Dlaczego? — Bo nie zdawałam egzaminów końcowych. — Dlaczego? — Bo nie podobały mi się tam nauczycielki. — Dlaczego? — Bo chodziłam do teatru, a one mi nie pozwalały.

Kierowniczką zdziwiła się trochę, spojrzała jeszcze raz na moje piątki z siódmej klasy, potem znów na mnie i zdaje się, że uwierzyła. — Czy chciałabyś nadal chodzić do gimnazjum? — Nie. — A gdzie? — Do Państwowej Szkoły Instruktorów Tea-

trów Ochotniczych — powiedziałam, bo dobrze sobie zapamiętałam nazwę szkoły, o której opowiadała Maryla. Kierowniczką zapisała sobie tę trudną nazwę. — Aha, jeśli chodzi o taniec, to profesor Mikołajczak zaofiarował ci lekcje trzy razy w tygodniu. Za darmo. Będiesz w te dni dostawała od nas bilety na tramwaj.

Dziewczyny do wieczora wykonywały dyżury w kuchni, sprzątały jeszcze raz posprzątane pokoje i zamiatwały zamiecione przejście między barakami. Nie dawano im ani chwili czasu. Ja jako nowa nie miałam jeszcze żadnego dyżuru, więc do wieczora czytałam tam i z powrotem „Grażynę”. W nocy, po zgaszeniu światła, dwie moje koleżanki — największa z dużymi, dorosłymi piersiami i najmniejsza, która była ich wodzirejką — zaczęły doradzać średniej, wyraźnie najmniej rozgarniętej, jak ma się zachowywać w sądzie, gdzie jeszcze nigdy nie była. Radziły jej przede wszystkim zmasać wszelkie upiększenia z twarzy i rozprostować w wodzie włosy, zdjąć pasek z talii, a nawet wypuścić bluzkę na spódnice, żeby wcale nie było widać bioder, pożyczyc, a w razie potrzeby ukraść jakieś obuwie na płaskim obcasie, żeby wyglądać jak dziecko. Radziły jej patrzeć sędziemu prosto w twarz szeroko otwartymi, smutnymi oczami i żałować wszystkiego, czego nie można się wyprzeć, zapewniając, że to wszystko pierwszy raz w życiu i więcej się nie powtórzy. Jeśli padnie pytanie, dlaczego kradła, to ma odpowiedzieć, że była głodna i nie mogła nad sobą zapanować. A dlaczego nie poszła do pracy? Bo jest za młoda, mało umie, nie zna żadnego zawodu i nikt takich jak ona do pracy nie przyjmuje. A dlaczego uciekła z domu? Bo ojciec pijak znęca się nad wszystkimi i nie mogła tego wytrzymać. Albo dlatego, że nie chciała być ciężarem w domu, gdzie nazywano ją darmozjadem, uniosła się honorem i uciekła, a potem wpadła w złe towarzystwo, gdzie najpierw jej wszystko dawali, a potem powiedzieli, teraz twoja kolej, idź kraść! Kiedy odmówiła, sprawili jej lanie, jakiego nawet w domu nigdy nie dostała. Ma też stanowczo odpowiedzieć, że prostytutką nigdy się nie trudniła, a nawet nie wie, co to jest. Na pytanie, czy zmuszano ją do świadczenia przystęgi płciowej, niech opuści nisko głowę i wybuchnie płaczem, a jeśli nie umie, to niech po cichu zaszlocha, mocno pociągając nosem jak przy katarze. Płakać trzeba zresztą przy każdej okazji, bo to zawsze trochę zmiękcza sędziego. Płacząc, można powiedzieć, że nie miało się dobrego przykładu w domu i że wszystko byłoby może inaczej, gdyby miała innego ojca, mądrego i wyrozumiałego, ot, takiego jak obywatel sędzia... Temu żaden sędzia nie może się oprzeć. Jeśli zaś sędzią będzie kobieta, to nie ma po co się zgrywać na skromność, bo one każde udawanie rozpoznają, tylko trzeba jak najdokładniej opisywać wszystkie awantury i bezceństwa

ojca, włącznie z seksualnymi, wszystkie akty przemocy, uderzenia, ból, ciągły strach oraz powiedzieć, że woli się sprawiedliwy wyrok i więzienie od takiego domu. To wzrusza sędzię-kobietę i można wtedy liczyć na najłagodniejszą z „poprawek”. Nie należało tylko mówić, że ojciec kradł w pracy i jak się o swej pracy wyrażał, ani w ogóle co po pijanemu wygadywał, bo tego nawet najgorszemu ojcu się nie robiło. Nie należało też mówić, że uciekło się z domu, żeby uciec przed ciężkim, frajerskim życiem, jakim żyli ojciec i matka, bo mogło to być uznane za bunt polityczny, a politycznym być to gorzej niż frajerem. Opowiadały o różnych stopniach rygoru w „poprawkach”, które już zwiedziły w różnych rejonach kraju, lub znały ze słyszenia, o wychowawcach, którzy najczęściej i najmocniej biją i o tym skąd można, a skąd nie można uciec. Rzuciły imionami lub przezwiskami osób, które dokonały najwięcej trudnych ucieczek. Licytowały się wyczynami w kioskach, gdzie kradły papierosy, kupując codzienną prasę, oraz w domach towarowych, gdzie wrzucały sobie do majtek lżejszą galanterię, sztuczną biżuterię, szminki, pończochy, apaszki, co tylko się dało. Majtki nosiło się tak, żeby łup wpadał do nich bezpośrednio zza paska spódnicy. Dobrze też było ściągnąć sobie nogawki majtek gumami. Najlepiej było w chłodny albo deszczowy dzień, kiedy chodziło się w płaszczu. Nasza mało doświadczona średnia koleżanka wrzuciła sobie do majtek kryształowy naszyjnik z „Jel-nexu” w pogodny majowy dzień, będąc do figury, i jakaś klientka, która nadeszła z tyłu, zauważyła jej gest, narobiła krzyku, rzuciła się na nią razem z ekspedientką, powaliły ją na ziemię i ściągnęły majtki, w których pełnym blaskiem połyskiwał czechosłowacki *corpus delicti*. Było pewne, że „poprawka” jej nie ominie, ale przy dobrym wrażeniu można było uzyskać najłagodniejszy rygor, czyli takie miejsce, gdzie jest najmniej bicia i najłatwiej uciec.

Tej nocy znowu nie mogłam zasnąć, a im dłużej nie mogłam zasnąć, tym bardziej wzrastały moje obawy. Gdy zaczynałam drzemać, ukazywała mi się szydercza twarz wychowawczynie Jagiellonek i dyrektorka z dorozkarskim batem i obie żądały, żebym się przyznała do kradzieży pióra. Budziłam się złana potem i coraz bardziej przekonana, że wychowawczynie od Jagiellonek porozumiała się w Kaliszu z moim kuratorem, a on wszystko napisał kierownicze Pogotowia Opiekuńczego, a może nawet profesrowi baletu i kto wie, czy nie czekają tylko na miejsce dla mnie w jakiejś „poprawce”. Nawet sądu im pewno nie potrzeba, bo przecież wychowawczynie od Jagiellonek i dyrektorka od samego początku orzekły o mojej winie, a tamci od „poprawek” mają całkowite zaufanie do takich doświadczonych pedagogów jak one. Nad ranem mocniej przysnęłam, ale przysnił mi się jeden z wychowawców „poprawki”, ten który najdotkliwiej bił. Miał czarny

mundur, wysoką czapę z błyszczącym daszkiem i lśniące, szpiczaste buty z cholewami, a ja starałam się obiema rękami osłaniać przed nim mój brzuch.

Nie próbowałam już więcej spać, tylko ubrałam się i zapukałam do wychowawczynie. Zazgrzytała zasuwa i wychowawczynie ukazała się w szlafroku, zaspana, ale nie zdziwiona. Nie musiałam niczego udawać. Trzęsłam się naprawdę i musiałam tłumić zupełnie prawdziwe szlochanie, gdy spytałam, czy mają zamiar mnie wysłać do domu poprawczego. Wychowawczynie przyjrzała mi się, trochę zaskoczona, a potem stanowczo zaprzeczyła i żeby mnie uspokoić dała mi dwa bilety tramwajowe — na lekcję baletu.

Dostałam od profesora czarną tunikę, miękkie baletki i trykot. Znalazłam się w klasie aspirantek, w której była Maryla. Lekcja szła mi okropnie. Stawałam za Marylą, żeby naśladować wszystko co ona robiła, ale niczego nie mogłam wykonać. Jak wykręcałam prawidłowo piętę, to nie mogłam podrzucić drugiej nogi, a jak ją podrzuciłam, to nie mogłam okręcić pięty do boku. A profesor dyktował jedno ćwiczenie za drugim przez wszystkie pięć kolejnych pozycji i wystukując kijem, wołał niezrozumiałe dla mnie komendy: — *Demi-plié! Grand-plié!* Druga strona! *Petit-battement! Grand-battement!* Odwrót! Na każde ćwiczenie pianistka miała inne tempo. Im tempo było wolniejsze, tym silniejszy ból. Przy drażku było jeszcze pół biedy, ale potem się wychodziło na środek, żeby robić wszystko bez żadnego podparcia, a do tego jeszcze solowo, na przykład, przefrunąć po przekątnej sali piruetami *pique*. W grupie powtarzałam każdy gest za Marylą. Gdy następował obrót w przeciwną stronę, przebiegałam znów za jej plecy, ale przy solówkach miałam przed sobą pustą przestrzeń, z którą nie wiedziałam co zrobić, a moje żałosne imitacje wywoływały chichot pannic, które ćwiczyły to wszystko od lat. Dwie z nich — jedna miała osiemnaście lat, a druga dziewiętnaście — tańczyły już nawet czasem w *corps-de-ballet*. Tylko Maryla się ze mnie nie śmiała. Po lekcji profesor powiedział, żebym nie ruszała biodrem przy wyrzucaniu nogi, nie starała się wyrzucić nóg jak najwyżej, bo to samo przyjdzie, nie wystawiała tyłka przy *plié* i ćwiczyła codziennie w domu wykręcanie nóg do wszystkich pięciu pozycji.

Kiedy wróciłam za druty, moje współlokatorki zazdrośnie dopytywały się, gdzie byłam — sama bez niczyjej opieki. — W ope-rze na lekcji baletu — powiedziałam. Myślały, że z nich wariatki strugam, ale gdy zobaczyły jak torturuję swe nogi, ćwicząc przy oparciu łóżka i w umywalni przed lustrem, uwierzyły i zaczęły mnie nazywać „artystką”. Nie dokuczały mi, bo choć nie byłam złodziejką, to jednak nie byłam im zupełnie obca. Podobnie jak

one nie miałam domu i żyłam na łasce losu, a one, podobnie jak ja, przechodziły okres wtajemniczenia w dziedzinie, która nosiła znamiona sztuki i też uważały się w pewnym sensie za — artystki.

W ogóle starały się poprawnie zachowywać i nie narażać kierownicze, którą nazywały „władzą”, ani wychowawczyniom, których zeznania w sądzie miały dużą wagę. Przeciwnie, robiły wiele, żeby się przypodobać i to w umiejętny, dosyć artystyczny sposób. Widząc z rana naszą panią Jadzię w nowym uczesaniu, wołały z daleka: — Popatrz tylko, jaka laleczka! Ale ma fason, co! Chciałabyś tak kiedy wyglądać!... — Udawały, że rzucają te uwagi wyłącznie między sobą, bezinteresownie i szczerze, a w kącikach podmalowanych ust pani Jadzi pojawiał się maleńki uśmiezek wielkiego zadowolenia.

W pogodne dni wywożono nas tramwajem na forty, gdzie trawa i krzewy porastały wężowato wijące się grzbiety bunkrów. Pozarastane były też wejścia i tylko wężowate wypukłości zdradzały dokonaną tu krecią robotę. Niemcy tu się długo bronili i wielu z nich w tych bunkrach na zawsze zostało. Ostrzegano nas przed granatami, które wciąż jeszcze podobno wybuchały. W niektórych miejscach tkwiły tabliczki: „Teren wojskowy — wstęp wzbroniony”. Widać tam było z daleka jakieś niskie budynki i pojedynczych żołnierzy. Łatwo było stąd uciec. Wystarczyło schować się w którymś bunkrze, ale nikt nie uciekał, bo w Pogotowiu Opiekunym było stanowczo lepiej niż w „poprawce”, lepiej niż w rodzinnym domu, a może nawet lepiej niż z bandą. Był to rodzaj wakacji, zasłużonego odpoczynku po wyczerpującym buszowaniu, chwila wytchnienia między jedną „poprawką” a drugą. Dziewczyny lubiły te wycieczki poza druty, w zieleń, która uspokajająco na nas wszystkie działała. Wychowawczynie czytały sobie książkę, a one siadały grupkami w odpołudniej odległości, żeby nie słyszała, o czym rozmawiały.

Ulubionym tematem było przechwalanie się intymnymi przygodami z najślynniejszymi amantami, jak Geniek-Żyleta, Czesiek-Kopyto, czy Roman-Pająk. — Umówiłaś się z nim, bujasz! Z Gienkiem-Żyletą? — Tak, z samym Gefikiem, żebym tak wolności nie doczekała! — I co, zatargał cię? — Owszem, zatargał... — W krzaki? — Tak, w krzaki. — Bujasz...

Mówiły też o uwodzeniu strażników i wychowawców, nawet najgorszych oprawców, dla ucieczki z „poprawki” lub dla szantażu. Opowiadały o ucieczkach, które były właściwie wyczynami dla samego sportu i uznania kolegów, bo nie było przecież dokąd uciekać, ani gdzie się skryć. Mieszkań nawet dla legalnych frajerów w kraju brakowało. Niewiele też było do skradnięcia, żeby móc za to dłużej na woli pohulać. Pozostawało więc tylko bicie rekordów, czyli sztuka dla sztuki. Z podziwem mówiły o prosty-

tutkach, wśród których też były rekordzistki. Obliczano rekordowe sumy, jakie potrafiły one zgarnąć w czasie jednej „migany” (zabawy). Ważna jakaś „migana” miała się wkrótce odbyć i miały w niej wziąć udział wszystkie najważniejsze „szczeny” z Gienkiem-Żyletą, Czeskiem-Kopytem i Romanem-Pająkiem na czele. Dziewczyny zastanawiały się nad możliwością znalezienia się na tej „miganie”, oraz zdobycia alkoholu. Dla swoich „szczenów”, bo same za wódką nie przepadały. Lubiły za to papierosy i z każdej wycieczki na forty wracały z papierosami, nie wiadomo w jaki sposób zdobytymi. Paliły je w nocy po zgaszeniu światła w sypialniach, kontynuując opowiadanie nieprawdopodobnych historii, niczym bajek na sen. Był to dla nich rodzaj pokarmu, bez którego nie mogłyby chyba wytrzymać swego życia. Opowiadanie zdawało się ważną częścią ich istnienia, jeśli nie najważniejszą. Ważniejszą od samych czynów, o których opowiadały. Każda nieprawdopodobna historia podniecała kogoś do opowiedzenia jeszcze bardziej nieprawdopodobnej, a słuchaczki — z zasady — nigdy żadnej z tych historii nie zaprzeczały.



Pani Jadzia pojechała ze mną, zapisać mnie do PSITO. Nikt mi nie powiedział, że tego dnia odbywały się tam egzaminy wstępne i że będę musiała z miejsca zdawać. Dobrze jednak pamiętałam wiersz naszego polskiego poety o tragicznym losie amerykańskiej Murzynki ze stanu Georgia, opisanym — jak głosił podtytuł — „na podstawie relacji naszych gazet”. Zarecytowałam go z zupełnie nieudawaną rozpaczą w sercu i zrobiłam na komisji silne wrażenie. Widziałam jak moi sędziowie zapisywali coś na karteczkach i, kiwając potakująco głowami, nawzajem sobie pokazywali. Siwy przewodniczący z wydatnym brzuskiem i niefrasobliwym wyrazem twarzy, zapytał czy znam jakieś sztuki Szekspira. Wymieniłam „Romea i Julię”, „Kupca weneckiego”, „Wieczór trzech królów”, „Poskromnienie złoźnicy” i „Dwóch pań z Werony”. Przewodniczący zrobił oko do swych kolegów i zapytał, czy wiem, jakiej narodowości był Szekspir. Odpowiedziałam, że włoskiej. Wybuchnęli śmiechem i widać było, że nie pierwszy raz się tak zabawiali, a mnie przerażenie ogarnęło, że mnie nie przyjmą do szkoły. — Ile klas skończyłaś? — zapytał przewodniczący. — Osiem. — Czy masz cenzurę z ósmej klasy? — Nie, ale szkoła mi ją na żądanie wyda — powiedziała, choć nie mogłam mieć żadnej pewności, że szkoła mi ją wyda. — Dlaczego chcesz się uczyć właśnie w tej szkole? — Występowałam w teatrze jak byłam mała, a potem chodziłam do teatru prawie co wieczór. Nie mogę bez teatru się obejść...

Dziewczyny w Pogotowiu dobrze się zachowywały i nawet unikały niecenzuralnego języka, ale nie zapomniały kim są i czego się po nich spodziewano. Na przykład nieukradnięcie czegoś co można było ukraść narażało je na wstyd przed „szczunami” i koleżankami po tej i tamtej stronie. Wstyd byłby też, nawet przed samym sobą, wiedzieć, że w podmiejskim parku ma być „migana” z udziałem najważniejszych „szczunów” i w ogóle wszystkich, którzy się liczą w ich nieugiętym ruchu sprzeciwu, a nie podjąć próby, żeby tam się znaleźć. Ucieczka była oczywiście dobrowolnym skróceniem sobie „urlou” i zapewniała dłuższą i surowszą „poprawkę”, ale rozsądek nie miał tu nic do powiedzenia, podlegając nadrzędnej regule, że trzeba być wiernym sobie i pozostać sobą, bo co pozostawało bez tego? Bicie, jakie się dostawało od milicji za ucieczkę też było jedną z reguł. Rzecz się sprowadzała do tego, żeby się nie bać, a przynajmniej nie okazywać strachu, wytrzymać nawet najcięższe pobicie, nie tylko nie okazując poprawy, ale jeszcze silniejszy opór i sprzeciw, bez którego ich życie nie miałoby barwy, a być może i sensu.

Dwudziestego drugiego lipca, w dniu wielkiego państwowego odpustu, kiedy w parkach miejskich i podmiejskich można za darmo tańczyć przy najlepszych orkiestrach kraju, gdy państwowe ciężarówki podwożą kiełbasy tanie jak barszcz i piwo bez marży zarobkowej, a milicja nie przeszkadza nikomu w krzakach i nie wtrąca się w awantury pijackie ani kradzieże, aby i złodzieje nauczyli się czcić święto państwowe — tego pięknego dnia obudziłam się w pokoju sama. Myślałam, że moje współlokatorki wcześniej wstały na jakiś dyżur w kuchni lub jadalni, ale przy śniadaniu, na które dano nam szynkę, zobaczyłam tylko tę średnią. Po jedzeniu zjawiła się nasza „władza” i oznajmiła, że w nocy nastąpiła ucieczka przez druty. — Te młode osoby do nas wkrótce wrócą — zapewniała — i przygoda ta doprawdy nie warta jest konsekwencji, jakie będą musiały ponieść. Może nabiorą potem więcej rozsądku i bardziej dojrzeją...

Po śniadaniu „władza” wezwała do siebie najpierw tę średnią, a potem mnie. Pytała, czy nie słyszałam w rozmowach o zamiarach uciekinierek, a zwłaszcza dokąd się wybierały. Powiedziałam, że nie słyszałam. Tego dnia nie było żadnego wyjścia za druty, bo wszędzie w takie święto jest pełno ludzi, żadnych czasobójczych obowiązków jak zamiętanie, nie miałam też lekcji baletu. Postanowiłam więc skorzystać z tak zupełnego święta i zrobić sobie większe pranie. Wyciągnęłam spod łóżka walizkę i serce mi się ścisnęło: była prawie pusta. Ani mojego ulubionego skafandra ze szwajcarskiego palta, ani granatowego, galowego kostiumu, ani pięknych dwóch bluzek, wykrojonych z daw-

nych francuskich sukienek. Wychowawczynie nie mogła się na dziwić: — Jak to, trzymałaś takie wartościowe rzeczy w pokoju? W otwartej walizce? Nie oddałaś na przechowanie?

Byłam wstrząśnięta. Oprócz kilku osób z rodziny i paru policjantek na posadach nauczycielskich w gimnazjum, nikt mi takiej osobistej krzywdy nie zrobił. Ludzie raczej starali się mi pomóc — wszystko jedno czy w bardziej, czy w mniej przyjemny sposób — i byłam niemalże przekonana, że jako sierota znajduję się pod specjalną ochroną. Okazało się, że w sztuce moich koleżanek-złodziejek tkwiło coś przerażająco prawdziwego, że nie była to niewinna ucieczka od rzeczywistości, jak w innych dziedzinach życia artystycznego, i zaczęłam się ich bać. Bałam się ich teraz bardziej niż sierocińca. Przedtem chciałam za wszelką cenę odwlec przeniesienie mnie do domu dziecka, żeby z nowym rokiem szkolnym znaleźć się w internacie PSITO i uniknąć zamieszkania wśród innych sierot, ale teraz czekałam tylko na wiadomość o jakimś miejscu w domu dziecka, żeby czym prędzej wydostać się z Pogotowia.

Przepowiednia kierowniczką sprawdziła się już na trzeci dzień po święcie PKWN. Grałyśmy w siatkówkę, kiedy zajęła „suka” i wysiedli z niej dwaj milicjanci, prowadząc między sobą tę mniejszą. Była rozczochrana i brudna, sukienkę miała tynkiem powycieraną i szminkę rozmazaną po całej twarzy. Nie patrzyła w naszą stronę, a dziewczyny nic nie mówiły, udając, że nic się nie dzieje i że nie widzą milicji, od obecności której wyraźnie cierpła im skóra. Kierowniczka osobiście otworzyła bramę i razem przeszli przez plac aż do ostatniego, małego baraku, gdzie mieściła się izolatka. Mała została tam, a kierowniczka z milicjantami wróciła do biura. Po chwili jeden z nich zajrzał do „suki” i wyjął z niej garść ubrania. Ucieszyłam się, widząc w jego ręku mój skafander ze szwajcarskiego materiału. Poczekaliśmy aż „suka” z obu milicjantami odjechała i pobiegłam do biura. „Władza” podała mi skafander, którego rękaw rozdarty był kolczastym drutem. Na plecach widać było ślady smoły, a zsuwak był porozrywany, bo mała widocznie przemocą próbowała go na sobie dopiąć. Wzięłam skafander w dwa palce, wyszłam na dwór i wrzuciłam go do śmieci. Tę dużą przywieziono wieczorem i nikt nie widział, jak ją prowadzono do izolatki. Nad ranem obudził nas przeraźliwy krzyk. Słychać było bieżnię, a potem syrenę. Podbiegłyśmy do okien i ujrzeliśmy jak dwaj ludzie w kitlach nieśli przez plac wrzeszczącą wodzirejkę. Jej twarz była jeszcze bardziej zamazana na czerwono, ale tym razem krwią i mokry ślad ciągnął się za nią od izolatki do karetki. Pocięła się sama, „mojką” (kawałkiem żyłki), którą przesznuowała z wolności między zębami. Nazajutrz zabrano tę dużą, piersiastą, na roz-

prawę sądową w trybie przyspieszonym. Kierowniczką powiedziała, że próbowano się dowiedzieć o moje rzeczy, ale niewiele jest nadziei, bo zostały szybko sprzedane. Poinformowała mnie również, że od pierwszego sierpnia zwalniało się miejsce w Kobylnicy i zapytała, czy chciałabym z nią pojechać i zobaczyć, czy mi się będzie podobało. Poprosiłam, żeby mnie tam od razu przeniosła, bez oglądania. Wydawała się tym trochę rozczarowana.

Napisałam do babci, że wyjeżdżam na wakacje do domu dziecka w ładnej zamiejskiej okolicy o zdrowym klimacie, a po rozpoczęciu roku szkolnego zamieszkam w specjalnym internacie dla młodzieży artystycznej. O tym, że skradziono mi w Pogotowiu Opiekuńczym całe moje najlepsze ubranie, nie wspominałam jej ani słowa.



Dom dziecka był dokładnie taki jak sobie wyobrażałam sierociniec. Sina zupa o smaku i woni brudnej ściereki, ciemny sos bez żadnego smaku z kawałkami sadła zwanymi „gulaszem”, gliniasty chleb z paskudną marmoladą z nie wiadomo czego, jaką pamiętałam z czasu okupacji, półśladka kawa zbożowa zaprawiona mlekiem na ciemnoszaro, mocno zakropione wodą kartofle *purée*, kotlety mielone z bułki, małe i twarde jak orzechy, żeberka bez mięsa na nich. Maluchy od pięciu do dziesięciu lat, których było najwięcej, nie chciały tego jeść, a potem włożyły się głodne, wsadzały do kuchni swe ogolone głowy i wystawały przed jadalnią na godzinę przed każdym następnym posiłkiem w nadziei, że może ten będzie lepszy i da się zjeść. Kradły marchew i ogórki z należącego do domu dziecka ogrodu warzywnego, wałęsały się po polach i lesie, wypatrując czegoś do zjedzenia. Wychowawczynie musiały doglądać przede wszystkim najmniejszych, pięcioletnich, więc średniaki od siódmego do dziesiątego roku życia spędzały całe dni samopas, szukając pożywienia, albo grając w klipę i w noża dla zabicia czasu. Prawie nie umieli mówić. Porozumiewali się jak dzicy: okrzykami, gestami, grymasami i monosylabami, w najlepszym wypadku kilku prostymi zdaniem na temat jedzenia, czy innych niezbędnych potrzeb fizjologicznych. Małe dzieci chodziły w za dużych ubraniach, a większe w za małych. Cuchnęły moczem. Najstarsi wychowankowie, jak w obozie koncentracyjnym, zabiegali o dyżury w kuchni, żeby się najeść. Nauka szła im wszystkim bardzo opornie i nie lubili szkoły. W domu dziecka była biblioteka z klasykami dla mas, na szarym, gazetowym papierze, ale się nie interesowali książkami. Po prostu nie przychodziło im to do głowy. Nawet „W pustyni i w puszczy” nigdy nie czytali. Nie wiadomo było, co z nimi zrobić po szkole podstawowej, gdy do roboty byli

jeszcze za mali. Ze szkół zawodowych szybko odpadali, bo nawet ten poziom był dla nich za wysoki. Marzyli o tym, żeby jak najszybciej dorosnąć, wyjść z domu dziecka i zamieszkać samemu. Gdziekolwiek, byle we własnym mieszkaniu. Mieszkań jednak było za mało, nawet dla jednostek znacznie bardziej przydatnych dla tak zwanego budownictwa socjalistycznego. Nie romansowali pomiędzy sobą, bo przeważnie się nawzajem nie lubili. Dorastające dziewczyny szukały dla siebie mechaników i strażaków, którzy mieli na pewno lepsze widoki na przyszłość i na mieszkanie, ale kobylnicy mechanicy i strażacy woleli żenić się z posażnymi pannami ze wsi. Do niektórych maluchów przyjeżdżały czasem w niedzielę ich matki, na ogół nieślubne, osoby lekkiego lub z gruntu złego prowadzenia się, ale ich odwiedziny były przedmiotem ogólnej zazdrości. Niektóre z sierot miały oficjalnego „opiekuna” lub „opiekunkę”, którzy także co jakiś czas przyjeżdżali. „Opiekunowie” też byli przedmiotem powszechnej zazdrości. Marzono o tym, żeby zdobyć takiego kogoś, byle kogo, kto by przyjeżdżał, przywoził coś, byle co, do kogo można by napisać list. Chłopców, którzy odpadali ze szkoły zawodowej, posyłano na naukę do tartaku i okolicznych warsztatów, dziewczyny pomagały w domu dziecka pracować, gotować, pielęgnować w warzywnym ogrodzie. Do starszych, osieroconych przez wojnę, żadna, nawet najgorsza matka nie przyjeżdżała.

W niedzielę starsze dziewczyny zabierały mnie do remizy strażackiej na zabawę. Grzałyśmy w kuchni kocioł wody i myłyśmy się w kuchennych miednicach — do pasa i od pasa — bo w umywalniach była tylko zimna woda. W jaki sposób myto kilkudziesięciu maluchów, pojęcia nie miałam. Strażacy i mechanicy źle tańczyli i wcale mnie nie interesowali, a i ja dla nich byłam za chuda i za dziecinna, ale z innymi dziewczynami chętnie się umawiali. Regulamin kazał nam wracać przed dziesiątą, więc wracały, a zaraz potem przeskakiwały murek i nie było ich do późna w nocy, a czasem do porannego apelu. Kierownik i wychowawczynie zdawali sobie z tego sprawę, ale kto miałby siły i ochotę, żeby się za nimi uganiać? Kładłam się co wieczór w cuchnącej moczem dziesięcio-osobowej sypialni, gdzie jedna trzecia średniaków moczyła się w nocy, i cieszyłam się, że minął jeszcze jeden dzień, że o jeden dzień bliżej było do końca tych przeklętych wakacji, po których już nigdy do żadnego domu dziecka nie wrócę. Ojca straciłam, gdy miałam półtora roku, matkę pamiętam bardzo mało, ale dopiero tutaj czułam się prawdziwą sierotą.



Dom dziecka chętnie mi pozwolił wyprowadzić się do inter-

natu. Wyposażył mnie nawet w poduszkę i kołdrę watową, dwa ręczniki, szczoteczkę i pastę do zębów, piżamę, trzy pary skarpet, obsadkę ze stalówką, parę ołówków i brulionów — trochę wszystkiego co było w magazynie. Wyprowadzając się do internatu pozostawałam oficjalnie na utrzymaniu domu dziecka, który *nota bene* bardzo się cieszył, że nareszcie będzie miał „wychowanek” w jednej z ambitniejszych szkół.

Przyjmując nowe roczniki do licznych w Poznaniu szkół artystycznych, trzeba było zaplanować dodatkowy internat. Zaplanowano więc osobny żeński internat w Rynku, w starej kamienicy zwanej Czerwoną Apteką. Ale gdy nadszedł nowy rok szkolny, kamienica, którą z zewnątrz starannie pomalowano na czerwono, w środku wciąż jeszcze nie była zdalna do użytku. Trzeba było więc dokwaterować wszystkie nowe roczniki do starego internatu koedukacyjnego. Na sali, która przedtem była świetlicą, położono dwadzieścia materaców, walizki pomiędzy materacami służyły za nocne stoliki. Razem z nami, uczennicami PSITO, położono niektóre dziewczęta ze szkoły plastycznej, muzycznej i parę małych dziewczynek od ośmiu do dziesięciu lat z nowo-otwartej, normalnej szkoły baletowej, więc miałyśmy prawdziwe życie artystyczne. W przeciwieństwie do naszego PSITO, które było dziwołagiem, w tamtych szkołach uczyła się młodzież, która wiedziała co robi. Grano na instrumentach, malowano i rysowano, dyskutowano z prawdziwie twórczą gorączkowością. Nie wolno było palić światła po dziesiątej, ale poza tym mieliśmy zupełną swobodę. Chłopcy przychodzili, siadali na naszych materacach i z powagą dorosłych artystów wiedli zażarte dyskusje o Picassie, który dotarł do nas na skrzydełkach swego białego gołąbka. Zaangażowany przez naszą propagandę niewinny gołąbek Picassa zalegalizował u nas jego obrazy, siejąc popłoch w socjalistycznym realizmie. Kłócono się także o to, kto jest naprawdę dobrym aktorem i jak teraz należy grać. Dostawaliśmy wejściówki do teatru, gdzie zobaczyliśmy „Hamleta” z Hanuszkiewiczem i Rysiówną. Hanuszkiewicz był bosko przystojny, a mój był w sposób prosty, podając nie poezję, lecz śladu patosu czy recytacji, jakby Hamlet był jednym z nas. A Rysiówna też nie miauczała, ani nie skamlała, ale w autentyczny, dramatyczny sposób mówiła o przeżyciach wrażliwej dziewczyny, zagubionej w wydarzeniach, na które nie miała żadnego wpływu. Hanuszkiewicz był najpiękniejszym mężczyzną, jakiego widziałam lub sobie wyobrażałam. Zaćmił w mych oczach nawet Kadocznikowa, rosyjskiego amanta, którego portret wyciąłam z „Przyjaciółki” i wozilałam wszędzie z sobą w walizce. Pojawiła się także nowa polska sztuka „Czarniecki i jego żołnierze”. Nasz nauczyciel literatury, który kochał teatr beznadziejną, nie od-

wzajemną miłością, grał w niej tytułową rolę — jednego z żołnierzy. Kiedy się zjawił na scenie z pismem dla Czarnieckiego, zgotowaliśmy mu tak gorącą owację, że oniemiał i nie mógł wydukać tego jedyne go zdania, jakie miał do powiedzenia, aż hetman, bardzo szczerze zirytowany, wyrwał mu list i wypchnął z powrotem za kulisy.

Do naszego PSITO trafiali rozmaici zakochani w sztuce rozbitkowie, którzy nie mogli do niej dotrzeć w normalniejszy sposób z braku szczęścia, talentu, pieniędzy, lub odpowiedniego pochodzenia społecznego. Na starszym roku było paru zdolnych chłopców, którzy nie dostali się do szkoły aktorskiej i paru takich, których zmuszono do przerwania prawdziwych studiów artystycznych, a do PSITO przyjęto, bo za mało było kandydatów przy zakładaniu szkoły. Większość, zwłaszcza na naszym roku, stanowili jednak adepci z tak zwanego zaciągu społecznego, którzy mieli nieść socjalistyczną kulturę do pomniejszych miast, miasteczek i gromad. W ten sposób trafiło do nas sporo wydelegowanych z różnych regionów dziewcząt z długimi warkoczami, a wraz z nimi przybyły i pełne werwy ludowej wszy. W internacie, przy tak dużym zagęszczeniu, wszy miały niezłe pole do popisu, zwłaszcza że cała nasza uwaga była odwrócona przez nieustanne dyskusje artystyczne. Nikt tych ukrytych, odwiecznych wrogów ludu nie zauważył, dopóki, ośmielone bezkarnością, nie zaczęły w otwarty sposób nam chodzić po czubkach głów. Ale i wtedy nikt nic nie mówił i udawaliśmy, że nic nie widzimy. Pamiętam ulgę, jaką poczułam, gdy pierwszy raz zobaczyłam pod światło ciemne, pulchne wszy rządkiem kroczące po przedziałku blondynki, córki kapitana liniowca oceanicznego „Batory”, do której przyjeżdżała w odwiedziny elegancka i urodziwa mama z Gdyni (mama, która nie chciała jej mieć w Gdyni, gdy kapitana nie było tygodniami w domu). W nocy, gdy nie mogłam wytrzymać — bo wszy stawały się nachalniejsze i nie tylko swędziło od nich, ale wręcz parzyło — biegłam do ubikacji z wielką *Trybuną Ludu* i wyczesywałam tak długo aż wszy było więcej na niej niż liter, choć robiłam to zwyczajnym, wcale nie gestym grzebieniem. Inne dziewczyny również z gazetami biegały.

Wszy doszły w końcu do kierowniczkii internatu. Pewnego dnia zarządziła ona przegląd głów i natychmiast wysłała nas do dyskretnego, prywatnego zakładu fryzjerskiego z tylko jednym fryzjerem, który dobrze wiedział, o co chodzi i bez słowa ścinał cały plon naszych dziewiczych lat. Po tych ocepinach pojechaliśmy z własnymi ręcznikami w drugi koniec miasta, gdzie wprowadzono nas do małego szarego budynekczku. Nikogo tam prócz nas nie było. Pani w szarym kitlu i szarym czepku, mówiąca z dosyć niemieckim akcentem, wywoływała nas z poczekalni po

dwie. W pokoju, który miał ściany wymalowane olejną, szarą farbą i gumowe linoleum zamiast podłogi, znowu okrywano nas prześcieradłem jak u fryzjera, kazano zamknąć oczy i nos, a dwie panie w szarych kitlach i chirurgicznych maskach zasypywały nam głowy śmierdzącym szarym proszkiem, po czym fachowo owijały ręcznikiem w turban i spinały agrafką. W tych turbanach musieliśmy potem jak Turki jechać z powrotem przez cały Poznań. Ludzie w tramwaju nic nie mówili, ale trzymali się od nas z daleka — przede wszystkim ze względu na woń spod naszych turbanów. Na szczęście była to pora przedpołudniowa, gdy niewiele ludzi jeździło tramwajem.

Wszy, z początku zaszokowane, przez jakiś czas nie reagowały, ale gdy wróciłyśmy do internatu, zdążyły się otrząsnąć i rzuciły się we wszystkie strony, próbując uciec spod dusiciel-skiego turbanu. Turbany nasze były jednak fachowo zwinięte, mocno i szczelnie. Nie widząc żadnego wyjścia z sytuacji, wszy dostały szału. Próbowaly wgryźć nam się pod skórę, a gdy i to nie skutkowało, z czystej wściekłości kasały. Turbana nie wolno było przez dwadzieścia cztery godziny zdejmować, a poprzez turban nie sposób było nawet trochę się w skalp rozswędzony po-drapać, więc była to wojna nerwów pomiędzy nami a wszami, kto kogo przetrzyma — tortura nieznana chyba nawet chińskiemu NKWD. Po nieprzespanej nocy dostałyśmy wreszcie specjalne, gęste grzebienie i czesanie się nimi wydało nam się z kolei największą rozkoszą cielesną, o jakiej dziewczyna może marzyć. Stan pogotowia wszowego trwał jeszcze miesiąc. A i potem, gdy przeniesiono nas do Czerwonej Apteki, zarządzono kilka alarmów, bynajmniej nie fałszywych, ale za każdym razem niszczone wroga ludu w zarodku i do ponemieckiej odwyszalni już nas nie wysyłano.



Po szkole biegłam do stołówki na szybki obiad, a potem na lekcję baletu. Przychodziłam o godzinę wcześniej i zostawałam po lekcji, żeby jeszcze trochę poćwiczyć sama. Czasem odrabiałam lekcje w garderobie, a potem znowu ćwiczyłam. Nauczyłam się wykręcać stopy we wszystkie możliwe strony i rozumieć francuskie komendy profesora. Umiiałam już nie wypinać *derrière*, wykonując *grand plié*, wiedziałam, w jakiej pozycji robić arabeski. Wiedziałam też, kiedy robię coś niewłaściwie, to zawsze wtedy chichotano. Nie przejmowałam się żadnymi chichotami, przeciwnie, traktowałam je jako bardzo praktyczne pouczenie. Nie żałowałam sił, bo wiedziałam, że jestem na właściwej drodze. Wszystko przebiegało nareszcie tak jak chciałam i żadnych więcej przeciwności losu nie przewidywałam.

Tymczasem wkrótce po otwarciu internatu w Czerwonej Aptece, rozdano nam ankiety personalne, w których trzeba było podać między innymi miejsce stałego zamieszkania. Moim miejscem stałego zamieszkania był oficjalnie dom dziecka w Kobylnicy. Po paru dniach wezwała mnie kierowniczką i powiedziała, że nie mam prawa do internatu, bo mieszkam w zasięgu Poznania, w domu dziecka, którego wychowankowie dojeżdżają codziennie pociągiem do poznańskich szkół. — Przecież mój dom dziecka się na to zgodził... — argumentowałam. — Ale nasze władze nie mogą się zgodzić, bo w ten sposób byłabyś przez państwo subsydiowana i w Kobylnicy i w internacie, czyli w dwóch miejscach naraz...

Pociemniało mi przed oczami na myśl, że miałabym wrócić do kobylnickiego sierocińca, nawet gdyby nie oznaczało to codziennego wstawania o piątej rano, półgodzinnego marszu do stacji w jesiennym i zimowym półmroku, pokonując deszcze i zadyмки w szczerym polu, tłuczenia się przez godzinę w zady-mionym, cuchnącym pociągu — tam i z powrotem. A gdzie lekcje baletu po szkole i wieczorne występy w operze, na które z nadzieją wyczekiwałam z tygodnia na tydzień? Przecież nie po to wyjechałam z Kalisza, żeby zdziczeć w ponurym sierocińcu i zmarnować najważniejsze lata w dziwacznej szkole instruktorów świetlicowych. — Moje wszystkie plany życiowe się w ten sposób wałają. Ja nie mogę żyć bez baletu i opery. Jeśli mam wrócić do Kobylnicy, to wolę już do Kalisza do babci — powiedziałam z przekonaniem. Był to błąd, bo za nic w świecie nie wróciłam do Kalisza z niczym, ale na kierowniczkę moje słowa zrobiły wrażenie. Po chwili zastanowienia przyznała, że właściwie z drugiej strony to mnie się internat bardziej należy niż innym i powiedziała, że zobaczy, czy się nie da umieścić mnie w jakiś mniej oficjalny sposób.

Jakiś czas spałam nieoficjalnie w przestronnej izolatce na strychu, a kiedy zaczęła się grypa i izolatka była potrzebna dla chorych, położono mnie w świetlicy na łóżku polowym, które się na dzień chowało. Kiedy wszyscy się już do tej mojej nieoficjalnej obecności przyzwyczaili i nabrała ona w ten sposób dostatecznej mocy również z urzędowego punktu widzenia, zestawiono troszeczkę ciaśniej łóżka i zamieszkałam w normalnej sypialni z siedmioma innymi dziewczynami z mojej klasy.

Nie mogłam jednak, nie będąc na oficjalnej liście, korzystać więcej ze stołówki. Wyżywienie stołówkowe kosztowało sto pięćdziesiąt złotych miesięcznie. Kobylnicki dom dziecka nie mógł za mnie tych pieniędzy zapłacić, bo oficjalnie pozostawałam na jego utrzymaniu w Kobylnicy za osiemset złotych rocznie wraz z ubraniem. Gotówką dawali mi tylko po dwadzieścia groszy

na uczniowskie bilety tramwajowe — po dwa przejazdy dziennie sześć razy w tygodniu, czyli dwa złote czterdzieści groszy na tydzień. Wstawałam wcześniej i chodziłam do szkoły pieszo, a za zaoszczędzone pieniądze kupowałam kisiel w proszku i gotowałam go sobie na kuchence gazowej, których miałyśmy kilka w internacie w specjalnym pomieszczeniu. Kisiel dobrze mi wypełniał żołądek i był bardzo zdrowy, a że występował w trzech smakach — truskawkowym, malinowym i żurawinowym — więc miałam nawet urozmaicenie. Problem był jednak w tym, że torebka kisielu kosztowała sześćdziesiąt groszy, czyli że co trzeci dzień wypadał bez kisielu. Oprócz kisielu, który miałam na obiad i kolację, zjadałam co rano talerz mlecznej zupy, którą koleżanki przynosiły mi na stół, gdy schodziłam wraz z nimi na śniadanie. Mlecznej zupy było rano w stołówce pod dostatkiem, bo mało komu smakowała i nalewano, ile kto chciał. Często też ktoś rezygnował z chleba z marmoladą. Można było dostać darmo także kawy zbożowej podbielonej mlekiem. Manewry takie nie były możliwe w czasie obiadu, gdy nawet zupa była dokładnie wyliczana, więc kiedy po szkole wszyscy biegli do stołówki, ja szłam na górę gotować kisiel, a w dni bezkisielowe przeczekiwałam najtrudniejszą godzinę w sypialni, starając się mieć jakąś interesującą książkę pod ręką. Czasem dostawałam kawałek kiełbasy od mojej sąsiadki Cesi, córki kolejarza spod Poznania, która dostawała ją regularnie z domu i trzymała w walizce starannie zawiniętą w gazetę.

Raz na miesiąc jechałam na niedzielę do domu dziecka — dostawałam w tym celu bilet kolejowy w obie strony. Zjadałam wtedy obiad, który mi nie smakował pomimo największego głodu i dostawałam z magazynu przydział mydła, pasty do zębów, grzebień, jeśli stary mi się wykruszył. Wszystko to starannie mi z konta odpisywano. Najbardziej potrzebna mi było ubranie na zimę, ale prawie wszystko co mieli było dla małych dzieci. Udało mi się tylko wybrać używaną szarą spódnicę i nowy, męski sweter, który rozciągnął mi się zaraz po pierwszym praniu i wyglądał okropnie. Musiałam też wziąć ciężkie, paskudne, chlapiące kamasze i w ten sposób mój limit został wyczerpany. Na palto — nawet gdyby udało mi się coś dobrać — już konta w tym roku nie miałam. Babcia przysłała mi mój szalik i rękawiczki oraz stare, czarne paletko z karakułowym kołnierzykiem — moim jedynym spadkiem po śmierci mamy. Mogłam się jeszcze wcisnąć w to paletko od biedy, bo na wadze mi nie przybywało, ale miało ono już beznadziejnie krótkie rękawy.



Uczono nas wszystkiego co było w programie normalnej

średniej szkoły, a do tego jeszcze dykcji, aktorstwa, reżyserii, poetyki, mimiki, rytmiki, tańca ludowego i recytacji, więc roboty mieliśmy za dwie szkoły. Na szczęście nauczycieli mieliśmy życzliwych i wyrozumiałych. Większość z nich pochodziła z pogranicza obu światów: normalnego i artystycznego. Matematyk był wiolonczelistą i studentem Wyższej Szkoły Muzycznej. Polonista — żołnierz Czarnieckiego — wciąż marzył o tym, żeby zostać aktorem. Śpiew mieliśmy naprawdę zaawansowany, bo nasz profesor prowadził chóry we wszystkich trzech szkołach muzycznych różnych stopni, a chóry były zawsze na wysokim poziomie w Poznaniu. Spoza świata sztuki był major, który miał z nami raz w tygodniu przysposobienie wojskowe, choć i on lubił mówić o „sztuce wojennej”, a zeszyty, w których notowaliśmy opis budowy karabinu i granatu, zabierał nam po każdej lekcji i zamykał w szafce ogniотrwałej na kłódkę jak największy sekret artystyczny. Z zupełnie nieartystycznego świata był nasz rudy dyrektor, który prowadził lekcje nauki o konstytucji i nazywaliśmy go „czerwonogłowym”. Major był poczciwym wojakiem, który robił co mu kazano i szedł do domu, ale dyrektor był jakiś paskudnik i mówiąc, a nawet milcząc, co chwilę się obliżywał. Nie miał nic wspólnego ani z klasą chłopską ani z robotniczą, ale wciąż o nich mówił i strasznie chciał się tym dwóm najzaszczytniejszym klasom przypodobać, co mu okropnie obleśnie wychodziło. Aktorem był złym beznadziejnie i bardzo niepewnie czuł się w swej partyjnej roli, więc trząsał się, żeby nie opuścić żadnego zebrania na dzielnicy i sen z powiek spędzały mu dylematy: co powinno, a co nie powinno być na takiej czy innej uroczystości recytowane. Na lekcjach o konstytucji strasznie fałszywie zgrzytał jego tchórzliwy, partyjny patriotyzm i nie wiedzieliśmy, w którą stronę patrzeć, unikając jego wzroku.

Mieliśmy w szkole kilkunasto-osobową organizację ZMP-owską, ale bez przewodniczącego, bo nikt nie chciał tracić czasu na te bzdury. Dla naszego czerwonogłowego dyrektora były to jednak bardzo ważne sprawy, więc zamiast powierzać je byle komu wolał raczej sam prowadzić ZMP-owskie zebrania i sam biegał w imieniu swej młodzieżowej organizacji na dzielnicę po instrukcje, oraz na odprawy aktywu. W końcu ktoś chyba zwrócił uwagę, że wśród aktywu młodzieżowego za bardzo razi jego łysiejący, rudy łeb i powiedziano, że musi przysłać jednak kogoś młodszego. Czerwonogłowy zwrócił się wówczas do mnie, bo wiedział, że ja, żyjąc na łasce internatu, nie mogłam mu niczego odmówić. Powiedziałam mu, że nie należę do ZMP. — To musisz się zapisać! — odpowiedział, obliżując się w obie strony. Nic nie odpowiedziałam. Dostałam listę członków z ich ankietami personalnymi i drukowane instruktarze z dzielnicy. Pisałam

protokoły z zebrań i sprawozdania. Czerwonogłowy był zadowolony, bo miałam ładne pismo i poprawny styl. Pisałam też, pod jego dyktando, ZMP-owskie opinie o osobach kończących szkołę, a raz na miesiąc chodziłam na odprawy przewodniczących i innego aktywu z wszystkich szkół dzielnicy, gdzie składałam ustne sprawozdania z działalności naszej organizacji, które były imponujące, bo w ramach praktyki szkolnej występowaliśmy ciągle na różnych akademiach w zakładach pracy, a nasz chór i recytacje były bezkonkurencyjne na niemrawej z natury państwowo-twórczej estradzie. W sprawozdaniach wszystko to szło jako „praca społeczna pod przewodnictwem ZMP”, więc sprawozdania nasze przyjmowano z wielkim uznaniem i stawiano nas za wzór innym szkołom, które żadnych szans przy nas nie miały. Czerwonogłowy był bardzo zadowolony i nadał mi oficjalnie funkcję „pełniącej obowiązki przewodniczącej”, nie pytając wcale, czy się wreszcie zapisałam do organizacji, której przewodniczyłam. Może nie przyszło mu do czerwonej głowy, że mogłam nie wykonać takiego polecenia. A może wiedział, ale udawał, że nie wie, bo się bał, żebym mu czasem nie powiedziała, dlaczego nie chcę do takiej organizacji należeć. Może bał się, żebym, przyciśnięta do muru, nie palnęła, że ja, w przeciwieństwie do niego, nie muszę o względy żadnej klasy robotniczej zabiegać, bo ja sama jestem klasą robotniczą. Podobnie jak moja babcia, byłam nieśmiała wobec ludzi, od których czułam się — podobnie jak ona przez całe życie — coraz bardziej uzależniona. Odziedziczyłam jednak po niej również instynktowny wstręt do chamstwa, zwłaszcza zorganizowanego i odrzucało mnie — całkiem apolitycznie — od wszelkiej formy bolszewizmu, od którego na odległość zorganizowanym chamstwem trąciło. Mogłabym się założyć, że czerwonogłowy — także instynktownie — wyczuwał takie rzeczy u ludzi, bał się tego i robił paniczne uniki.

Byłam bardzo dobrą uczennicą, a najbardziej się wyróżniałam w aktorstwie. Robiliśmy wiele etiud. Trzeba było samemu napisać krótką fabułę na paru stronicach, a potem zagrać, w razie potrzeby z partnerami. Moje etiudy były tragiczne i najczęściej na temat dzieciństwa. Biedne, głodne dziecko podchodzi do czyjegoś okna, widzi chleb, właściciel je odpycha, dziecko pada na bruk, podnosi się obolałe na duszy i ciele, odchodzi w swą beznadziejną samotność. Przedstawiałam też opuszczone dziecko, które zastyga samotnie na mrozie — temat w rodzaju dziewczynki z zapałkami. Pesymistyczne były również moje dorosłejsze dramaty: dziewczyna czeka na deszczu na swego kochanka, który się spóźnia, wreszcie widzi go, ale z inną, dziewczyna załamuje się. Moi koledzy zajmowali na ogół tak zwaną pozytywną postawę: idę ulicą, widzę starego znajomego, którego nie widzia-

łem od wielu lat. Zapalamy papierosa. Co słyhać, stary? Wszystko to samo. To dobrze. No, to dobrze. Cześć! Cześć! Lubili grać spotkania po pijanemu, albo inne przygody pijaków z potykaniami i przewracaniem się, na wesoło, czyli też pozytywnie. Tylko ja tkwiłam uparcie w epoce realizmu krytycznego i nic pozytywnego ani zabawnego mi nie przychodziło do głowy. Moje etiudy, które wymagały więcej aktorstwa, były najlepiej wykonane i jako aktorka byłam nie do pobicia. Przedmioty nieartystyczne również nie przedstawiały dla mnie większego problemu, a jeśli nie nadążałam z odrabianiem matematyki, to odwracałam wzrok od nauczyciela, a on przechodząc obok mojej ławki uśmiechał się i nigdy mnie wtedy nie pytał. Przed feriami zimowymi rozdano trzy nagrody za wyniki w nauce. Pierwsza nagroda wynosiła sześćset złotych, druga trzysta, a trzecia sto. Kierownik wręczył mi zalejoną kopertę z wypisanym na niej nazwiskiem kierowniczkii internatu i jeszcze dla upewnienia się dodał — Zanieś to do pani Holmowej.

Kierowniczka zabrała mnie do sklepu MHD-Odzież, gdzie wybrałyśmy najmniej brzydkie, rudawo-brązowe, reglanowe palto w ciężkim stylu, w którym zupełnie ginęłam. Kosztowało dokładnie sześćset złotych, więc nosiłam je głodna tak samo jak przedtem.

Najgorsze były ferie i wszelkie wielkie święta, gdy zostawałam sama w pustym internacie. Nie miałam wtedy nawet zupy mlecznej na śniadanie, bo stołówka była zamknięta, a smutek był jeszcze dokuczliwszy od głodu. Na wigilię zaprosiła mnie jedna z nielicznych w naszej szkole miejscowych dziewcząt, ładniutka z wdzięcznie zadartym noskiem i niewinnie rozchyłonymi ustami, zawsze w granatowym fartuszkku, którego w naszej szkole wcale nie wymagano, i w nienagannie białym kołnierzyku. Zupełnie nie wiadomo, po co ona chodziła do naszej szkoły. W każdą niedzielę i święto po kościele defilowała wraz z rodziną po ulicy Armii Czerwonej. W innych miastach na deptaki wylegała głównie młodzież, ale w Poznaniu szło się rodzinami, wszyscy wymyć i poubierani, żeby pokazać, kto jest dostatniej ubrany. W ich mieszkaniu nie brakowało żadnego solidnego mebla, a choinka obwieszona była najdroższymi bombkami. Na stole nie zabrakło ani jednej z dwunastu wigilijnych potraw, a wszystkiego nagotowano smacznie i dużo. Mówiono głównie o jedzeniu, a gdy ten temat się wyczerpał, to o pieniądzach i kto ile czego ma. Jako podarunki gwiazdkowe rozdano sobie nawzajem czapki, rękawiczki, szaliki, wymieniając uwagi o gatunku wełny i skóry i powrócono do omawiania, kto ile czego ma, przy czym pani domu kwitowała niektóre wypowiedzi lekceważącym machnięciem ręki, mówiąc: — Co oni tam mają, hołota i już!

Na mnie nikt nie zwracał uwagi, choć starałam się głośno podziwiać prezenty, które wszyscy prócz mnie podostawali. Chowałam też za każdym razem twarz, gdy padało słowo „hołota”. Marzyłam o tym, żeby jak najprędzej przystąpili do kolęd, ale oni kolęd nie śpiewali, tylko ustawili wielkie, pozłacane rosyjskie radio „Mir”, które kosztowało dwanaście tysięcy i słuchali co ono im grało. Oni byli zadowoleni z siebie, że zapraszając mnie na wigilię, spełnili chrześcijański dobry uczynek, który z pewnością zostanie im gdzieś policzony, a ja miałam ciężki żal do całego świata, że musiałam siedzieć przy stole wigilijnym z tak bardzo obcymi ludźmi, zamiast z jedyną bliską mi osobą, która dla nich była „hołota” i to tak biedną, że chyba sobie nawet nie umieli wyobrazić. Miałam też żal do siebie, bo było to moje pierwsze Boże Narodzenie bez babci od owego szwajcarskiego sanatorium po wojnie, a przecież wtedy, choć miałam tylko dziewięć lat, zrobiłam wszystko, żeby do niej ze Szwajcarii uciec.

Henryk GRYNBERG

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 299 — LESZEK KOŁAKOWSKI

GŁÓWNE NURTY MARKSIZMU

Powtanie — Rozwój — Rozkład

Tom III

Zawiera m.in. rozdziały: Pierwsza faza marksizmu sowieckiego. — Początki stalinizmu. — Spory teoretyczne w marksizmie sowieckim lat 20-tych. — Marksizm jako ideologia państwa sowieckiego. — Antonio Gramsci — rewizjonizm komunistyczny. — Georg Lukács — rozum na służbie dogmatu. — Lucien Goldmann. — Szkoła frankfurcka i teoria krytyczna. — Herbert Marcuse — marksizm jako utopia Nowej Lewicy. — Ernst Bloch — marksizm jako gnoza futurystyczna. — Rzut oka na przemiany marksizmu lat ostatnich.

Str. 536.

Cena F. 110,00.

Tom II-gi — zawierający 544 strony kosztuje F. 110,00.

Archiwum polityczne

Korespondencja z Rzymu

Pontyfikat widziany znad Tybru

Liczni obserwatorzy włoscy, zarówno katolicy jak i laicy, którzy przed podróżą papieża do Polski, napotykali na trudności w odczytaniu jego osobowości, po powrocie przyznają otwarcie: dopiero tam, w jego własnym środowisku, zaczęliśmy go naprawdę poznawać. „Sekret jego niezwyklej zdolności nawiązywania dialogu polega na tym, że budzi najpierw podziw i uznanie jako człowiek, dopiero potem jako kapłan i papież” — twierdzi wytrawny „watykanolog” o orientacji liberalnej, który mu towarzyszył w obydwu podróżach, w Meksyku i w Polsce. „Szkoda tylko — dodaje — że z Polakami nie sposób o nim swobodnie i bezstronnie rozmawiać. Wszyscy moi rozmówcy wpadali w euforię, nie było mowy o racjonalnej dyskusji”. W kategoriach czysto psychologicznych polskie emocje są zrozumiałe. Byłoby jednak poważnym błędem redukcjonowanie nowego pontyfikatu do wymiarów polskich, jak i lekceważenie skłonności włoskiej do racjonalizowania zjawisk religijnych i pewnej nieufności do papieża cudzoziemca. Szczególnie, że sam papież uznaje pozytywną funkcję krytycznego spojrzenia na jego pontyfikat. W rewelacyjnym tekście, zdjętym z taśmy nagranej w czasie przygodnych rozmów i improwizowanych konferencji prasowych na pokładzie samolotu w drodze do Meksyku i z powrotem, a opublikowanym w książce „Papież o ludzkim obliczu”*, Jan Paweł II mówi:

„Papież nie zaniedbuje żadnej okazji by zajmować się również tym co mówią i co piszą osoby i środowiska dalekie od Kościoła. Szanuje i wysłuchuje wszystkich opinii. W ciągu pierwszych miesięcy mego pontyfikatu czytałem codziennie — i będę nadal czytać — gazety o różnej tendencji, ale zwłaszcza gazety lewicowe. Śledzę je uważnie, ponieważ bardzo mnie interesują. Ci, którzy nam mówią: 'powinieneś się poprawić' są zawsze

* *Il Papa dal volto umano*, Edizioni Rizzoli, Milano, maj 1979.

bardziej interesujący. Czyż tak nie jest? Ciekawi mnie to co piszą o papieżu *Unità* i *Paese Sera* (organ partii komunistycznej i rzymska popołudniówka parakomunistyczna). A kiedy czytam artykuły krytyczne wobec mnie, byle by w dobrej wierze, przyjmuję chętnie tę krytykę, a nawet jestem nią niemal uradowany. Zdaję sobie bowiem sprawę z granic tego rozeznania, przywykłem do uprawiania samokrytyki przekonany w głębi, że jeśli się ją czyni uczciwie to lepiej spełnia się własne obowiązki”.

W miarę upływu czasu coraz wyraźniej rysuje się zamysł papieża, jego *great design* uczynienia z Kościoła Rzymskiego otwartego centrum promieniowania i mediacji. Od pamiętnej mowy inauguracyjnej pontyfikatu poprzez wystąpienie w Puebla, encyklikę „Odkupiciel Człowieka”, podróż do Polski aż do nadchodzącej podróży do Irlandii i USA, wyłania się swolna tendencja przeciwna wszelkiej tradycji teokratycznej, a zmierzająca do przewodnictwa duchowego. Starając się interpretować we właściwy sposób początek pontyfikatu trzeba powiedzieć, że nie ma sprzeczności między dążeniem do ekumenizmu i waloryzacji pluralizmu, a akcentowaniem obrony jedności w Kościele. Po to by bronić pluralizmu kulturalnego, autonomii Kościołów lokalnych i ich tradycji, trzeba najpierw jasno określić własną tożsamość i nie dopuszczać do jej zamazywania. O. B. Sorge, jezuita, dyr. pisma *Civiltà Cattolica*, odgrywającego rolę awangardową, w polemice z tymi, którzy zarzucali papieżowi dążenie do „restauracji doktrynalnej i dyscyplinarnej” twierdzi:

„... tylko Kościół naprawdę zwarty w swym życiu wewnętrznym, znajdujący w pluralizmie doświadczeń motyw jedności i wzajemnego wzbogacenia, a nie podziałów i konfliktów, może pretendować do promieniowania na zewnątrz”.

Uznaje on zbawienny wpływ jaki ten niekonwencjonalny papież wywrze na włoski Kościół, który nareszcie będzie mógł dojrzeć do samodzielności. To samo odnosi się do faktu przerwania związków jakie dotąd łączyły papieży i Stolicę Apostolską z włoskim światem politycznym (zwłaszcza z chadecją, której przywódcy rozgrywali cynicznie kartę przyjaźni z tą czy inną osobistością lub frakcją w Watykanie).

„Tyber stał się szerszy”, mówi się dziś w Rzymie, co oznacza przecięcie nici jakie dotychczas wiązały Kurię Rzymską z historycznie ukształtowaną włoską katolicką formacją polityczną. Jan Paweł II nie posiada, tak jak jego poprzednicy, żadnych bliskich mu osób we włoskim świecie politycznym i na pewno będzie się wystrzegał nastawionych nań pułapek (już takie próby były, ale spaliły na panewce). Wybitny kanonista, prof. A. C. Jemalo, uważa ten zwrot za rzecz zbawienną dla Włoch.

„Zbyt często w naszym kraju — pisze O. Sorge S.J. w świeżo wydanej książce — kamulowano politykę, uciekając się do wykorzystywania wiary dla celów politycznych i odwrotnie: posługiwano się polityką dla celów wyznaniowych. Trzeba ostatecznie zerwać z wszelkimi pozostałościami kle-

rykalizmu, uznając w praktyce — a nie tylko w teorii — autonomię i świeckość opeji politycznych”.

Proszę zwrócić uwagę kto to mówi: świątły jezuita, nie tak dawno jeszcze ceniony doradca Pawła VI. W tej samej książce, która narobiła tu dużo hałasu, autor stwierdza:

„Trzeba przewyciężyć w teorii i praktyce koncepcję stronnictwa katolickiego, która zakłada, że Chrześcijańska Demokracja stanowi naturalną polityczną projekcję Kościoła i przydziela jej zadanie reprezentowania i obrony interesów religijnych na płaszczyźnie politycznej w zamian za poparcie Kościoła w wyborach”.

Wybitny włoski jezuita prawidłowo odczytuje przełomowe znaczenie nowego pontyfikatu również dla Włoch rozpolitykowanych i chorujących na prowincjonalizm. Demokracja Chrześcijańska nie może dłużej liczyć na gwarancje kościelne dla swej dwuznacznej i oscylującej linii politycznej (między „kompromisem historycznym” z komunistami a wygrywaniem karty antykomunistycznej w wyborach). Skończyły się „dobre czasy”. Trzeba odtąd brać wyłącznie na siebie odpowiedzialność, a nie spychać ją lub próbować dzielić z Kościołem. Chadecki populistyczny integralizm — reprezentowany przez obecne kierownictwo — jest dziś przez różne środowiska katolickie, otwarte dla dialogu, które zroszły odmienną jakością jaką stanowi nowy pontyfikat poprzez ścisły rozdział między *sacro* i *profano*, co prowadzi do rozszerzenia obszaru wolności duchowej.

Papież nie zamierza być „więźniem Watykanu”. Komentując ogłoszoną ostatnią wiadomość o jego podróży do Irlandii i do USA, radio watykańskie podkreśliło, że ta nowa „podróż apostołska” — podobnie jak poprzednie do Meksyku i Polski — „stanowi świadectwo, którego świat współczesny bardzo potrzebuje, ponieważ człowiek osadzony i obłąamucony różnymi i sprzecznymi z sobą ideologiami, zgubił własną miarę i nie jest zdolny do odnalezienia siebie”. Także wierzący „zagrożeni ideologicznym i moralnym skażeniem środowiska w jakim żyją, są nieraz niepewni, zastraszeni i wahający się”.

Jan Paweł II otrzymał mnóstwo zaproszeń od episkopatów różnych krajów europejskich (m.in. Austrii, Francji, Niemiec, Hiszpanii) i poza-europejskich (m.in. Brazylii, Filipin, Senegal). Gdzie i kiedy pojedzie będzie uzależnione od różnych okoliczności związanych zarówno z jego kalendarzem zajęć i ogólnym planem strategicznym, jak i od odnośnych sytuacji lokalnych. Jak się wydaje najbardziej realne są projekty podróży na Kongres Misyjny w Manili, do Afryki i Brazylii. Nie można również zapomnieć o jego pragnieniu odbycia pielgrzymki do Ziemi Świętej i na Synaj co jest uwarunkowane większą stabilizacją na tym zapalnym obszarze.

Drogę do Nowego Jorku ma przetartą przez Pawła VI. W przeciwieństwie jednak do swego poprzednika, który zatrzymał się w październiku 1965 roku zaledwie kilka godzin, wyłącznie dla

wystąpienia na forum Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych, Jan Paweł II będzie przebywał w USA kilka dni na zaproszenie Konferencji Episkopalnej i prezydenta Cartera. Jakie miasta odwiedzi niewiadomo — program pobytu nie został bowiem dotąd ustalony. Oprócz Waszyngtonu wchodzi w rachubę, jak się zdaje Filadelfia i Chicago. Decyzja o wyprawie za ocean w tym roku zapadła po uwzględnieniu okoliczności, że w przyszłym roku rozpocznie się w USA kampania do wyborów prezydenckich i stąd jego podróż mogłaby wówczas mimowoli stać się ambarasująca. Jak sam przyznał, zdaje sobie sprawę z powszechnej dziś „tendencji upolityczniania wszystkich problemów, włącznie z religijnymi” i dlatego będzie starał się o układanie kalendarza swych podróży w wyważony sposób, zgodny ze szczególną odpowiedzialnością jaką przypisuje Kościołowi Powszechnemu.

Tymczasem czeka papieża podjęcie reorganizacji struktury wewnętrznej Kurii Rzymskiej, a zwłaszcza uporządkowanie sektora administracyjno-finansowego. Jak sam przyznał w przemówieniu do polskich pielgrzymów w maju br., nie poznał jeszcze swego „nowego domu od jednego kąta do drugiego”. Chcąc nie chcąc papież musi stać się również menadżerem. W sprawach gospodarczych w Watykanie panuje chaos. Niezależnie od tego że aż trzy dykasterie zajmują się finansami (Gubernatorstwo Miasta Watykanu, Prefektura dla spraw gospodarczych i Administracja majątku Stolicy Apostolskiej), szereg innych dykasterii dysponuje własnymi, wydzielonymi budżetami. Trzeba będzie w nie wglądać i wprowadzić porządek. Bilans ogólny Watykanu, po wydatkach nadzwyczajnych na dwa zeszłoroczne *conclave*, wykazuje poważny deficyt. Watykanolog włoski, autor ostatnio wydanej książki, opartej na ciekawych, wygrzebanych materiałach archiwalnych „Finanse i finansjerzy Watykanu od Piusa IX do Benedykta XV (pomiędzy XIX a XX wiekiem)” mówi: „współczuję papieżowi, przedłożono mu kilka różnych bilansów. Rozwikłanie tych zagmatwanych spraw wymaga czasu, niezwyklej cierpliwości i przede wszystkim dobrego wężchu”.

Jan Paweł II: „moje myśli, moja służba”*

W cytowanej uprzednio książce, dwaj przedsiębiorczy dziennikarze włoscy, po transkrypcji nagranych wypowiedzi papieża dokonali ich kompilacji. Papież przeczytał i poprawił tekst (9 stron druku), a Sekretariat Stanu udzielił pisemnej autoryzacji na druk. Książka, do której w przyszłości wypadnie nam powrócić, zawiera oprócz tego teksty włoskich intelektualistów duchownych i świeckich (również lewicowych), którzy wypowiedają się na temat osobowości papieża i oblicza nowego pontyfikatu. Kiedy prasa antycypowała pewne wyjątki rewelacyjnych wypowiedzi

dzi papieża, przeznaczonych do tej antologii o nowym pontyfikacie, pewien polityk Chrześcijańskiej Demokracji usiłował opóźnić „w sposób dyskretny” ukazanie się jej na półkach księgarskich przed 3 czerwca, datą wyborów do parlamentu. Minister oświaty, prof. Spadolini (członek laickiej partii republikańskiej), ujawniając ten epizod na łamach turyńskiej *La Stampa*, pisze, że kierownictwo chadeckie „doznało dreszczu przerażenia” na wiadomość o tym co zawiera ta książka.

Papież porusza różne problemy świata współczesnego, zwłaszcza gnębiące ludzkość plagi: terroryzm, przemoc, łamanie praw człowieka. Wzywa do podjęcia środków samoobrony przed nowymi formami przemocy, przed „uporczywą groźbą zastraszenia, we wszystkich bowiem częściach świata żyje się w warunkach stałego terroru lub niepokoju, nikt dziś nie czuje się spokojny i bezpieczny”. I przytacza przykład z własnego doświadczenia:

„Ja sam, papież, muszę być strzeżony i broniony przez licznych policjantów kiedy przejeżdżam ulicami Rzymu w celu wizytacji parafii. Mój Boże! Wszystko to jest nie do pojęcia. Trzeba znaleźć nowe metody, nowe sposoby postępowania dla ochrony nietykalności każdej jednostki, nie tylko papieża”.

Po tym wyznaniu pełnym ubolewania, wzywa do analizy przyczyn tkwiących u korzeni tej dramatycznej sytuacji:

„Trzeba postawić pytanie — mówi — czy szybki i bezładny postęp społeczny, który nie wyrównał dysproporcji pomiędzy klasami, nie wprowadził sprawiedliwego podziału pracy i dobrobytu i nie rozwiązał problemów ludzi ubogich, czy to wszystko nie spowodowało zniekształconej wizji życia, zbyt odległej od walorów moralnych i duchowych człowieka”.

Zastanawiając się nad problematyką pracy, papież stwierdza, że trzeba wyeliminować efekty pracy „ograniczającej i dławiącej osobowość ludzką” i wzywa do podjęcia „śmiałych przemian” w pracy na roli:

„...inaczej bowiem exodus ze wsi do miast nie ustanie, przyczyniając się do upowszechniania proletariatu... Nie jest rzeczą sprawiedliwą, ludzką i chrześcijańską, kontynuowanie niegodnych praktyk, w których przejawia się wyzysk człowieka przez człowieka”.

Osobny fragment wypowiedzi papieskich poświęcony jest zjawisku analfabetyzmu i semi-analfabetyzmu na świecie, którego „nie można ignorować”. Jan Paweł II mówi: „nie istnieje społeczeństwo naprawdę cywilizowane i postępowe, które może zaniedbywać problemy kultury”. Zaleca rozszerzenie wymiany umiejętności „poprzez poszukiwanie, nie zawsze łatwe, prawdy i dobra, najwyższych aspiracji racjonalnej egzystencji i podstaw solidnej struktury moralnej”.

Osobny rozdział tekstu wypowiedzi papieskich w książce „Papież o ludzkim obliczu” poświęcony jest pluralizmowi politycznemu. Pluralizm ten według papieża:

* W oryginale: *Il mio pensiero, il mio servizio*.

„... stanowi kwestię tak jasną, że nie może wywoływać wątpliwości i dwuznaczności. Każdy może i powinien korzystać ze swobody słowa zgodnie z własną orientacją i opcją jakiej dokonał. Pytacie mnie co sędzę o katolikach, aktywnie zaangażowanych w szeregach ugrupowań lewicowych, zwłaszcza komunistycznych. Odpowiadam: uważam ich oczywiście za katolików, są nimi wciąż, nie chcieli bowiem opuścić Kościoła, aczkolwiek nie zawsze można powiedzieć, że ich polityczna opcja jest zgodna z zasadami wiary i moralności”.

Watykańskie biuro prasowe sprostowało to sformułowanie, usuwając słowo „zawsze”. Na pytanie czy uznaje iż są w porządku katolicy politycznie zaangażowani opowiadający się za socjalizmem, odpowiedź jego brzmi:

„... należałoby przede wszystkim podjąć historyczne badania nad definicją i znaczeniem pojęcia 'socjalizm', na temat jego różnych wizji i wersji. Jeśli chodzi o wersję ateistyczną nie do pogodzenia z zasadami chrześcijańskiego światopoglądu, chrześcijańską wizją człowieka, jego praw i moralności, to sędzę, że taki socjalizm lub raczej 'rozwiązanie społeczne' jest nie do przyjęcia. Jeśli jednak znajdujemy się w obliczu wersji socjalizmu, która akceptuje religijny wymiar człowieka i gwarantuje go w Państwie? Wówczas trzeba najpierw zweryfikować te gwarancje poprzez fakty ponieważ można wiele na ten temat rozprawiać, wiele przyrzekać, a w praktyce rozwiewać rozbudzone nadzieje”.

Papież nie wyklucza więc, przeciwnie wykazuje postawę otwartą wobec socjalizmu demokratycznego, niekonfesjonalnego, nieideokratycznego czyli wobec socjaldemokracji panującej w Europie Zachodniej. Potwierdza to *nota-bene* bardzo znamienity fakt: w czasie trawającej przeszło godzinę rozmowy papieża z kanclerzem Helmutem Schmidtem, przywódcą SPD, poruszono m.in. następujące kwestie: współzarządzanie przedsiębiorstwami (*co-gestione*), tworzenie majątku na rzecz warstw społecznych niżej uposażonych i w tym kontekście rola związków zawodowych. Na tym nie koniec. Przedmiotem rozmowy były również perspektywy realizacji doktryny społecznej Kościoła na różnych kontynentach oraz problem „wspólnych, chrześcijańskich podstaw krajów europejskich i kultury chrześcijańskiej jako fundamentu społeczeństwa w całej Europie.

Prasa włoska na skutek dystrakcji, ale również i prasa międzynarodowa, nie doceniły znaczenia poruszonej w/w. tematyki. Kiedy zapytałem jednego z liderów włoskiej chadecji, co sędzi o kwestiach społecznych poruszonych w rozmowie papieża z kanclerzem Schmidtem, będących przecież apanażem ideologicznym ruchu chrześcijańsko-społecznego, obrzucił mnie gniewnym wzrokiem ale odpowiedzi nie potrafił znaleźć. Chadecja zachodnia, zwłaszcza włoska, w rzeczy samej, powołuje się czysto werbalnie na społeczną doktrynę Kościoła, nic bowiem w tej dziedzinie nie uczyniła. Socjaldemokracja europejska, natomiast, szczególnie SPD, bierze na serio i próbuje wprowadzić w życie te zasady doktryny społecznej Kościoła, które są styczne z socjaldemokratyczną, reformistyczną wizją życia zbiorowego, od dawna uwol-

nioną od marksistowskich reliktyw. Wśród tych zasad, znajdujących wyraz w konkretnych realizacjach, jest zasada sprawiedliwej repartycji dochodu społecznego i kontroli jego zużycia pod kątem celów społecznych. Ustawa Montan-Union w Republice Federalnej wprowadziła współzarządzanie w przemyśle stalowo-hutniczym. Mimo oporów ze strony części „padronatu” istnieją projekty rozszerzenia tego współzarządzenia na inne gałęzie przemysłu i gospodarki narodowej. Co się tyczy „tworzenia majątku na rzecz warstw niżej uposażonych” (w oryginale relacji watykańskiego biura prasowego: „mniej zamożnych”), państwo i zakłady pracy, poprzez system bodźców, uczestniczą w tej formie upowszechnienia dobrobytu. Dzięki temu „niżej uposażony” obywatel, ani się spostrzeże kiedy po zaledwie ośmiu latach pracy uzyskuje „majątek” w wysokości 10 tysięcy marek. Trzeba więc stwierdzić, że stronnictwo kanclerza Schmidta (przy częściowym poparciu CDU) wykazało że stara się o zastosowanie w praktyce wytycznych doktryny społecznej Kościoła. Zbliżenie pomiędzy Stolicą Apostolską a niemiecką partią socjaldemokratyczną stanowi *nota-bene* proces trwający od wielu lat. B. Sorge S.J., uprzednio już cytowany, ujawnia nieznaną fakt: po ogłoszeniu encykliki *Mater et Magistra* kierownictwo SPD wysłało list z podziękowaniem do Jana XXIII, wyrażając mu uznanie i zadowolenie.

Rozmowa Jana Pawła II z kanclerzem federalnym przekroczyła niewątpliwie zakres bilateralnych stosunków pomiędzy Stolicą Apostolską a RFN.

„Papież Wojtyła i kanclerz Schmidt — stwierdza *Corriere della Sera* — duże osobistości dominujące dziś na scenie europejskiej, pragnęli położyć podwaliny pod nowy układ europejski w okresie kiedy maleje prestiż dwóch super-mocarstw, USA, i ZSSR”.

Jan Paweł II potwierdza gotowość mediacji i popierania wszelkich pokojowych wysiłków i inicjatyw politycznych „w granicach możliwości Stolicy Apostolskiej”. Zachowanie pokoju stanowi „obowiązek papieża — czytamy w jego autoryzowanym tekście — jest to kwestia leżąca mu wciąż na sercu, którą podejmuje ilekroć nadarza się sposobność dialogu z osobistościami politycznymi, jak to uczynił w czasie spotkania z sowieckim ministrem spraw zagranicznych Andrejem Gromyko”.

Papież, który zgadza się na rozmawianie z dziennikarzami o podobnych kwestiach i upoważnia ich potem do publikacji jego opinii, jest papieżem innym niż dotychczasowi. Takiego papieża nad Tybrem dotąd nie widziano i nie słyszano.

Nie „Ostpolitik”, lecz „Ostmission”

Minęło niemal dziesięć miesięcy od inauguracji nowego pontyfikatu. Przymierzając ten krótki odstęp czasu do pontyfikatu Pawła VI widać wyraźnie, jak bardzo zmieniły się: styl, podejście

i metody w tzw. watykańskiej polityce wschodniej. Zniknęła tendencja nadawania priorytetu instytucjonalizacji stosunków z reżymami komunistycznymi. Zamiast często jednostronnych kontaktów dyplomatycznych z tymi reżymami, z czego odnośnie społeczeństwa nie odnosiły korzyści, nowy pontyfikat wprowadził mechanizm działania dwutorowego (zasada paralelizmu — tj. synchronizowane w czasie i koordynowane rokowania Kościoła-Państwo i Watykan-Państwo — była stosowana w ostatnich latach jedynie w Polsce, dzięki skutecznej presji na Watykan ze strony obydwu kardynałów). Koncepcja jednolitego traktowania przez Watykan całego bloku ustąpiła dziś na rzecz wyraźnego różnicowania sytuacji lokalnych. Papież stara się z jednej strony o do wartościowanie Kościołów we Wschodniej Europie (ich oryginalnego wkładu do Kościoła Powszechnego), z drugiej zaś o udzielenie pomocy odnośnym episkopatom w pokonaniu trudności wewnętrznych i wyprostowaniu przez nie kręgosłupa moralnego (np. tam gdzie były dotąd zastraszane i manipulowane jak na Węgrzech). Zwracając się do poszczególnych hierarchii papież zwraca się zarazem do odnośnych rządów. Porządek został więc odwrócony. Priorytetu nabrały bezpośrednie kontakty z hierarchią kościelną. Jeśli chodzi natomiast o regulowanie stosunków Kościół-Państwo, Jan Paweł II uwzględni rolę episkopatów i ich autonomię operatywną, ale w ramach „porządku hierarchicznego”, tzn. przy zachowaniu prymatu papieża i wspólnie z nim (*con Pietro e sotto Pietro*).

Refleksem podróży papieża do Polski jest niemal powszechne wzmocnienie jeśli nie pozycji, to przynajmniej głosu poszczególnych episkopatów i kleru. Nie można naturalnie spodziewać się szybkiej i radykalnej poprawy. Zrewidowana optyka wobec rzeczywistości panującej w bloku i nowe metody mogą dać rezultaty rozłożone na raty. Papieska „droga na Wschód”, o której papież mówił w Częstochowie, że przebiega przez Polskę, najeżona dotąd tyłoma trudnościami, stawia dziś większe wymagania pod adresem odnośnych rządów. Chodzi głównie o uznanie przez te rządy istotnych walorów religijnych i gwarancje dla misji pasterskiej. Chodzi jednak nie wyłącznie o rewindykację wolności religijnej w ścisłym znaczeniu, lecz podstawowych praw ludzkich i obywatelskich; w pierwszym rzędzie o położenie kresu dyskryminacji chrześcijan w dziedzinie pracy, informacji, kultury i prawa do niezależnego zrzeszania się. W sumie sędzę, że należy porzucić termin *Ostpolitik* jako nieadekwatny, a używać raczej termin *Ostmission*, bo o misję ewangelizacyjną i humanistyczną zarazem chodzi, a nie o politykę w tradycyjnym tego słowa znaczeniu.

Wynika to z przeglądu sytuacji w poszczególnych krajach bloku i w samym ZSSR. Oto w syntetycznym ujęciu najważniejsze zjawiska i fakty:

Bułgaria. 25 maja papież przyjął na wspólnej audiencji dwie delegacje: kościelną, składającą się z przedstawicieli Cerk-

wi prawosławnej (pod przewodnictwem metropolity Pankratija) i Kościoła katolickiego z biskupami Dobranowem i Dijoundriem (któremu sam udzielił sakry biskupiej dwa dni później); delegacja ta przybyła na doroczne obchody ku czci św. Cyryla i Metodego. Druga delegacja, rządowo-kulturalna, przybyła na otwarcie wystawy rękopisów watykańskich dotyczących dziejów Bułgarii. W wygłoszonym do obu delegacji przemówieniu papież podkreślił doniosłość historycznego faktu, że „Kościoły chrześcijańskie Wschodu i Zachodu sprzyjały i krzewiły w ciągu wieków miłość do własnej kultury i poszanowanie kultur obcych. Napawa dumą w tym kontekście — powiedział papież — że święci Cyryl i Metody pozostawili ludom słowiańskim dziedzictwo kulturalne, owoc ich wiary chrześcijańskiej”. Nadchodzące ostatnio informacje świadczą o ożywieniu religijnym i powolnej normalizacji położenia mniejszości katolickiej (zaledwie kilkadziesiąt tysięcy dusz).

Czechosłowacja. Papież przyjął już trzykrotnie kardynała praskiego Tomaska, który kończy na jesieni 80 lat. Sytuacja Kościoła nie uległa dotąd poprawie. Na 13 diecezji 8 wciąż jest pozbawionych biskupów rezydencjalnych. Represje w stosunku do działaczy katolickich nie ustały. Sygnatariusze „Karty 77” przesłali papieżowi list oznajmiający, że grupa chrześcijan (katolików i protestantów) zbierać się będzie w kościele w każdy pierwszy piątek miesiąca dla postu i modłów za osoby niesłusznie prześladowane na skutek przywiązania do własnej wiary i przekonań, jak również za praworządność, sprawiedliwość i wolność religijną. W innym dokumencie, jaki otrzymaliśmy tu czechosłowackie koła kościelne, katolicy czescy i słowaccy stwierdzają, że wizyta papieża w Polsce stanowi dla nich motyw nadziei; nie można jednak, według nich, tym czasem spodziewać się liberalizacji stosunków politycznych i społecznych w ich kraju. Wyrażają wdzięczność papieżowi za jego słowa na widok transparentu wzywającego do niezapominania, jaki grupa czeskich turystów wyciągnęła w Gnieźnie („jakże mógłbym o was zapomnieć!”). Pierwszym, choć skromnym, zwiastunem ewentualnej poprawy jest przybycie w lipcu do Rzymu grupy zakonnicy; interpretuje się ten fakt jako zapowiedź możliwości reaktywowania żeńskich zgromadzeń zakonnych. Jeśli chodzi o nominacje biskupów, to panuje przekonanie że papież uniknie błędnych decyzji wyznaczania osób „niegodnych”, takich jak np. cieszący się złą sławą bp Vrana z Ołomuńca, całkowicie podporządkowanych, a nawet wysługujących się reżymowi. „Raczej nic, niż bluff” — mówi dobrze zorientowany kapłan czeski. Tymczasem papież mianował nowego sekretarza generalnego Synodu biskupów na miejsce kardynała W. Rubina. Jest nim prałat Józef Tomko, Słowak, podniesiony równocześnie do godności arcybiskupiej. Był on dotąd podsekretarzem w Kongregacji dla Biskupów, ma bardzo dobre przygotowanie teologiczne, znany jest dobrze papieżowi, towarzyszył mu do Puebla. Nominację tę trzeba uznać

jako gest papieża wobec jednego z Kościołów „cierpiących” i „zapomnianych”.

Rumunia. Na 5 diecezji tylko jedna, Alba Julia (w Transylwanii) posiada ordynariusza w osobie 83-letniego bp. A. Martona. Na porządku dziennym jest kwestia obsady wakujących stolic biskupich. W połowie lipca abp L. Poggi (nuncjusz apostolski do specjalnych poruczeń) przebywał w Bukareszcie. Brak chwilo-wo danych na temat przebiegu rokowań — panuje jednak umiar-kowany optymizm. Pewien kapłan rumuński, niedawno przy-były tu z Mołdawii, opowiadał mi o niezwyklej ferworze religij-nym, o dużej liczbie powołań do stanu kapłańskiego i odnowio-nym życiu parafialnym przy licznych udziale młodzieży, co przy-pisuje wpływom polskich doświadczeń. „Zaraziliśmy się Polską” — mówi. Liczbę rzymskich katolików szacuje się na około 800 tys. osób. Kościół greko-katolicki działa w podziemiu; katoli-ków rytu bizantyjskiego było ok. 1,5 miliona w roku 1948, kiedy obrządek ten (pięć diecezji) zniesiono na podstawie ustawy pań-stwowej. Katolicy obrządku łacińskiego domagają się reakty-wowania i legalizacji Kościoła unickiego. W tej sprawie było szereg interwencji u naczelnych władz państwowych.

Węgry. W marcu papież mianował nowych biskupów: jed-nego ordynariusza i trzech sufraganów. Tym samym wypełnione zostały ostatnie luki w normalnym stanie hierarchii kościelnej. List papieża do episkopatu z marca został opublikowany w ca-łości przez tygodnik katolicki *Uj Ember*. Prosperuje normalnie diecezja dla katolików obrządku bizantyjskiego (ok. 300 tys. wier-nych) z ordynariuszem bp. Timko, Białorusinem urodzonym na Węgrzech. Jest to jedyna diecezja obrządku wschodniego legal-nie uznana w bloku sowieckim i związana ze Stolicą Apostolską. W maju odbyła się pielgrzymka, na którą przybyli również lute-ranie (liczba katolików na Węgrzech nie przekracza 65%), a na-wet ateści. Rząd zezwala na przyjazdy seminarzystów na studia do Rzymu (dotąd zezwalał jedynie kapłanom) i zezwolił na utwo-rzenie ośrodka rekolekcyjnego dla młodzieży, prowadzonego przez jezuitów mimo że zakon jezuitów, podobnie jak szereg innych zgromadzeń zakonnych, uległ rozwiązaniu na skutek ukazu rzą-dowego. Wśród wiernych i kleru panuje duże ożywienie. Bis-kupi, uprzednio zastraszeni i podszyjni nieraz oportunizmem, po-czuli się mocniej w siodle, zwłaszcza po wizycie prymasa Lekai'a i dwóch biskupów w Częstochowie, dokąd przybyli na zaprosze-nie polskiego episkopatu w czasie pobytu papieża. Za najwybit-niejszego członka episkopatu uchodzi abp Kadar, *nomen omen* (Laszlo jednak, nie Janos). Za największą bolączkę uważane jest zjawisko indyferentyzmu wśród dużej części młodzieży, nie-wierzącej w żaden autorytet. Klęska indoktrynacji komunistycz-nej niekoniecznie skłania młodzież do garnięcia się pod skrzydła Kościoła (chyba również dlatego, że wielu biskupów nie potra-fiło zjednać sobie zaufania).

Litwa. Wśród 15 kardynałów mianowanych na Konsystorzu w dn. 30 czerwca jeden proklamowany został przez papieża *in pectore*, co oznacza że jego nazwisko papież zachował w sekre-cie i zastrzegł sobie ujawnienie w stosownej chwili. Obserwato-rzy watykańscy uważają zgodnie, że jest nim bp Juliusz Stepa-novicus, administrator apostolski Wilna, od 18 lat *impedito* (pozbawiony prawa spełniania swych funkcji), przebywający na wygnaniu w Żagarach (na terenie archidiecezji kowieńskiej). Dają to poufnie do zrozumienia również źródła watykańskie, zwłasz-cza po wystąpieniu Sekretarza Stanu, kard. Casaroligo, który, zwracając się do papieża w czasie Konsystorza, powiedział: „... możemy sobie wyobrazić, że jego nazwisko (tj. kard. *in pec-tore*) odbije w sposób szczególnie znaczący oblicze Kościoła na-szych czasów, zarazem chwalebne i bolesne”. Wskazuje na to ponadto fakt, że natychmiast po swej elekcji w kaplicy Sykstyń-skiej, kiedy nakładał białe szaty, papież zdjął piuskę kardynalską i ofiarował ją w darze dla Wilna. Nie można jednak całkiem wy-kluczyć innej hipotezy, a mianowicie, że tym kardynałem jest biskup z Chin Ludowych; sugerowałby to fakt, iż nazajutrz po Konsystorzu, przemawiając w południe z okna swego aparta-mentu na *Angelus*, papież powiedział, że: „Kościół może istnieć nawet tam, gdzie według ludzkich praw, jest zakazany i skazany na śmierć” (oprócz Albanii, dotyczy to właśnie Chin Ludowych). Z Litwy napływają informacje o rozszerzaniu się ruchu oporu wśród wiernych i duchowieństwa. Świadczy o tym m.in. protest przeciwko ustawie z 1976 roku regulującej życie parafii, praktycznie nakładającej nieznosne restrykcje na administrację koś-cielną. Sygnatariusze tego listu, wysłanego do Najwyższego So-wietu i do władz lokalnych, domagają się odwołania tej ustawy. List podpisało 522 kapłanów i dwóch wysiedlonych biskupów (Ste-panovicus i Sladkevicius). Liczba ta stanowi ok. 2/3 całego du-chowieństwa, co dowodzi zwartości i odwagi cywilnej kleru. Do-tychczas różne protesty i dokumenty podpisywało najwyżej kil-kunastu kapłanów.

Wśród Litwinów na emigracji wielkie poruszenie wywołała nominacja młodego stosunkowo kapłana (42 lata), prałata Audry-sa Bačkisa na podsekretarza w Radzie d/s Publicznych Kościoła. Jest on synem *chargé d'affaires* Republiki Litewskiej w Waszyng-tonie (USA nie uznały jak wiadomo aneksji Litwy do ZSSR). Bačkis jest dobrze znany Litwinom w USA, wśród których pra-cował jako duszpasterz. Od roku 1973 pracował w Sekretariacie Stanu, zajmując się organizacjami międzynarodowymi. Jest do-brze znany i ceniony w emigracyjnym litewskim Kolegium św. Kazimierza w Rzymie. Po swej nominacji jako szef delegacji Stolicy Apostolskiej, przemawiał 22 lipca na konferencji ONZ w Genewie, zwołanej dla zorganizowania pomocy dla uchodźców z Wietnamu.

Ukraina. Papież przyjął 28 czerwca Walentyna Moroza, his-toryka ukraińskiego, zwolnionego w kwietniu br. z łagru razem

z czterema innymi dysydentami w drodze wymiany za dwóch szpiegów sowieckich, aresztowanych w USA. Przyjęcie Moroza stwarza ważny precedens. W czasie pontyfikatu Pawła VI byłoby to nie do pomyślenia — w Watykanie przeciwstawiano się jakimkolwiek kontaktom z dysydentami wydalonymi z ZSSR. Mało tego. Prefektura Domu Papieskiego stwarzała barierę nie do przebycia nawet dla dokumentów, na co skarżyli się nieraz jezuiti z „*Russia Cristiana*”. Nie ma znaczenia subtelna, pół-urzędowa interpretacja tego wydarzenia ze strony watykańskiego biura prasowego: „papież przyjął prof. Moroza nie jako dysydenta, lecz jako Ukrainca; wiadomo, że papieżowi leży bardzo na sercu Kościół Katolicki na Ukrainie i pragnie być poinformowany”. Moroz był przyjęty pomiędzy dwoma audiencjami: dla delegacji patriarchatu ekumenicznego w Konstantynopolu, pod przewodnictwem metropolity Melitona i dla R. J. Hawke'a, prezesa australijskich związków zawodowych (na co prasa nie zwróciła uwagi, a przecież Mr. Hawke był tym który podczas pobytu w Moskwie, po rozmowie z premierem Kosyginem antycypował wiadomość o mającej nastąpić wymianie dysydentów; jak się zdaje Mr. Hawke w rokowaniach o tę wymianę odegrał pewną rolę). Rozmowa trwała 35 minut i toczyła się po polsku, Moroz odmówił bowiem usług tłumacza rosyjskiego (Słazaka z Niemiec!) przysłanego przez Kongregację dla Kościołów Wschodnich („nie będę rozmawiać w języku okupanta” — powiedział Moroz). Tutejsi Ukraińcy, którzy nie kochają tej Kongregacji, podejrzewali, że przystanie tłumacza miało określony cel. Stosunki Ukraińców z tą Kongregacją są od dawna napięte. Kongregacja mianuje bowiem biskupów dla katolików ukraińskich w diasporze bez konsultowania kardynała Slipyja i i zaskakując go nieraz mianując osoby niecieszące się ani jego zaufaniem ani popularnością wśród wiernych. Otoczenie kardynała uważa, chyba słusznie, że zwykła grzeczność i szacunek dla niego wymagają przynajmniej konsultacji.

„Dwa razy zabrakło mi polskich słów — mówi Moroz — wtrąciłem je po ukraińsku, a papież zrozumiał. Moroz podziękował papieżowi za list do kard. Slipyja z okazji przygotowań do jubileuszu Tysiąclecia chrztu na Rusi-Ukrainie, za pamięć o „Kościółce katakumb” i za akcję humanitarną na rzecz „więźniów sumienia”. Poinformował papieża o sytuacji religijnej na Ukrainie, o zainteresowaniu młodzieży problematyką religijną i o rosnącym poparciu dla idei utworzenia patriarchatu ukraińskiego. Jego zdaniem sytuacja na Ukrainie dojrzała do jedności chrześcijan i akceptacji wspólnego patriarchatu dla prawosławnych i katolików (unitów). „Jako prawosławny — powiada Moroz — uznaję kard. Slipyja jako przywódcę duchowego i patriarchę”. Oczywiście b. więzień łagrów i bojownik o sprawę niepodległości Ukrainy upraszcza sprawę — idea wspólnego, ekumenicznego patriarchatu jest bardzo piękna, ale na razie utopijna. Czy prawosławni na Ukrainie, pozbawieni *nota-bene* autokefalii, a więc dyskryminowani w stosunku do prawosławnych Rosjan, byłiby gotowi

przejsć na katolicyzm obrządku wschodniego? Należy w to wątpić. Ciekawa jest jednak relacja Moroza na temat panującej tendencji ku jedności, w której element narodowy zdaje się górować nad elementem podziałów wyznaniowych.

Wizyta Moroza wywołała w Watykanie zamieszanie, co doprowadziło do odgrzania pewnych starych nawyków. O godz. 12-tej, jak zwykle, rozdano w biurze prasowym biuletyn z listą audyencji, na której figurował „il Prof. Valentyn Moroz”. Po niespełna godzinie powielono powtórnie pierwszą stronę biuletynu: nazwisko Moroza znikło! Biurokracja watykańska (Sekretariat Stanu?) uznała, że audiencja nie miała miejsca. Ani *Osservatore Romano*, ani Radio Vaticana nie podały jej do wiadomości. Czy przestraszono się konsekwencji dyplomatycznych, pamiętając o tym jak Moskwa zareagowała na spotkanie Cartera z Bukowskim? Czy wchodziły w grę inne rachuby? Jedno jest pewne: papież przyjął oficjalnie Moroza w wyżej podanych okolicznościach. Naza jutrz, na konferencji prasowej, Moroz, zapytany czy audiencja miała miejsce, pokazał urzędową fotografię dokumentującą to spotkanie i oświadczył filozoficznie: „tego co raz zdarzyło się nie można uznać za rzecz niebyłą”. Epizod ten nasuwa następujące pytanie: czy warto było stwarzać *casus* skoro wiadomość uprzednio rozpowszechniono? Agencje prasowe uznały skorygowaną wersję za watykańskie *giallo* (dosłownie: kryminalna powieść). Czy tego rodzaju ostrożna taktyka, ośmieszająca organy watykańskie, zgodna jest ze stylem papieża i jego podejściem do dialogu z reżymami komunistycznymi? Na pewno papież nie był zadowolony z obrotu, jaki przyjęła ta sprawa, aczkolwiek wolałaby chyba, żeby pewne publiczne wypowiedzi Moroza nie grzeszyły ultra-nacjonalizmem i powierzchownością (np. świat potrzebuje ayatollahów... Zachód powinien nauczyć się współżyć i prowadzić dialog z ayatollahami” — zupełna bzdura).

Ukraińscy katolicy w diasporze szykują się do 9-letniej nowenny (na modłę polską) przygotowującej jubileusz Tysiąclecia Chrztu na Rusi (988 r.). We wrześniu odbędą się w Rzymie uroczyste obchody rozpoczęcia tego jubileuszu przy udziale kilku tysięcy pielgrzymów. Papież został zaproszony w niedzielę 23 września. Początek uroczystości jubileuszowych połączony jest z 40-leciem sakry biskupiej kard. Slipyja, 50-leciem utworzenia Teologicznej Akademii Grekokatolickiej we Lwowie i 10-leciem poświęcenia przez Pawła VI bazyliki św. Sofii i budynku katolickiego uniwersytetu ukraińskiego w Rzymie.

Rosja — prawosławie. Równoległe ze swymi wystąpieniami i gestami na rzecz katolików ukraińskich, papież podejmuje starania o dialog z prawosławnymi. Dialog ten oparty jest na szczerym poszukiwaniu bezpośredniej styczności z zainteresowanymi, nie ograniczający się jak dotychczas do „odfajkowania” problemu na drodze urzędowych kontaktów. Dialog ten zmierza do „ustanowienia pełnej jedności” — jak oświadczył Jan Paweł II przyjmując delegację patriarchatu ekumenicznego z Konstanty-

nopola, uznanego, jak wiadomo, jako *primus inter pares* wśród patriarchatów prawosławnych na świecie. Zdaniem papieża, 15 lat jakie upłynęły od Soboru Watykańskiego Drugiego, rozprzeżyły „wzajemną ignorancję” i antyczne antagonizmy. Obecnie trzeba podjąć „dialog teologiczny dla pokonania trudności doktrynalnych i kanonicznych, które dotąd stanowią przeszkodę na drodze do pełnej jedności”. 19 maja papież przyjął na specjalnej audiencji studentów prawosławnych, stypendystów papieskich uniwersytetów rzymskich. Obok studentów z Grecji i Bliskiego Wschodu, byli wśród nich również studenci z Rosji, Rumunii i Bułgarii. „Zjednoczenie katolików i prawosławnych jest konieczne — powiedział papież — w dzisiejszym świecie potrzebującym prawdy i zgodności między słowem a czynem, bo inaczej zaprzeczamy w naszym życiu temu co głosimy”. Papież podkreślił, że nie zważając na brak jedności, istnieją duże możliwości współpracy pomiędzy Kościołem Rzymskim a Cerkwiami Prawosławnymi. Prosił swych słuchaczy aby zakomunikowali „ich biskupom i patriarchom”, że posiada „silną wolę współdziałania na drodze do pełnej jedności”.

Na placu przed bazyliką św. Piotra, w środowe audiencje generalne, pojawiła się raz i drugi grupa turystów ze Związku Socjalistycznego. Grupa ta, niezauważona, tonąca w mrowiu kilkadziesiąt tysięcy ludzi, nie brała udziału w powszechnym gwarze i w wiatach na cześć papieża. Wyłowili ją pielgrzymi ukraińscy z USA, ale o nawiązaniu kontaktu nie było mowy. Obecność tej grupy nie była uprzednio zgłoszona w Watykanie czy chociażby zasygnalizowana papieżowi. Gdyby papież o tym wiedział, na pewno zwróciłby się do nich (tak jak to czyni w stosunku do różnych grup pielgrzymów z całego świata) po rosyjsku z kilkoma słowami powitania. Być może do tego niedługo dojdzie. Turyści z Kraju Rad nie opuszczają jednak z niczym Wiecznego Miasta. Oprócz wrażenia z obejrzenia z bliska polskiego „rimskiego papę” zabierają ze sobą wydany tu po rosyjsku przewodnik po Rzymie z podobizną Jana Pawła II i fotografiami z inauguracji jego pontyfikatu.

Dominik MORAWSKI

Rzym, 30 lipca 1979 r.

Widziane z Brukseli

TRZECIA SCHIZMA

Nowe pismo ukazało się w Warszawie, jak się to eufemistycznie określa „poza zasięgiem cenzury”. Nazywa się *Respublika*.

Choć tylko jeden, ale za to długi, artykuł o geopolityce podpisany jest autentycznym nazwiskiem autora, niejakiego Stefana Kisielewskiego, cała reszta 146 stron *Respubliki*, prosty i czytelny styl oraz szybkość myślenia i wysnuwania wniosków, świadczą o pozostawaniu zespołu redakcyjnego pod wpływem niejakiego Kisiele. Jest to zjawisko bardzo pozytywne, jest to bowiem, jak mawiał pewien znajomy Kisiele, wpływ bardzo dobry, ale nie beznadziejny. Taka sama jest rzeczywistość o jakiej traktuje *Respublika*. Warto do niej wprowadzić pewną korektę. *Respublika*, czytamy we wstępniku, stawia sobie następujące skromne zadania:

„...myślenie o polityce jako zasadniczo różne od czynnego uprawiania polityki, oderwane od wszelkich bezpośrednich zaangażowań i związków z istniejącymi ugrupowaniami, rozważanie sytuacji i wartości polskiej kultury traktowanej jako całość, kultury zatem oficjalnej i nieoficjalnej, krajowej i emigracyjnej, utrzymywanie i rozwijanie jak najściślejszego związku z Europą, ze światem kultury chrześcijańskiej. Europa jest bowiem naszą większą ojczyzną, analizowanie rozmaitych ewentualności jakie przecież niewątpliwie istnieją nawet w naszej sytuacji geopolitycznej...”

Idea europejska, bo nią się dziś zajmujemy, ujawnia się ponadto w oddzielnym artykule pierwszego numeru *Respubliki*. Tytuł: „Europa i my” stanowi cały program. Autor poważnego opracowania podchodzi do Europy jako do określonego ideału, jako do normy:

„...która zakorzeniona w chrześcijaństwie, pomaga tworzyć i głosi naderżnięcie praw jednostki, jej wolności, umożliwia wrogość wobec skrajności, niewiarę w utopię powszechnej szczęśliwości. Europejskość leży w naszym interesie narodowym, powinniśmy więc utrzymywać z Europą możliwie ścisły związek i przede wszystkim nauczyć się mówić językiem europejskim... Czy teoretyczna niepodzielność Europy-normy znajdzie w przyszłości praktyczne potwierdzenie to już nie od nas zależy. Od nas jednak zależy czy do współobecności w takiej Europie będziemy przygotowani...”

Tyle *Respublika*. A co na to Europa? Kisiel użyłby tu swego ulubionego zwrotu o dziadzie i obrazie...

Poród czy poronienie

To prawda, że europejskość leży w interesie narodowym Polski, pytanie tylko czy Europa sądzi, że Polska leży w jej interesie... Prawda także, że powinniśmy utrzymywać z Europą jak najściślejsze związki, pytanie tylko czy Europa chce takie związki utrzymywać z nami... To prawda, że od nas zależy czy będziemy przygotowani do współobecności w Europie, pytanie tylko czy Europie na tej współobecności zależy... Prawda wreszcie że niepodzielność Europy to teoria, pytanie tylko czy jej podział to już nie praktyka...

Chwilowo Europa jest w Strasburgu. 10 czerwca odbyły się wybory do parlamentu europejskiego, 17 lipca pierwsze jego po-

siedzenie. Ci czytelnicy *Kultury*, którym udało się doczytać do końca najdłuższy artykuł jaki w życiu napisałem (czerwiec 1979) byli — wydawało mi się — do tego wydarzenia odpowiednio przygotowani. A jednak jeden z nich napisał do mnie z triumfem, że się (jak zwykle) wygłupiłem, albowiem frekwencja wyborcza wykazała, że Europejczycy mają Europę gdzieś i że był to już nie ciężki poród a zwyczajne poronienie. Korzystam z okazji aby odpowiedzieć na tę ginekologiczną interpretację historii: po pierwsze, o trudnościach porodu politycznego czyli skali wydarzenia, decyduje nie klinika a dopiero *post factum* historia, po drugie, porody natychmiast uznane za wielkie zachodzą wyłącznie przy pomocy akuszerki zwanej wojną i pożogą, po trzecie, wreszcie, frekwencja wyniosła w skali EWG ponad 63 %, co wcale nie jest najgorzej. Należy przecież wziąć pod uwagę najzupełniej ogłupiającą i sennie nudną kampanię przedwyborczą oraz fakt, iż 410 posłów do Strasburga okastrowano z najważniejszych atrybutów każdego suwerennego parlamentu: wyboru i kontroli rządu. Znam sporo ludzi, którzy nie poszli do urn nie dlatego, że byli przeciw Europie, a dlatego, że byli za nią. Dziwiłem się nie temu, że tak mało osób głosowało, a temu że było ich tak dużo.

Pierwsze posiedzenie zdawało się potwierdzać najgorsze obawy. Parlament europejski otarł się o karykaturę, sięgnął do najbardziej skompromitowanych wzorów zachodnioeuropejskiej partokracji. „To nie jest euro-parlament, powiedział pewien dystyngowany obserwator, to jest euro-burdel”. Przesada zapewne, ale jasne się od razu stało, że albo ów dziwny parlament znajdzie swoją własną i oryginalną rację bytu, albo stanie się śmieszoną i drogą dekoracją. Jasne się stało, że nie wystarczy europejski parlament, potrzebny jest jeszcze europejski mandat, że nie wystarczy wybór parlamentu przez ludy Europy, trzeba jeszcze żeby ów parlament chciał coś dla tych ludów zrobić.

Otóż, odpowiedź nie jest prosta. Wydaje się jednak, że jeżeli zgromadzenie w Strasburgu chce uniknąć zejścia do poziomu najwyższego sovietu czy sejmu PRL, to w oczekiwaniu na możliwość normalnej pracy i normalnych prerogatyw (to kwestia czasu — mówią optymiści) musi nadać sobie cechy ogromnej sceny politycznego myślenia i politycznego inspirowania. Działalność tego sejmu Europy powinna polegać więc na ustawicznym stawianiu oko w oko i twarzą w twarz rzeczywistości ludów Europy i polityki rządów Europy. Parlament europejski dysponuje ogromnym aparatem (1.500 urzędników) i poważnymi funduszami. Powinien zerwać z turystyką i folklorem, przekonać aparat wykonawczy EWG, że 410 posłów patrzy mu stale w oczy i na ręce. Parlament europejski nie powinien dać się sprowadzić do fasady i biurokracji, nie powinien zajmować się standaryzacją korków od butelek i składem chemicznym europejskiego majorozu (autentyczne), a powinien stać się sumieniem Europy.

Ba, ale jakiej Europy? — oto jest pytanie. Jak wynika z tego co się na razie w Strasburgu stało, i tu wracamy do *Respubliki*,

chodzi o Europę okrojona z jej wschodniej połowy. Kiedy tuż po wyborach pisałem komentarz i zastanawiałem się nad uderzającą dyskrecją Kremla wobec ważnego wszak wydarzenia jakim był wybór pierwszego zintegrowanego międzynarodowego parlamentu na świecie, doszedłem do smutnego wniosku, iż taki ubezwłasnowolniony parlament okrojonej Europy jest w istocie rzeczy Rosji na rękę: potwierdza bowiem rozłam Europy, jeszcze głębiej wbija słupy graniczne europejskiej demokracji na Łabie, odzwierciedla *real*-polityczny podział na bloki, inaczej mówiąc sankcjonuje sowiecką wersję *détente*, legalizuje prawo Kremla do dyktatu w jego strefie bezpieczeństwa.

Głasy na puszczy

Były, co prawda, próby przywrócenia hasła jedności, jako normy Europy. Na dobry pomysł wpadli włoscy socjaliści. P. Bettino Craxi, przewodniczący jednej z małych włoskich partii socjalistycznych, człowiek mądry i odważny zdobył się na rzecz, na jaką żadna inna partia, tzw. wielka, się nie odważyła, choć miały one po kilkadziesiąt miejsc w Strasburgu. Craxi wstawił mianowicie na swoją liczbowo skromną listę Jiří Pelikana, świeżo mianowanego Włochem byłego dyrektora praskiej telewizji z okresu Dubczeka. Pelikan jest zawodowym politykiem, ongiś był sekretarzem Światowej Federacji Studentów, potem działaczem kompartii, od inwazji jest faktycznym przywódcą lewicowej tendencji czechosłowackiej emigracji na Zachodzie.

Pelikan wyszedł triumfalnie z urny pod hasłem wykorzystania trybuny w Strasburgu do przypominania Europie Zachodniej o istnieniu jej Wschodniej połowy. „Po jedenastu latach milczenia, wiosna praska przemówi znowu pełnym głosem”, tak zaczynały się komentarze tych zachodnich gazet, które raczyły w ogóle wybór Pelikana zauważyć. Sam Pelikan, choć był to, według jego ziomeków, niezły dziennikarz, też nie znalazł właściwego języka i z patosem powtarzał przekonanie o swej misji kontynuowania boju o demokrację zgodnie z duchem „wiosny praskiej”. Polegać by to miało, według Pelikana, na czerpaniu z podwójnej tradycji chrześcijaństwa z jednej strony i demokratycznego socjalizmu z drugiej. Choć nie przypominam sobie aby były to akurat dwa główne nurty okresu Dubczeka. Pelikan odniósł pewien sukces. Nie powiodła się co prawda próba powołania europejsko-parlamentarnej komisji do spraw Helsinek (parlament w Strasburgu to nie Kongres USA), udało mu się jednak przeprowadzić jednomyślnie (wraz z komunistami) uchwalenie rezolucji wzywającej rząd Husaka do uwolnienia działaczy Karty 77. Obecność Czecho-Włocha, który w artykule napisanym dla brukselskiego *Le Soir* przedstawił się jako ten, kto umie cenić wolność, bo wie co to jest jej brak, może więc mieć pewne znaczenie dla rozszerzenia horyzontów posłów pół-europejskich, pod warunkiem oczywiście, że Pelikan odbrzązowi swój wykład

i przestanie proponować „wiosną praską” jako model do naśladowania przez Zachód.

Inną próbą wprowadzenia szerszych wymiarów w strasburską Europę była inicjatywa nie przesadnie reprezentatywnego lobby jaką jest tzw. „grupa paryska”, złożona z kilkudziesięciu osób pochodzenia wschodnioeuropejskiego. Złożyła ona w Strasburgu dobrze zredagowany, ale mało realistyczny *aide-mémoire* (np. naiwne żądanie wstrzymanie kredytów), przypominający o istnieniu innej połowy Europy. *Aide-mémoire* nie wywołał większego echa, choć zawierał sporo słusznych myśli, np. na temat europejskiego paszportu, który byłby dostępny także dla uchodźców wschodnioeuropejskich. Dyskusja nad takim paszportem trwa już od 5 lat i rozbija się o kolor okładki i język w jakim byłyby ujawnione „wiek, płeć i cechy szczególne — brak”.

Wszystkie te pomysły są oczywiście kroplą w morzu, tym mniejszą, że nikt ich w Strasburgu nie potraktował poważnie.

Samokaleczenie

Zachód nie zdaje sobie sprawę z konsekwencji samoamputacji. Zachód tak postępuje jakby chciał przez odrzucenie wschodniej swojej połowy, zmienić nazwę kontynentu, pozbyć się historii, wymazać swą odpowiedzialność za wszystkie zbrodnie jakie ten kontynent (cały!) popełnił w ciągu dwudziestu wieków. Kto z europejskich pomazańców czytał takie podstawowe dla europejskiej myśli artykuły jak Efima Etkinda o jedności kultury wschodu i zachodu czy Michała Hellera o języku sowieckim, albo artykuł Pierre Emmanuel'a o europejskim rozłamie w *Le Figaro*? A jeżeli ktoś czytał, to kto się nimi przejął? Nikt chyba, bo żadna z tych myśli nie znalazła echa w inauguracyjnych przemówieniach w Pałacu Europy w Strasburgu.

A tymczasem chodzi o prawdziwą schizmę, taką przy której błędna obie poprzednie, i ta zachodnia co trwała tylko 39 lat choć dała w pewnej chwili trzech papieży i ta wschodnia, która co prawda trwa już 950 lat, ale zdobyła się jednak na samozłagodzenie, kiedy w roku 1965 papież Paweł VI i patriarcha Atanagorski znieśli klątwy, jakie na siebie wzajemnie rzucili ich poprzednicy w roku 1054.

Trzecia schizma poczęta została sojuszem Hitlera i Stalina oraz rozbiorem Polski w 1939 roku, ochrzona w Jąćcie i zarejestrowana milczeniem Strasburga. Na nic więc nie zdało się pisanie Miłosza czy Orwella, Zachód ciągle ma „Myśl zniewoloną” i kroczy w rok „1984”, zapominając czy nie chcąc pamiętać, że Lenin-grad jest tak samo europejski jak Paryż, Praga jak Rzym, a Warszawa, jak nie przymierzając, Bruksela.

Organizm Europy, tak jak organizm ludzki, może przeżyć tylko niektóre amputacje i okaleczenia. Odcięcie połowy kontynentu z 400 milionami Europejczyków, ich kulturą i historią, może okazać się zabójcze. Keynes mawiał, że na dłuższą metę

wszyscy jesteśmy martwi. Dłuższa meta Europy może jednak być bardzo krótka. Jeżeli nie ma muzyki europejskiej bez Szopena, Czajkowskiego i Liszta, nie ma poezji bez Mickiewicza czy Puszkina, nie ma teatru bez Brechta i Czechowa, nie ma malarstwa bez Chagalla i Kandinskiego, nie ma literatury bez Dostojewskiego, Tołstoja czy Gombrowicza (brakuje nazwiska można wstawiać bez ograniczeń...), jeżeli, powtarzam, nie ma europejskiej kultury bez kultury Europy Wschodniej, to nie należy sądzić, że Europa Zachodnia może długo oddychać swobodnie bez włączenia we wspólne płuca krwioobiegu wschodnioeuropejskiego. Europa Zachodnia może egzystować politycznie i gospodarczo bez Europy Wschodniej, ale nie będzie to życie a wegetacja, skazana na kulturalną anemię i atrofie. Na zakończenie swego krzyku pt. „My także jesteśmy Europą”, Etkind zacytował zdanie Thomasa Stearns Eliota. „Możemy — mówił Eliot — wyznawać poglądy polityczne całkowicie różne, jesteśmy jednak współodpowiedzialni za ratowanie naszej wspólnej kultury, za jej przetrwanie na przekór wszystkim presjom politycznym...”.

Sieroty po Helsinkach

Eliot, pisarz angielski pochodzenia amerykańskiego, nieco zapomniany Nobel z roku 1948, nie wiedział nawet jak bardzo jest zapomniany. 15 lat po jego śmierci (1965 r.) Europa Zachodnia dokłada wszelkich starań aby udowodnić, że nie poczuwa się do żadnej współodpowiedzialności za żadną wspólną kulturę, która w coraz większym stopniu pada pod ciśnieniem politycznych presji.

Piszę ten artykuł w dniu 4 rocznicy zawarcia tzw. aktu końcowego w Helsinkach. *Prawda* po swojemu uczciła ten dzień. W dokumencie z Helsinek dopatrzyła się tylko „zasad regulujących wzajemne stosunki między rządami, „natomiast wszelką inną lekturę przypisać należy „czarnym siłom reakcji i wojny, które w znacznym stopniu wstrzymały realizację aktu końcowego, poprzez fałszywą interpretację i wyrwanie zdań z kontekstu w celu ingerowania w wewnętrzne sprawy innych rządów”. Wice-minister spraw zagranicznych Anatol Kuzniecowa bardzo się był oburzył na niektórych dziennikarzy zachodnich za „wyrwanie z kontekstu” i powiedział, że „zasada poszanowania praw człowieka nie powinna być stawiana wyżej niż inne zasady aktu końcowego z Helsinek”. Pan Kuzniecowa ma rację, z małą poprawką: prawa człowieka nie powinno być stawiane ani wyżej, ani niżej. A tymczasem władze sowieckie postawiły te prawa nie tylko niżej innych zasad z Helsinek, ale właściwie nie postawiły ich nigdzie, po prostu wyrzuciły. To one więc a nie ci co „wyrwiają z kontekstu” złamały delikatną równowagę aktu naprawczego z Helsinek. W *Kulturze*, bez narażania się na śmieszność, nie należy spisywać długiego remanentu z Helsinek. Spójrzmy więc tylko w skrócie.

SALT II i pocałunki na szczycie, negocjacje w Wiedniu, bez nadziejnie rozpaczliwe ale nie zerwane, ponad 50 miliardów zachodnich kredytów, dziesiątki milionów ton zboża zasianych w Kazachstanie a zebranych w Arizonie, technologia dla przemysłu, hotele, lotniska, komputery na Olimpiadę, ten skromny wypis z inwentarza świadczy, że Zachód spełnia w zasadzie postulaty zawarte w pierwszych dwóch „koszykach” aktu z Helsinek, dotyczących bezpieczeństwa i współpracy międzynarodowej.

Jeżeli natomiast chodzi o koszyk nr 3, dotyczący praw człowieka, to z przeproszeniem pana wiceministra, sytuacja jest nieco odmienna. Oto równie pobieżny wyciąg. ZSSR: seria procesów moskiewskich, 321 osób aresztowanych w ciągu 4 lat od Helsinek za działalność w obronie praw człowieka. NRD: ustawy z zimnej wojny, zakaz udzielania wywiadów dziennikarzom zachodnim, udzielenie informacji uznanej przez policję za „szkodliwą” kosztuje od 3 do 10 lat więzienia, Heym i Havemann przed sądem. Czechosłowacja: największa obława od czasu Stalina, największy proces od czasu Slansky'ego, Karta 77, inaczej mówiąc, kilkanaście paragrafów z Helsinek w stanie oskarżenia. Rumunia: największy gułag na wschodzie, według pisarza Gomy „najgorsza okupacja jest w Rumunii: przez Rumunów”. PRL: Bartoszewski, Barańczak, Micewski, Woźniakowski, nie mówiąc o innych, pozbawieni paszportów w ramach swobodnego przepływu itd. zapewne...

Dwa wnioski nasuwają się z rocznicowych rozważań. Oba powinny być poważnie rozpatrzone przez zgromadzenie zwane parlamentem, zwanym europejskim.

Na eksport

Po pierwsze, wszystkie kroki jakie rządy Europy Wschodniej podjęły w zakresie praw człowieka zrodziły się nie z nagłego olśnienia i nagłej potrzeby czynienia dobrego i zejścia miłości bliźniego na Kreml a z oczywistej presji Zachodu. Parlament europejski, jeżeli chce uniknąć w przyszłości oskarżenia o udział w samouduszeniu się Europy, albo jeszcze gorzej — narażenia się na śmieszność, powinien wysnuć na swój użytek wnioski z faktu, że to w imię ugłaskania parlamentu amerykańskiego w obliczu debaty ratyfikacyjnej nad SALT i nad zawieszeniem poprawki Jacksona (ulgi celne i kredytowe) Kreml „wymienił” Ginzburga, Kuzniecowa i innych z procesu leningradzkiego oraz wypuszcza rekordowe ilości swych Żydów. Bałkański stalinek Ceausescu wypuszcza z kolei swoich Żydów też tylko w obawie, że mu kongres USA zawiesi klauzulę największego uprzewilejowania i kredyty. PRL sądzi, że może bezkarnie lekceważyć zaproszenia amerykańskie dla polskich intelektualistów, a równocześnie wnosić o nowe setki milionów dolarów na zakup zboża, ale PRL może się mylić. Wszystko jest na eksport, jak o tym świadczy fakt, że emigracja żydowska bije rekordy, ale kam-

pania antysemicka też. „Artysta”-malarz nazwiskiem Sawicki wystawił publicznie w Mińsku gustowne dzieło pod tytułem „Teatr letni”. Widać na nim stos nagich trupów (w domyśle — sowieckich) w obozie koncentracyjnym, którym przyglądają się radośnie uśmiechnięci SS-man i żydowski „kapo” w pasiaku z tarczą Dawida na piersi.

Wniosek jest więc jasny: można zmusić Wschód do poszanowania niektórych choćby praw człowieka albo siłą albo dolarami. Parlament europejski nie jest amerykańskim kongresem, ale nie powinien rezygnować *a priori* z możliwości działania w tej dziedzinie. Jedną z pierwszych jego decyzji było zawieszenie pomocy dla Wietnamu winnego zbrodniczego eksportu uchodźców. W Europie jest kilka, *toute proportion gardée*, Wietnamów, Europa nie powinna się temu beczynnie przyglądać!

Kilka pytań

Bezczynnie? To nieprawda! Europa nie jest, *hélas*, beczynna, Nie wspominajmy nawet, z powodu zażenowania, o ministrach i *bussinesman*'ach, stojących w ogonku do Kremla aby pielęgnować *real-polityczny* i azjatycki model *détente*. Jest to temat oddzielny, choć oczywiście mało zabawny jest widok francuskiego ministra ogłaszającego poważnie, że osiągnął porozumienie z rządem PRL i NRD co do prowadzenia stałych konsultacji w przygotowaniach do konferencji w Madrycie (Helsinki nr 2). Było to tak komiczne, że prasa polska i nrd-owska nawet o tym nie wspomniały. To samo dotyczy obłędnego wyścigu zachodnich przemysłowców zlatujących do Moskwy aby zająć tam natychmiast miejsce opróżnione (prowizorycznie, jak się okazało), przez USA w przetargu na dostawę komputera dla TASS'a (Rosjanie w końcu kupili i u jednych i u drugich, zawsze się przyda).

No, ale to także temat oddzielny.

Dziś interesuje nas natomiast zachowanie się osobistości i kół niezależnych i od pieniędzy i od dyplomacji, tzw. intelektualistów i tzw. działaczy. Chciałbym w tym miejscu zadać kilka pytań tzw. retorycznych.

W imię jakiej *détente* delegacja zachodnich partii socjalistycznych odwiedzają „na zaproszenie KC”... stolice państw komunistycznych, podpisują różowe komunikaty, nie wspominając ani słowem o tym, że w miejscowych kazamatkach niszczejają ludzie winni wyznawania takich samych socjalistycznych poglądów? Czyżby „między dwoma śliwowicami” nie było czasu na taki dialog? Dlaczego komunikat o pobycie w Warszawie delegacji belgijskich chrześcijańskich syndykatów nie wspomina w ogóle o tym, że inicjatorzy wolnych związków zawodowych idą w PRL do ciupy? W imię jakiej wspólnoty ojcowie miasta Brukseli wybrali akurat Moskwę na pierwsze sfraternizowane miasto spoza EWG? Gdzie była europejska kultura w czasie zebrania pisarzy-banitów ze wschodu, zorganizowanego w Monachium, na które

nie przybyli koledzy z wolnych krajów? O jakiej Europie myślała francuska Akademia Nauk wybierając na członka zagranicznego prof. Wiktora Ambarcumiana, astronoma ormiańsko-sowieckiego, który przyczynił się do aresztowania swego kolegi, też członka Akademii ormiańskiej? Członek ów nazywa się Jurij Orłow i był przewodniczącym moskiewskiej grupy „Helsinki”. Jakiej Europy chce dla nas Komitet Wykonawczy Światowej Federacji Psychiatrycznej, który zebrał się na posiedzenie w... Moskwie i nie zdołał, między dwoma toastami, spytać o zdrowie dr. Simiona Gluzmana, sowieckiego kolegi zesłanego na 10 lat do gułagu za ujawnienie wykorzystywania przez KGB psychiatrii do niszczenia dydydentów?

O jedność jakiej kultury chodzi organizatorom wystawy Moskwa-Paryż, którzy ocenili katalog zgodnie z wytycznymi Moskwy (katalog wydany i zapłacony przez Francuzów? Co zyskała kultura europejska przez wyeliminowanie z tekstu przeznaczonego dla widza we Francji — gdzie jeszcze nie wysyłają dysydentów do gułagu — wszelkiej wzmianki o aresztowaniu Malewicza, zamordowaniu Meyerholda, samobójstwa Majakowskiego i okoliczności śmierci Mandelsztama? A przecież wszystko to działo się przed dziesiętkami lat. Co będzie przy „katalogach” bardziej współczesnych? Co o tym pomyśli człowiek, który w Moskwie ryzykuje wolność w obronie europejskiej kultury, i nie może o tym dyskutować na eleganckich koktajlach w paryskich salonach? W imię jakiej wolności władze francuskie odmówiły sali w gmachu Beaubourg, gdzie mieści się wystawa, na zorganizowanie kolokwium, które miało te „pominęcia” sprostować i nieco oczyścić gnilną atmosferę?

No i w końcu — bo to wyliczanie już za długo trwa i może być nużące — co należy pomyśleć o powołaniu „Stałego Trybunału Ludów”, mającego kontynuować działalność osławionego Trybunału Russella, który, jak pamiętamy, dojrzał zbrodnie przeciwko ludzkości jedynie w Wietnamie południowym (kiedy jeszcze istniał), w Ameryce łańciskiej i w... RFN. „Stały Trybunał Ludów” składający się z 57 poważnych osobistości ze świata, a jakże intelektualnego (jest nawet jeden Nobel z USA), któremu przewodniczy bardzo postępowy profesor prawa z Belgii, postanowił zając się 9 (słownie dziewięcioma) zasadniczymi sprawami z zakresu gwałtu na prawach ludzi i ludów. Są to: Filipiny, Timor, Korea (wyłącznie) południowa, Palestyna (naturalnie) okupowana, Erytrea, zachodnia Sahara, Gwinea, Argentyna i Ameryka centralna.

To bardzo dobrze. Jak jednak wytłumaczyć fakt, że ten stały trybunał nie był w stanie znaleźć jakiejś drobnej ale nie mniej stałej sprawy gwałcenia praw ludu i człowieka nieco bliżej i ich i nas? Pewien mój i wasz, dobry znajomy z Warszawy twierdzi, że słabość Zachodu nie wynika wcale z potęgi Sowietów, a wynika z jego własnego zachodniego zaślepienia, zeszmaczenia i obojętności.

Muszę w tym miejscu dokonać małej poprawki. Francuzi od-

dali właśnie organizatorom Olimpiady w Moskwie ultranowoczesny hotel. Nazywa się oczywiście „Kosmos”. Tysiące pokoi, najbardziej wysublimowane urządzenia. Francuscy konstruktorzy oprowadzali gości i z dumą opowiadali, że urządzenia elektroniczne zainstalowane w „Kosmosie” pozwalają dyrekcji hotelu śledzić, dzięki specjalnym kluczom, każdy krok gości. To jest prawdziwy postęp!

Na liście zachodnich słabości należy wobec tego do ślepoty, zeszmaczenia i obojętności dopisać jeszcze głupotę. Kosmiczną...

BRUKSELczyk

Pisane 1 sierpnia 1979.

ZAPRENUMERUJ **“AN EKS”** do ocenzurowanej prasy
POLITYCZNY KWARTALNIK **A N E K S**
w Polsce

W nr. 21 m.in. Wywiad z *Raymondem Aronem*; *St. Gomulka*: Sytuacja gospodarcza Polski; *JĘZYK TOTALITARNY*: *A. Wat*: Semantyka języka stalinowskiego; *J. Etkind*: Polityka i prawda; *K. Mueller*: Komunikacja sterowana; *L. Bod*: Język i polityka; *I. Grudzińska-Gross*: Świat zaaresztowanych słów; *T. Strzyżewski*: Zamiast postowia do „Czarnej Księgi Cenzury PRL”; „WSPÓLZADZIC CZY NIE KLAMAC” — o książce *A. Micewskiego*: *L. Dembiński*, *A. Pospieszalski*.

Uprzednio w nr. 20: *L. Kotakowski*: Jak być konserwatywno-liberalnym socjalistą; *L. Dembiński*: Prawo i władza; *J. Szadek*: Rok 1968 — dziesięć lat później; *K. Dorosz*: Wędrowki ziemią Ulro; UWAGI O SYTUACJI GOSPODARCZEJ KRAJU ze wstępem *E. Lipińskiego*, komentarzami *W. Brusa*, *J. Drewnowskiego*, *St. Gomulki* oraz dyskusją w niezależnej prasie krajowej z udziałem *W. Niedbala*, *K. Ostańca*, *A. Skrzętnego* oraz prof. *Karola S.*

ROZNIENIE 4 numery — \$ 15; F.fr. 50, w Wielkiej Brytanii — £ 6.

ZAMÓWIENIA wraz z wpłatą należy przysyłać na adres:

A N E K S, 61 DORSET ROAD, LONDON W5 4HX ENGLAND.

Radio Wolna Europa - Radio Swoboda

Wstęp do likwidacji

Prawie rok temu, w październiku 1978 roku w *Kulturze* ukazał się mój artykuł pt. „Polityka Kierownictwa Radia Swoboda”. W artykule tym pisałem m.in.:

„Jednym słowem okres ostatnich kilku lat to okres nieporozumień, kryzysów i bałaganu, zwłaszcza w sferach amerykańskich. Oto typowy przykład: po połączeniu (chodziło tu o połączenie radia Swoboda i Radia Wolna Europa w końcu 1976 r.) powstał w Waszyngtonie projekt przeniesienia całego zespołu monachijskiego do Stanów Zjednoczonych, co rzekomo miało ułatwić dalsze oszczędności. Główną przyczyną wysunięcia tego planu jest to, że wartość dolara amerykańskiego ciągle spada, trzeba więc uchylać dodatkowe budżety na wydatki radia w Niemczech, a że procedura tego budżetowania jest niesłychanie skomplikowana, powstają z tego powodu wielkie trudności. Przeniesienie radia do Waszyngtonu groziło odcięciem się od źródeł i stratą pewnej ilości pracowników — tych którzy nie mieliby zamiaru przenosić się do Ameryki. Byłoby to — z wielu względów — posunięciem fatalnym. Po pewnym czasie udało się przekonać odpowiednie władze, że tego robić nie należy i inicjatywa ta, zdawało się, umarła naturalną śmiercią.

Ale na początku bieżącego roku wznowiono badania, mające wykazać czy przeniesienie takie byłoby celowe i sprawa toczy się dalej. Wszystkie te kryzysy finansowe i zmiany personalne, wykonane czy zamierzone, walki o wpływy w kierownictwie amerykańskim, ograniczenia i redukcje stwarzają w domu radiowym w Monachium atmosferę niepewności czy nawet strachu”, itd.

Otóż — cóż się zmieniło od tego czasu? Czy sytuacja poprawiła się? Niestety nie. Kryzys trwa, bałagan się zwiększył. Tytuł artykułu już jest nieaktualny: nie można mówić o polityce kierownictwa Radia Swoboda, bo takiego kierownictwa już nie ma. Jest tylko polityka kierownictwa radia Wolna Europa, a właściwie Ralpa Waltera, głównego kierownika programowego i politycznego radiostacji z tytułem wiceprezydenta, tj. drugiego człowieka w radiu po prezydencie. Prezydent, dr Glenn Ferguson, po roku urzędowania okazał się człowiekiem dobrej woli, całkowicie od-

danym swej pracy. Praca jego, w bardzo dużym stopniu, polega na załatwianiu spraw w Waszyngtonie i na tzw. *public relations*. Jest on często nieobecny, a poza tym właściwie nie bardzo może wnikać w sprawy polityczne i personalne. Radiem rządzi Walter. Jego polityka polega na stopniowym spychaniu rosyjskiego zespołu programowego na drugie — nie-ostatnie miejsce i na faworyzowaniu zespołów radia Wolna Europa. Ma on jak najgorszą opinię o kompetencjach i o możliwościach redakcji rosyjskiej i postępuje odpowiednio. Trzeba tu zaznaczyć, że zła opinia jaką sobie w ciągu ostatnich lat wyrobił zespół rosyjski z pomocą swych amerykańskich przełożonych jest, częściowo przynajmniej, usprawiedliwiona, jak już to zaznaczyłem w moim poprzednim artykule. Nie można więc się Walterowi dziwić, że odnosi się do Rosjan z absolutnym brakiem zaufania, tym bardziej, że na sprawach rosyjskich czy też sowieckich nie zna się wcale i chętnie się do tego przyznaje.

Sytuacja w redakcji rosyjskiej wygląda więc w sposób następujący: w grudniu zeszłego roku zrezygnował ze stanowiska kierownika tej redakcji p. Frank Starr, młody i dość doświadczony dziennikarz amerykański, znający język rosyjski i obeznany ze sprawami sowieckimi, bo spędził kilka lat w Moskwie jako korespondent jednego z dzienników amerykańskich. Starr odszedł, bo nie uzyskał poparcia dyrekcji radia dla swoich wysiłków, zmierzających do uporządkowania spraw personalnych. Na jego miejsce przyszedł stary pracownik radia Swoboda, p. Robert Tuck, b. kierownik biura w Nowym Jorku. Jego główną cechą jest posłuszeństwo wobec przełożonych; jest to typowy *yes-man*. W pierwszych miesiącach bieżącego roku, z powodów dotychczas niewyjaśnionych, odszedł główny redaktor rosyjski, p. Leonid Finkelstein, b. dziennikarz sowiecki, który 10 lat temu „wybrał wolność” w czasie podróży służbowej do Londynu, następnie trafił do biura londyńskiego radia Swoboda i po kilku latach do Monachium. Finkelstein był człowiekiem niewątpliwie zdolnym, rzutkim, o niesłychanej — jak niektórzy mówią przesadnej — pracowitości i gorliwości. Po jego odejściu stanowisko głównego redaktora pozostało nieobsadzone. Obecnie program rosyjski jest redagowany przez kilku równorzędnych redaktorów, co powoduje dalsze nieporozumienia i konflikty. Wkrótce po odejściu Finkelsteina dyrektorem radia Swoboda został mianowany p. Boster, b. ambasador amerykański w jednym z państw środkowo-amerykańskich. Wszystko wskazuje na to, że p. Bosterowi dano synekurę, by doczekał do emerytury. W każdym razie ten grzeszny dyplomata siedzi cicho i do niczego się nie miesza.

Jak widać, wewnętrzny podział na radio Swoboda i radio Wolna Europa wciąż istnieje. Instytucje te są zjednoczone tylko na poziomie wspólnych służb technicznych, przez administrację finansową, itd., oraz, na samym szczycie, w osobach dyrektora programowego Waltera i głównego dyrektora dr. Ferguson. Jeśli chodzi o to kto o czym decyduje w radio Swoboda, to: na samym dole są redaktorzy działów, odpowiedzialni za poszczególne

części programu, dalej nad nimi jest wspomniany już Robert Tuck, nad nim Boster, nad nim Walter. Redaktorzy wykonują plan ustalany na codziennej konferencji programowej pod przewodnictwem Tucka lub jego zastępcy. Wykonanie jest kontrolowane przez cenzorów, którzy pilnują żeby programy były pisane zgodnie z ustaloną już teraz „łagodną” linią. Wszystkie wydatki są kontrolowane przez Tucka z aprobatą administracji finansowej; wszystkie sprawy personalne są załatwiane za zgodą szefa personalnego p. Poole’a, który podlega bezpośrednio Walterowi. Cały ten aparat właściwie załatwia tylko codzienną rutynę. Wszystko co wykracza poza te ramy musi być referowane Walterowi, w których rękach pozostaje ostateczna decyzja. Powiedziałem już, że Tuck jest zwyczajnym urzędnikiem i *yes-man*’em; p. Boster jest nowym człowiekiem i choćby z tego tytułu wpływ jego jest bardzo ograniczony. Z tego wynika, że o wszystkich ważnych sprawach decyduje Walter, tj. człowiek, który nie zna się na sprawach rosyjskich czy sowieckich, rosyjskiego nie zna i z Rosjanami nigdy nie miał do czynienia. Innymi słowy najważniejsza część Radia Wolna Europa — Radia Swoboda cierpi na chroniczny brak kompetentnego personelu kierowniczego, bo wśród Amerykanów zajmujących się programem rosyjskim nie ma obecnie ani jednego dziennikarza, ani jednego znawcy języka i spraw rosyjskich.

Omówiłem sprawy redakcji rosyjskiej trochę bardziej szczegółowo, by podkreślić że kierownictwo Radia w ogóle nie jest zdolne do jakiegokolwiek rozumnej inicjatywy w tej dziedzinie. Zresztą, jak się zdaje, kierownictwo to nie ma najmniejszego zamiaru wykazywania takiej inicjatywy.

Personalna polityka kierownictwa polega na zamykaniu oczu i udawaniu, że pewnych rzeczy nie widzi. Zespół rosyjski jest dalej podzielony na wzajemnie zwalczające się grupy. Zwracanie się do sądów niemieckich trwa dalej. Ustaliła się nawet pewna dość dziwna praktyka wyrabiania sobie awansów przez sąd niemiecki. Celują w tym zwłaszcza pewne „damy” przybyłe z Rosji Sowieckiej nie tak dawno. Biegają one do sądu regularnie za każdym razem gdy uważają, że nadszedł czas, by im podwyższono pensję. Listy anonimowe kursują dalej, ale ilość memoriałów ze skargami i donosami znacznie się zmniejszyła, bo p. Tuck — bardzo mądrze — oświadczył publicznie, że będzie je wrzucał do kosza. Inne wybruki — np. demonstracyjne „choroby” — są przez kierownictwo tolerowane bez mrugnienia okiem.

Najważniejsze jednak jest to, że kierownictwo nie szuka nowych ludzi. Nie tylko nie szuka, nie tylko nie ma żadnej polityki np. kształcenia nowych redaktorów czy specjalistów, ale przeciwnie, cieszy się gdy ktoś odchodzi. Chcąc odejść dają nawet specjalnie dogodnie warunki, żeby sobie poszli. Ale na miejscach, co odchodzą, nikogo nie przyjmują. Radio konsekwentnie prowadzi politykę obcinania etatów i wydatków, liczba pracowników maleje z każdym miesiącem — i to nie tylko w redakcji

rosyjskiej. Wszystko to razem wzięte jest czymś bardzo podobnym do stopniowej likwidacji.

Wróćmy jednak do sprawy przeniesienia zespołu monachijskiego do Waszyngtonu, która — jak zaznaczyłem już w zeszłym roku — toczy się dalej. Otóż nie toczy się — pędzi. Kilka miesięcy temu do Monachium zjechał cały BIB — *Board of International Broadcasting*, instytucja nadzorcza, która ma bronić interesów radia przed administracją i przed Kongresem. Taka jest przynajmniej jedna z funkcji, jakie ma wykonywać. Prezes BIB’u — obecnie p. Gronouski, b. ambasador amerykański w Warszawie — jest mianowany przez prezydenta Stanów Zjednoczonych, członkowie jego Rady również. Zjechał więc BIB do Monachium razem ze wszystkimi przybudówkami i przez 10 chyba dni w domu Radia i gdzie indziej odbywały się zebrania, przesłuchiwanie, narady. Kierownictwu nakazano przygotować dokładne projekty ze wszystkimi szczegółami o przeniesieniu 10, 25 lub 50 % personelu do Waszyngtonu. Projekty te miały być gotowe na dzień 1 października, ale w tydzień po zakończeniu narad termin przyspieszono na — 1 sierpnia. Pracownikom powiedziano, że o przeniesieniu nie ma jeszcze żadnej decyzji, a te obliczenia — to tak, na wszelki wypadek, bo są senatorzy, którzy domagają się zmniejszenia wydatków na radio, więc trzeba im udowodnić, że to sprawa trudna i nie warto tego robić. Wkrótce jednak stało się oczywiste, że nacisk z Waszyngtonu jest poważny i że tym razem sprawę należy traktować na serio. Wygląda na to, że przynajmniej część pracowników trzeba będzie jednak przenieść w przyszłym roku. Wymieniano liczbę 60-80-ciu, może stu. Dotyczą te obliczenia wyłącznie pracowników programowych; 500 techników, którzy obsługują nadajniki w Holzkirchen koło Monachium, w Hiszpanii i w Portugalii miałyby pozostać na miejscu. Całego personelu radia — wszystkich razem jest około 1.700 osób. Przeniesienie więc dotyczy w teorii około 1.200 osób, w tym przypuszczalnie około 250-300 osób personelu nie piszącego — rachunkowość, administracja, biblioteki, etc. Pozostawałoby więc około 900 dziennikarzy do rozparcelowania. Ale jak ich przenieść? Po trochu z każdej redakcji? Albo może całą jedną redakcją? I tu Walter sfabrykował genialny plan: jeden z projektów przewiduje przeniesienie do Waszyngtonu całego zespołu Radia Swoboda razem z... dr. Fergusonem. Na miejscu pozostałoby Radio Wolna Europa z wice-prezydentem Ralphem Walterem na czele. W ten sposób Walter pozbyłby się zniechęconych Moskali i ich towarzyszy, różnych tam Tatarów, Uzbeków, Gruzinów, Ukraińców itp., którzy p. Walterowi w Monachium wyraźnie przeszkadzają. Liczy on z pewnością na to, że w St. Zjednoczonych można tych ludzi tak czy inaczej unieszkodliwić przez „reorganizację”, stopniową likwidację, włączenie do Głosu Ameryki lub w inny sposób. Skoro taki projekt został wysunięty wolno snuć domysły; nawet pożartować. Tym się tu wszyscy zajmują, robiąc dobrą miłą z tej gry.

Ale na serio cała ta impreza brzydko pachnie. Widocznie

komuś w Waszyngtonie bardzo zależy na tym przeniesieniu, bo inaczej po prostu nie można sobie wyobrazić, żeby kierownictwo Radia zarządziło w lipcu coś, co było bardzo podobne do pogotowia wojennego i kosztowało mnóstwo pieniędzy i godzin dodatkowej pracy wielu ludzi. Jeżeli wziąć pod uwagę wspomnianą już poprzednio stopniową likwidację personelu, zwłaszcza programowego — ćwiczenia przeniesieniowe wyglądają na przygotowanie do ogólnej likwidacji, lub ogólnej reorganizacji. Tak jak te chytre paniusie w rosyjskim *desk'u* wymyśliły dla siebie sposób awansowania pod groźbą skargi do sądu niemieckiego, tak BIB widocznie wymyślił sposób doprowadzenia do likwidacji radia lub jego ogólnej reorganizacji przez przeniesienie do Ameryki. Argument bowiem, że niby radio za dużo kosztuje nie ma najmniejszego sensu. Radio Swoboda i Radio Wolna Europa są instrumentami polityki amerykańskiej. Broniąc interesów Stanów Zjednoczonych, bronią one równocześnie — przynajmniej w pewnym stopniu — interesów narodów ujarzmionych; stąd możliwość współpracy w radiu między Amerykanami i nieoficjalnymi przedstawicielami tych narodów. Jedno z dwojga: albo w Waszyngtonie uważają tę sprawę — sprawę informowania narodów Europy Środkowej i Wschodniej o tym co się dzieje na świecie i wywierania tym samym pewnego wpływu na tę część świata — za rzecz bardzo ważną, albo nie. Jeśli tak, to rozważania panów senatorów o tym ile kosztuje radio są jałowe i niepotrzebne. Jeśli to sprawa naprawdę ważna, to czy trzeba na nią wydać 90 milionów dolarów czy też 180 milionów rocznie — nie ma wielkiego znaczenia; i pierwsza i druga suma jest naprawdę bardzo mała w olbrzymim budżecie amerykańskim. Gdy — jak obecnie — powstają wątpliwości finansowe, może to oznaczać po prostu, że nie ma w Waszyngtonie wyraźnego stanowiska w tej sprawie i nie ma komu jej bronić. Albo jeszcze gorzej, że powzięto już decyzję wycofania się z tej imprezy, bo uważa się, że z pewnych względów staje się ona niewygodna. I, być może, są już projekty zorganizowania czegoś innego. Zwolennicy tej teorii tutaj, w Monachium, mówią, że przeniesienie oznacza nie likwidację, lecz reorganizację; bo gdyby mieli zamiar likwidować nie budowaliby nowych nadajników w Niemczech i Portugalii, nie wyrzucano by milionów dolarów — ściślej 14 milionów — bo tyle kosztują te nowe urządzenia — na śmietnik. Ale nie jest to argument przekonujący: nowe nadajniki można przecież przekazać Głosowi Ameryki lub, po likwidacji RFE/RL jakiejś nowej — obecnie nieistniejącej — organizacji, łącznie z personelem technicznym.

W końcu lipca zjawił się w Domu Radia w Monachium niejaki p. Paul Henze, o którym nam powiedziano, że jest współpracownikiem Zbigniewa Brzezińskiego i ma biuro w Białym Domu. Zapytany co sądzi o przeniesieniu radia do Waszyngtonu, p. Henze prywatnie i publicznie mówił, że nie należy tego wszystkiego traktować poważnie, że o radiu decyduje administracja i że senatorzy nie mają tu nic do gadania. Cóż, być może, że senatorzy

rzeczywiście nie mają nic do gadania. Trudno nam, prostakom, zorientować się w tym co się dzieje w Waszyngtonie, choć coś niecoś się słyszy, że i Senat i Izba Reprezentantów mają jednak jakieś wpływy m.in. także w uchwalaniu budżetu dla naszego radia. Ale jeśli nie mają, jeśli rzeczywiście tylko administracja decyduje — to dlaczego dotychczas nie zdecydowała, by nas zostawiono w spokoju, by pozwolono nam wykonywać naszą pożyteczną pracę bez ciągłych alarmów, awantur, zmian personalnych, bez wiszącej nad nami groźby likwidacji, bez niczym nie dających się usprawiedliwić ograniczeń w naszej pracy, ograniczeń podobnych do tych, jakie są stosowane w państwach totalitarnych?

Na te pytania jest jedna odpowiedź: Radio Swoboda — Wolna Europa umiera. Umiera albo dlatego, że już zapadła decyzja o jego śmierci, albo też dlatego, że w tym potwornym waszyngtońskim bałaganie nikt nie ma czasu, by się zająć jego losem. *Old soldiers never die — they just fade away* — mówi przysłowie amerykańskie — starzy żołnierze nie umierają, lecz powoli znikają z pola widzenia. Nasze radio też znika powoli z powierzchni, pogrąża się w plotkach, w ograniczeniach, w intrygach, we wszelkiego rodzaju kłamstwach, w krótkowzrocznym oportunizmie naszych amerykańskich kierowników, w dezorganizacji i niekompetencji.

Bardzo jest ono nieładne, to umieranie, a do czego ono doprowadza można wykazać na jednym choćby przykładzie:

W ukraińskim piśmie *Szlach Peremohy* z dn. 5 sierpnia br. ukazał się tekst wywiadu udzielonego przez znanego ukraińskiego działacza politycznego, Walentyna Moroz, współpracownika Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa, p. Mieleśzce. Wywiad ten nadała ukraińska redakcja Radia Swoboda, ale usunęła najciekawszy ustęp. Oto on:

... „Polityczną cenzurę przeprowadzili kierownicy ukraińskiej redakcji Radia Swoboda z pożyczonego od redakcji polskiej wywiadu z W. Morozem, przeprowadzając polityczną kastrację tej części wywiadu, w której Moroz porusza sprawę zagarnięcia Ukrainy przez Moskwę i perspektywy wyzwolenia Ukrainy; z politycznego punktu widzenia był to najważniejszy ustęp wywiadu. Każdy ukraiński patriota ze smutkiem i głęboką urazą odczuwa tego rodzaju obrażające postępowanie.

Radio Swoboda nie zasłużyło na pochwały wyrażone pod jego adresem przez Moroz. W porównaniu z tym samym wywiadem nadanym w redakcjach rosyjskiej i polskiej, wersja ukraińskiej redakcji wypadła najślabiej. I to także jest symptomatyczne”.

„Mieleśzko: — Mówił Pan o swoim ukraińskim sereu. Wierzy Pan w przyszłość i niezależność Ukrainy. Czy to tylko nadzieja gorącego serca patrioty i nacjonalisty, czy też uważa Pan, że istnieją już perspektywy wyzwolenia Pana ojczyzny?

Moroz: — Sądzę, że wyzwolenie Ukrainy to kwestia czasu, a nie zasady; stoją jeszcze mury Jeryha, ale trąby już są w pogotowiu i narodził się głos. Przyszłe losy Ukrainy nie są mi znane — o tym wie tylko Bóg, ale

nie trudno domyśleć się, że 80-te lata na Ukrainie i na Wschodzie na pewno będą ciekawe i burzliwe.

Mieszko: — Pan jest historykiem, Pana historyczne refleksje są interesujące. Byłoby ciekawe poznać Pana poglądy.

Moroz: — Sądę na ogół, że Zachód nie docenia znaczenia Ukrainy jako wielkiej bariery przeciw wszelkiej sile ze Wschodu i że nie zrozumiał jaką tragedią było naruszenie europejskiej równowagi w XVII wieku. Dopóki Ukraina znajdowała się w obrębie systemu zachodnich sił, Moskwa leżała daleko na Wschodzie i równowaga europejska naprawdę istniała, a wojny które miały miejsce nie naruszały tej równowagi — a raczej ją regulowały.

Później, kiedy Ukraina weszła w skład rosyjskiego imperium, Rosja otrzymała klucz do europejskiej równowagi. Tak! Ukraina to klucz do europejskiej równowagi. Moskwa wie o tym dobrze, potwierdził to również Hitler mówiąc: 'Kto włada Ukrainą, ten włada Europą'. Od tego więc rozpoczęła się supremacja Rosji nad Zachodem. Rosyjskie czołgi ruszyły na Łabę nie w roku 1945, ale w XVII stuleciu. Od tego czasu, mając w rękach Ukrainę, Moskwa krok za krokiem zaczęła zbliżać się do tego stanu posiadania, jaki ma teraz. Sądę, że pierwszym zadaniem Ukraińców jest przekonać Zachód, że bez niezależnej Ukrainy żadna równowaga w Europie nie jest możliwa. Dopiero wtedy, kiedy odnowi się naturalna bariera przeciw Wschodowi, Europa będzie mogła poświęcić się swoim sprawom, nie myśląc o zawieszonym nad nią przez Kreml mieczu Damoklesa".

Nic dziwnego, że redakcja pisma ukraińskiego mówi o „politycznej kastracji”. Nie wątpię, że kastracji tej dokonał amerykański cenzor. A przecież wszystko co mówi Moroz jest zgodne z prawdą. Moroz ma chyba prawo swobodnie wypowiedzieć swoje myśli i spodziewać się, że będą one opublikowane bez zmian, albo też nie będą opublikowane wcale. Moroz na pewno nie spodziewał się, że będzie oszukany w ten sposób. Tego doczekał się ten odważny bojownik o godność ludzką i o niepodległość Ukrainy po 14 latach cierpień w sowieckich łagrach i więzieniach! Cóż można na to powiedzieć? Tylko to, że Radio Wolna Europa — Swoboda stosując takie metody samo wydaje na siebie wyrok śmierci.

Siergiej FIEDOTOW

Polska Sekcja Radia Wolna Europa

Jednostronne pojmowanie przez dyplomację amerykańską polityki odprężenia z Rosją i reguł „wojny ideologicznej” znalazło — i nadal znajduje — szczególne odbicie w losach Radia Wolna Europa i jego programach transmitowanych do Polski.

W Departamencie Stanu od początku przeważał niechętny lub wręcz wrogi stosunek do tej Rozgłośni. Istnienie RWE i sku-

teczne przełamywanie przez nią monopolu komunistycznego w dziedzinie środków masowego przekazu, uznawano za przeszkodę w dyplomatycznej grze polepszania i utrzymywania sielankowej atmosfery *détente* w stosunkach z totalitarnymi rządami tej części Europy.

Urzędowe protesty przeciwko programom i poszczególnym audycjom RWE, składane w ambasadzie USA w Warszawie nie trafiały — jak wolno było mniemać — do kosza, lecz do Departamentu Stanu, gdzie kwalifikowano je jako dowód działalności komplikującej proces odprężenia. Jedyny i najprostszy sposób uwolnienia się od tych kłopotów widziano w likwidacji RWE.

Groźba ta przybrała realne kształty jeszcze za prezydentury Eisenhowera, kiedy to na skutek stanowczych *démarches* ambasady amerykańskiej w Warszawie zupełnie na serio rozważano możliwość zamknięcia tej Rozgłośni. Sytuację ratował wówczas Nixon pozostający pod silnym wrażeniem owacyjnego powitania, jakie zgotowała mu ludność Warszawy dokładnie informowana przez RWE o trasie jego przejazdu.

W czasie swego urzędowania Nixon rozumiał znaczenie RWE i doceniał efektywność jego oddziaływania. Zamysły zlikwidowania Rozgłośni miały więc wtedy nikłe szanse powodzenia.

RWE chroniła też obawa przed reakcją opinii amerykańskiej wrażliwej na zbyt rażące przejawy *appeasement*'u wobec Rosji i wschodnio-europejskich komunistów.

Dużą rolę w osłanianiu Rozgłośni przed tego typu zakusami odegrał też Kongres Polonii Amerykańskiej i nieliczna wprawdzie — lecz licząca się — grupa zasiadających w Izbie Reprezentantów posłów polskiego pochodzenia.

Podejmowane mimo tego próby narzucenia ograniczeń programowych rozbijały się też o zdecydowany opór dykcji i zespołu Rozgłośni Polskiej RWE. Zniesienie ograniczeń odnośnie sposobu poruszania kwestii zachodnich granic Polski pracownicy i kierownictwo Rozgłośni Polskiej wymusili groźbą strajku.

Po odejściu Nixona w Białym Domu zmienił się zyczliwy tam przedtem stosunek do RWE. Biurokracja Departamentu Stanu oczarowana nieujawnianą jeszcze podówczas tzw. doktryną Sonnenfelda (o potrzebie umacniania „organicznych związków Europy Wschodniej z Rosją) dostrzegła w tym okazji do zlikwidowania tej Rozgłośni.

Ze względów podanych powyżej nie ważono się uczynić tego za jednym zamachem. Operację rozłożono na raty, a zadanie jej przeprowadzenia otrzymał powołany przez Kongres, Komitet Międzynarodowej Radiofonii (*Board for International Broadcasting*) w skrócie B.I.B. Pod przewodnictwem byłego podsekretarza Departamentu Stanu Davida Abshire'a B.I.B. — zaśłaniając się rzekomą troską o amerykańskiego podatnika — w ciągu kilku lat przeprowadził masowe redukcje personelu, zmniejszając o blisko jedną trzecią liczebny stan załogi RWE.

Odeszli też zżyci z tą Rozgłośnią i prawidłowo oceniający jej funkcje Amerykańscy kierownicy RWE, przeniesieni na tytularne

posady w Waszyngtonie. Miejsca ich zajęli protegowani B.I.B., emerytowani, bezbarwni urzędnicy służby dyplomatycznej. B.I.B. począł bowiem skutecznie przejmować — nie leżąc w jego gestii — funkcje kierownictwa Rozgłośni, aspirując też do roli ciała nadrzędnego, określającego polityczną linię programów i charakter poszczególnych programów i charakter poszczególnych audycji.

Pod hasłem „niezakłócania” klimatu odprężenia biurokracji z B.I.B. żądali zmian i ograniczeń, wprowadzali restrykcje nie do pogodzenia ze swobodą przysługującą dziennikarzom w wolnym świecie. Zamyśl w tym wypadku polegał na precyzyjnym „wyciszeniu” radiostacji i takim upodobnieniu jej do „Głosu Ameryki”, że RWE traciłoby *de facto* rację dalszej egzystencji. Zbliżeniu do tego celu miał też służyć projekt przeniesienia radiostacji do Stanów Zjednoczonych, zakładający dalsze redukcje personelu.

David Abshire nie zdążył doprowadzić tych zamysłów do końca. Plany pokrzyżował wybór Cartera. Nie poniechał ich jednak nowy przewodniczący B.I.B., były ambasador USA w Polsce John Gronouski i jego personel.

Wzmogły się znowu naciski zmierzające w kierunku zacieśnienia kontroli programów i politycznych komentarzy. W życie weszły nowe dyrektywy i restrykcje.

Robiono to i robi się nadal w imię karkołomnej tezy niedrażnienia komunistycznych rządów Europy Wschodniej, które — według Gronouskiego — należy ugłaskać tak dalece żeby przerwali zagłuszanie audycji RWE. Wówczas, jego zdaniem, wzrośnie liczba słuchaczy! Wcale nie żarty: ex-ambasador wykoncy-pował dwa inne sposoby, które powinny spowodować przerwanie zagłuszania i zdobycie radiostacji nowych słuchaczy. Uznał, że trzeba dać komunistom prawo zajmowania przez mikrofony RWE stanowiska wobec poszczególnych audycji budzących ich zastrzeżenia. Z projektem tym wystąpił publicznie i wciąż go broni. Inny sposób na zagłuszanie to — według przewodniczącego B.I.B. — nadawanie do Europy Wschodniej niektórych audycji w języku angielskim. Ten pomysł udało mu się już częściowo narzucić kierownictwu czechosłowackiej radiostacji. Przyjdzie może kolej na inne.

Trwający już co najmniej kilka lat proces „wyciszania”, szczególnie bolesnie odczuła i w coraz większym stopniu odczuwa Rozgłośnia Polska RWE.

Zdziesiątkowany zespół objuczony ciężarem dodatkowych zadań, wynikających z ambicji prowadzenia niezminiejszego programu, starał się dochować wierności dawnym tradycjom Rozgłośni: ideowej pracy dla kraju i utrzymania z nim żywej więzi będącej tego zespołu największym dorobkiem, a równocześnie powszechnie uznanym politycznym sukcesem RWE. Okrojenie o prawie jedną trzecią dawnego liczebnego stanu załogi, praca w atmosferze stałej niepewności i nerwowego napięcia nie mogły nie odbić się na jakości programu i jego wykonaniu. Najbardziej

demoralizujący skutek miała jednak, i wciąż ma, polityka restrykcji i „wyciszania”, z definicji idącą w kierunku zmiany dawnego charakteru rozgłośni i pomniejszanie wartości i atrakcyjności jej programów.

Z anteny znikać zaczęły najbardziej popularne audycje polemiczne i cięta satyra. Urwał się dopływ, słuchanych w kraju z wypiekami na twarzy, informacji zza kulis aparatu władzy, aczkolwiek mało kto da się przekonać, że tzw. przecieki ze środowisk partyjno-rządowych raptem ustały. Jest bowiem wręcz przeciwnie. Razić też zaczął coraz to bardziej ugrzeczniony ton komentarzy, ostrożne obchodzenie pewnych tematów i problemów, spychanie ich na drugorzędne miejsca. Że nie było to wynikiem znużenia zespołu przekonał się osobiście jeden ze znanych działaczy polonijnych, któremu z tekstu nadesłanego do RWE usunięto „niebezpieczny” zwrot o... niepodległości Polski.

Stała się też rzecz niebywała. Zapowiedziano serię sześciu specjalnych audycji historycznych, traktujących o pierwszych latach rządów komunistycznych w Polsce. Pierwsza z nich wywołała przerażenie w kraju i w ośrodkach emigracji. Autor przedstawiał wypadki z 1947 roku, po sfałszowanych wyborach do Sejmu, w ujęciu które od biedy mogłoby się ukazać w *Trybunie Ludu*. Były w tej sprawie nagłe telefony z kraju. Nadawanie dalszych audycji przzerwano bez wytłumaczenia. Skandal zażegnano. Pozostał powód do gorzkich przemyśleń.

Ostatnio dzieje się jeszcze gorzej. Mówi się o zurzędniczeniu tej tak ongiś dynamicznej, walczącej radiostacji, o minorowych nastrojach wśród redaktorów wyklócających się niemal o każde słowo, toczących homeryckie boje z systemem łagodzenia i wyciszania komentarzy.

Odbicie tego stanu rzeczy w audycjach dostrzega się również w kraju, jak i w ośrodkach niepodległościowej emigracji.

W lecie 1977 roku nadano tłumaczenie wydrukowanego w *New York Times*'ie wywiadu z Gierkiem, przeprowadzonego przez znanego dziennikarza Jamesa Restona. Szef PZPR utrzymywał, że w Polsce nie ma więźniów politycznych, a ci których się za takowych uważa, to zwykli przestępcy. Chodziło o więzionych wtedy robotników z Ursusa i Radomia. Te wywody Gierka Reston przekazał bez słowa komentarza. Bez słowa komentarza nadała je też Wolna Europa i to *in extenso*. *New York Times* ogłosił wkrótce potem list profesora Andrzeja Ehrenkreutza ze Studium Spraw Polskich w USA protestujący kłamstwa Gierka. RWE w audycji PANORAMA nadała tylko fragmenty listu po kilku tygodniach i dopiero po interwencjach z Waszyngtonu.

Nie tak dawno znowu przetransmitowano do kraju pełne tłumaczenie artykułu jaki napisał w londyńskim dzienniku *Guardian* redaktor *Polityki* i członek KC, Rakowski. Przedstawiał w nim kłamliwą wersję stosunku partii do Kościoła i wizyty Papieża. W całości nadano to do kraju bez własnego komentarza. Też chyba sposób na zaprzestanie zagłuszania.

Takiego zaszczytu nie dostąpił jednak Jacek Kuroń, czołowy

działacz KOR'u. Jego artykuł w trzecim numerze samodruku *Biuletyn Informacyjny* pod tytułem „Sytuacja w kraju a program opozycji” doczekał się streszczenia i omówienia. Kierownictwo Polskiej Rozgłośni najwidoczniej nie chciało narażać ambasad USA w Warszawie na przykrości ze strony komunistycznych władz rządowych. Uprzejmość chyba przesadna, gdyż obecny amerykański ambasador przy rządzie PRL z tego typu kłopotami świetnie sobie radzi.

Kuroń nie był pierwszym działaczem ruchu oporu, który poczuł na swym tekście łagodzącą kosmetykę, uprawianą ostatnio z rosnącą częstotliwością w biurze polskiego kierownictwa RWE.

Z kraju dochodzą głosy, że liczni autorzy tekstów publikowanych w samodrukach, wydawanych poza cenzurą przez ugrupowania ruchu oporu, często nie poznają ich w wersji transmitowanej przez Wolną Europę. Były w tej sprawie już nawet protesty z kraju. Będzie ich zapewne więcej. Łagodzenie tekstów wymykających się w kraju spod kontroli cenzury chluby tej radiostacji nie przynosi. Nie przysporzy jej też słuchaczy i nie przywróci naderwanej więzi z krajem. Stosowanie tych restrykcji wobec krajowych samodruków ma coś z posmaku skandalu i ponurej groteski. Świadczy jak to dalece udało się wyciszyć tę tak „bojową” ongiś rozgłośnię. (I to „polskimi rękami”).

Kto jest za to odpowiedzialny? Niewątpliwie w dużej mierze poprzedni i obecny B.I.B. Są jednak też domniemania i dowody, że niepoślednią rolę odgrywa w tym samocenzura kierownictwa Rozgłośni Polskiej.

Bernard KAMIŃSKI

W ukazującym się w Kraju *Biuletynie Informacyjnym* (nr 4, maj-czerwiec 1979) Adam Michnik w artykule „Lekcja godności”, omawiającym pobyt Papieża w Polsce, pisze m.in.:

„Faktem jest jednak, że do żadnych poważnych zaburzeń nie doszło, na czym każdemu z różnych względów zależało. Niektórzy dbali o to chyba przesadnie, jak np. Radio 'Wolna Europa'. Ta rozgłośnia przestała po prostu nadawać informacje o zatrzymaniach uczestników demokratycznej opozycji, co wzbudziło w tych kręgach zrozumiały niesmak”.

Ten fragment artykułu został zaopatrzone następującym komentarzem:

„Nie jest to próba dezawuowania tej rozgłośni, ani apel o zasadniczą zmianę linii. Rozumiemy wszystkie powody, dla których umiar był zachowany. Nie powinno to jednak, jak sądzimy, prowadzić do cenzurowania informacji o represjach”.

Listy do Redakcji

W Europie Zachodniej, 31 lipca 1979.

Szanowny Panie Redaktorze!

W lipcowym numerze *Kultury* z br. przeczytałem list do Redakcji o Wolnej Europie. Ucieszyłem się, że Redakcja interesuje się tym ważnym zagadnieniem. Ważnym zwłaszcza dla słuchaczy w kraju. Piszę do Pana, bo i ja ubolewam nad stałą — w ostatnich czasach — zmianą charakteru tej zasłużonej Rozgłośni i powiedzmy to szczerze — obniżeniem jej lotów.

Słuchamy od wielu lat Wolnej Europy, pamiętamy jej dawne programy i wiemy, jak wielką rolę stacja ta odkrywała w życiu kraju. Dlaczego? Ano dlatego, że poruszała poważnie i odważnie najważniejsze problemy i wydarzenia w kraju i trafnie je komentowała. A takie komentarze z tematyki krajowej są nam bardzo potrzebne.

Odnosiliśmy wrażenie, że redaktorzy Wolnej Europy dobrze nas rozumieją i wczuwają się w nastroje w Polsce. Takie komentarze, poszerzały naszą znajomość zagadnienia, słuchało się ich z uwagą, bo dawały materiał do przemyśleń. Taka np. audycja jak „Fakty, wydarzenia” zawdzięczała swą wielką popularność przede wszystkim komentarzom o sprawach krajowych, które w niej dominowały. O wydarzeniach zagranicznych mogliśmy się dowiedzieć z równym powodzeniem z „Głosu Ameryki” czy BBC. Dlaczego teraz tematyki krajowej jest w tej audycji znacznie mniej i dotyczącej w dodatku spraw mało ważnych, a zwiększyła się ilość komentarzy zagranicznych, niestety dość powierzchownych, wyglądających na streszczenie czegoś z prasy zagranicznej? Kto i dlaczego tak tą audycję pokierował?

Zanikły — Panie Redaktorze — niemal zupełnie dawne interesujące dyskusje przy mikrofonie o rozmaitych zagadnieniach krajowych. Były one prawdziwym wyrazem wolności słowa i ścierania się różnych poglądów. Dlaczego je skasowano?

Jaka szkoda, że Wolna Europa nie porusza jakichś generalnych spraw, ważnych dla całego kraju, tak jak to nieraz robiła, budząc zainteresowania jakimś zagadnieniem i dając ciekawe materiały do naszych własnych przemyśleń, bo niełatwo nam zdobyć się na takie przemyślenia w kołowym codziennych zajęć i kłopotów bytowych.

Jak to się dzieje, że Wolna Europa straciła ostrość spojrzenia na wiele przejawów naszej rzeczywistości? Dlaczego np. nie demaskuje — jak dawniej — przywilejów dygnitarzy, ich bezkarności i szkód, jakie wyrządzają w naszej gospodarce? O tych, którzy rządzą w kraju i są za wszystko odpowiedzialni, Wolna Europa mówi z układną dworskością. Dziwi nas też duża pobłażliwość dla aparatu bezpieczeństwa. Imienne wymienianie szkodników przynosi przecież dobry skutek, gdyż inni się tego obawiają i liczą bardziej z opinią publiczną.

Bardzo dobrze, że Wolna Europa walczy z partyjną cenzurą i nadaje dużo materiałów z naszych samizdatów, ale dlaczego niektóre z artykułów sama cenzuruje. Tak przynajmniej mówią piszący do samizdatów, którzy słyszeli swoje teksty przez radio. Wolna Europa jest dla kraju bardzo ważnym czynnikiem, ale jeśli naprawdę będzie wolna i będzie śmiało o wszystkim mówić, a nie zaś uprawiać dyplomatyczną gładziszę swego języka. Inaczej będzie coraz bardziej tracić znaczenie, a byłaby to wielka szkoda.

Nie wiem, Panie Redaktorze, kto jest za to odpowiedzialny. Czy nie można zawrócić z niepokojącej i złej drogi?

Z poważaniem,

Jan KOWALSKI

Monachium, dn. 7 sierpnia 1979.

Szanowny Panie Redaktorze!

Jako członkowie zespołu polskiego RWE ze zdziwieniem i prawdziwą przykrością przeczytaliśmy list na temat naszej rozgłośni w numerze 7-8 *Kultury*. Nie podpisana autorka listu potępia w czambuł audycje RWE. Nie poprzestając na tym, dołącza obraźliwe uwagi pod naszym adresem, sugerując, że „redaktorzy nie pracują dla słuchaczy w Polsce lecz dla przełożonych amerykańskich” i że „usadowiła się tam grupa zwolenników obecnego systemu politycznego w Europie Wschodniej”.

Liczne listy, jakie otrzymujemy od słuchaczy, nie zawierają ani takich krytyk ani takich insynuacji. Przeciwnie — wyrażają się z uznaniem o naszej pracy. Podobnie różne wzmianki o „wolnej Europie” w pismach, wychodzących w Kraju poza cenzurą, oraz znane Panu teksty KSS „KOR-u” czy PPN oceniają pozytywnie rolę RWE. Czyżby do *Kultury* docierały jedynie nieprzychylnie opinie o naszej rozgłośni?

Każdy na Zachodzie może się przekonać o naszej postawie wobec systemu politycznego w Europie Wschodniej, zapoznając się z pismem *Na Antenie*, gdzie zamieszczane są najważniejsze nasze audycje.

Łączymy wyrazy szacunku i poważania,

Leszek MEYER

Marek ŁATYŃSKI

PRZEMIANY

PISMO POLSKIEJ PARTII SOCJALISTYCZNEJ

Wydaje Komitet Główny PPS w Niemczech.

ARTYKUŁY, OPINIE, WIADOMOŚCI I OCENY Z KRAJU.

Ukazuje się od roku 1974 raz na dwa miesiące.

Prenumerata roczna razem z przesyłką DM 15,00 lub równowartość.

Przesyłka lotnicza do USA i Kanady — dopłata DM 10,00

Do Australii — dopłata DM 15,00.

Cena numeru pojedynczego (16 str.): DM 1,00, podwójnego: DM 2,00

Zamówienia prosimy kierować:

T. PODGÓRSKI — 8 MÜNCHEN 40, UNGERERSTR. 47.

W. GERMANY

Kraj

Sytuacja w Kraju

Podobnie, jak w pierwszym okresie ostatniej wojny, tak i obecnie Szwecja stała się, jeżeli nie najważniejszą to jedną z głównych dróg łączących Polskę ze światem zewnętrznym. Wpływa na to nie tylko bliskie sąsiedztwo lecz również dobra, względnie tania komunikacja i wjazd bezwizowy. Stosunkowo nieliczne miejscowe uchodźstwo polskie pochodzi w dużym stopniu ze środowiska intelektualnego z przewagą młodzieży. Do tego należy dodać jeszcze liczne grono uchodźstwa pomarcowego, co czyni ze Szwecji nader ciekawy ośrodek polskiej emigracji o bardziej żywym i bardziej świeżym powiązaniu z krajem pochodzenia aniżeli to ma miejsce w Anglii, Ameryce czy nawet Francji. Stąd do Stockholmu wiadomości z kraju docierają nieraz szybciej, a analizy sytuacji bywają nieraz bardziej trafne niż gdzie indziej.

Wymiana poglądów pomiędzy myślącą i politycznie aktywną częścią uchodźstwa a podobnymi kołami z kraju była po wizycie Jana Pawła II szczególnie żywa. Zadziwiająca była zbieżność poglądów na zasadnicze sprawy ludzi powiązanych w ten czy inny sposób z kołami zbliżonymi do obecnego ustroju, a które nie straciły jeszcze zdolności samodzielnego i krytycznego myślenia, jak i osób związanych z demokratyczną opozycją w Polsce, czy należących do młodego pokolenia akademickiego.

Z rozmów, jakie miałem w ostatnich dniach, na wyróżnienie zasługuje jedna, która daje aktualny obraz sytuacji w Polsce po wizycie papieża a przed grudniowym zjazdem partii. Naświetlenie tego obrazu pochodzi od ludzi zorientowanych w polityce kół partyjnych.

— Pomimo liczebnego wzrostu grup, związanych z warstwą rządzącą, podstawowa część narodu znajduje się w trwałym konfliktie z władzą. Robotnicy — w obliczu szalejącej drożyzny (około 100 % w przeciągu ostatnich 3 lat) — domagają się radykalnej podwyżki płac. Z kolei chłopcy domagają się skończenia z groźbą wywłaszczenia i kolektywizacji, która wciąż wisi nad

wsią i skończenia z dyskryminacją w sprawach emerytalnych. Inteligencja zaś domaga się zarówno lepszych warunków materialnych jak i zaprzestania kneblowania ust przez cenzurę. Nawet rozbudowana ponad miarę biurokracja, której poziom życia w większości wypadków jest niższy od poziomu robotników, wykazuje niezadowolony z istniejących warunków, kiedy rządząca partia próbuje przeciw niej skierować gniew ludu.

Wizyta papieża uprzytomniła raz jeszcze grupie rządzącej, na jakim siedzi ona wulkanie.

— Polska przeżywa przewlekły, ale zaostrzający się kryzys gospodarczy i polityczny. Jak zwykle w takich sytuacjach zaczynają zamazywać się linie podziału pomiędzy członkami PZPR a resztą społeczeństwa, a tak zwane „stronnictwa towarzyszące” to jest SD a zwłaszcza ZSL usiłują zwiększyć swój margines samodzielności, zgodnie z życzeniami swoich członków. Milionowy, ogólnonarodowy charakter demonstracji, związanych z pobytem Jana Pawła II, choć treścią ich były przeżycia religijne raczej niż polityczne, wykazał zarówno siłę polskiego Kościoła katolickiego jak i izolację górnych dziesięciu tysięcy od całego narodu. Nie ulega wątpliwości, że gdyby w Polsce mogły się obecnie odbyć swobodne wybory do sejmu, to partia typu chrześcijańskiej demokracji uzyskałaby zdecydowaną większość głosów, jak to miało miejsce w Niemczech Zachodnich i we Włoszech po upadku hitleryzmu i faszyzmu.

Poza tradycyjnym przywiązaniem Polaków do kościoła i religii na obecną jego siłę złożyło się kilka dodatkowych, niezwykle ważnych czynników: nieugięta pozycja hierarchii kościelnej — zwłaszcza po październiku 1956 roku; obrona przez Kościół zarówno praw człowieka, w tym ludzi związanych z demokratycznym ruchem obrony tych praw, jak i obrona praw ekonomicznych zgodnie z zasadą „godziwej zapłaty”; dający się w Polsce zaobserwować odwrót młodzieży od materialistycznego światopoglądu oraz szukanie wartości moralnych, co w wielu wypadkach sprzyja powrotowi do religii.

Uznając tę rolę kościoła, ludzie związani z ruchem dysydemkim, przeciwstawiający się dyktatorskiej władzy, jak również z tym ruchem sympatyzujący, znajdują w demonstracjach kościelnych i obrzędach religijnych stosunkowo „najlegalniejszą” formę wyrażania swego sprzeciwu. Dotyczy to nawet ludzi z tych czy innych przyczyn należących do partii.

Siła kościoła, jednoznacznie pozytywna w swoim przeciwstawianiu się totalitarnej władzy i kierowanemu przez nią systemowi polityczno-gospodarczemu daje niewątpliwie lepsze warunki formy walki dla świeckiego ruchu demokratycznego. Tym niemniej demonstracja tej siły budzi pewne obawy u niektórych przedstawicieli tego ruchu: obawiają się oni mianowicie że mogą się dostać pomiędzy dwa kamienie młyńskie: totalitarną władzę i potencjalne możliwości fali religijnego fanatyzmu, co może zdecydować o braku miejsca dla pluralistycznego rozwoju społeczeństwa, a co jest celem tej opozycji. Chociaż nic nie wskazuje na

to, by w Polsce istniał kandydat na polskiego Komeiny'ego, dobrze byłoby aby te obawy były przez kościół autorytatywnie zażegnane. Tym bardziej, że partyjna propaganda usiłuje szermować tym argumentem w środowiskach inteligencji i młodzieży.

Demonstracja wpływów i zdolności organizacyjnych Kościoła, głównego obecnie antagonisty rządzącej elity władzy zwiększyła istniejące w kierownictwie PZPR spory wokół metod wyjścia z obecnego kryzysu. Chodzi tu o taktykę walki o zachowanie pełnej władzy w Polsce. Zgodnie z dotychczasową praktyką szuka się pewnych osób, które można by rzucić na pożarcie masom, zrzucając na nie winy za „błędy i wypaczenia”. Nikt jednak nie chce dobrowolnie wziąć na siebie tej roli, wszyscy natomiast chcieliby skorzystać ze zdobytego w ten sposób — choćby krótkotrwałego — „kredytu zaufania”, aby skonsolidować system i zająć w nim pozycje.

Po grudniu 1970 roku krążył w Warszawie dowcip: pytanie: — jaka jest różnica między Gierkiem a Gomułą? Odpowiedź: — żadna. Tylko że Gierek jeszcze o tym nie wie.

Należy przypuszczać, że obecny I-szy sekretarz zaczyna już sobie z tego zdawać sprawę, jako że opozycja wobec niego w partii posługuje się w stosunku do niego takimi samymi metodami, jak w swoim czasie wobec Gomułki. Także wtedy atakowano nie bezpośrednio I-go sekretarza ale jego najbliższych współpracowników w celu usunięcia ich z kluczowych stanowisk i obsadzenia ich nowymi ludźmi w Biurze Politycznym i Sekretariacie. I w taki to „demokratyczny” sposób najpierw sparaliżować, a potem możliwie łagodnie usunąć I-go sekretarza i zająć jego miejsce. Dlatego obecnie ataki idą głównie pod adresem Jaroszewicza i Babiucha (już przedtem wymanewrowano Szydłaka).

Gierek objął władzę w warunkach rozbicia rządzącej elity na kilka frakcji, które w obliczu groźnej dla partii sytuacji zdecydowały się „zamrozić” ową frakcyjną walkę na dziesięć lat. Sam Gierek obiecał publicznie (na sławnym zebraniu stoczniovców w Szczecinie), że będzie tym który sam i dobrowolnie zrezygnuje ze swego stanowiska. Niewiele już zostało czasu, a mający się odbyć przed końcem br. dziesiąty zjazd PZPR powinien ujawnić wyniki „tajnej” wojny wewnątrzpartyjnej, która wrze już z dużą siłą.

Każda z tych frakcji usiłuje zdobyć poparcie albo przynajmniej życzliwą neutralność „wielkiego brata”, zdając sobie sprawę, że w ramach doktryny Breżniewa bez zgody ZSSR nie można marzyć o zdobyciu kierowniczej pozycji w PZPR. Każda z nich chce utrzymać i wzmocnić władzę partii nad narodem wszystkimi środkami, nie wyłączając nawet w razie potrzeby masowego terroru. Różnice pomiędzy tymi frakcjami to — poza personami — tylko akcenty: mniej lub więcej centralizmu, mniej lub więcej chwilowych ustępstw dla społeczeństwa na froncie politycznym, gospodarczym, kulturalnym, prawnym, religijnym, itp.

Głównym przeciwnikiem Gierka jest w chwili obecnej niewątpliwie S. Olszowski, który cieszy się poparciem Breźniewa jako inicjator tzw. integracji polityki zagranicznej bloku sowieckiego w okresie, gdy sprawował funkcję ministra spraw zagranicznych PRL. Kiedy po *debacle'u* w latach 1976 powierzono Olszowskiemu w Sekretariacie sprawy gospodarcze, niewątpliwie, aby go skompromitować i przerzucić na niego winę za nadchodzący kryzys, Olszowski zręcznie wywinął się z pułapki, przedstawiając na zebraniu Biura Politycznego bardzo pesymistyczną ocenę sytuacji gospodarczej PRL i rozpowszechniając wszystkimi możliwymi kanałami tę swoją ocenę. Jako najmłodszy członek władz ma nadzieję — w najgorszym wypadku — na biologiczne przeżycie swoich konkurentów. Niegdyś Olszowski był szefem „trustu mózgow” przy Moczarze i kierował w marcu 1968 roku całą akcją podległych mu wówczas środków masowego przekazu. Szybko jednak potem porzucił Moczara, kiedy Gomułka awansował go stanowisko partyjne równe Moczarowi. Za nowy awans, na członka Biura Politycznego i Sekretariatu opuścił z kolei Gomułkę w 1970 roku.

Obecnie liczy Olszowski na zajęcie stanowiska premiera, który w ramach systemu odpowiada na sprawy gospodarcze. Stąd już tylko krok będzie go dzielił od celu. Jeśli uda mu się sprowadzić do kierownictwa partyjnego odpowiednią ilość swoich zwolenników, to będzie mógł „demokratycznie” uzależnić od siebie I-go sekretarza, póki go nie zastąpi.

W obliczu zbliżającego się zjazdu walka już się zaczęła, ściślej mówiąc walka o delegatów na zjazd, a przedtem walka o delegatów na konferencje partyjne wszystkich szczebli. Olszowski, dobry organizator, mający „rozstawionych” swoich zwolenników i przyjaciół w wielu instytucjach, ma nadzieję reprezentowania poważnego bloku głosów na zjeździe. W sporach międzyfrakcyjnych zajmuje on stanowisko pojednawcze, akcentując konieczność konsolidacji w obliczu rosnących trudności gospodarczych i politycznych oraz niebezpieczeństwa rozkładu w dołach partyjnych a także wśród partyjnej inteligencji, nie mówiąc już o wroście sił opozycyjnych.

Nie jest pewne czy Olszowskiemu jego plany udadzą się, ponieważ Gierek też umie rozgrywać sprawy personalne, jak to wykazał na przykładzie Moczara i Szlachcica a nawet samego Olszowskiego. Nie jest wykluczone, że spróbuje przeciwstawić mu Karkoszkę. Alojzy Karkoszka, obecny reprezentant grupy warszawskiej zrobił, podobnie jak o dwa lata od niego starszy Olszowski, szybką karierę. Wystartował on w roku 1960 jako II-gi sekretarz Komitetu Warszawskiego. Jako zwolennik ostrego kursu wobec społeczeństwa korzysta z poparcia wszystkich instytucji podległych MSW. Gdyby Karkoszka zajął fotel po Jaroszewiczu, Olszowski musiałby jeszcze poczekać i dalej snuć swoje intrzygi w oczekiwaniu na pozycję „Pierwszego”.

Niezależnie jednak od rozgrywek na szczycie, stan, w jakim znajduje się polskie społeczeństwo, rzutuje na partię i jej pod-

stawowe organizacje. Ferment, zwłaszcza wśród partyjnej inteligencji, zarówno humanistycznej jak i technicznej, jest duży. Wydaje się, że wykułwa się jeszcze jakaś zorganizowana forma działania w grupie skupionej wokół Ochaba, która po jednorazowym zmanifestowaniu swojej platformy pograżyła się w dwuznaczne milczenie.

— A przecież w sytuacji gdy ani Kościół, ani laicy kontestatorzy nie atakują kierowniczej roli partii, a jedynie dążą do ograniczenia jej władzy i humanizacji systemu — ogromna odpowiedzialność spoczywa na tych członkach partii, którzy uświadamiają sobie rozmiar katastrofy grożącej Polsce, gdyby nie poczyniono narodowi żadnych ustępstw.

Powyższe poglądy pochodzące ze sfer lewicowych zasługują na uwagę. Podkreślanie przez nich historycznego w obecnej chwili znaczenia Kościoła w Polsce i opinia że w Polsce zapanowałaby ustrój chadecki gdyby dzisiaj odbyły się wolne wybory, jest rewelacyjna.

Czy i w jakim stopniu wyzyskana może być dla przyszłości kraju demonstracja siły społeczeństwa, jaka miała miejsce w czasie wizyty Jana Pawła II? Jak widziana jest sytuacja w kołach opozycji laickiej i wśród aktywnych członków opozycji katolickiej? Mielśmy możliwość rozmawiania w ostatnich dniach z ludźmi przybyłymi z Polski należącymi do tych kół. Wydaje się, że zmian jakie można było oczekiwać dla społeczeństwa po tej niepowtarzalnej demonstracji siły i dyscypliny społecznej nie będzie. Opozycja demokratyczna podzielona jest na różne grupy, brak jej skoordynowanego i jednolitego działania. Działacze duchowni i laicy opozycji udali się na zasłużony wypoczynek i rozjechali po kraju. Możliwość wywierania w kulisach partii wpływu na mianowanie w kierownictwie partii i rządu przy nadchodzących zmianach, chociażby nielicznych osób skłonnych do współpracy ze społeczeństwem zostanie zaprzepaszczona wobec braku koordynacji w działaniu kościoła i laickiej opozycji. Znakomita i niepowtarzalna okazja może być zatem zmarnowana. W polskim kościele katolickim odczuwa się nieobecność Wojtyły.

Trzeba również pamiętać, że Paweł VI określił granicę wieku dla pełnienia urzędu przez biskupów i kardynałów. A kardynał Stefan Wyszyński zbliża się do 80-łki. Toteż w kołach katolickich zaczyna się dyskusja na temat sukcesji.

W dzisiejszej ciężkiej sytuacji Polski a skomplikowanej międzynarodowej, potrzebny jest Polsce jeszcze bardziej niż kiedykolwiek przywódca duchowy na miarę Wyszyńskiego i Wojtyły. Czy istnieje taka postać w obecnym Episkopacie Polskim? W tym aspekcie nabiera znaczenia odpowiedź Jana Pawła II podobno udzielona w Krakowie na pytanie czy przewidziany już jest następcą na stanowisko prymasa? Papież miał odpowiedzieć: „Nie spekulujcie, jeszcze za wcześnie! Nie wykluczam rozwiązania krakowskiego”.

Obecny metropolita krakowski został wybrany przez papieża

spoza grona najwyższej hierarchii polskiego kościoła. Takie rozwiązanie otworzyłoby perspektywę uzyskania przez Polskę Prymasa na miarę potrzeb nadchodzącej epoki.

Norbert ŻABA

Stockholm w sierpniu 1979.

Życie codzienne w PRL

I. Potrzeba opisu

Wybitni badacze systemu totalitarnego panującego we współczesnej Polsce a potocznie nazywanego socjalizmem, więcej zwracają uwagi poświęcając zjawiskom ogólnym niż opisowi codzienności. Wiadomo, że człowiek w Polsce poddawany jest nieustannemu naciskowi gospodarczemu, propagandowemu i socjalnemu, lecz opis tych nacisków przeprowadzany jest na ogół w skali makro, „z lotu ptaka”, bez uwzględniania tzw. drobiazgów życiowych. Dzieje się tak we wszystkich dziedzinach: w ekonomii, socjologii, publicystyce społecznej i politycznej, a nawet w literaturze pięknej, która chętniej sięga do uogólniających metafor niż do drobiazgowego opisu. Z tej perspektywy nieocenionym wprost wyjątkiem jest znakomity poemat Stanisława Barańczaka pt. „Sztuczne oddychanie” od kilku lat krążący w kraju w maszynopisowych odpisach, ostatnio zaś wydrukowany za granicą nakładem *Aneksu*. Jednakże w takich utworach również niemożliwe jest zbyt drobiazgowo zajęcie się tzw. codzienną rzeczywistością.

Z kolei jeśli chodzi o prasę krajową, zarówno oficjalną jak i wydawaną poza zasięgiem cenzury, to nie jest ona w stanie podjąć takiego opisu. Po pierwsze dlatego, że o ile jeszcze może opisywać poszczególne wycinki życia, to z przyczyn zasadniczych (cenzura) nie może opisać całości — dopiero lektura kilku roczników takich pism jak *Polityka* czy *Kultura* pozwala się zorientować plus-minus w ogólnym obrazie, lecz takie układanie kamyków reporterskiej mozaiki jest zajęciem niezwykle żmudnym. Z kolei prasa niezależna nastawiana jest bardziej na spełnianie doraźnych funkcji interwencyjnych niż na systematyczny opis całości życia społecznego; ponadto zaś jej możliwości ograniczone są przez trudności techniczne, konieczność oszczędności papieru itp. — w rezultacie zajmuje się ona sprawami najbardziej aktualnymi.

Jako dziennikarka od lat parająca się w prasie oficjalnej zagadnieniami codzienności czuję się upoważniona do zabrania

głosu na ten temat; tym bardziej, że prowadzę życie kobiety zarabiającej przeciętnie i skazanej na podobne użeranie się z trudnościami jak każdy tzw. „szary obywatel” naszego kraju. Mieszkam w dużym mieście wojewódzkim, ale z racji mego zawodu jeżdżę po całym kraju, mam więc możliwość porównania warunków panujących we wszystkich regionach. Obraz, który przedstawiam poniżej jest charakterystyczny dla życia w dużych skupiskach miejskich — Warszawie, Krakowie, Poznaniu, Wrocławiu czy Katowicach. W małych miasteczkach prowincjonalnych i na wsiach jest jeszcze gorzej.

II. Nie tylko etat

Wśród około 40 młodych (około 30 lat) małżeństw przeprowadziłam w zeszłym roku ankietę mającą na celu zorientowanie się w tym, z czego ci ludzie żyją. W ponad trzydziestu małżeństwach pracują oboje, w kilku pracuje tylko mąż; w tym drugim wypadku zarobek męża jest całkowicie wystarczający na pokrycie wydatków, lecz jest to z reguły praca wyjątkowo dobrze płatna — wzięty dziennikarz, aktor, wyjątkowo zdolny inżynier czy naukowiec. W pozostałych wypadkach prawie zawsze płace z etatów obojga małżonków są niższe od ich potrzeb finansowych. Powstaje zatem konieczność dorabiania „na boku”. Najczęściej są to prace zleczone w tej samej instytucji, w której się pracuje. Praktyka „prac zleconych” jest w Polsce bardzo rozwinięta, często są to prace, które można wykonywać we własnym przedsiębiorstwie (niejednokrotnie umowę podpisuje się podstawiając kogoś znajomego) i, mimo że jest to oficjalnie zabronione, wykonuje się je w godzinach pracy, przy czym kierownictwo przyzyka oczy na takie praktyki. Częściej jest to praca, którą trzeba wykonywać w domu. Zarobki osiągnane w ten sposób stanowią coś w rodzaju drugiej pensji (nierzadko wyższej od pierwszej, oficjalnie pobieranej co miesiąc). Konieczność dorabiania „na boku” stanowi poważne ograniczenie czasu teoretycznie przeznaczonego na odpoczynek, powoduje permanentne przemęczenie. Innym sposobem dorabiania do pensji jest udzielanie korepetycji. Wiele małżeństw korzysta z pomocy finansowej rodziców.

Przy omawianiu tego tematu należy pamiętać, że w Polsce dla młodego małżeństwa przedmiotem swoistego luksusu są takie przedmioty codziennego użytku jak dobra lodówka (ponad 2 przeciętne pensje), dobry telewizor (2-2½ przeciętnej pensji), dobry garnitur męski (1 przeciętna pensja), nie mówiąc już o takich luksusach jak dobry zachodni sprzęt stereofoniczny (ok. 10 przeciętnych pensji) czy mały fiat (ok. 25 przeciętnych pensji). Dla porównania — tani nowy samochód kosztuje na Zachodzie ok. 5 miesięcznych pensji, zaś porządny garnitur kupić można po 25-30 godzinach pracy, przy czym podstawą obliczenia jest płaca robotnika niewykwalifikowanego (34 dolary USA za godzinę).

Przeciętną płacę w Polsce obliczam na ok. 4.000 zł miesięcznie.

III. Praca, zakupy, zaopatrzenie

Młode małżeństwa otrzymują mieszkania najczęściej w nowych osiedlach usytuowanych daleko od miejsca pracy, na obrzeżach miast. Dojazd do pracy trwa przeciętnie 45 minut do 1½ godziny, tyle samo czasu przeznaczają na powrót. Ze względu na olbrzymie braki w taborze komunikacyjnym jedzie się do pracy w niebywałym tłoku, wraca w jeszcze większym. Zniknęły już co prawda słynne „winogrona” w autobusach i tramwajach, lecz jest to jedynie efektem postępu technicznego — kierowca i motorniczy nie mają prawa ruszyć z przystanku jeżeli nie zamkną się automatyczne drzwi pojazdu. Tłum w autobusach i tramwajach w godzinach szczytu i tak dwukrotnie przekracza nominalną pojemność pojazdu. Ludzie jadą rozdrażnieni, w napięciu, częste są kłótnie wywoływane o najmniejsze nawet drobiazgi. W czasie dojazdów do pracy i powrotów narasta w ludziach agresja, którą we wszelki możliwy sposób starają się wyładować na bliźnich.

Ponieważ w nowych osiedlach mieszkaniowych jest źle rozwiązana sieć zaopatrzenia — brak przede wszystkim sklepów spożywczych, a te z reguły posiadają dużo mniejszy asortyment towarów niż w centrum — zakupy najczęściej dowozi się z miasta. Jeżeli to możliwe, stara się je robić w godzinach pracy (dotyczy to zwłaszcza urzędów, redakcji, biur projektowych itp.), w większości wypadków jednak robi się je po pracy. W stosunkowo dobrze zaopatrzonych w mięso sklepach komercyjnych stoi się w kolejce od 30 minut, często dużo dłużej, do godziny — przy czym zakup takich delicji jak np. cielęcina należy do ewenementów. Zakupy w samoobsługowym sklepie spożywczym (bez mięsa) trwają w godzinach sklepowego szczytu ok. 50 minut, często dłużej. Odbywa się istne polowanie na takie artykuły jak świeże jaja, w Krakowie brakowało niedawno masła i oliwy, często brak świeżego pieczywa, bardzo duże niedobory występują (nawet w sezonie) w zaopatrzeniu w owoce, warzywa i sery. Zdobycie bez kolejki jakiegś wędliny jest czystą utopią.

Po zrobieniu zakupów z pełnymi siatkami — tradycyjnie wciąż jeszcze obowiązkiem tym obciążone są kobiety — wsiada się do przepełnionego do granic możliwości autobusu czy tramwaju. W sklepie osiedlowym najczęściej dokupuje się towary, o których się zapomniało w mieście, lub które prawem przypadku znajdują się akurat w tym sklepie, zaś w centrum ich brak.

Wybór artykułów spożywczych jest tak ograniczony, że porównywanie tego z wyborem w przeciętnym sklepie spożywczym na Zachodzie zakrawa na kpinę. Niedawno w jednym z małych miasteczek wpadłam do sklepu spożywczego. Naliczyłam: 5 rodzajów makaronu, ser żółty, ser biały, jajka chłodnicze drugiego gatunku (małe), trzy rodzaje serków topionych, 5 gatunków dżemu, sok

owocowy, jeden rodzaj herbaty („Popularna” — składa się głównie z jakiegoś pyłu herbacianego — listki należą do rzadkości), kilka rodzajów konserw rybnych i zup w proszku, cukier, czerstwy chleb, kasza jęczmienna, parę innych drobiazgów i... 16 (szesnaście) gatunków wódek. Poszukiwałam kawy, której, rzecz jasna, nie było.

Nie wiedzieć dlaczego absolutnie znikły z handlu takie artykuły mięsne jak wątróbki, płucka, nerki, wszelkiego rodzaju podroby, a więc produkty stosunkowo tanie i mogące stanowić bazę żywieniową dla rodzin skromniej zarabiających.

Byłoby bez wątpienia ciekawostką przewiezienie na Zachód niektórych artykułów spożywczych, zwłaszcza konserw i oddanie ich do zbadania w jakimś instytucie żywienia. To co sprzedaje się jako konserwy mięsne w Polsce jest fascynującą wielu ludzi zagadką.

IV. Nowe mieszkanie czyli kłeska żywiołowa

Otrzymanie — po 10 lub nawet 12 latach oczekiwania — nowego mieszkania jest jednocześnie dużą radością i kłeską. W ramach ulubionych przez władze prac społecznych ludzie zasiedlający nowe domy zaczynają dostosowywać mieszkania do swoich potrzeb. Po pierwsze usuwają w mozołe resztki gruzu, pracowicie zdrapują rozchlapany cement, farbę itp. Po drugie muszą w trybie natychmiastowym uszczelnić okna i drzwi, jak również sprawić sobie autentyczny zamek. Po trzecie polują na rzemieślników, aby ci przestawili niefunkcjonalnie zamontowane kaloryfery, zlewozmywak i kuchenkę gazową. Wszystko to, oczywiście kosztuje, i to niemało.

Ale są to dopiero miłe złego początku. Rozpoczyna się polowanie na meble. Jest stół kuchenny, lecz nie ma do niego krzesła. Potem są krzesła, co prawda nie od kompletu, ale trudno, trzeba kupować to, co akurat jest „na składzie”. Przed sklepami czy, jak to dumnie nazywa prasa, „salonami” meblowymi formują się długie kolejki — w dniu, na który zapowiedziano „rzucenie” jakiegoś poszukiwanego typu mebli, kolejki ustawiają się od rana: rośnie spekulacja, powstał nawet „zawód” polegający na odpłatnym stanie w tego typu kolejkach. Umeblowanie i w ogóle doprowadzenie mieszkania do stanu używalności trwa przeciętnie 1-1½ roku. Ważne przy tym jest to, że absolutnie nie można ułożyć sobie sensownego planu wydatków, kupuje się bowiem to, co akurat — prawem przypadku — znalazło się na rynku. Ludzie motają się w długich zmuszeni przez sytuację do zaciągania niespodziewanych pożyczek. Jest to jednak i tak sytuacja dla młodego małżeństwa dużo znośniejsza niż poprzednia, gdy w oczekiwaniu na własne mieszkanie żyło ono w mieszkaniu wynajętym: ceny wynajmu mieszkań przekroczyły już bowiem wszelkie granice przyzwoitości — pokój z kuchnią w Kra-

kowie, Wrocławiu czy Warszawie kosztuje obecnie do 4 tys. zł. miesięcznie, co stanowi równowartość średniej płacy.

V. Dzieci

Dziecko dla młodego małżeństwa jest też swego rodzaju klęską żywiołową. Często pojawia się jeszcze przed zdobyciem mieszkania. Nie muszą chyba pisać o koszmarze mieszkania we troje w jednym wynajętym pokoju.

Ale nie to jest największym problemem, choć trzeba przyznać, że pojawienie się dziecka w tych warunkach bardzo często staje się przyczyną rozwodu. Nie tak dawno jeszcze *Życie Warszawy* prowadziło głośną akcję zmierzającą do właściwego zaopatrzenia rynku dla niemowląt („Niemowlę też człowiek” — odkrycie godne drugiej połowy dwudziestego stulecia). Akcja minęła, problemy pozostały nierozwiązane. Problemem jest wszystko — zdobycie pieluszek, właściwej mieszanki mlecznej, wózka, ubranek, oliwki, smoczków, zasyпки, podgrzewaczy do butelek. Można by tę wyliczankę właściwie ciągnąć w nieskończoność.

Kto ma rodzinę na Zachodzie lub sam może tam wyjechać — ściąga co tylko się da. Ponadto szereg artykułów dla niemowląt można kupić w PEWEX-ie. Zaczyna się więc polowanie na dolary (ok. 130 zł. = 1 dolar) co kosztuje mnóstwo zachodu, nie mówiąc o pieniądzech.

Oczywiście, jak ze wszystkim innym, można sobie — bo trzeba — z tym jakoś poradzić. Do pomocy rusza bliższa i dalsza rodzina, przyjaciele, znajomi. Najczęściej dzieje się tak, iż niektóre przynajmniej artykuły, takie jak wózek, podgrzewacz czy ubranka otrzymuje się „w spadku” pod dziećmi znajomych, które już z nich powyrastały. Ten łańcuch samopomocy niemowlęcej jest już od dawna znakomicie rozwinięty i rozpoczyna funkcjonowanie jeszcze przed przyjściem dziecka na świat.

Kolejny problem to zdobycie miejsca w żłobku lub w przedszkolu. Koszmar braku tych miejsc zwłaszcza w większych miastach nie da się z niczym porównać, tym bardziej, że miejsce w prywatnym przedszkolu, których sieć rozwija się coraz potężniej, kosztuje 2.000 zł. miesięcznie, jest więc wydatkiem, na który zbyt wielu ludzi nie stać. Nie każdy zaś z kolei ma do pomocy babcię-emerytkę czy kogoś innego z rodziny, kto może się dzieckiem zaopiekować. W związku z tym kobiety biorą trzyletnie urlopy bezpłatne. Powoduje to dalsze obciążenie mężczyzn pracami zleconymi i innymi formami dodatkowych zarobków — w końcu wymagania rodziny zwiększyły się z chwilą przyjścia dziecka na świat w sposób silnie odczuwalny.

VI. Życie kulturalne

Jak już pisałam, nowowyprowadzone osiedla położone są na ogół dość daleko od centrum. Są też one pozbawione kin i tea-

trów, w związku z czym pójście do teatru czy nawet obejrzenie filmu wiąże się z odbyciem dalekiej wyprawy. Kończy się więc najczęściej, zwłaszcza w powiązaniu z permanentnym przemęczeniem, ciągłym brakiem czasu i w dodatku koniecznością polowania na bilety, oglądaniem programu telewizyjnego. Poziom tego programu w zasadzie nie wymaga komentarza — jest to przetrza-papka filmowo-propagandowa. Przysnąć jednak należy, że jest kilka programów (np. Teatr Telewizji), które stoją na ogół na dość wysokim poziomie. Najważniejsze jest to, że programy ambitne i rzeczywiście interesujące nadawane są w godzinach późnych lub wtedy, gdy na drugim programie nadawana jest pozycja o silnej konkurencyjności (np. mecz piłki nożnej). Sytuacja na rynku księgarskim jest taka, że praktycznie zdobycie jakiegokolwiek dobrej książki jest dla kogoś, kto nie ma „zaprzyjaźnionej” księgarni, niemożliwe. Dotyczy to zarówno książek autorów krajowych, jak i zagranicznych, tak prozy fabularnej, jak tomu wierszy czy dzieła filozoficznego. Faktem jest, że w Polsce występuje ogromny głód słowa drukowanego. Wartościowe pozycje, zwłaszcza z dziedzin humanistycznych, znikają w ciągu jednego-dwóch dni.

To samo dotyczy gazet. Po godzinie od ukazania się *Przekroju* czy *Polityki* znikają one z kiosków jak kamfora. W ogóle nie widuje się w sprzedaży takich gazet jak *Literatura na Świecie*, *Więź* czy *Znak* lub *Tygodnik Powszechny* — sprzedawane one są, tak jak i *Twórczość*, niemal wyłącznie spod lady. Wielokrotnie już mówiono i pisano o potrzebie zwiększenia nakładu niektórych pism i powtarzania wydań najważniejszych pozycji książkowych, sprawa nie wymaga więc wielu dodatkowych komentarzy. Na jeden jednak aspekt tego zagadnienia chciałabym koniecznie zwrócić uwagę. Chodzi mi przede wszystkim o wielkonakładowe cechy zalegające latami półki księgarskie. To są dosłownie setki, może nawet tysiące pozycji pochłaniających góry papieru, którego w Polsce rzekomo brak na wydawanie książek np. Marka Nowakowskiego. Różne broszury propagandowe, przemówienia wodzów partii komunistycznych, trzeciorzędna literatura lub nawet wręcz grafomania, nieproporcjonalna do ich wartości ilość przekładów z literatury rosyjskiej — to wszystko wygląda na świadome i planowe dążenie do unicestwienia kultury polskiej. Byłoby na pewno rzeczą pouczającą obliczenie ilości papieru pożeranej przez tego rodzaju publikacje.

I raz jeszcze chciałabym podkreślić fakt, że wszystko o czym tu piszę, dotyczy większych miast. Na prowincji jest dużo gorzej, często można mówić o sparaliżowaniu wszelkich przejawów życia kulturalnego.

VII. Polityczny klajster

Zatomizowane, wyzbyte spontaniczności i autentyzmu życie społeczne w Polsce lat siedemdziesiątych zanurzone jest w politycznym klajstrze, w jakiejś lepkiej cieczy propagandy, w której

to wszystko pływa w sposób nieuporządkowany, przypadkowy i pozbawiony jakiegokolwiek sensu. Nie mówię tu o małych grupkach ludzi zdecydowanych na aktywne przeciwstawienie się panującemu stanowi rzeczy. Mówię o codziennym życiu milionów ludzi vegetujących z dnia na dzień bez poczucia trwałości i ciągłości swego losu, niepewnych tego, co zdarzy się za tydzień, przepełnionych nieukierunkowaną agresją, bojących się załatwić najprostsza sprawę w najmniejszym urzędzie. Ci ludzie, nawet jeśli wiedzą o działalności opozycji, nie są jej zwolennikami — co najwyżej kibicują jej z kaprysami kibica sportowego, który w razie zwycięstwa „swojej” drużyny będzie ją wynosił pod niebiosy, gdy zaś ona przegra, zwróci swe zainteresowanie w innym kierunku. Tacy właśnie ludzie stanowią o klimacie życia w Polsce.

Są oni zanurzeni w tym lepkiem kłajstrze propagandy, który na co dzień ich otacza w mniej lub bardziej widoczny sposób. Ten kłajster to nie tylko partyjna propaganda we wszystkich środkach przekazu. To również pokiereszowana, zniekształcona mowa, która zionie z prasy, radia i telewizji, jakiś bełkot przejmowany przez masy, bełkot, w którym często brak podmiotu i orzeczenia, w którym słowa pozbawiane są znaczeń i sensów. Ten bełkot staje się ich sposobem porozumiewania się. Wystarczy przypomnieć coroczne przerażenie poziomem maturalnych wypracowań z polskiego czy lamentsy dotyczące umiejętności poprawnego wystawiania się kandydatów na wyższe uczelnie (nawet na polonistykę). Przeciętny maturzysta mówi nie swoim językiem, nie potrafi napisać nic „od siebie”, wystawia się kalkami językowymi, gotowymi sztancami. Coraz większa ilość ludzi zamiast jeść — „konsumuje”, w sprzedaży pojawiają się artykuły o jakichś fantastycznych nazwach („trójkąt męski” — slipy, „zwis” — lampa itp.), powstają jakieś „fronty robót”, daje się „odpór”, „zabezpiecza” się pomoc itd.

To wszystko nie jest zabawne, choć często może brzmieć humorystycznie. Rozkładowi ulega podstawowe spoivo, jakim jest naturalny język. Zastępuje go rodzaj „nowomowy” o jakim nawet się Orwellowi nie śniło. To już nie jest tylko zniekształcenie języka, to jego zmiążdżenie przez ciśnienie propagandy ujednoliciącej wszystko.

Jadwiga KWIATKOWSKA

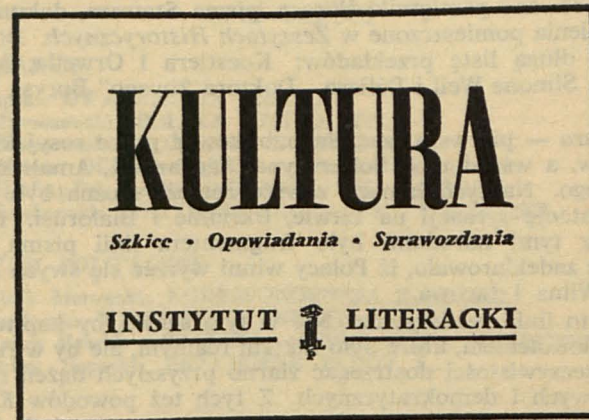
Zakopane, dn. 16 czerwca 1979.

Krajowe wydanie «Kultury»

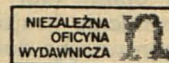
Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWa wydała ostatnio wybór z rocznika 1978 r. Kultury. Nie ukrywamy że jest to dla nas duża

przyjemność i satysfakcja. Zamieszczamy poniżej kliszę okładki, wstęp „Od Wydawcy” i spis treści wyboru.

Wybór zrobiony jest inteligentnie i niewątpliwie daje sylwetkę pisma.



wybór z rocznika 1978



OD WYDAWCY

Kultura ukazuje się od trzydziestu dwóch lat. Jest pismem zasługującym na oddzielną monografię; pismem, które ma już swoją historię i swoją legendę. Towarzyszy polskiej inteligencji poprzez wszystkie jej dole i niedole wraz z książkami i ich charakterystyczną okładką. Miarą znaczenia tego pisma i wydawnictwa — tropionego przez urząd celny i służbę bezpieczeństwa — może być lista książek i autorów, których obecność w polskim życiu umysłowym zawdzięczamy podparyskiej, kilkuosobowej, re-

dakcji. Długa to lista. Widnieją na niej m.in. nazwiska i dzieła Gombrowicza, Miłosza, Kołakowskiego, Hostowca, Herlinga-Grudzińskiego, Vincenza, Czapskiego, Jeleńskiego, Hirszowiczowej, Wierzyńskiego, Bienkowskiego, Hłaski. *Kulturze* zawdzięczamy niecenzurowane pamiętniki Witosa, pisma Stawara, dokumenty i wspomnienia pomieszczone w *Zeszytach Historycznych*. Dodajmy do tego długą listę przekładów: Koestlera i Orwella, Arona i Camusa, Simone Weil i Dżilasa, „Doktora Żiwago” Borysa Pasternaka.

Kultura — pierwsza! zaczęła publikować prace rosyjskich dydydentów, a wśród nich Sołżenicyna, Sacharowa, Amalrika i Siniawskiego. Na tych łamach zawsze znaleźć można było obfitą dokumentację sytuacji na Litwie, Ukrainie i Białorusi. Porozumienie z tymi narodami było fragmentem linii pisma, które pierwsze zadeklarowało, iż Polacy winni wyrzec się swych aspiracji do Wilna i Lwowa.

Była to linia realistyczna. Nie w tym sensie, by kapitulować przed zniewoleniem, które było faktem realnym, ale by w realiach nowej rzeczywistości dostrzegać ziarno przyszłych dążeń niepodległościowych i demokratycznych. Z tych też powodów *Kultura* przeciwna była kontynuowaniu „państwa na wygnaniu”. Od samego początku formułowała postulat kontaktu z krajem tzn. z tymi środowiskami, które tu, nad Wisłą, zmierzały do poszerzenia zakresu swobód demokratycznych. Jednocześnie podkreślano na tych łamach, że „Polska nie kończy się nad Wisłą”, że emigracja jest trwałym elementem polskiej społeczności.

Oskarżano *Kulturę* na emigracji o kryptokomunizm, a w krajowej prasie — o agenturalne związki z wywiadami USA, RFN itd. Gdy w 1968 roku potępiono w piśmie antysemicką kampanię — doszło do oskarżenia o syjonizm.

Powiedzmy krótko: w znacznej mierze paryskiej *Kulturze* właśnie zawdzięcza polska inteligencja przechowanie ciągłości myśli politycznej, nonkonformistyczny model kultury narodowej, „hamburską giełdę” postaw i wartości.

Nie jest to laurka — *Kultura* często bulwersuje i wzbudza sprzeciw. Wiele sądów i opinii tam pomieszczonych cechuje słaba znajomość i niezrozumienie krajowych realiów. Uświadomić sobie jednak należy, porównując dokonania emigracji współczesnej z tą „Wielką”, XIX-towieczną, że tamta emigracja miała swoich „wieszczów”, ale nie miała swojej *Kultury*. Autor tych słów widział z bliska jak skromnie, wręcz ascetycznie, żyją ci mniemani „agenci wszystkich wywiadów”, jak ofiarnie, często w osamotnieniu pracują nad konstytuowaniem swego dzieła.

Linie *Kultury* prezentował swą publicystyką Juliusz Mieroszewski (do śmierci w 1976 roku) i Gustaw Herling-Grudziński. Wyznaczał tę linię zawsze redaktor pisma — Jerzy Giedroyc. Najbliższymi współpracownikami Redaktora byli — przez cały okres istnienia pisma Zofia i Zygmunt Hertzowie.

Niniejszy wybór jest nie tylko propozycją pasjonującej lektury dla krajowego czytelnika; jest również świadectwem wdzięczności

polskiej opozycji demokratycznej wobec tych kilku osób, bez których wysiłku polskie życie umysłowe byłoby tylekroć uboższe.

SPIS TREŚCI

OD WYDAWCY

Józef Czapski: DWADZIEŚCIA PIĘĆ LAT
 Juliusz Mieroszewski: POLSKA „OSTPOLITIK”
 Juliusz Mieroszewski: ROZMOWY Z MŁODYMI
 Czesław Miłosz: OGRÓD NAUK — POLONISTYKA
 Gustaw Herling-Grudziński: DZIENNIK PISANY NOCĄ
 Leszek Kołakowski: POMYŚLNE PROROCTWA I POBÓŻNE...

ARCHIWUM POLITYCZNE

Dominik Morawski: KORESPONDENCJA Z RZYMU
 Brukselczyk: WIDZIANE Z BRUKSELI
 Zbigniew Byrski: STRATEGIA AFRYKAŃSKA SOWIETÓW
 Zbigniew Rapacki: PRZYJEMNE ŻŁUDY I...

KRAJ

Józef Lewandowski: POZA AKUMULACJĄ I SPOŻYCIEM

SĄSIEDZI

Bohdan Osadczyk: UKRAINA — 60 LAT
 KATOLICY W ZSSR
 Adam Kruczek: W SOWIECKIEJ PRASIE

KSIĄŻKI

Bronisław Lasocki: ŹRÓDŁA I TAMA
 INDEKS autorów i tematów *KULTURY* za rok 1978.

Kronika

POWSTANIE „RUCHU MŁODEJ POLSKI”

Na dzień 27, 28, 29 lipca środowisko pisma młodych *Bratniak* zwołało spotkanie młodzieży studenckiej z różnych miast polskich w celu odbycia czegoś w rodzaju rekolekcji, dni skupienia i dyskusji w miejscowości Huta Kalna, ok. 20 km. od Starogardu w woj. gdańskim, w kościele tej miejscowości i w plebanii. Spotkanie to miało doprowadzić do stworzenia niezależnego ruchu młodych w Polsce. Już przed 26 lipca obserwowano

wzmoczone operacje i zgrupowania milicji w tej miejscowości oraz w Gdańsku, np. w okolicy miejscowości Huta Kalna zaobserwowano około 10 samochodów milicyjnych, w tym budy milicyjne, gaziki, radiowozy, a także mundurowe ZOMO (Zmotoryzowane Oddziały Milicji Obywatelskiej), ponadto biegali tam poprzebierani za sportowców w dresach sportowych milicjanci, którzy okazali się milicjantami później, gdy pojawili się w Komenadach Milicji, gdzie znajdowali się zatrzymani studenci.

Rewizje rozpoczęły się 26 lipca w Gdańsku — u Macieja Grzywaczewskiego, u Mirosława i Bożeny Rybickich, u Piotra Dyka, Aleksandra Hala. W tych mieszkaniach zatrzymano rozmaite osoby, zatrzymywano również na ulicach i w okolicy Huty Kalnej, w sumie zatrzymano 22 osoby. Siedzieli po 48 godz. 3 osoby ponad 50 godz. 1 osoba 10 godzin. Oto nazwiska zatrzymanych: Aleksander Hal, Magdalena Modzelewska, Arkadiusz Rybicki, Piotr Dyk, Ryszard Nowak ze Szczecina, Piotr Mierecki z Poznania, Krzysztof Nowak z Poznania, Marek Jurek z Poznania, 3 osoby z Gorzowa Wielkopolskiego, Andrzej Jarmakowski z Gdańska, Bożena Rybicka, Maciej Grzywaczewski z Gdańska, Wiesław Parchimowicz ze Szczecina, Stanisław Kusiński z Przemysła, Leszek Jankowski z Gdańska, Bronisław Jankowski (wypuszczony po 10 godzinach), Leszek Jakubowski z Warszawy, Jacek Podczaski z Warszawy oraz Tomasz Borkowski z Warszawy — ponad 50 godzin.

Ludzie ci zdążyli wyjść z aresztu w sobotę, a w niedzielę, spotkali się i wydali wspólny komunikat. Oto jego treść:

Gdańsk, 29 lipca 1979.

KOMUNIKAT NR 1

Pomimo szykan i represji ze strony Służby Bezpieczeństwa w dniach od 27 do 29 lipca 1979 w Gdańsku odbyło się spotkanie inicjujące Ruch Młodej Polski skupiający środowiska Gdańska, Szczecina, Chorzowa, Łodzi, Warszawy, Poznania i Bydgoszczy. RMP nie jest organizacją ani stowarzyszeniem, nie ma członkostwa, władz ani statutu, jest niezależnym ruchem ideowym, którego uczestnicy zgodzili się co do konieczności podejmowania działań na rzecz niepodległości państwa polskiego, umacniania więzi narodowej Polaków, respektowania praw osoby ludzkiej, przestrzegania chrześcijańskich norm etycznych w życiu publicznym, zachowania tożsamości kultury narodowej. Uczestników RMP łączy przekonanie, że jednym z podstawowych warunków realizacji tych celów jest stworzenie nowoczesnej, ale i zakorzenionej w tradycji, myśli politycznej odpowiadającej aspiracjom i godności narodu polskiego. Służyć temu ma m.in. publicystyka pisma młodych *Bratniak*. RMP jest gotów współpracować w realizacji niezwykłych praw człowieka i narodu z wszystkimi ludźmi dobrej woli. Uczestniczenie w ruchu nie wyklucza zaangażowania się jego uczestników w innych niezależnych inicjatywach społecznych.

Z upoważnienia uczestników spotkania —

Redakcja pisma młodych *Bratniak* —
Jacek Bartyzel — Łódź,
Aleksander Hal — Gdańsk,
Wiesław Parchimowicz — Szczecin,
Arkadiusz Rybicki — Sopot.

KOMITET SAMOOBRONY SPOŁECZNEJ „KOR”

Warszawa, 29 maja 1979 r.

SZPITALNICTWO W PRL

W ostatnich dniach Komitet Samoobrony Społecznej „KOR” otrzymał sporządzony przez grupę specjalistów raport „O stanie szpitalnictwa w PRL”. Raport liczy 22 strony maszynopisu. Autorzy kierują go do wszystkich ludzi dobrej woli na stanowiskach umożliwiających zajęcie czynnej postawy wobec tragicznego stanu polskiego szpitalnictwa oraz zażądania od władz zmiany stosunku do jednego z najbardziej żywotnych problemów społecznych. Za pośrednictwem KSS „KOR” autorzy raportu pragną go przedłożyć opinii publicznej i rozsyłać osobom, instytucjom, organizacjom, stowarzyszeniom, których obojętność wobec powagi przedstawionego problemu równałaby się zgodzie na utratę przez społeczeństwo polskie biologicznych sił.

Raport poprzedzono mottem: „Obywatele Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej mają prawo do ochrony zdrowia oraz do pomocy w razie choroby lub niezdolności do pracy”. Jest to artykuł 70 Konstytucji PRL. Artykuł ten stwierdza jednoznacznie, iż obowiązkiem władz jest dbałość o zdrowie społeczeństwa. Z raportu o stanie szpitalnictwa oraz z zestawu danych o dramatycznej sytuacji na krajowym rynku farmaceutycznym wynika również jednoznacznie, iż władze państwowe od lat zobowiązania tego nie wypełniają. W grudniu ub. roku i w lutym bież. roku Komitet Samoobrony Społecznej „KOR” przedstawiał niebezpieczeństwo grożące społeczeństwu w skutek braku leków w lecznictwie otwartym i zamkniętym. Dane zawarte w Raporcie o stanie szpitalnictwa poszerzają wiedzę o tragicznym położeniu społeczeństwa. Większość obywateli naszego kraju ma wrywkową świadomość przedstawionej w Raporcie sytuacji. Każdy, kto przebywał lub aktualnie przebywa w szpitalu, albo miał czy ma w nim swoich bliskich, mógł się naoczywiście przekonać, że najróżnorodniejsze niedomogi i piętujące się trudności uniemożliwiają niesienie skutecznej pomocy placówkom przeznaczonym do jej udzielania. Jednak mimo sporego stopnia wiedzy społecznej, obejmującej całość zagadnienia Raport musi wywoływać przerażenie. Przerażenie budzi nie tylko sam stan rzeczy, ale jakikolwiek brak dobrej woli ze strony władz, aby temu stanowi przeciwdziałać. Z roku na rok personel pielęgniarstwa ubywa, nie rozbudowuje się i nie wyposaża szpitali ani laboratoriów diagnostycznych. Polityka inwestycyjna państwa spycha potrzeby szpitalnictwa na coraz późniejsze miejsce. Dla przykładu: w latach 1970-74 na 100 tys. ludności przybyło w PRL 1 łóżko („Rocznik Statystyczny 1978”). Późniejszych danych „Roczniki Statystyczne” w ogóle już nie podają. Jednocześnie, podczas gdy budowa np. szpitala na Bródnie w Warszawie ciągnie się już od 10 lat, a remont szpitala na Solcu od ponad 3 lat, w błyskawicznym tempie buduje się i wyposaża szpital kategorii specjalnej w Aninie dla garstki uprzywilejowanych. Koszt tej budowy przekroczył półtora miliarda złotych, podczas gdy do końca roku 1977 na cały Fundusz Ochrony Zdrowia zebrano 3 miliardy 244 miliony złotych. Koszt jednego łóżka w szpitalu dla uprzywilejowanych wynosi według projektantów 13 mln. zł.; koszt jednego łóżka dla przeciętnego obywatela PRL oblicza się na 1,2 mln. zł. Ten widoczny brak nawet pozorów demokracji budzić musi zrozumiały sprzeciw moralny. Lecznictwo od powszechnej dostępności do lecznictwa wydzielonego (szpitale wojskowe, MSW, administracji partyjno-rządowej) dzieli przepaść. Dzieje się to w państwie, którego Konstytucja proklamuje równość wszystkich obywateli i którego premier oświadcza: „Och zdrowie jest u nas zdobyczą i prawem obywatela oraz obowiązkiem państwa. Nie szczędzimy starań, aby dla realizacji tego prawa stworzyć coraz lepsze warunki” (prezj. mówienie z 8 kwietnia 1978 roku).

Stwierdzenie to jest kłamstwem. W praktyce po 35 latach realizowania tego prawa można mówić o „nędzy egzystencji ludzkiej w polskich szpitalach”. Wyrażenia tego używają rzeczoznawcy, którzy przekazali na ręce Komitetu Samoobrony Społecznej „KOR” swój wstrząsający Raport.

KOMITET SAMOOBRONY SPOŁECZNEJ „KOR”

(Powyższe Oświadczenie poprzedza 22-stronicowy raport p.n. „Stan szpitalnictwa”).

Sąsiedzi

35-ta ROCZNICA POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

*Przemówienie Wojciecha Ziemińskiego wygłoszone
przed grobem Nieznanego Żołnierza w Warszawie
31 lipca 1979 roku*

Żołnierzom Polski Podziemnej, żołnierzom którzy od września 1939 roku stawiali czoło Niemcom i Rosjanom. Walczyliśmy z obu okupantami. Naród Polski drogo płacił za wolność. Wojna pochłonęła 6 milionów ofiar, obywateli polskich. Na gruzach Warszawy leżało kilkanaście tysięcy żołnierzy i prawie 200 tysięcy ludności miasta nieujarzmionego i nigdy nie pokonanego. Stajemy przed Panteonem chwały Narodu Polskiego, przed grobem Nieznanego Żołnierza, przed grobem, który okupanci niszczyli, ale zniszczyć nigdy nie będą w stanie. Przejżdżały tędy wraz z czołgi niemieckie. Inne niegodne ręce zdjęły tablice z pól bitewnych pierwszej Wojny Światowej i wojny polsko-rosyjskiej 1919-1920 roku. Domagamy się przywrócenia tych tablic, upamiętniających chwałę oręża polskiego (oklaski).

Rodacy. Stoimy tutaj i składamy nasz skromny dar: polskie naręcza polnych kwiatów, wieniec. Na szarfach napisy: Żołnierzom Polski Podziemnej Kontynuatorzy Idei Niepodległości. Powstańcom Warszawy — Młodzież Polska. Te oto wieniec złożyliśmy tu w poczuciu całej wielkości chwili, albowiem testament żołnierzy Polski Walczącej nie został spełniony. (oklaski). Ostatni dowódca sił zbrojnych w Kraju, generał „Niedźwiadek” Leopold Okulicki, który poległ na obcej ziemi, zamordowany w Moskwie w 1946 r., 19 stycznia wydał ostatni rozkaz, który teraz odczytuje: „Żołnierze, dajcie Wam ostatni rozkaz. Dalszą swą pracę i działalność prowadźcie w duchu odzyskania pełnej niepodległości Państwa Polskiego i ochrony ludności polskiej przed zagładą. Starajcie się być przewodnikami narodu i realizatorami niepodległości Państwa Polskiego. W tym działaniu każdy z Was musi być dla siebie dowódcą”. (oklaski).

Polacy. Przemawiam w imieniu Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela w Polsce, ruchu, który od kilku lat podejmuje jawne działania na rzecz pełnej restytucji praw Najjaśniejszej Rzeczypospolitej (oklaski). Wolność jest rzeczą najcenniejszą. Niepodległości, wolności całości Rzeczypospolitej przyrzekamy Wam, Żołnierzom Polski Podziemnej, strzec i kontynuować Wasze dzieło póki żyjemy.

(tłum śpiewa „Jeszcze Polska nie zginęła”).

Dylematy «giętkiego» reżymu

W Polsce rok 1976 był rokiem polaryzacji — z podwyżką cen oraz strajkami i zamieszkami w Ursusie i Radomiu stało się jasne dla wszystkich, że nietrwały rozejm między społeczeństwem i rządem, funkcjonujący od roku 1971, dobiegł końca. Na Węgrzech sprawy potoczyły się inaczej: podczas gdy ferment intelektualny nabrał w latach 1976-78 wyraźniejszych zarysów, rząd zdecydował się na pewne posunięcia obliczone na powstrzymanie wiatru dmącego w żagle opozycji. To właśnie owa giętka reakcja zdołała ocalić „węgierski kompromis” i raz jeszcze odroczyła kryzys reżymu Kadara.

Problemy przed którymi stanęła węgierska partia komunistyczna były, jak zwykle, gospodarcze i polityczne. Do podstawowych problemów małego kraju o gospodarce planowej, a przecież rozpaczliwie zależnego od handlu, zabrano się po raz pierwszy w roku 1968 wprowadzając Nowy Mechanizm Gospodarczy. Dziś można go ocenić jako sukces częściowy. Przyniósł on niewątpliwie większą zamożność, lecz także większą nierówność i większą urazę wśród robotników. Z powodów politycznych najpierw go przyhamowano, a później niemal zniszczono w roku 1974. Ale światowy kryzys naftowy, uderzywszy w gospodarkę Zachodu, nie oszczędził Węgier; i niebawem „ekonomiczni oportuniści”, od pewnego czasu pod obstrzałem swych bardziej ideologicznie nastawionych towarzyszy partyjnych, odzyskali dawną siłę. Około roku 1977 stało się oczywiste, że coś trzeba zrobić dla powstrzymania gospodarczego gnicia; że Węgry muszą wprowadzić zmiany, jeśli chcą zachować swą względnie wysoką stopę życiową. Latem ubiegłego roku „ojciec” Nowego Mechanizmu Gospodarczego (lecz od roku 1974 politycznie mniej wpływowy) Rezsó Nyers wezwał w wywiadzie prasowym do śmiałej realizacji drugiego stadium programu reform gospodarczych. Coś w tym rodzaju zaczęło się dziać w roku 1979. Węgry wprowadzają obecnie system cen oparty na brakach rynkowych.

Reforma z roku 1968 nie przecięła dopływu subwencji rządowych dla przedsiębiorstw słabo działających i nie przynoszących zysku. „Bezrobocie”, czyli zwalnianie siły roboczej w przedsiębiorstwach niewydajnych, zdawało się wówczas politycznie nie do przyjęcia. Stwarzało to z kolei sztuczne niedobory siły roboczej. Import Węgier z Zachodu wzrósł w ostatnim roku o 15 %, gdy ich eksport do tych samych krajów zaledwie o 4,5 %. Teraz nowy plan domaga się rozsądniejszego podejścia do ekonomii. Około roku 1981 wszystkie odmiany subwencji będą przycinane, a zatem ceny pójdą w górę. Będzie się zamykać lub łączyć przedsiębiorstwa niewydajne. Zachętą do większego współzawodnictwa w przemyśle ma być zakładanie liczniejszych spółdzielni przemysłowych i przyznawanie większych uprawnień handlowych przedsiębiorstwom w całym szeregu dziedzin, jak przemysł spożywczy i lekki. W ten sposób, oczekuje się, struktura gospodarcza stanie się bardziej racjonalna, bardziej podporządkowana wymogom podaży i popytu.

Przywódcy węgierscy nie mają złudzeń: przyszłość zapowiada ciężką harówkę. Minister finansów oświadczył w niedawnym przemówieniu, że w roku 1979 stopa życiowa wzrośnie o jeden ledwie procent (jeżeli w ogóle wzrośnie), a planowane podwyżki cen żywności i komunikacji (tramwaje, autobusy) ugodzą dość boleśnie przeciętnego obywatela. Tym niemniej jest mało prawdopodobne, by niezadowolenie przelało się tym razem na teren akcji politycznej. Dla wielu Węgrów opozycja wobec reżymu nie ma sensu, dopóki Kadar i jego ekipa są w stanie „zaopatrywać w towary”. I chociaż należy krytykować metody pracy biurokracji i stosowaną ostatnio politykę nominacji na odpowiedzialne stanowiska, sytuacja nie podsuwa żadnej innej alternatywy poza racjonalizacją ekonomii. Pozostaje pytanie jak ludzie zareagują na zamykanie niewydajnych fabryk, i czy rzeczywiście powstrzyma to braki w pewnych dziedzinach gospodarki.

Politycznie rzecz biorąc, reformy gospodarcze pociągające za sobą ciężary dla ludności mogą być przeprowadzone w dwojaki sposób: albo rząd wymusza posłuszeństwo siłą, albo idzie na ustępstwa. Pod pewnymi względami reżym Kadara zbliżył się do społeczeństwa — w ubiegłych trzech latach represje wobec opozycji były łagodne i selektywne, zadbano o dumę narodową Węgrów. W styczniu udało się rządowi sprowadzić ze Stanów Zjednoczonych koronę świętego Stefana. Korona ta, znana również jako Święta Korona (używana do koronacji królów węgierskich), wywieziona została z kraju w roku 1945, dostała się w ręce wojska amerykańskiego w Austrii i odtąd przechowywana była w Fort Knox. Jej zwrot był emocjonalnym przeżyciem: nie oznaczał, jak sugerują niektórzy krytycy emigracyjni, amerykańskiego „zaprzeczenia się” reżymowi Kadara, lecz umożliwił setkom tysięcy ludzi oglądanie symbolu węgierskiej suwerenności narodowej w budapeszteńskim Muzeum Narodowym. W kilka miesięcy później Amerykanie rozszerzyli klauzulę „najbardziej preferowanego na-

rodu” na Węgry — trzeci komunistyczny kraj korzystający z tej koncesji po Polsce i Rumunii.

Temat węgierskiej jedności narodowej podkreślono w kampanii władz w roku 1977, zmierzającej do rozwinięcia ściślejszych kontaktów z węgierskimi intelektualistami za granicą. W rzeczy samej od amnestii z roku 1963 liczba Węgrów, którzy opuścili kraj po powstaniu w roku 1956 i teraz go odwiedzali rosła z roku na rok. Już pod koniec lat sześćdziesiątych zdarzały się podejmowane bez zapału próby nawiązania „dialogu” z niektórymi grupami emigracyjnymi, ale dopiero w roku 1977 zaczęto drukować na Węgrzech wielu prozaików i poetów węgierskich przebywających na Zachodzie. Byłoby przedwczesne mówić o „normalizacji” stosunków (czy choćby swobodnego przepływu informacji) między pisarzami i uczonymi na Węgrzech, lecz postawiono obecnie pierwszy realny krok. Także w roku 1977 założono Międzynarodowe Towarzystwo Filologiczne, z siedzibą w Budapeszcie, posiadające jednak w swoim zarządzie Węgrów i cudzoziemskich filologów węgierskich z zagranicy.

Trudno z jakąś dokładnością ustalić co skłoniło reżym Kadara do zwęksławiania na tory większej wyrozumiałości dla uczu narodowych; w późnych latach pięćdziesiątych i na początku sześćdziesiątych uważał przecież jeszcze „nacjonalizm” za swego głównego wroga. Być może, zaważyło na tej zmianie przede wszystkim pogorszenie sytuacji Węgrów w Rumunii. Jeśli ostatnio prasa zachodnia przerwała długie milczenie w tej sprawie, stało się tak prawdopodobnie dzięki zainteresowaniu prawami człowieka i ich gwałceniem w krajach komunistycznych. Rumunia należy do najgorszych gwałcicieli, gorzej tam nawet niż w Czechosłowacji. Zamyka się w Rumunii więcej dysydentów w zakładach psychiatrycznych i prześladowuje gorliwych sekciarzy religijnych, niż w większości krajów komunistycznych. Jest to stalinowskie państwo, pozujące na dobrotliwą technokrację; kraj wściekłego nacjonalizmu, z pretensjami do „internacjonalizmu” czystsze niż sowiecki. Ceausescu oparł się co najmniej dwukrotnie presjom rosyjskim podczas swego panowania: w roku 1968, gdy odmówił wkroczenia do Czechosłowacji; i w grudniu 1978, w kwestii wydatków wojskowych; oba razy uszło mu na sucho. Z drugiej strony, wiadomo jak źle prowadzi gospodarkę, jak tłumi wszelkie objawy opozycji i jak usilnie pracuje nad tym, by przemocą roztopić dwumilionową mniejszość węgierską w jednolitym państwie rumuńskim.

Z wyjątkiem krótkiego okresu nazajutrz po wojnie, i chwilowego rozluźnienia w latach 1968-70, polityka komunistycznej Rumunii była ściśle centralistyczna i dyskryminacyjna wobec wszystkich mniejszości narodowych, zwłaszcza Węgrów. Węgry są w Rumunii jedyną mniejszością narodową, która (nawet według mocno preparowanych cyfr rumuńskich) rosła ilościowo w ostatnich latach; wielu etnicznych Niemców wyemigrowało do RFN, znaczny odłam Żydów wyjechał do Izraela. Dyskryminacje i represje skierowane przeciw Węgom były szczególnie dotkliwe w

okresie 1957-1962 i wzmogły się w ostatnich latach, jakkolwiek nie dochodziło do aresztowań. Nadzór policyjny, pobicia, szantaż, wyrzucanie z pracy są równie skuteczne, jeśli je umiejętnie stosować. Wszystko to zostało ostatnio ujawnione w serii dokumentów i memoriałów, wysłanych do Bukaresztu (i potem dostępnych na Zachodzie) przez Węgrów o wieloletnim stażu członkowskim w rumuńskiej partii komunistycznej. Są wśród nich memoriały b. członka KC Károly Király (Tirgu-Mures) i b. rektora uniwersytetu w Cluj Lajosa Takácsa, chociaż dokument najdokładniejszy i najbardziej wart cytowania, wyszedł spod pióra autora podpisującego się pseudonimem György Lázár (ogłosił go najpierw w Paryżu węgierski dwumiesięcznik emigracyjny *Irodalmi Ujsög*). Wszyscy autorzy zgodnie stwierdzają, że rumuńska polityka urzędowa zmierza do wyeliminowania w Transylwanii szkolnictwa w języku węgierskim. Na przykład, ustawa 278/1973 ustala że w szkołach powszechnych musi co roku napłynąć minimum 25 zgłoszeń, zanim wolno otworzyć klasę z językiem wykładowym węgierskim (czy jakimkolwiek innym „mniejszościowym”); na poziomie gimnazjalnym wymagane minimum rośnie do 36. Nie ma podobnych ograniczeń w stosunku do uczniów rumuńskich, wolno otworzyć klasę i dla dwóch tylko. Tak więc, jeśli w okręgu Sekler (o przewadze języka węgierskiego) na 26 zgłoszeń dwa są rumuńskie a 24 węgierskie, nauczanie w klasie musi się odbywać po rumuńsku! Nie ma prawie zupełnie technicznych czy zawodowych ułatwień szkoleniowych w językach różnych mniejszości. W okręgu Cluj, gdzie w roku 1966 Węgrzy stanowili 26 % ludności, w roku szkolnym 1976-77 cyfrze 192 klas technicznych w języku rumuńskim odpowiadało 9 w węgierskim.

To część tylko skarg mniejszości węgierskiej; inne dotyczą dyskryminacji w zatrudnieniu. Mówiący po węgiersku lekarze przenoszeni są ze swoich rejonów etnicznych i zmuszani do pracy gdzie indziej. Z drugiej strony, na obszarach zamieszkałych przez Węgrów uprzemysłowienie oznacza napływ z innych części kraju Rumunów, których władze lokalne faworyzują w przydziale nowych mieszkań. Mniejszość węgierska, na papierze w pełni równo uprawniona, jest w praktyce całkowicie wyłączona z selekcji na odpowiedzialne stanowiska w rumuńskiej policji, armii i służbie dyplomatycznej. (Nie tak się dzieje w Jugosławii, gdzie Wojwodina posiada półmilionową mniejszość węgierską). Wielorakie są również skargi kulturalne: przede wszystkim pod adresem oficjalnej historii, która rozmyślnie ignoruje węgierską (i częściowo saksońską) przeszłość Transylwanii, oraz jej dzieje jako odrębnego i autonomicznego księstwa, wysuwając jedynie na pierwszy plan wydarzenia w których udział mieli Rumuni. Restrykcjom podlegają książki i gazety z sąsiednich Węgier. Cluj-Napoca czy Oradea odcięte są nie tylko od *Times'a* i *Le Monde*, lecz od węgierskiego organu partyjnego *Népszabadság!*

Wszystko to powoduje wymianę not dyplomatycznych między Budapesztem i Bukaresztem. Węgierska opinia publiczna jest rozwścieczona dyskryminacyjnym traktowaniem Węgrów w Ru-

munii i domaga się od rządu przeciwdziałania procesowi „rumunizacji”. Reżym Kadara uległ niechętnie naciskom; w roku 1977 odbyło się w Oradei (Nagyvárad) spotkanie Kadara z Ceausescu; z rezultatami bez większego znaczenia. Równocześnie toczy się wojna słów między węgierskimi i rumuńskimi pisarzami i historykami. Gyula Illyés, jeden z najwybitniejszych pisarzy i poetów węgierskich, napisał dwa artykuły do noworocznego (1978) numeru dziennika budapeszteńskiego *Magyar Nemzet*, nie odmawiając sobie przejrzystych aluzji do sytuacji mniejszości węgierskiej w Rumunii. Wywołało to szal w Bukareszcie i autor odpowiedzi rumuńskiej naurgał Illyésowi (lewicowcowi o długim stażu) od „faszystów spod znaku Horthy'ego”. Historycy rumuńscy wychodzą ze skóry, nie obawiając się śmieszności, w podbudowywaniu historycznych mitów. Ostatnio zaczęli obchodzić 2050 (!) rocznicę pojawienia się na dziejowej arenie pierwszego proto-rumuńskiego państwa pod wodzą trackiego wojownika imieniem Burebista. Urzędowo zrehabilitowano sadystę-maniaka Władę Tepesa, rumuńskiego władcę z XV-go stulecia, pierwowzór hrabiego Draculi! Ale rumuński obłęd samopochlebstwa i mitoróstwa poprzez historię nie martwi Zachodu; ani też nie spędza mu snu z powiek ledwie zawołowana represyjność reżymu Ceausescu. Jego taktyka grania „niezależnej” satelickiej karty opłaciła się jak dotąd, lecz nawet ciche poparcie Zachodu nie będzie w stanie rozwiązać jego problemów gospodarczych. W każdym razie niezadowolone mniejszości węgierskiej jest jedną ze spraw długoterminowych z którymi musi się uporać, a jego dotychczasowa metoda „ostro naprzód — lekko do tyłu” nie zdoła rozbroić krytyków czy to na Węgrzech czy na Zachodzie.

Na zakończenie szybki rzut oka na opozycję wewnętrzną. W roku 1977 zerwała się w Budapeszcie wichura podniecenia, gdy 34 węgierskich intelektualistów podpisało *Kartę 77* na temat praw człowieka, zredagowaną przez opozycję czeską. Władze węgierskie usiłowały zbagatelizować sprawę, starannie unikając robienia ofiar z sygnatariuszy. W tym samym mniej więcej czasie marksistowskim filozofom i socjologom (przeważnie uczniom Lukácsa), których zalicza się niekiedy do „Szkoły budapeszteńskiej”, wydano paszporty wraz z zachętą do wyjazdu na uniwersytety zagraniczne. Nawet György Konrád, *enfant terrible* literatury węgierskiej, dostał pozwolenie na roczny lub dwuletni pobyt za granicą, a jego druga powieść *Założyciel miasta* ukazała się w zeszłym roku w Budapeszcie z nielicznymi stosunkowo cięciami cenzury. Wszystko to wskazuje na nową giętkość ze strony reżymu; ale trudniej mu już przełknąć świeże wyzwanie.

Mam na myśli nagłą eksplozję *samizdatu* w Budapeszcie. Zjawisko jest w zasadzie nowe. Podobnie jak *Zapis*, węgierskie teksty samizdatowe znalazły wydawcę na Zachodzie: ukazują się w Paryżu w serii *Magyar füzetek* (*Zeszyty węgierskie*). Niektóre teksty ogłoszono również po angielsku w *Index on Censorship*. Drugi numer *Zeszytów węgierskich* przynosi dobry wybór z węgierskiej antologii samizdatowej zatytułowanej sarkastycznie

0,1% (aluzja do procentu ludzi głosujących przeciw w wyborach typu Frontu Patriotycznego), którą György Bence i János Kis opracowali na prośbę Adama Michnika. Dwie cechy antologii 0,1% są szczególnie interesujące: jej autorzy należą prawie w całości do pokolenia po 56 roku; i szukają po omacku alternatywnego programu politycznego.

Tylko szukają po omacku; gdyż sytuacja, jak wspomniałem na wstępie, jest raczej niepodobna do sytuacji w Polsce. Cenzura na Węgrzech jest łagodniejsza, popularne tygodniki w rodzaju *Elet és Irodalom* czy *Uj Tükör* drukują niemal co tydzień artykuły krytyczne o takich czy innych aspektach życia skrzywionego i zduszonego przez biurokrację. Nie żeby dużo się działo po tych krytykach; i nie zdają się one podkopywać centralnego założenia reżymu, że „w danych warunkach najlepszy jest nasz sposób rządzenia krajem”. Tak więc w swoim studium na łamach *Zeszytów węgierskich* filozof Mihály Vajda dochodzi do następujących wniosków: po pierwsze, to prawda że kompromis wypracowany między reżymem a społeczeństwem w latach sześćdziesiątych stracił swą zdolność do życia; nie można się w jego ramach posunąć naprzód o wiele dalej; po drugie jednak, wolno wątpić czy nadeszła odpowiednia chwila do jego złamania. Drukując swoje studium w piśmie samizdatowym, Vajda sam go jakoś złamał, lecz tylko marginesowo — dopóki reżym dokucza jedynie swoim krytykom i izoluje ich, nie uciekając się do aresztowań, stary kompromis w zasadzie obowiązuje. Ilościowo inteligencja opozycyjna jest wciąż niewielka i skupia się prawie wyłącznie w Budapeszcie; czas pokaże czy jej wyzwanie odciągnie wyobraźnię młodych od skromnej korupcji zaofiarowanej przez „socjalistyczny konsumizm”. W obecnej chwili jej znaczenie polega na umiejętności stawiania problemów, sygnalizowania frustracji i niezadowolenia w stosunku do reżymu, który utracił swój ideologiczny rozpęd i przemawia do poddanych tylko językiem bodźców materialnych. I gdy urzekająca wizja „komunizmu gulaszowego” stopniowo rozwiewa się na horyzoncie, pytanie: dokąd zdążają Węgry? zaczyna odzyskiwać swoją utraconą niemal ostrość.

George GÖMÖRI

W sowieckiej prasie

Było to stosunkowo niedawno — 20 stycznia 1979. Centralny Urząd Statystyczny ZSSR opublikował wyniki wypełnienia planu

za rok ubiegły. Wśród różnych sukcesów specjalnie uradowały sowieckich obywateli następujące słowa: „W 1978 roku osiągnięto nowy wysoki pułap produkcji zboża — 235 milionów ton”. Przyszło lato i okazało się, że w rezultacie ostrej zimy i nieoczekiwanych odwilży, powodzi a potem suszy urodzaj w 1979 roku będzie... w każdym razie nie osiągnie „nowego wysokiego pułapu”. Ma się rozumieć, tymczasem prasa sowiecka pisze tylko o sukcesach „pracowników na polach kołchoźnych”. Amerykański humorysta Art Buchwald był niedawno w Chinach i odkrył, że centralny organ chińskiej Partii Komunistycznej to „Gazeta Dobrych Wiadomości”. Ogłasza ona jedynie dobre nowiny. Żadnych mrozów, susz, trzęsień ziemi w Chinach nie ma — to znaczy gazeta o nich nie wspomina. A jeśli pisze to tylko to, że susze, trzęsienia ziemi i powodzie miały miejsce w ZSSR, ale i w tym wypadku — wyjaśnia Art Buchwald — jest to dobra wiadomość, gdyż każda wiadomość zła dla Związku Sowieckiego jest dobra dla Chińczyków. Art Buchwald najwidoczniej nie wie, że we wszystkich krajach socjalistycznych pisma podają wyłącznie dobre wiadomości. Dlatego najlepszą i jedyną pocieszającą informacją w prasie sowieckiej jest dzisiaj wiadomość o kryzysie w świecie kapitalistycznym.

Nieurodzaj będzie pokryty zbożem amerykańskim — dla amerykańskich farmerów susza w ZSSR to świetna wiadomość, ale tym niemniej jest to problem. Znakomity urodzaj w ubiegłym roku był, jak wiadomo, osobistą zasługą generalnego sekretarza, prezydenta i marszałka L. I. Breżniewa. Czy nieurodzaj 1979 roku nie będzie wzięty za złe niemłodemu i choremu Breżniewowi? W 1964 roku spiszek przeciw Chruszczowowi dlatego przeszedł tak gładko, że sowiecka gospodarka rolna przeżywała kolejne chroniczne trudności.

Co prawda nie wiadomo czy dzisiaj, po upływie 15 lat, uda się zebrać taką koalicję przeciw generalnemu sekretarzowi, jaką udało się zebrać przeciw Chruszczowowi. Breżniew w ubiegłych latach postarał się powyrzucać z Politbiura wszystkich uczestników spisku z wyjątkiem Susłowa i Kosygina. Tym niemniej na pewno są kandydaci na stanowisko Nr 1. Cicha walka na samym szczycie toczy się, i niedawno pewne wiadomości o tym przeniknęły do ludności.

Jeden z czołowych sowieckich antysemitów, Jewgienij Jewsiejew, napisał kolejną pracę „Syjonizm ogniwo w łańcuchu imperializmu”. Poprzednia jego książka nosiła tytuł: „Syjonizm pod błękitną gwiazdą”. Jest to jakby powieść z dalszym ciągiem i z jednym bohaterem — syjonizmem. Zbrodnie „bohatera” są te same, miliony razy powtarzane w prasie sowieckiej. Znaczenie nowego utworu Jewsiejewa polega na tym, że został wydany przez Instytut Filozofii Akademii Nauk w nakładzie 500 egzemplarzy i wydrukowany w drukarni MVD ZSSR. Normalnie książki wydawane przez instytuty Akademii Nauk drukuje się w drukarni wydawnictwa „Nauka”. Ale przede wszystkim zwraca uwa-

gę wysokość nakładu — 500 egzemplarzy — faktycznie jest to samizdat, w tym wypadku MVDzdat.

Punktem wyjścia Jewsiejewa jest kolejny krok sowieckich antysemitów — syjonizm, który „jest przejawem faszyzmu, bardziej groźnym niż jego odmiany niemiecka, włoska i hiszpańska”. Uważanie że Żydzi są ofiarami nazizmu zostało odrzucone już bardzo dawno, potem miała miejsce wersja, że Żydzi byli współpracownikami nazistów, obecnie — że naziści są ofiarami Żydów. W swoim czasie podobne ewolucje przechodziła koncepcja rosyjskiego imperium: po rewolucji historycy-marksiści twierdzili, że podbój narodów przez rosyjskich carów był absolutnym złem, potem historycy zaczęli mówić, że to było mniejsze zło, a jeszcze później, że to absolutne dobro.

Broszura Jewsiejewa zwróciła uwagę nie tym „nowym horyzontem”. Koniec końców w Mińsku, w galerii malarstwa, wystawiono płótno Michaiła Sawickiego „Letni teatr”, które przedstawia hitlerowskiego żołnierza i kapo z gwiazdą Dawida na ręka wie radośnie śmiejących się przed górą trupów ludzi sowieckich.

Jewsiejew ogłasza proskrypcyjny spis „pomocników syjonizmu”, tych którzy dopuszczają na łamy prasy, na ekrany kin i telewizorów syjonistyczną zarazę, tych którzy czasami pozwalają przedstawiać Żydów jako „pozytywne jednostki”. Ci „pomocnicy” pozwalają sobie twierdzić: 1) że Żydzi to naród starożytny, 2) że syjonizm w historycznej perspektywie powstał jako reakcja na antysemityzm. Na proskrypcyjną listę trafili: naczelny redaktor *Nowowo Mira*, S. Narowczatow, marksistowski filozof B. Kiedrow — członek partii z 1918 roku, ukraiński poeta Mykoła Bażan i ulubiony stalinowski filozof — akademik Mitin. Należy przypuszczać, że specjalnie obrazili się Mitin, pod którego redakcją ukazała się w 1978 roku praca naukowa „Ideologia i praktyka międzynarodowego syjonizmu”. Moskiewski korespondent *Los Angeles Times*, Dan Fisher, informuje że KC KPZS rozpatrywało skargę „pomocników syjonizmu” na Jewsiejewa i potępiło autora i redaktora broszury. Jewsiejewowi dano po palcach z dwóch powodów: po pierwsze przejawili inicjatywę i zaczął ustalać listy bez polecenia KC, po drugie jego atak był skierowany na marksistowskie opakowanie sowieckiego antysemityzmu. Książka Mitina — na przykład — zaczynała się od powołania się na Marksa. Ale cytat przytoczony przez Mitina jest tradycyjnym antysemitycznym szablonem: „Bóg Żydów na ziemi — to pieniądze”. Dla Jewsiejewa było to całkowicie niewystarczające. Tak samo jak Marks, mówił w 1903 roku i poseł rosyjski w USA — hrabia Cassini: „Pogrom w Kiszyniowie, tłumaczył, nie był skierowany przeciwko Żydom, był przejawem gniewu chłopów przeciw lichwiarzom”. Dla Jewsiejewa Żydzi to nie lichwiarze, a zagrożenie świata przez „błękitną dżumę, jest groźniejsze od dżumy brunatnej”. KC nie chce zrezygnować z ozdabiania antysemitycznych pamfletów cytataми z Marksa i LENA — z marksistowskiej okładki.

Jest jeszcze jeden powód niezadowolienia KC. W końcu lutego

bieżącego roku, w Moskwie i Leningradzie rozpowszechniano antysemityczną ulotkę, podpisaną przez „Rosyjską Wyzwoleńczą Organizację”. Wraz z cennymi wskazówkami jak rozpoznawać „syjonistów” („rozbiegane oczy, garbaty nos, uwłosienie”), ulotka wzywała „wiernych synów narodu rosyjskiego” do likwidacji „kremlofskich syjonistów”. Historia zna wiele przykładów jak hasło wymyka się z rąk autorów i nabiera własnej dynamiki. „Syjonizm” staje się dzisiaj narzędziem w walce o władzę. Ponieważ „wierni synowie narodu rosyjskiego” — naród, nie bierze żadnego udziału w walce o władzę w Związku Sowieckim — ulotka jest interesująca wyłącznie jako dowód walki prowadzonej na szczycie. Do „kremlofskich syjonistów” zaliczono wszystkich członków Politbiura włącznie z Breżniewem i Andropowem, z wyjątkiem czterech „wiernych synów Rosji”. Są to: Michaił Susłow, Aleksiej Kosygin, Grigorij Romanow i Andriej Kirilenko. W tej czwórce pierwsze miejsce najzupełniej logicznie zajmuje „twórca generalnych sekretarzy” Susłow, ale zwraca uwagę zwłaszcza sekretarza leningradzkiego obkoma, członka-kandydata do Politbiura — Romanowa. Romanow nie ma jeszcze 60-ciu lat i według kryteriów Politbiura to smarkacz. Niewykluczone, że ulotka jest prowokacją KGB, pragnącego ukrócić zbyt wielkie apetyty Romanowa i przedstawić jako spisek przeciw Breżniewowi i jego *dauphin* Konstantinowi Czernienko. Czernienko pojawił się na scenie międzynarodowej w Wiedniu. W czasie spotkania Breżniewa z Carterem Generalny Sekretarz KC rozmawiał jedynie z Czernienką, tylko do niego zwracał się ze wszystkimi zapytaniem i tylko jego słuchał. Zwróciło to powszechną uwagę. W Związku Sowieckim bodajże nikt jeszcze nie zrobił tak świetnej kariery. Najbliższy człowiek Breżniewa od 1960 roku, osobisty sekretarz — jest dzisiaj pretendentem do tronu. Jego biografia jest niewyraźna jeśli idzie o jego działalność do 1941 roku, kiedy to stał się jednym z sekretarzy Krasnojarskiego Obkoma Partii. W lipcowym numerze rosyjskiego pisma emigracyjnego *Possiew*, historyk Michaił Agurski pisze o dziwnym odkryciu: w broszurze „Jeżowszczyzna”, podpisanej pseudonimem „A. Dnieprowiec”, wydanej w 1958 roku, znajduje się wykaz dobrowolnych katów, rozstrzeliwujących co noc dziesiątki ofiar w garażu NKWD. W tym spisie jest Czernienko. Michaił Agurski jak przystało na historyka — jest ostrożny. Nie twierdzi kategorycznie, że zastępca naczelnika kadr Dniepropietrowskiego Zarządu NKWD i amator-kat Czernienko jest tożsamy z członkiem Politbiura i ulubieńcem Breżniewa. Zbiera jedynie dane biograficzne, które pozwalają z dużym procentem prawdopodobieństwa stwierdzić, że jest to jedna i ta sama osoba. Prasa sowiecka w lipcu br. podała wiadomość, że z wyroku sądu została rozstrzelana kobieta wysługująca się Niemcom i 35 lat temu rozstrzeliwująca obywateli sowieckich. Ponieważ dniepropietrowski Czernienko także rozstrzeliwał sowieckich obywateli, należałoby przeprowadzić śledztwo...

Walka o władzę, prowadzona z narastającą intensywnością na

sowieckich szczytach, naturalnie wzbudza zainteresowanie w całym świecie. Specjalnie interesują się nią Amerykanie, którzy najwięcej na ten temat piszą. Przeróżające niezrozumienie sowieckiej rzeczywistości przez amerykańskich polityków, dziennikarzy i historyków nie przestaje zdumiewać. Od czasów Stalina Amerykanie uznali, że Związek Sowiecki niczym nie różni się od USA. Stalin tę amerykańską psychologię znakomicie rozumiał. Gdy Roosevelt zaczął słabo protestować z powodu pretensji Stalina żeby mieć w ONZ 3 głosy, Generalny Sekretarz wyjaśnił Prezydentowi, że jeśli Ukraina i Białoruś nie otrzymają miejsc w ONZ to jemu, Stalinowi, będzie bardzo trudno wytłumaczyć to swoim ukraińskim i białoruskim wyborcom. Dla Roosevelta był to argument nie tylko zrozumiały, ale całkowicie przekonywujący. Ciekawą analizę psychologii przywódców sowieckich daje Ernst Nieizwiestnyj we wspomnieniach „Mój dialog z Chruszczowem”, ogłoszonych w miesięczniku *Wremia i My* Nr 41 (1979), który ukazuje się w Tel Avivie w języku rosyjskim. Ernst Nieizwiestnyj, najwybitniejszy z sowieckich rzeźbiarzy, w roku 1962, w czasie wystawy w moskiewskim Maneżu, zorganizowanej celem sprowokowania kolejnych represji przeciw sowieckiej kulturze, ostro dyskutował z Chruszczowem. Nieizwiestnyj tłumaczył Chruszczowowi, że on nic nie rozumie ze sztuki, że jest „estetycznym analfabetą”. Chruszczowowi Nieizwiestnyj spodobał się, właśnie przez swoją bezpośredniość: „Jesteście interesującym człowiekiem” — powiedział Generalny Sekretarz. — Tacy ludzie podobają mi się. Ale w was siedzi jednocześnie anioł i diabeł. Jeśli zwycięży diabeł — my was zniszczymy; jeśli zaś zwycięży anioł to my wam pomożemy”. Umierając Chruszczow zażądał, by jego nagrobek wykonał Ernst Nieizwiestnyj.

Po rozmowie z Chruszczowem Nieizwiestnyj trafił do „wyższych sfer”. „Diabła” wypędzali z niego: osobisty sekretarz Chruszczowa — Lebiediew, minister Kultury — Furcewa, sekretarz KC do spraw kulturalnych — Demiczew. Nieizwiestnyj uważa, że „w rezultacie wewnętrzzpartyjnej selekcji, utraciwszy wszystkie ludzkie cechy wypracowali sobie oni jedną — główną — to jest podejrzliwość”. Ponieważ wszyscy są żołnierzami partii, walka między nimi jest pozbawiona treści społecznej, ale dramatyczna w planie osobistym. Walkę prowadzi się jedynie o „miejsce”. I dlatego wszyscy się siebie boją i wszyscy się nienawidzą. Chruszczow powiedział Nieizwiestnemu krótko i węzłowato: „Czyż wy nie rozumiecie, że wszyscy cudzoziemcy są wrogami”. „Zwróćcie uwagę na ton prasy — pisze Nieizwiestnyj — przecież to jest ton rozdrażnionej, przechodzącej klimakterium kobiety, którą wszyscy oszukali i opuścili. Niesforni Jugosłowianie, niewdzięczni Chińczycy, niedorzeczni Polacy, już nie mówiąc o Żydach. Przecież w KC przez cały czas słychać jeden jęk: karmiliśmy, poiliśmy, a oni co? Tam również Dubczeka traktuje się z przekonaniem, nie jako polityczną rzeczywistość, ale jako człowieka, który po prostu osobiście oszukał swoich sowieckich towarzyszy i naruszył porozumienie”. Furcewa prze-

konywała Nieizwiestnego: „O, Ernst, przestańcie wreszcie lepić swoje brzydkie figury. Zróbcie coś ładnego, a ja was podtrzymam... Z wami w tej chwili nie mówi minister, a kobieta, pomóżcie mi utrzymać się na moim stanowisku”.

Nieizwiestnyj nie przestał lepić swoich „obrzydliwych figur” i był zmuszony wyjechać do Stanów Zjednoczonych.

Ale jednak Jekaterina Furcewa była naprawdę szczerą: „Jeśli ktokolwiek pisze 'ładnie' — tego się podtrzymuje”. W lipcu 1979 roku artysta Ilia Głazunow otrzymał tytuł narodowego artysty RSFSR. Autor portretów Leonida Breżniewa, króla Szwecji, żon wszystkich posłów w Moskwie, Giny Lollobrigidy, itp. — Ilia Głazunow panuje w Moskwie: „Sala jadalna w jego moskiewskim mieszkaniu — pisze tygodnik *Newsweek* — jest zastawiona francuskimi meblami w stylu *empire* i portretami carów; jego dwupiętrowa pracownia jest wystarczająco wielka, by zmieścić 3.000 obrazów i część starej wiejskiej chaty. Najbardziej zdumiewające w twórczości Głazunowa jest to, że wynoszą go pod niebiosa zarówno *Prawda* jak i monarchistyczne pismo *Czasowoj*, z zachwytem piszą o nim dziennikarze z *Komsomolskiej Prawdy* i prześladowany przez władze pop, Dmitrij Dudko (w paryskiej *Russkoj Mysli*). Igor Gołomszok, wybitny znawca sowieckiej sztuki, który wyemigrował do Anglii, określa Głazunowa „jako rzemieślnika umiejętnie posługującego się sztampami, nasładowującego style mało znane szerokiej publiczności i grającego na tematach nie pochwalanych w danym momencie przez władze sowieckie (*Sintaxis* Nr 4 (1979)). Są to tematy: naród — krew — gleba. Sądząc z tego, że Głazunow otrzymał kolejną nagrodę można przypuszczać, że ta tematyka „w danym momencie” jest aprobowana przez władze sowieckie. Decyzję o przyznaniu takiego tytułu jak narodowy artysta RSFSR, podejmuje się na najwyższym szczeblu.

Niewątpliwie jest jeszcze jeden powód, dla którego władze sowieckie kochają i popierają Głazunowa — ma on na Zachodzie reputację artysty niezależnego, „śmiałego”, robiącego to, co mu się podoba. Taka opinia jest bardzo wysoko oceniana przez władze: do USA w ostatnich czasach jeździli: J. Jewtuszenko, B. Okudżawa, W. Wysockij, A. Wozniesiński. Ponieważ, jak wiadomo, „wyjechać na Zachód” ze Związku Sowieckiego nie wolno — można tylko być wysłanym na Zachód, to powód tych wyjazdów jest jasny. Do USA, do amerykańskich uniwersytetów, nie można posłać na przykład G. Markowa czy A. Sofronowa. Za to Okudżawy czy Wozniesińskiego słuchają tam z zainteresowaniem i zadowoleniem. Ale Okudżawie i Wozniesińskiemu trzeba za prawo wyjazdu na Zachód zapłacić.

Nie mam na myśli zapłaty prymitywnej — służby w KGB. Naturalnie wszyscy powinni mówić wiele dobrego o ojczyźnie, zresztą sama ich obecność na Zachodzie powinna być świadectwem, że sowiecki liberalizm w niczym nie ustępuje amerykańskiemu, a nawet jest lepszy, bo wypuszcza się „nonkonformistów”. Najwyższa zapłata polega na tym, że trzeba „zdławić włas-

ną pieśń", zabić swój talent. Amerykański krytyk literacki, Clive James, z rzadką za Oceanem przenikliwością pisze z okazji ukazania się w Stanach Zjednoczonych kolejnej książki Wozniesińskiego: „Nie mając możliwości powiedzenia prawdy o swojej ojczyźnie, traci on możliwość mówienia prawdy o czymkolwiek”. I dalej: „Jeśli poecie nie pozwala się użyć choćby tylko jakiegoś jednego słowa — wszystkie inne mu nie wystarczają”. Clive James przychodzi do przekonania, że poetyczną dojrzałość w Związku Sowieckim osiągnęli jedynie ci poeci, którzy urodzili się przed rewolucją: Błok, Gumilow, Pasternak, Mandelsztam, Achmatowa. Można naturalnie dorzucić jeszcze dwa, trzy nazwiska. Jednak jest niekwestionowanym faktem, że poetyckiej dojrzałości nie osiągnęli ci wszyscy, w których, w okresie dojrzenia, pokładano największe nadzieje.

A dzisiaj znowu prawdziwa poezja przychodzi ze Związku Sowieckiego z łagrów. Z rzadka docierające utwory Walentina Sokołowa, który „za antysowiecką działalność” odsiaduje już trzeci wyrok, który spędził w łagrach nie mniej niż 20 lat — to wstrząsające wiersze poety, który korzysta ze wszystkich słów poety całkowicie wolnego.

Więzienie jest już od przeszło 60ciu lat najważniejszym elementem sowieckiego życia. Takiego fenomenu niewątpliwie nie zna historia ludzkości — więzienie, łagier to jedyne miejsca w Związku Sowieckim, gdzie sowiecka nierealność staje się sowiecką rzeczywistością, gdzie przepaść między słowem a czynem, chociaż nie zanika całkowicie — w ojczyźnie dojrzałego socjalizmu jest to niemożliwe — ale zważa się tak, że można jednym spojrzeniem objąć obydwa brzegi.

Kwartalnik *Kontinent* (Nr 20) zamieścił rozdziały z książki Feliksa Kandela „Strefa odpoczynku albo 15 dni na rozmyślanie”. Jest to jeden z najbardziej wstrząsających dokumentów życia sowieckiego, ogłoszonych w ostatnich czasach. Autor, żydowski aktywista, za udział w żydowskiej demonstracji w Moskwie został aresztowany wraz z towarzyszami i posadzony na 15 dni „za drobne huligaństwo”. W celi razem z nim siedzą zwykli, przeciętni obywatele sowieccy, z reguły posadzeni tam przez sąsiadów czy przez żony. Cela to jest sowieckie społeczeństwo w przekroju. Siedzą wszyscy: od nędzarskiego alkoholika do emeryta, który pokłócił się na ulicy z milicjantem. Siedzą wszyscy gdyż dla zamknięcia na 15 dni w „strefie odpoczynku” wystarczy oświadczenie żony, potwierdzone przez sąsiadkę albo dwu sąsiadów i milicjanta. Donos i areszt stały się do tego stopnia naturalną częścią sowieckiego życia, że żony wysyłają mężów w „strefę odpoczynku” jeśli chcą odpocząć od ich pijaństwa, albo spędzić 2 tygodnie z kochankiem.

Rozkład społeczeństwa — tak jak się to widzi z celi — osiągnął ostateczną granicę. Poza tą granicą może nastąpić jedynie zagłada albo wybuch. Pisarz notuje, że aresztowanych Żydów

spotkało w celi triumfalne przyjęcie. Dla więźniów nie byli oni Żydami — byli ludźmi, którzy odważyli się przeciwstawić władzy.

Adam KRUCZEK

PIĘĆ LAT „KONTYNENTU”

Pięć lat, dwadzieścia numerów, to dla kwartalnika o rozmiarach *Kontynentu* okres dostatecznie długi, by wyrobić sobie pewien sąd o jego dorobku i kierunku. Z okazji małego jubileuszu *Kontynentu* składamy naszym rosyjskim przyjaciółom szczerą gratulację: jak we wszystkich na świecie imprezach wydawniczych tego rodzaju bywają lepsze i gorsze numery kwartalnika, ale w sumie Maksimowowi i jego ekipie redakcyjnej udało się stworzyć pismo żywe, otwarte, na wysokim poziomie literackim, uważnie wsłuchane w życie ZSSR, drukujące pisarzy i publicystów krajowych i emigracyjnych, coraz bardziej świadome roli największej rosyjskiej trybuny opozycyjnej, nastawione na współpracę z przedstawicielami zarówno narodów wschodnioeuropejskich o statusie „demokracji ludowych” jak i narodów bezpośrednio inkorporowanych do ZSSR, dbałe o kontakt z intelektualistami i czytelnikami zachodnimi poprzez liczne edycje zagraniczne. Na pięciolecie *Kontynentu* wolno powtórzyć, z większym jeszcze naciskiem, słowa listu Sacharowa do Maksimowa po trzech latach istnienia kwartalnika. Nie ukrywając że nie wszystko mu się w *Kontynencie* podoba i nie ze wszystkim się w nim zgadza, Sacharow pisał: „*Kontynent* stał się najbardziej interesującym, najbardziej czytany w ZSSR pismem rosyjskim z Zachodu. Ukazanie się każdego numeru jest zawsze dla nas wydarzeniem, wywołującym spory i dyskusje. Takie podejście czytelników jest najlepszym dowodem żywotności i znaczenia pisma”.

Im lepiej rozwija się *Kontynent*, tym częstsze są próby podważenia jego rosnącej pozycji. Blisko dwa lata temu ruszyła do ataku *Frankfurter Allgemeine Zeitung*, przy współudziale Siniawskiego i Amalrika. Ostatnio, w wywiadzie *Le Monde* z Siniawskim, usłyszeliśmy podobną melodię. Nie zawsze jest jasne o co w tych zaczepkach, dąsach i grymasach niechęci chodzi. Na pozór o osobę redaktora, któremu zarzuca się „nietolerancyjność” i „metody dyktatorskie” (dość trudne do pogodzenia z uderzającą szerokim wachlarzem *Kontynentu*), albo — w związku z jego świeżo ogłoszonym pamfletem *Saga o nosorożcach* — napastliwość w stosunku do zachodnich liberałów (jakby istotą pamfletu nie było przerysowanie; i jakby oskarżyciele Maksimowa nie mieli aż za dużo dowodów, że przerysował wierny w zasadzie rysunek). Czasem pojawia się zrzucana mimochodem aluzja do rzekomej „prawicowości” *Kontynentu*: etykieta nadużywana z reguły i na Wschodzie i na Zachodzie, a szczególnie już dziwna, gdy się pamięta że jednym z głównych krytyków kwartalnika jest zadeklarowany „słowianofil”...

Można by wrzucić ramionami i powiedzieć, że jeśli *Kontynent* wykazał swą zdolność do życia w ciągu pierwszych pięciu decydujących lat, poradzi sobie i dalej. Ale przykro śledzić te krótkowzroczne i meskineryjne harce wokół najambitniejszego być może przedsięwzięcia, na jakie zdobyła się nowa emigracja rosyjska.

Nadzieje Jarosława Stećko

Na szczycie okazałego budynku napis głoścący, że jest to siedziba Ligi Wyzwolenia Ukrainy. W najbliższym sąsiedztwie murzyńska misja baptystów, po przeciwnej stronie, na dwóch rogach, restauracje: jedna koszerna, druga chyba portorykańska, dalej różne sklepy — Nowy Jork jest metropolią bardzo barwną ludnościowo. Ale siedziba organizacji ukraińskiej jest imponująca. Wewnątrz posiada własny bar, a osobne wejście prowadzi do ukraińskiej restauracji serwującej wyłącznie narodowe potrawy.

Korzystając z pobytu w Nowym Jorku umówiłem się na spotkanie z Jarosławem Stećko, który przyjechał tu z Monachium w związku z pobylem w Stanach Zjednoczonych Walentyna Moroza. Po śmierci Stefana Bandery Jarosław Stećko jest przywódcą nacjonalistów ukraińskich i najbardziej aktywnym ich orędownikiem na arenie międzynarodowej. Stećko jest prezesem stworzonego przez siebie centralnego komitetu organizacji pod nazwą Antybolszewicki Blok Narodów. Należą do niego przedstawiciele niektórych organizacji emigracyjnych kilku narodów, których państwa — obszary terytorialne — znajdują się w obecnych granicach imperium sowieckiego, względnie należą do tzw. Bloku państw socjalistycznych.

Mimo starań Jarosława Stećki żadna polska organizacja nie przystąpiła do tego antybolszewickiego bloku: wszystkie odmówiły, poczynając od generała Andersa. Tłumaczono odmowę tym, że emigracja polska prowadzi samodzielną akcję polityczną i w żadnym wypadku nie może pozostawać w łączności z organizacją, której poszczególni przedstawiciele — w tym wypadku Ukraińcy — w samym założeniu przesadzają granice państw, w tym również i Polski.

— *Jak Pan sobie wyobraża wyłonienie się samodzielnego i niepodległego państwa ukraińskiego? Przecież żadne państwo nie rozpocznie wojny ze Związkiem Sowieckim, ażeby zbudować Ukrainę.*

— Oczywiście ma pan rację, ale ja przecież nie głoszę programu wojennego i w swojej akcji nie przewiduję nowej wojny światowej. Więcej, my nie liczymy na żadną zbrojną pomoc jakiegokolwiek państwa. Zmierzamy do samodzielnego bytu narodowego w granicach etnicznych. Pragniemy, żeby Rosja także pozostała w swoich etnicznych granicach. Co znaczy naturalnie, że naszym celem jest rozbicie imperium sowieckiego. Mylny jest pogląd, że problem ukraiński jest jednym z wielu problemów narodowościowych współczesnego świata; problem ukraiński jest unikalny. W odróżnieniu od wszystkich innych może on być rozwiązany jedynie po rozbiciu imperium rosyjskiego. Będzie to równocześnie akcja na rzecz wyzwolenia — w europejskiej części — Białorusi, a w azjatyckiej — Turkiestanu, Uzbekistanu i innych narodów. I nie pozostanie bez wpływu na obecny stan rzeczy na Bliskim Wschodzie.

Problem ukraiński jest dlatego problemem rewolucyjnym, że jego rozwiązanie zmieni mapę świata. Dziś Rosja rozsądza nie tylko Europę, ale również Azję, Afrykę i kontynent amerykański. Gdy zostanie sprowadzona do państwa w granicach etnicznych, tym samym zlikwiduje się na innych terytoriach.

— *To bardzo ładnie brzmi, ale, proszę wybaczyć, to są marzenia, fantazje, a przecież Pan jest politykiem, czynnym działaczem, a nie poetą.*

— Myli się pan uważając moją wypowiedź za fantazję. Powiedziałem, że nie liczymy na wybuch wojny, ale moja prognoza opiera się na ocenie sytuacji w ZSSR. Na Zachodzie ocenia się ją — niestety — jak najbardziej błędnie. Nie dostrzega się wielu bardzo wymownych znaków. Moim zdaniem sytuacja w ZSSR jest już nie tylko wysoce napięta, ale zbliża się do stanu wybuchu. Mam przede wszystkim na myśli problem narodowościowy. Wszystkie ujarzmione przez Rosjan narody są w stanie wrzenia i one to wystąpią przeciwko systemowi sowieckiemu i rosyjskiemu imperializmowi. Bolszewicy wyobrażali sobie, że będą mogli u siebie bezkarnie gwałcić wszelkie prawa narodów, a jednocześnie występować na zewnątrz z hasłami wyzwolenia narodowego. To się zaczyna mścić. Nie muszę chyba dodawać, że imperializm rosyjski jest najgroźniejszy i najbardziej perfidny: operuje hasłami wolnościowymi i internacjonalistycznymi. Jest zdumiewające, że ciągle są jeszcze ludzie, czy grupy, które te fałszywe przyjmują za prawdę. Nie kwestionuję, że ten sowiecki imperializm może odpowiadać Rosjanom, nawet tym którzy są przeciwnikami systemu sowieckiego i wrogami komunizmu. Nie wątpię tej komunistycznej ekspansji Rosja zawdzięcza swoje obecne granice i wpływy na świecie, ale wszystkie narody są w niewoli i muszą odzyskać wolność, a to znaczy, że muszą złać imperializm sowiecki czy rosyjski. Narodom tym nie jest potrzebna wojna, ale zrozumienie i poparcie Zachodu i niekomunistycznego świata.

Nie ulega dla mnie najmniejszej wątpliwości, że gdyby prezydent Eisenhower nie powiadomił Moskwy, że Stany Zjednoczone nie są zainteresowane rewolucją na Węgrzech w październiku 1956 roku, wypadki potoczyłyby się inaczej. Nie jest to, niestety, jedyna zdrada uciemnionych przez ZSSR narodów ze strony Zachodu.

Jeżeli Zachód, Japonia i Chiny chcą uniknąć wojny nuklearnej, to powinny popierać ruchy wyzwolenicze na obecnym obszarze imperium sowieckiego. Tylko w ten sposób przyczynią się do rozbitcia tego imperium. ZSSR nie może rozpocząć wojny, gdyż jej zaplecze jest podminowane. Moskwa doskonale rozumie, że nie może zaufać lojalności oddziałów ukraińskich, polskich, niemieckich i innych nie rosyjskich. Rewolty narodowe spowodują także wycofanie wszelkich „doradców” sowieckich z Azji, Afryki, Ameryki Łacińskiej itd. Jak powiedziałem, my, Ukraińcy, nie czekamy na wojnę światową, liczymy natomiast na wewnętrzny rozkład ZSSR w następstwie odśrodkowych ruchów narodowych. Liczymy na własne siły, ale stwierdzamy, że w interesie Zachodu leży jak najbardziej wydatne poparcie wszystkich antyimperialistycznych, antyrosyjskich ruchów wyzwoleniczych.

— *Nie posiadam danych, żeby podjąć z Panem dyskusję na ten temat, ale skoro uważa Pan, że sytuacja na obszarze ZSSR jest tak napięta i wybuchowa, to chciałbym Pana zapytać, jak przedstawia się ona na Ukrainie?*

— Przynajmniej chciałbym podkreślić, że moje ocena nie znaczy, że Ukraińcy są już gotowi do rewolucji. Nie! Ale przygotowujemy się do tego, abyśmy nie zostali zaskoczeni rozwojem wypadków. Na naszych etnicznych terenach zachodnich sieć organizacyjna jest stosunkowo gęsta, na obszarach wschodnich i centralnych dotychczasowe akcje mają charakter bardziej improwizacyjny. Ale w odpowiednim momencie organizacja się ujawni. Nie mogę powiedzieć więcej, ale zapewniam, że mój optymizm, przede wszystkim jeśli idzie o nastroje w społeczeństwie ukraińskim, jest uzasadniony.

— *Czy ruch, na którego czele Pan stoi, w dalszym ciągu związany jest z polityką niemiecką i liczy na poparcie Niemiec?*

— Nie chcę nawracać do przeszłości, ale muszę zwrócić uwagę na pewne aspekty. Czy widzi Pan moją rękę? Te obrażenia wyniosłem z niemieckiego obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen. Nasz stosunek do Niemców jest i będzie taki sam jak do innych narodów i państw; będzie uzależniony od ich ustosunkowania się do naszej niepodległości. Nie należy zapominać, że nasza wojna z Niemcami hitlerowskimi rozpoczęła się 30 czerwca 1941 roku.

Chciałbym jeszcze dodać, że w obozie niemieckim siedziałem w ściśle izolowanym bunkrze. W takich samych warunkach znaj-

dowali się generał Grot-Rowecki, biskup lubelski, którego nazwiska nie znam, oraz jeden z adiutantów Marszałka Piłsudskiego, a z Ukraińców Stefan Bandera. Oczywiście nawiązaliśmy kontakt z Polakami, naturalnie nie osobisty, ale porozumiewaliśmy się więziennymi sposobami. I chyba wolno mi powiedzieć, że doszliśmy do zgodnego wniosku, iż stosunki między naszymi narodami trzeba będzie ułożyć pod kątem nowej konstelacji na świecie.

— *Czy zrewidował Pan swój stosunek do Polski?*

— Nie będziemy przecież teraz powracać do przeszłości, a wobec tego oświadczam jedynie, że nasze stosunki muszą być oparte na bazie etnograficznej, a wówczas będziemy gotowi do współpracy możliwie ściślej i bliżej z narodem polskim. Obie strony tylko na tym zyskają.

— *To bardzo ładnie brzmi, tylko dlaczego strona ukraińska swój obszar etnograficzny rozciąga aż pod Kraków? Czy Pan, jako reprezentant ruchu narodowego, nie powinien stwierdzić, że — gdy chodzi o Polskę — uznaje obecny stan terytorialny?*

Mój rozmówca skrzętnie notował te pytania i uwagi z nimi związane, ale odpowiedzi nie udzielił*.

Była już późna godzina i p. Sława Stečko zakończyła naszą rozmowę zapraszając na pożegnalną herbatkę.

Rozmawiał Benedykt HEYDENKORN

* A może na ostatnie pytanie, na które p. Jarosław Stečko nie odpowiedział, odpowie Walentyń Moroz? (*Redakcja*).

Kronika niemiecka

W wydawnictwie Oberbaum Verlag w Berlinie Zachodnim odbył się wieczór autorski Leszka Szarugi, poety i pisarza, współpracownika niezależnego kwartalnika literackiego *Puls*. Po prezentacji utworów autor odpowiadał na liczne pytania dotyczące sytuacji literatury polskiej i społecznego ruchu demokratycznego. ■ Zachodniobrzeńska firma *Veit* przekazała do użytku mieszkańców Warszawy kompletne wyposażenie salonu szybkiego prania i prasowania. Całkowity dochód z usług tego zakładu przeznaczony zostanie na fundusz budowy *Centrum Zdrowia Dziecka*. Urządzenie przekazał dyrektor firmy — Horst Knoll. ■ Dwaj sowieccy dziennikarze — przedstawiciel agencji TASS Jewgenij Basmacznikow oraz Oleg Nikiforow, korespondent pisma *Socjalistическая Industria*, otrzymali nakaz opuszczenia

terytorium RFN. Postawiono wobec nich zarzut popełniania szeregu wykroczeń drogowych. Na początku maja br. władze sowieckie wydalili z Moskwy dwóch korespondentów telewizyjni zachodnoniemieckiej — operatora TV, Herberta Altmanna i dziennikarza, Roberta Stengla. Wydalenie nastąpiło po przekazaniu przez nich serii krytycznych reportaży. Altmannowi zarzucono, że w czasie podróży na Syberię wszczął pijacką burdę, zaś Stenglowi, że nie interweniował, by uspokoić kolegę. TASS: „W naszym kraju nie toleruje się pijaństwa”... Rząd RFN ostrzegał Moskwę wcześniej o możliwości wydalenia sowieckich dziennikarzy, jeśli nie pozwolą Robertowi Stenglowi na powrót do Moskwy. ■ Po wycofaniu ze sprzedaży węgla w sklepach dewizowych *Pewexu*, firmy wysyłkowe z RFN natychmiast rozpoczęły wśród Polonii akwizycję na paczki węglowe dla ich rodzin w kraju; zakupiły na Śląsku 100 tysięcy ton węgla i zgarnęły do własnej kieszeni marzę stuprocentową. Katowicka *Gazeta Południowa* pisze, że „węgiel więc wrócił, jak i materiały budowlane do *Pewexu*, ale nie do sklepów — tylko na zamówienia z zagranicy. Podobnie było z naszymi budowlanymi pracującymi w Libii, którzy z RFN zamówili paczki dla rodzin w kraju na sumę 5 mln. dolarów”. ■ Przedstawiciele wielkiej zachodnoniemieckiej firmy *Adidas*, produkującej sprzęt oraz ubiory sportowe przekazali dla *Centrum Zdrowia Dziecka* różnego rodzaju dresy, obuwie, trykoty itp. oraz sprzęt sportowy ogólnej wartości 30 tys. marek. ■ Kościół ewangelicki w Hesji-Nassau w RFN przeznaczył 20 tys. marek na zakup sprzętu medycznego wskazanego przez dyrekcję *Centrum Zdrowia Dziecka*. ■ Firma Reinholda Bange z Hamburga przekazała czek w wysokości 3 tys. marek na podobny cel. ■ Zachodnoniemiecka *Fundacja im. Maksymiliana Kolbe (Maximilian-Kolbe-Werk e. V.)* w ostatnio opublikowanym sprawozdaniu ogłosiła, że od chwili założenia *Fundacji* w 1973 roku zebrała i przekazała do Polski dary i pomoc pieniężną w wysokości 4,8 mln. marek. *Fundacja*, posiadająca siedzibę we Fryburgu Bryzgowijskim skupia 2,5 tys. członków indywidualnych oraz 330 organizacji i przedsiębiorstw wspierających; udziela stałej pomocy finansowej ponad 2 tys. polskich ofiar nazizmu. *Maximilian-Kolbe-Werk* podkreśla, że zadaniem *Fundacji* jest nie tylko udzielanie materialnej pomocy, ale również zademonstrowanie solidarności, partnerstwa i przyjaźni. Świadectwem właściwego zrozumienia tego posłania jest wiele listów nadchodzących z Polski. Prasa peerelowska pomija całkowitym milczeniem działalność *Fundacji*. ■ Prasa zachodnoniemiecka ujawniła, że rząd RFN wykupił w pierwszych czterech miesiącach br. 299 więźniów politycznych, skazanych w NRD; rząd boński płaci 40-60 tys. marek za więźnia wschodnoniemieckiego reżymu. W tym samym okresie ub. roku, w podobny sposób, NRD zwolniła tylko 240 więźniów. W ciągu 1978 roku rząd Schmidta wykupił 1.346 a w roku 1977 — 1.128 więźniów, skazanych w NRD na kary pozbawienia wolności. Handel wewnątrzniemiecki rozwija się również i w tej dziedzinie. ■ Według raportu zachodnoniemieckiego ministra spraw wewnętrznych, Gerharda Bauma, w 1978 roku niemiecko-niemiecką granicę udało się przekroczyć 186 Niemcom z NRD, w porównaniu z 301 w roku 1977. Około 3 tys. Niemców z NRD zbiegło do RFN w ub. roku innymi drogami. ■ Zachodnioblińska grupa *Młodych Liberatów (FDP)* zorganizowała publiczną dyskusję poświęconą wyborom do *Parlamentu Europejskiego*. W dyskusji wziął udział kandydujący z ramienia partii liberalnych przedstawiciel Belgii, Francji, Niemiec, Wielkiej Brytanii i Włoch. Jako jedyny spoza *EWG* został zaproszony Polak, Stanisław Owsiński (zam. w Szwajcarii), w ten sposób Niemcy, organizatorzy spotkania, zapraszając Polaka pragnęli symbolicznie podkreślić, że Europa nie kończy się na Łabie. ■ Według dziennika *Stuttgarter Nachrichten* na każde 100 mieszkańców, z NRD wyjechała za granicę 75, z CzSSR — 64, z Węgier — 44 i z Polski — 36. Z PRL wyjechało w 1978 roku o 10 % mniej turystów (1,3 mln.); wyjazdy do Związku Sowiec-

kiego zmniejszyły się o 42 %. Gazeta niemiecka przytacza prognozę polskiego *Instytutu Turystyki*, która brzmi niezbyt optymistycznie: stan wyjazdów z 1977 roku osiągnięty zostanie ponownie dopiero w połowie lat 80-tych. ■ W Würzburgu odbyła się kolejna doroczna sesja *Towarzystwa im. Janusza Korczaka*; wzięło udział 120 członków *Towarzystwa*, w większości lekarzy i pedagogów. Przedmiotem obrad były sprawy dalszej popularyzacji dorobku literacko-naukowego dr. Korczaka, którego sekretarz stanu dr Hans Rosenbauer określił w swym wystąpieniu jako *polskiego Pestalozzi*. ■ *Radio Free Europe (Dział Studiów)* wydało obszernie opracowanie zbiorowe poświęcone wizycie Jana Pawła II w Polsce: *The Pope in Poland, Monachium 1979*, str. 128. ■ *Polens Entwicklung im europäischen Entspannungsprozess der 70er Jahre (Rozwój Polski w procesie odprężenia w Europie lat 70-tych)* — taki tytuł nosi praca Christopha Royena, wydana przez bawarską *Stiftung Wissenschaft und Politik (Fundacja d/s Nauki i Polityki)* w Ebenhausen. ■ Zgrzyt w zachodnoniemieckiej telewizji: Daniel Luliński, b. korespondent *Trybuny Ludu* w Bonn a obecnie jeden z czołowych publicystów partyjnego organu został zaproszony przez dyrekcję I programu telewizyjnego (*ARD*) do Kolonii, skąd komentował dla... niemieckich widzów przebieg wizyty Jana Pawła II w Polsce. Sama obecność Lulińskiego, który należy do najbardziej zagorzałych przeciwników procesu normalizacji stosunków polsko-niemieckich w niemieckiej telewizji i jego ocena aktualnego stanu stosunków Kościół - państwo („ludzie chodzą na msze, ale popierają politykę partii”) wywołały falę oburzenia i protestów. Jeden z niemieckich widzów zarzucił wprost dyrekcji *ARD* „daleko idącą ustępliwość i pomaganie komunistom w propagowaniu kłamliwych haseł o rzekomych swobodach obywatelskich w Polsce”, zapytał ponadto czy odpowiedziani za zaproszenie Lulińskiego w ogóle słyszeli o istnieniu *Tygodnika Powszechnego, Więzi i Znaku*; współpracownicy tych pism — zdaniem autora listu — są jedynymi publicystami w PRL, którzy wchodziliby w rachubę jako *prawdziwie polscy* sprawozdawcy tej historycznej wizyty w niemieckiej telewizji. W międzyczasie dotarły informacje, że nie kto inny tylko kierownik biura *ARD* w Warszawie, Peter Gatter, polecił Lulińskiego swojej centrali w Kolonii, korzystając z urzędowego pośrednictwa agencji *Interpress*, „żeby mieć na przyszłość spokój z polskimi władzami”. Austriacy wykazali więcej znajomości tematu i instynktu politycznego; w programie specjalnym, poświęconym wizycie papieża w PRL, odbyła się telewizyjna dyskusja okrągłego stołu, w której m.in. wziął udział Tadeusz Nowakowski. Komunistycznych propagandzistów nie zaproszono. ■ Według niedawno ogłoszonej statystyki narodowościowej, w RFN mieszka na stałe 46.031 Polaków z paszportami uchodźczymi lub innymi dokumentami upoważniającymi do stałego pobytu. ■ Staraniem ks. mgr. Jerzego Galińskiego — i pod jego redakcją — ukazuje się od jesieni 1978 roku w Monachium miesięcznik parafialny *Spotkania*. W wydawaniu pisma pomaga proboszczowi spora grupa polskiej młodzieży. ■ Przez niemiecko-polską firmę *Depolma*, z siedzibą w Düsseldorfie, przechodzi 12,7% całego polskiego eksportu do RFN. Ryszard Tobolski, dyrektor *Depolmy*: „Jeśli możemy dobrze sprzedać np. 100 tysięcy kolorowych ptaszków z gliny, to robmy to” (*Życie Warszawy*, 9-10. 6. 1979). ■ Koncern *Kruppa* dostarczył do Polski w latach 1977/78 urządzenia i towary o łącznej wartości 300 mln. marek. ■ Zachodnoniemiecka *Nagroda im. Petrarci*, w wysokości 20 tys. marek, została w tym roku przyznana Zbigniewowi Herbertowi za całokształt twórczości poetyckiej. Uroczyste wręczenie nagrody odbyło się w Veronie. ■ W NRD wykluczono 9 literatów ze *Związku Pisarzy* „oszczercze występowanie za granicą przeciwko NRD”: Kurt Bartsch, Adolf Endler, Stefan Heym, Karl Heinz Jacobs, Klaus Poche, Klaus Schlesinger, Rolf Schneider, Dieter Schubert i Joachim Seyppel „oddali się na usługi antykomunistycznej nagonki i naruszali socjalistyczny porządek prawny”

— wyrokuje *Neues Deutschland*. ■ Znowelizowane prawo karne w NRD przewiduje od sierpnia br. karę więzienia do lat 5 za „gromadzenie informacji lub przedmiotów objętych tajemnicą państwową i udostępnianie ich ze szkodą dla interesów NRD obcemu mocarstwu lub jego instytucjom czy przedstawicielom”. W ten sposób władze wschodniej części Niemiec chcą zapobiec przedostawianiu się i publikowaniu utworów literackich na Zachodzie. ■ W wydawnictwie *Ullstein* ukazał się drugi nakład (20 tys. egz.) książki Mariana Rogowskiego *Gewonnen gegen Hitler* (Wygrałem z Hitlerem). Rogowski od 20 lat mieszka we Frankfurcie, gdzie redaguje miesięcznik pn. *Unsere Stimme*. ■ Terrorysty z tzw. *Terytorialnej Armii Oporu* dokonali zamachu bombowego na siedzibę sowieckiego biura podróży *Inturist* we Frankfurcie nad Menem. Wybuch bomby wyrządził nieznaczące szkody; na miejscu znaleziono ulotki, w których zamachowcy protestują przeciwko sowieckiemu poparciui udzielanemu Palestyńczykom, dostarczaniu im broni oraz przesładowaniu działaczy opozycyjnych w krajach wschodnioeuropejskich. ■ Po całodziennej debacie *Bundestag* przegłosował wniosek zainicjowany przez przewodniczącego *SPD* Herberta Wehnera, znosząc tym samym przedawnienie w RFN zbrodni morderstwa, w tym zbrodni hitlerowskich. Za zniesieniem przedawnienia wypowiedziało się 255, a przeciw — 222. ■ Rząd w Bonn ogłosił raport, z którego wynika że neonazistowska partia *NPĐ* liczy obecnie 8.500 członków, tzn. o 500 mniej niż w roku ubiegłym. *Promoskiewska Niemiecka Partia Komunistyczna (DKP)* nie zwiększyła liczby członków; obecny stan utrzymuje się w granicach 42 tysięcy. *DKP* otrzymała w ub. roku dotacje z NRD na łączną sumę 50 mln. marek. ■ Mimo kontrakcji *CSU*, rada miejska Norymbergi zaaprobowala porozumienie o współpracy (*Städtepartnerschaft*) z Krakowem. Podobne porozumienia zawarły wcześniej Breme z Gdańskiem, Hanower z Poznaniem i Getynga z Toruniem. *Bawarska SCU* jest przeciwna takim porozumieniom i twierdzi, że jest to „centralnie sterowane mieszanie się polskiego reżymu komunistycznego w wewnętrzne sprawy RFN” oraz próba „indoktrynacji niemieckich partnerów”.

Andrzej J. CHILECKI

Kronika ukraińska

NAGRODA IM. JANINY ŁAWRUK ZE STARZYCKICH

Jury Nagrody w składzie: dr Bohdan Budorowycz, profesor Wydziału Języków i Literatur Słowiańskich na Uniwersytecie Toronto; Jerzy Giedroyc, redaktor *Kultury* w Paryżu; Benedykt Heydenkorn, były redaktor *Związkowca* w Toronto; Iwan Koszeliweć, redaktor *Suczasnosti* w Monachium; dr Bohdan Ławruk, profesor Wydziału Matematyki na Uniwersytecie McGill w Montrealu — fundator, wybrało w maju br. dwie następujące osoby:

Dr. Petra Poticznoho, profesora Wydziału Nauk Politycznych na Uniwersytecie McMaster w Hamilton, Ontario — za działalność w kierunku zbliżenia i współpracy obu narodów, której wybitnym przejawem było zorga-

nizowanie wielkiej konferencji naukowej, pierwszej tego rodzaju, poświęconej stosunkom polsko-ukraińskim. Konferencja ta odbyła się w październiku 1977 roku na Uniwersytecie McMaster z udziałem naukowców i intelektualistów z różnych krajów. Była ona wielkim osiągnięciem oraz początkiem współpracy w kierunku zbliżenia.

Dr. Ignacego Tokarczuka, biskupa ordynariusza diecezji Przemyskiej, w której zamieszkuje najwięcej Ukraińców katolików Polski — za stałą i pełną poświęcenia opieką nad wiernymi obrządku grekokatolickiego oraz za ratowanie ukraińskich cerkwi dla Kościoła.

Jury przyznało prof. dr. P. Poticznomu nagrodę \$ kan. 500, a biskupowi dr. I. Tokarczukowi nagrodę \$ kan. 1.000.

Wręczenie nagród odbyło się za pośrednictwem Fundacji im. Adama Mickiewicza w Toronto.

Nagroda im. Janiny Ławruk ze Starzyckich przeznaczona jest dla osób zasłużonych dla idei zbliżenia polsko-ukraińskiego, która przyświecała śp. Janinie Ławruk w ciągu Jej życia. Wynosi ona \$ kan. 1.500. Przewiduje się, że nagroda ta będzie przyznawana co trzy lata w miesiącu maju. Ufundował ją pierwszego maja 1976 r., dla uczczenia pamięci swej matki w trzecią rocznicę jej śmierci, syn, Bohdan Ławruk, na którego adres: 3425 Stanley St., apt. 405, Montreal, P.Q., H3A 1S2, Canada, można kierować ewentualną korespondencję.

W 1976 roku Nagrodę im. Janiny Ławruk ze Starzyckich otrzymali: Wadym Łesycz — za antologię poezji polskiej w języku ukraińskim, Józef Łobodowski — za twórczość publicystyczną, poetycką i pisarską poświęconą idei zbliżenia polsko-ukraińskiego oraz Juliusz Mieroszewski — za twórczość publicystyczną w sprawie zbliżenia obu narodów.

LIST PROF. DR. JANA KIELANOWSKIEGO DO WALENTYNA MOROZA

Drogi Walentyńcie!

Zwracam się do Ciebie w imieniu coraz w Polsce liczniejszych przyjaciół Ukrainy, którzy najpierw ze zrozumieniem i uznaniem śledzili Twe dążenia do ochrony zagrożonej kultury ludu huculskiego, tak bliskiej także naszemu sercu, a później ze zgrozą, i oburzeniem dowiadywali się o Twoim męczeństwie. Pełni byliśmy niepokoju w czasie Twej długiej głodówki, a gdy zbyt szybko przebrzmiały echa tego bohaterskiego protestu i dalsze Twe losy ogarnęła złowroga cisza obawialiśmy się, że jak tyłu innych, którzy życie swe położyli w obronie godności Twojego narodu, ocalisz się już tylko w pełnym czci wspomnieniu. Tym większa więc była nasza radość, gdy nieoczekiwanym zrzędzeniem znalazłeś się na wolności. Choć teraz na tułaczce i z dala od umiłowanej ojczyzny wiemy, że nadal poświęcać jej będziesz każdą Twoją myśl i każde drgnienie gorącego serca, domagając się dla niej niestrudzenie o te prawa i swobody, które przysługiwać powinny wszystkim narodom, które gwarantowane były solennie już tyle razy przez różne międzynarodowe gremia, a łamane są brutalnie i cynicznie na tak wielkich obszarach naszego globu.

Domagając się tych samych praw i swobód dla naszej ojczyzny jesteśmy Twymi sprzymierzeńcami. Dzieje wskazują, że waśń pomiędzy Polską i Ukrainą doprowadziła do zniewolenia ich obu. Niech więc waśń ta teraz i już na zawsze ustanie, niech odtąd wspólna będzie nasza droga. Bo czy którykolwiek z naszych narodów może być prawdziwie wolny, gdy drugi będzie w niewoli? Przestańmy wylizywać bolesne krzywdy, które wzajemnie

sobie wyrządzaliśmy, niech pójdzie w zapomnienie wrogość rozpalana obcym zarzewiem, odnowmy dawne tradycje współpracy i przyjaźni.

Przyjmij te słowa tak szczerze i po prostu jak je piszę, razem z serdecznymi życzeniami na Twą nową, pielgrzymią drogę.

Jan KIELANOWSKI

STULECIE ST. LUDKEWYCZA

W roku bieżącym społeczeństwo ukraińskie — zarówno w kraju jak i na obczyźnie — obchodzi dość niezwykłą rocznicę — 100-lecie wybitnego kompozytora ukraińskiego, Stanisława Ludkewycza. Urodził się on 24 stycznia 1879 roku w Jarosławiu. Studiował najpierw we Lwowie, m.in. u Mieczysława Sołtysa, a następnie w Lipsku i Wiedniu, gdzie po napisaniu dysertacji na temat programowości w muzyce uzyskał stopień doktora filozofii w zakresie muzykologii.

Działalność Stanisława Ludkewycza była dość szeroka. Oprócz twórczości kompozytorskiej pracował jako muzykolog, etnograf, dyrygent, nauczyciel oraz inspektor szkół muzycznych. Chociaż wypowiadał się prawie we wszystkich dziedzinach twórczości muzycznej, najcenniejsze utwory dał na polu wielkich form wokaln-orkiestrowych: kantatę-symfonię „Kaukaz”, „Testament” („Zapowit”) i inne. Jako człowiek i artysta Ludkewycz odznaczał się znaczną niezależnością. Jednym z jego pierwszych utworów była muzyka do wiersza Iwana Franki „Wieczny rewolucjonista”. Na swej kantacie-symfonii „Kaukaz” umieścił następującą dedykację: „Poświęcam rewolucjonistom rosyjskim”. Należy przypomnieć, że było to w roku 1905 i miało miejsce w granicach cesarsko-królewskiej monarchii austriackiej. Jako temat swej pierwszej opery Ludkewycz wybrał życie i czyny żydowskiego bohatera Bar-Kochby. Ludkewycz był zdaje się jedynym spośród żyjących obecnie w ZSSR muzyków, który miał odwagę publicznie występować przeciwko praktyce cenzurowania utworów dawniejszych kompozytorów, za ich nie całkiem ideologiczną treść.

Spśród licznych teoretycznych prac Ludkewycza niektóre dotyczyły tematyki polskiej (np. o opracowaniach pieśni ludowych Jana Galla). Jego dwie większe prace były opublikowane w polskim periodyku *Muzyka w szkole* (1930 r.) Razem zebrane prace teoretyczne Ludkewycza zostały wydane w Kijowie w 1973 roku. Jednak historia tej książki była dość osobliwa nawet w warunkach sowieckich. W dniu wypuszczenia jej z drukarni cały nakład został skonfiskowany i zniszczony. Na szczęście kilka egzemplarzy zostało zawczasu uratowanych, a jeden z nich przedostał się nawet do Ameryki. Tutaj, staraniem Ukraińskiej Fundacji Muzycznej w Nowym Jorku, książkę wydano systemem fotograficznym, w dwutysięcznym nakładzie. W Kijowie zaś w 1976 roku ukazały się prace Ludkewycza na tyle wyczerpane „ideologicznie”, że z 520 stron pierwszego wydania pozostało zaledwie 213.

Uroczystości 100-lecia urodzin kompozytora były jednak dość okazałe. W wychodzącym w Kijowie dwumiesięczniku *Muzyka* (1979, Nr 1) opublikowano cztery artykuły poświęcone seniorowi kompozytorów wraz z zawiadomieniem o przyznaniu mu najwyższych odznaczeń państwowych. We Lwowie, w połowie stycznia br., odbyło się sześć koncertów, na które złożyły się wyłącznie utwory jubilata: jeden symfoniczny, dwa wokalne i trzy kameralne. Obecnemu na trzech z tych koncertów kompozytorowi publiczność zgotowała gorącą owację.

Wasyl WYTWYCKYJ

Ci, co odeszli

Zmarł Antoni Gołubiew

27 czerwca umarł na od dawna trapiącą go chorobę serca Antoni Gołubiew: historyk, pisarz i publicysta katolicki, znany najszerzej jako autor cyklu powieściowego *Bolesław Chrobry*. Był wilnianinem, „wyrepatriowanym” po wojnie do „dalszej ojczyzny”. Osiadł w 1945 w Krakowie, gdzie wraz z grupką wileńskich przyjaciół — Turowiczem, Stomma, Marią Morstin-Górską — stworzył tak ważny w polskim życiu kulturalnym (i nie tylko) *Tygodnik Powszechny* i gdzie stanowił jedną z ważnych postaci w środowisku otaczającym to pismo. Praca nad utrwaleniem i rozpowszechnieniem tej postawy wobec świata, jaką to środowisko reprezentuje: oświeconego, liberalnego katolicyzmu, była tylko kontynuacją wcześniejszej, wileńskiej działalności pisarza. Antoni Gołubiew urodził się w Wilnie 25 lutego 1907 roku i tam skończył gimnazjum (1925) i uniwersytet (1933). Studiował długo, bo długo szukał dziedziny wiedzy, która by go zadowoliła: zaczął od astronomii i fizyki, by poprzez polonistykę dotrzeć do historii, z której uzyskał dyplom (u prof. St. Kościłkowskiego). Już w latach studenckich zaczął działalność literacką i dziennikarską: związany był w latach 1931-32 z grupą „Żagary” i redagował przez rok *Kurier Wileński*. Właściwym, ważnym początkiem jego działalności było redagowanie w latach 1932-36 dwutygodnika *Pax. O chrześcijańsku kulturę jutra*. Pismo to, nic wspólnego oczywiście nie mające z organizacją Piaseckiego, było jakby załącznikiem późniejszej grupy „Znak” (bez Zabłockiego *et Co.*) — pisali w nim Turowicz i Stomma, który po Gołubiewie został jego redaktorem. Na łamach tego pisma zadebiutował Gołubiew jako powieściopisarz, publikując w odcinkach „Mędrców na arenie” (1935). Do wybuchu wojny pracował też jako nauczyciel historii, dziennikarz radiowy i urzędnik. Lata wojny spędził na folwarku krewnych żony, w Ukropiskach pod Oszmianą, gdzie podejmował się najcięższych prac fizycznych, pracując równocześnie nad dwoma pierwszymi częściami „Chrobrego”: *Puszcza* i *Szto nowe* powstały w swym istotnym kształcie już w latach

1940-44 (ukazały się w Czytelniku w 1947). Trzecia część dzieła, dwutomowe *Złe dni* wyszły w 1950. Ostatnie części IV i V noszą łączny tytuł *Rozdroża* i składają się z trzech tomów: dwa z nich wydał PAX w 1954 i 1955 r., po czym nastąpiła prawie dwudziestoletnia przerwa. Chodźli słyuchy, że Gołubiew zarzucił temat, zmęczony jego rozmiarem — i istotnie, formalne zakończenie cyklu, trzeci tom „Rozdroży” pt. *Wnuk* (1947) robi raczej wrażenie zawieszenia budowy. Zapewne zapowiedziane w poświęconym zmarłemu numerze *Tygodnika Powszechnego* z 8 lipca 1979 roku, gotowe do druku wspomnienia jego pt. „Największa przygoda mego życia. 35 lat pracy nad *Bolesławem Chrobrym*” opowiedzą szerzej o wahaniach i trudnościach przy pisaniu tej ważnej pozycji w polskiej literaturze powojennej.

Gołubiew pisał dużo (wiele zostało w rękopisie) i wydał kilka zbiorów szkiców: historycznych („Unoszeni historią”, 1971; „Świadkowie przemian”, 1974), publicystycznych i filozoficznych („Poszukiwania”, 1960) i religijnych („Listy do przyjaciela. Gdy chcemy się modlić”, 1955), a także tom opowiadań („Na drodze”, 1966), ale w powszechnym odczuciu największym jego dziełem jest *Bolesław Chrobry*.

Nie jest to utwór jednolity i można mu zarzucać wiele, m.in. brak wyraźnego punktu ciężkości, harmonii; niemniej jest to dzieło wybitne. Gołubiew miał własną wizję początków Polski — nie tylko jako państwa, ale i jako odrębnej, cywilizacyjnej formacji — i wizję tę potrafił czytelnikowi narzucić i utrwalić w pamięci. W pierwszych czterech częściach *Chrobrego* gołubiewowska interpretacja czasów tego przełomu rysuje się jasno: jest to podniesienie prymitywnej, biologicznej formy egzystencji na wyższy poziom społeczeństwa rządzonego nie odruchami instynktu, lecz prawem i wymogami wielostronnych uzależnień. Wzorem i nauczycielem jest tu Kościół — jego wiedza i doświadczenie — uosobione w powieści w świetnej scenie lekcji łaciny, kiedy mentor-ksiądz zwraca uwagę młodego Bolesława na różnicę między podejrzaną lekkością słowa *ira* i brzemiennej w konsekwencje długością słowa *patientia*. Wspaniały symbol gołubiewowskiej koncepcji tego co dzieliło „puszczę” od „nowego”!

Dalsze części cyklu wprowadzają trzeci stopień wznoszenia się budowli społecznej: rosnącego uduchowienia.

To co początkowo stanowiło tylko narzędzie, zaczyna działać: Bolesław i jego otoczenie stają się naprawdę chrześcijanami. Leitmotyw „Rozdroży”: *pąc szła...* można uznać też za nazwę procesu, który — jak sądzi Gołubiew — zaczął się już wtedy, i który po wiekach miał przynieść to, o co pisarz i jego przyjaciele walczyli przez całe życie: chrześcijańską kulturę jutra.

Ocenia się powszechnie dwa pierwsze tomy *Chrobrego* jako najlepsze i chyba słusznie; przejście od pierwotnego indywidualizmu do cywilizowanej społeczności przedstawione zostało wspaniale. Być może zachwianie się późniejszej struktury książki jest przejawem inherentnej trudności związanej z tym drugim

krokiem, który chciał zobrazować Gołubiew: przejściem od *cywilizacji* w sensie zewnętrznym do *kultury* w sensie wewnętrznym, duchowym. Bo o ile pierwszy krok był faktem historycznym, drugi jest i pozostaje postulatem — i to kontrowersyjnym, o wielu różnych interpretacjach. Niemniej ta porażka artystyczna — o ile to naprawdę porażka — ma w sobie coś sympatycznego, bo jej ryzyko pisarz podjął w imię tego, w co sam najgłębiej wierzył. I o ile jest to istotnie porażka, to została ona w pełni okupiona tym, co w książce jest niewątpliwie udane: barwną wizją dawnej Polski, psychologicznie dojrzałymi sylwetkami bohaterów, posagową postacią Bolesława i *last but not least* oryginalną formą językową powieści. Wbrew prześmiewcom archaiczna stylizacja Gołubiewa ma wiele uroku i *mutatis mutandis* nie ustępuje barokowej stylizacji Sienkiewicza. Toteż można przypuszczać, że otwierające *Chrobrego* zdanie „Ludzie jakowyś od lasu!... Ludzieeee” zachowa w polskiej literaturze ten sam walor co „Był na Litwie możliwy ród Billewiczów...” i tak samo pozostanie w niej na złą i dobrą dolę.

M. BRŃSKI

ZAPRENUMERUJ

ZESZYTY HISTORYCZNE

Jedyny, niezależny kwartalnik poświęcony najnowszej historii Polski.

Dziś, kiedy średnie i młode pokolenie nie tylko w Polsce ale i na Zachodzie, coraz mniej wie o historii swego narodu, albo nieświadomie ulega jej fałszowaniu w Kraju lub równie szkodliwym mitom patriotycznym na Zachodzie — istnienie tego wydawnictwa jest niewątpliwie koniecznością. Niestety — choć nie brak nam komplementów czy słów uznania — brakuje ciągle dostatecznej ilości prenumeratorów, aby nie tylko utrzymać ale i rozbudować **ZESZYTY HISTORYCZNE**.

Przy rosnących kosztach druku i stosunkowo niskiej cenie tylko kilkuset nowych prenumeratorów może być prawdziwą pomocą.

Roczna prenumerata wynosi F.160 (\$ USA 37; \$ Can. 44) a dla prenumeratorów **KULTURY** F. 140 (\$ USA 33; \$ Can. 40), za 4 zeszyty, zawierające każdy 240 stron.

POD AUSPICJAMI
TOWARZYSTWA HISTORYCZNO-LITERACKIEGO W PARYŻU
z KOMITETEM WYDAWNICZYM w składzie:

Czesław Miłosz z University of California — Berkeley, Piotr Wandycz z Yale University, Henryk Wereszycki z Uniwersytetu Jagiellońskiego, Jacek Woźniakowski z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego i Czesław Zgorzelski z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego — KSIĘGARNIA „LIBELLA” W PARYŻU, rozpoczęła nową serię wydawnictw pod nazwą ogólną: „HISTORIA I TERAŻNIEJSZOŚĆ”.

Druga książka tej serii (nosząca numer I-szy) ukazała się właśnie w druku. Jest to:

HENRYK WERESZYCKI
„HISTORIA POLITYCZNA POLSKI”
1864-1918

Stron: 336.

Cena F.fr. 60,00 (lub równowartość).

Poprzednio ukazała się książka z tej serii (nosząca numer 2-gi):

ANDRZEJ MICEWSKI
„WSPÓLRZĄDZIĆ CZY NIE KLAMAĆ”
Pax i Znak w Polsce 1945-1976

Stron: 269.

Cena F.fr. 50,00 (lub równowartość).

Następna książka z tej serii (nosząca numer 3-ci) jest już w druku. Będzie to:

MARCIN KRÓL
„STYLE POLITYCZNEGO MYŚLENIA”

◆
Książki do nabycia we wszystkich polskich księgarniach na Emigracji u Przedstawicieli Pism, lub bezpośrednio u Wydawcy:

„LIBELLA”
12, rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004 Paris.
Métro: Pont Marie lub Saint-Paul.
Telefon: 326-51-09.

Sprawy i troski

Penrhos

O instytucji „Osiedle mieszkaniowe w Penrhos” (w Walii, niedaleko pięknego miasteczka Pwllheli, w pełnym gór i jezior hrabstwie Gwynedd) nie można — właściwie należałoby powiedzieć — nie mogę — pisać tak po prostu i zwyczajnie w formie tzw. reportażu, a tym bardziej kronikarskiej drętwej informacji o takich czy innych wydarzeniach, jubileuszach i obchodach w Penrhosie. Jak na przykład niedawna żałobna uroczystość pochowania prochów i wmurowania w ścianę „polskiej” części cmentarza w Pwllheli tablic upamiętniających 34 rodaków, przede wszystkim żołnierzy, zmarłych samotnie — na ulicach, w mieszkaniach — nieodwiedzanych miesiącami, a może i latami przez bliskich czy przyjaciół, bo ci samotnicy nie mieli już ich na tym świecie. Ten zbiorowy pogrzeb prochów samotnie zmarłych rodaków zorganizowała administracja „Osiedla mieszkaniowego w Penrhos” — faktycznie jego dyrektor, Leon Kowal, łącznie z Funduszem Społecznym Żołnierza i Stowarzyszeniem Polskich Kombatantów, które pokryły koszty. Dlaczego w Penrhosie-Pwllheli, który liczy niewiele ponad 200 mieszkańców Polaków, a nie w Londynie przy którymś z polskich kościołów czy Osiedli dla ludzi Starszych — w Londynie który jest stolicą władz Polski Walczącej (i powoli wymierającej) i który liczy blisko 40 tysięcy Polaków i kilka polskich kościołów?

Penrhos to nie zwyczajne „osiedle mieszkaniowe”, to jest piękna idea urzeczywistniona na 16 akrach (angielski akr = 4.000 m²), w ponad 50-ciu domkach. Mieszka w nich w tej chwili ok. 230 osób — rezydenci i część pracującego personelu z rodzinami. Mieszka... To jest nie tylko mieszkanie. Rezydenci to w przeważającej większości ludzie starsi (w osiedlu mieszka 68 osób powyżej 80 lat). Wśród tej kategorii wieku, a również i wśród młodszych, jest wielu mężczyzn i wiele kobiet, nad którymi trzeba czuwać przez 24 godziny — z różnych powodów: ograniczenie

możliwości ruchu, zanik lub osłabienie pamięci, skłonność do nagłych zasłabnięć itp. Takich osób jest w tej chwili 28; umieszczone są w specjalnie wydzielonym tzw. „Ośrodku Opieki Pielęgniarskiej” (po angielsku *Extra Care Unit*). Mieszkają w oddzielnych pokojach, nie są stłoczeni w ogólnej sali, jak to bywa niekiedy w tych dawnego typu ponurych, dickensowskich „przytułkach dla starców”.

Jak można utrzymać opiekę i kontrolę przy takim indywidualnym rozmieszczeniu podopiecznych? Przez całą dobę trwa dyżur pielęgniarski. W pokoju dyżurnego jest tablica z numerami mieszkań podopiecznych i dzwonkami alarmowymi. Dzwonek dzwoni tak długo, póki pielęgniarka nie dobiegnie do danego pokoju, nie wyłączy alarmu i nie zajmie się wzywającym pomocy. Czasem wystarczy dać lekarstwo, zastrzyk, w poważniejszych wypadkach wezwać — dzień czy noc — siostrę z centralnego ambulatorium Ośrodka, p. Stanisławę Szymkiewicz, od dawna pracującą w Ośrodku i uważaną przez rezydentów za osobę anielskiej cierpliwości, dużej wiedzy i praktyki lekarskiej. Siostra decyduje, czy należy wezwać lekarza z pobliskiego Pwllheli.

Ośrodek Opieki Pielęgniarskiej wysunął mi się jakoś na czoło tej opowieści o Penrhosie, bo powstał tam niedawno i jest — jak dotąd — jedyną tego rodzaju instytucją wśród wszystkich polskich osiedli dla ludzi starszych w Wielkiej Brytanii. Ośrodek ten mógłby i powinien być dwukrotnie, a nawet trzykrotnie powiększony i też by mu nie zabrakło rezydentów, bo Penrhos od wielu już lat ma wielokrotnie więcej zgłoszeń, niż możliwości przyjęcia zgłaszających się czy zgłaszanych przez różne instytucje polskie i angielskie, odpowiedzialne za opiekę nad naszymi rodakami w starszym wieku.

— Czy brak miejsc? Czy nie można dobudować jeszcze kilku takich pięknych domków na tym obszarze? — pytam. — Czy brak funduszy na rozbudowę?

— Fundusze by się znalazły — mówi dyrektor Kowal. — Ofiarność społeczna i instytucji charytatywnych jest duża, niekiedy godna podziwu. Na przykład na stworzenie Ośrodka Pielęgniarskiego czyli Specjalnej Opieki, dostaliśmy z prywatnego zapisu Wiktora Althofa 15.000 funtów, a od pewnej instytucji charytatywnej — 14.000 funtów. Ale główna trudność polega na braku wykwalifikowanego, czy przynajmniej półwykwalifikowanego personelu. Na przykład Ośrodek Pielęgniarski obsługuje zaledwie 7 osób, razem ze sprzątającymi i dyżurnymi nocnymi. A przecież wielu rezydentów tego Ośrodka trzeba nosić do wanien, myć, ubierać, nawet karmić. Mało, bardzo mało jest chętnych do takich prac...

— Czy nie można zaradzić temu brakowi personelu zaproszeniem do Penrhosu jakiejś grupy zakonnic z zakonów pielęgniarskich, czy opiekuńczych np. szarytek z Kraju czy spoza Kraju?

— Trafił pan w istotę naszego dramatu! — mówi dyr. Kowal. — Żeby pan wiedział ile listów rozpisałiśmy, ile podań, próśb,

suplik składaliśmy w tej sprawie do władz kościelnych. I od ilu już lat! Niczego, jak dotąd, nie doprosiliśmy się, mimo że inne, podobne do naszego, osiedla korzystają z pomocy siostr zakonnych... Swego czasu zwracaliśmy się nawet do Krakowa, do kardynała (wówczas) Wojtyły, wiedząc, jak bliskie jego sercu są sprawy rodaków starych, samotnych, upośledzonych...

— Może teraz...

— Teraz? Kiedy cały świat na Jego głowie. Nie ma nadziei.

— A mimo to, jak czytam w pańskim sprawozdaniu z działalności Osiedla i wytycznych na rok 1979, planuje pan powiększenie Ośrodka Pielęgniarskiego i budowę nowych pomieszczeń...

— Planujemy ulepszenie we wszystkich dziedzinach: mieszkanie, wyżywienia, opieki. Planujemy i będziemy wszystkimi siłami walczyć o realizację planów. Nie ma pan pojęcia jakie przeszkody mieliśmy z uruchomieniem tego Ośrodka Pielęgniarskiego. A jednak udało się je pokonać. Wciąż sprawą najtrudniejszą i problemem centralnym jest rekrutacja personelu.

Myśl o opiece nad naszymi starymi żołnierzami i nie tylko żołnierzami, niezdolnymi do pracy, powstała jeszcze w okresie istnienia Polskiego Korpusu Przynależności i Rozmieszczenia, w jego Wydziale Opieki Społecznej w 1947 roku. Już wtedy problem tej opieki był sprawą palącą. Możemy sobie wyobrazić jak paląca jest teraz.

Szczegóły historii walki o Penrhos — to była rzeczywistość uporczywa walka przedstawicieli naszych organizacji kombatanckich i społecznych z wielu najróżniejszymi trudnościami — podałem w książce, opracowanej wspólnie z prezesem Soboniewskim i dyrektorem Kowalem, pt. „Penrhos — Soplicowo w Walii”. Kto tych szczegółów ciekaw, proszę, niech zajrzy do książki.

Tutaj tylko w skrócie. Przedstawiciele głównych organizacji kombatanckich i społecznych powołali do życia na zebraniu 12 sierpnia 1948 roku „Polskie Towarzystwo Mieszkaniowe” pod prezesurą płk. Zygmunta Morozewicza. Na zebraniu 23 czerwca 1949 roku przyjęto raport płk. Morozewicza, że brytyjskie Ministerstwo Lotnictwa godzi się na wydłużenie P.T.M. dawnego lotniska w Penrhos na 3 lata. A brytyjski *National Assistance Board* — na wpłatę za każdego przyszłego rezydenta 55 szylingów (czyli 2 funty 15 szyl.), z czego 5 szylingów otrzymywał rezydent do swojej osobistej dyspozycji. Dzisiaj wpłata brytyjska za każdego rezydenta — oprócz tych, którzy płacą sami za siebie, a i tacy są w Osiedlu — wynosi ok. 30 funtów miesięcznie, z czego 5 otrzymuje rezydent.

1 lipca 1949 roku Osiedle zostało oficjalnie otwarte.

Od tego momentu Penrhos przez 30 lat swego istnienia przeszedł wiele epok. Pierwszy okres wysuwał jako centralne zagadnienie przeróbkę baraków wojskowych na mieszkania mniej więcej cywilne. Z żywnością też nie było łatwo — powojenne braki, raczej na kartki. Ale w sferze kultury — to był „złoty wiek” Osiedla. Zamieszkała w nim w tym okresie liczna grupa, którą można było zaliczyć do elity umysłowej naszego emigracyjnego

społeczeństwa. Tworzyły się stowarzyszenia, grupy, kółka, które organizowały odczyty naukowe, wieczory autorskie, kabarety literackie, dyskusje filozoficzne. Mieszkańcy wydawali własne pismo *Trybunka* pod redakcją dr. W. Jeszke, mieli własny „Chór Rewellersów”, własny teatr pn. „Uśmiechnij się” i wiele innych imprez.

Istnieje bogate archiwum i kronika życia w Penrhos, pieczołowicie gromadzone przez niedawno i niespodziewanie zmarłego mjr. Adama Moszyńskiego, długoletniego pracownika administracji Osiedla i prezesa miejscowego Koła S.P.K. (mjr Moszyński był autorem „Listy Katyńskiej”). W tych archiwach — przejrzałem je dokładnie w czasie pisania książki — są m.in. teksty szopek, pisanych głównie przez przedwcześnie zmarłą poetkę, Zofię Bohdanowiczową. Przytoczę niektóre jej satyrki, np. z „Ody do Penrhosu”:

*O Penrhosie, ojczystych tradycji kagańcu!
Zakopane uchodźców, Jastarnio wygnańców,
Kossowie emigrantów, tułaczów Szczawnico
I stęsknionych rodaków Rabko i Krynico!
Tobie, twierdzo polskości, poświęcam tę odę,
Chwaląc twoją urodę, pogodę, wygodę
I nawet — o luby uroczy Penrhosie —
Twoją nieśmiertelną rybę w koperkowym sosie...”.*

Dzisiaj nie ma już „nieśmiertelnej ryby”, czyli jednostajności pokarmów. Rezydenci — i przyjezdni goście-letnicy, a bywa ich coraz więcej, bo przyciąga ich atmosfera Osiedla i przepiękne krajobrazy walijskie — karmieni są dobrze. Posiłki — trzy razy dziennie — odbywają się w dużej, ładnie udekorowanej, wesołej sali jadalnej. Od strony materialnej wszystko jest o cztery klasy lepsze niż w tamtych początkach, w tej fazie narodzin i wzrostu Penrhosu. Prawda, życie kulturalne nie tętni już tak żywo, jak niegdyś w „złotym wieku”.

Obecnie, 25 lat później, Penrhos kwitnie i zieleni się raczej szczypiorkiem, sałatą, czerwieni truskawkami na zagonach ogródków działkowych i „przysadybnych” płachetkach ziemi. Ogród kwiatowy, uprawiany przez starszego pana, Mateusza Buczka, na pewno mógłby wygrać niejeden konkurs ogródków. Ale i kultura nie zamarła. Istnieje biblioteka mająca ponad 5.000 tomów i ponad setkę stałych prenumeratorów oraz czytelnia pism. W sali koncertowej występują przyjezdne i miejscowe zespoły (miałem tam niedawno swój wieczór autorski).

Penrhos chlubi się swą kaplicą, którą właściwie należy uczcić nazwą kościoła. Odrestaurowany niedawno przez malarza-dekoraatora Feliksa Matyjaszkiewicza, stwarza od razu, od progu nastroj religijnej podniosłości. Może to brzmieć patetycznie, ale taki właśnie nastrój opanował mnie, gdy obejrzałem 18 witraży Matyjaszkiewicza wykonanych specjalną techniką, wspaniałych w barwie, ruchu i nastroju.

Między wejściem do Osiedla a kościołem stoi wysoki krzyż z żelaza na betonowej podstawie. Z tym krzyżem związana jest piękna legenda penrhoska. Został wzniesiony w 1947 roku, kiedy Penrhos był jednym z naszych wojskowych obozów PKPR-u, zorganizowanym na wydzielonej części likwidującego się lotniska wojskowego. Na lotnisku leżały masy żelastwa z rozbitych i zdekontowanych samolotów. Nasi chłopcy — trzydzieści kilka lat temu byliśmy jeszcze chłopcami — dobrali się do żelastwa i zbudowali z niego wysoki krzyż. Na betonowym postumencie wyryli napis po polsku, po angielsku i po walijsku: „W drodze do Wolnej Polski — 1947”.

Komendant likwidującego się lotniska — podobno Szkot — odwiedził polskiego komendanta obozu i oskarżył naszych budowniczych krzyża o — kradzież żelaza.

— To był przecież szmelc — powiedział nasz komendant.

— Ale szmelc Jego Królewskiej Mości — upierał się Szkot.

Wtedy nasz komendant zaprowadził oskarżyciela pod krzyż i powiedział:

— Co królewskie oddaliśmy Bogu.

Obecnie instytucje angielskie i walijskie, związane z problemami opieki nad mieszkańcami, współpracują z administracją Osiedla w Penrhos, darząc naszą społeczność penrhoską i jej kierownictwo zaufaniem i szacunkiem za ich dokonania w dziedzinie opieki i kultury, za gospodarną rządność.

A gospodarka ta jest naprawdę godna podziwu. Administracja nie poprzestaje na dochodach z wpłat brytyjskiego Ministerstwa Opieki Społecznej. Zorganizowała turystykę, to znaczy przyjmuje gości-turystów, których kwateruje w specjalnej mieszkalnej części lotniska (posiłki są wspólne dla gości i stałych mieszkańców). Ponadto wynajmuje lub sprzedaje mieszkania w specjalnie zbudowanych domkach. W roku ubiegłym przeszło przez Osiedle ok. tysiąca gości-letników, co przyniosło spory dochód, mimo że ceny za pokój z utrzymaniem są bardzo niskie w porównaniu z hotelami, pensjonatami czy uzdrowiskami. Oprócz gości indywidualnych brytyjska instytucja pomocy uchodźcom emerytom — *British Council for Aid to Refugees* — przywozi co roku do Osiedla wycieczki grupowe — kilkaset osób — emerytów, którzy, jak mówią, czują się odmłodzeni w tym „walijskim Soplicowie”.

Do Penrhos przyjeżdżają też co roku w okresie letnim harcerze z różnych hufców polskich w Wielkiej Brytanii. Ten związek pokoleń ma swoją symboliczną wymowę.

Trzeba kończyć. A każdy koniec, to powrót do początku. Rozumiemy teraz, dlaczego ziemia cmentarza polskiego — tzn. część „polskiej” — w Pwllheli — przyjęła prochy i upamiętniła tablicami zmarłych samotną śmiercią Polaków, których, gdyby nie Penrhos, czekałby „pogrzeb ubogich” we wspólnej mogile na jakimś angielskim cmentarzu — bez śladu, że kiedyś istnieli, że byli Polakami.

Uniwersytet Letni Wspólnoty Polsko-Francuskiej

Na jednym z zebrań zarządu *Wspólnoty* nowy jej prezes przypomniał nam, że jesteśmy „Ośrodkiem Badań i Działania Społeczności Polskiej we Francji”. Dotychczas zajmowaliśmy się bardziej „działaniem” niż pracami badawczymi. Trudno się więc dziwić, że Henri Adamczewski, jako profesor Sorbony, wystąpił z projektem zorganizowania „Uniwersytetu Letniego”.

O ile mi wiadomo, tego typu impreza nie miała precedensu. Bo nie chodziło tu o tzw. uniwersytet ludowy, ale o serię wykładów na poziomie uniwersyteckim. Do tego dochodził charakter polsko-francuski Uniwersytetu Letniego, wyrażający się tak w tematyce, jak i w dwujęzyczności wykładów i dyskusji, a wreszcie w zaangażowaniu się znanych osobistości francuskich.

Tego rodzaju śmiały projekt nakazywał organizatorom daleko posuniętą ostrożność. Ilość słuchaczy zaplanowano na 30 do 40-tu. Program miał obejmować tematykę historyczną, zagadnienia językowe i wreszcie sprawy „życia codziennego” Polonii francuskiej.

Dla kogo ten Uniwersytet? Dla młodego pokolenia, bo ono przecież załadnia wszystkie uniwersytety. A więc dla urodzonych we Francji Polaków i ludzi polskiego pochodzenia, dla młodych Francuzów zainteresowanych polską problematyką. A wreszcie — dlaczego nie — dla młodzieży z Kraju, przebywającej czasowo we Francji! Rzecz jasna, i to był jeszcze jeden środek ostrożności, tym razem nie zastosowano granicy wieku, bo nawet i normalnie funkcjonujące uniwersytety w wielu wypadkach jej nie stosują. Rozesłano pierwsze komunikaty o Uniwersytecie Letnim do prasy polskiej, ale także do dzienników prowincjonalnych francuskich. (Ogłosiły go *La Voix du Nord*, *Le Républicain Lorrain*, *Le Dauphiné Libéré*, *La Montagne* i zdaje się kilka innych).

Pierwszym osiągnięciem natury „prestizowej” było udzielenie protektoratu nad Uniwersytem Letnim „Wspólnoty” przez Ministra Uniwersytetów, panią Alice Saunier-Seïté.

Kiedy ilość zgłoszeń przekroczyła 30 osób, organizatorzy stawali się coraz śmielsi.

Dlaczego nie urządzić inauguracji w wielkim amfiteatrze Sorbony? Dlaczego nie poprosić o zarezerwowanie pewnej ilości pokoi w Cité Universitaire? Dlaczego nie zwrócić się o wygłoszenie wykładów do znanych osobistości z różnych dziedzin życia Francji?

Ekipa organizatorów (program + przygotowanie materialne) złożona z prof. Adamczewskiego, prof. Jerzego Monda, Barbary Hedoin-Miechowska (sekretarka Uniwersytetu) oraz Jerzego Brodzkiego i Ksawerego Reya zabrała się do roboty programowej i organizacyjnej.

Mimo ogłoszonych terminów zamknięcia zapisów, zgłoszenia napływały stale, nawet w dniu rozpoczęcia prac. Zrobiło to trochę bałaganu organizacyjnego, ale czyż można było odmawiać, zwłaszcza młodym? Jeden tylko był zawiedziony: Hiszpan, który się zgłosił w tydzień po zakończeniu prac Uniwersytetu!

Inauguracja miała rzeczywiście miejsce w wielkim amfiteatrze Sorbony. Zaproszeni przez „Wspólnotę” nie wypełnili, rzecz jasna, 3.000 miejsc, ale kilkaset, co i tak było niezłe.

Po przemówieniu wstępnym prof. Adamczewskiego, w którym prezes

„Wspólnoty”, odpowiadając na pytanie „Po co Uniwersytet Letni?”, mówił o ewolucji Polonii francuskiej, pierwszy wykład-odezwyty wygłosił p. Gaston Palewski, przed kilku laty jeszcze przewodniczący Rady Konstytucyjnej. Jeden z najbliższych współpracowników Generała mówił oczywiście na temat „De Gaulle i Polska” z którego słuchacze dowiedzieli się wielu nieznanych szczegółów, zwłaszcza odnoszących się do jego pierwszych pobytów w Polsce (1919-1920), a także — co ich trochę zaskoczyło — o wielkiej estymie de Gaulle dla gen. Sikorskiego. Następnym mówcą był André Fontaine, redaktor naczelny dziennika *Le Monde*, które to pismo jest we Francji swego rodzaju instytucją w jej życiu politycznym. Mówił on o sytuacji międzynarodowej po spotkaniu Carter-Breżniew w Wiedniu. Obydwa mówcy, reprezentujący zresztą odmienne kierunki polityczne, przemawiają rzadko, co — przełożone na język prosty — znaczy, że dają się prosić. Fakt, że zgodzili się przemawiać na Uniwersytecie Letnim „Wspólnoty” świadczy, że uznali tę trybunę za dostatecznie ciekawą, a także o... talencie perswazyj organizatorów.

Po inauguracji, Uniwersytet Letni opuścił Sorbonę i przeniósł się do sali odczytowej Biblioteki Polskiej. Wprawdzie wykłady mogły się odbywać na pobliskim uniwersytecie Paris VI, ale intensywność jego prac (7-8 godzin dziennie) i obecność wielu osób z prowincji mogłyby jeszcze bardziej utrudnić organizację prac, która i tak była stałym wysiłkiem z czasem.

Słuchacze Uniwersytetu i goście zwiedzili w Bibliotece Polskiej wystawę „Polski Walczącej” a wieczorem wysłuchali wykładu gen. Buis na temat: „Stosunki Wschód-Zachód i światowa sytuacja strategiczna”.

Mimo że inauguracja nie ograniczyła się wcale do formalności, jak to się często zdarza, pierwszym dniem intensywnej pracy był wtorek 3 lipca. Po przywitaniu słuchaczy przez dyrektora Biblioteki, inż. Józefa Handlmana, wykład o sprawie granic Polski w czasie wojny 1939-45 wygłosił ambasador Laloy, dawny dyr. generalny departamentu stosunków kulturalnych w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, członek rady Towarzystwa Historyczno-Literackiego. Wykład, z którego nawet historycy dowiedzieli się sporo, odznaczał się jasnością, która go uczyniła dostępnym dla młodych słuchaczy.

Następny, dwugodzinny wykład pp. dr. Jerzego Monda i dr. Tadeusza Wyrwy dotyczył lat wojny i okupacji, a więc „Polski Walczącej”. Prelektom chodziło może nie tyle o nauczenie słuchaczy historii 1939-45, ale o sprowowanie wielu wersji różnych wydarzeń, które dostały prawo obywatelstwa we Francji, nawet w podręcznikach historii.

Lingwistyka porównawcza języków polskiego i francuskiego (dwa wykłady) pozwoliła słuchaczom poznać Prezesa „Wspólnoty” jako profesora. Z tematu dla niefachowców dosyć nudnego (przepraszam lingwistów): fonologii i gramatyki — prof. Adamczewski zrobił wykład pasjonujący całą salę. Pan R. Goździk omówił język pisma *Narodowiec*; szkoda, że wypożyczając dziennikowi „błędy i wypaczenia” nie porównał go z tekstami np. *Życia Warszawy*, trudnymi do zrozumienia dla wielu Polaków, mieszkanymi poza PRL i wychowanymi na autentycznej polszczyźnie.

O Polsce w latach powojnia (1945-48) mówili w środę 4 lipca pp. prof. Jerzy Langrod i Lucja Krawiec. Podobnie jak pp. Mond i Wyrwa, swój dwugodzinny wykład poświęcili w dużej mierze prostowaniu pomyłek współczesnych cudzoziemskich historyków i fałszów oficjalnej wersji historii naszego kraju.

Inż Janusz Deryng, sekretarz generalny „Wspólnoty” poruszył temat: „Asymilacja czy integracja Polaków we Francji, zaczynając od dokładnego określenia znaczenia obydwu terminów.

Do problemów lingwistycznych wrócił dr T. Domański (z Uniwersytetu Paris VIII), omawiając w dwu wykładach słowa francuskie (należałości) w języku polskim, zwłaszcza używanym przez Polaków we Francji. Pk

M. Czarnecki i p. W. Nowosad mówili o historii Biblioteki Polskiej; ich wykład był zakończony zwiedzeniem Biblioteki i Muzeum Mickiewicza. Z wielkim znawstwem przedmiotu młody Ksawery Deryng mówił na temat malarstwa awangardowego w Polsce w latach 20-tych.

Czwartek 6 lipca rozpoczął się wykładem pp. Marcel Peju, jednego z redaktorów tygodnika *Le Point* i prof. Krzysztofa Pomiana (CNRS) na temat „Polskiego Października (1956)”. W części lingwistycznej pp. prof. Adamczewski i dr Domański mówili o tak istotnym we Francji zagadnieniu jak dwujęzyczność (*bilinguisme*). Popołudniu tegoż dnia muzykolog p. Adam Sutkowski miał wykład o starej muzyce polskiej, w którym znalazły się także nagrania na taśmach kilku utworów wybranych przez prelegenta. Następnie p. Jerzy Jankowski na temat „Od zascianka do Wspólnoty” mówił o przemianach zaszłych lub zachodzących w postawach Polonii francuskiej. Wieczorem prof. E. Marek (Uniwersytet Lille III) przedstawił słuchaczom — porównawczo — poezję Kochanowskiego i Ronsarda.

Ostatni dzień wykładów przyniósł wspaniałe przedstawienie stanowiska i roli Voltaire'a w stosunku do Polski (*La Pologne imaginaire de Voltaire*); jego autorem był prof. Daniel Beauvois, który na jesieni opuszcza uniwersytet w Nancy i obejmuje katedrę języka i literatury polskiej w Lille III, po prof. Marku. Po południu — dwa „okrągłe stoły” na tematy aktualne. Pierwszy: Nauczanie języka polskiego we Francji objął wypowiedzi pp. Beauvais, Domańskiego i Marka. Drugi, pod przewodnictwem Jerzego Jankowskiego, objął przedstawicieli prasy i radia (Ks. Zenon Modzelewski — *Edition du Dialogue* i *Nasza Rodzina*, p. Michał Kwiatkowski, dyrektor dziennika *Narodowiec* i p. Leszek Talko, kierownik audycji polskich w Radio France Inter.) oraz dwu działaczy terenowych z północnej Francji — pp. Edwarda Papalskiego, wiceprezesa „Wspólnoty” i prezesa „Millenium” oraz Ryszarda Kowalskiego, prezesa K.S.M.P. we Francji. Tematem dyskusji była „Przyszłość społeczności polskiej we Francji”; przedłużyła się ona głosami z sali, wśród których było kilku młodych.

Na zakończenie prof. Adamczewski zrobił prowizoryczny bilans prac i osiągnięć Uniwersytetu Letniego i zaprosił zebranych na wycieczkę do Montresor.

Oto, w największym skrócie — program uniwersytetu, który — poza wykładami — zawierał wystawy książek, prasy krajowej wychodzącej poza cenzurą (Biblioteka Polska), wystawę obrazów (Galerie Lambert, związana z „Libellą”), wystawę polskich afiszy (Księgarnia Polska), wieczór autorski Zofii Romanowiczowej, nie przewidziane w programie, ale gorąco oklaskiwane — odczytanie przez Czesława Miłozza, bawiącego przejazdem w Paryżu jego poezji i wreszcie koncert organowy w Kościele Polskim młodego (17 lat) maturzysty, Marka Adamczewskiego, syna Profesora.

Polonia francuska weszła w trzecie pokolenie. Prof. Adamczewski, urodzony we Francji należy do drugiego, ale jego synowie już dorosli — to pokolenie trzecie. Jeżeli już drugie czuło się obco w polskim getcie (nawet z dyplomami!), o tyle problemy samookreślenia stojące przed trzecim pomagają się rozwiązania jak najszybciej, nie czekając na tzw. rozwiązanie biologiczne, to jest wymarcie getta.

Uniwersytet Letni był więc — pod pewnymi względami — operacją straży ogniowej! Nie wystarczy o Polakach we Francji pisać uczone prace doktorskie, ale trzeba stworzyć miejsce konfrontacji w ciągu której szukano by może nie rozwiązania, ale przynajmniej solidnej analizy problemów dwukulturowości i dwujęzyczności. Nie wolno było odkładać tego na dalsze lata! Toteż decyzja zarządzenia Uniwersytetu Letniego i jego program — który bynajmniej nie był przypadkowy, jakby mogło się wydawać z zestawienia tematów — dążyły do zorganizowania tej konfrontacji na polu na którym decyduje się „być albo nie być” Polonii francuskiej. Trzeba było, jak to ładnie sformułował prezes „Wspólnoty”, zdecydować się na „spoj-

zenie faktem 'w oczy'!” Do tego należało oczywiście mieć młodych rozmówców, ale ci — o dziwo! — nie zawiedli. Ich obecność stwierdziła potrzebę Uniwersytetu. Ogromna większość słuchaczy tej kategorii domaga się nowej sesji uniwersytetu w roku przyszłym. Okazało się, że wielu młodych Polaków urodzonych we Francji, albo Francuzów polskiego pochodzenia (obie kategorie istnieją!) szuka odpowiedzi na pytanie: „Kim jesteś?” Czyż to takie dziwne w wieku wielkich migracji w skali światowej w którym żyjemy, kiedy ludzie — dla zachowania równowagi psychicznej, chociażby — szukają swoich korzeni, chcą wiedzieć jaki jest ich rodowód historyczny? A na to im nie daje odpowiedzi wyciąg z „état civil”!

Dla młodych słuchaczy Uniwersytetu — polskich i francuskich — nie bez znaczenia było zaangażowanie się w inicjatywę „Wspólnoty polsko-francuskiej” także znanych osobistości tego kraju z różnych dziedzin życia. Dawny przewodniczący Rady Konstytucyjnej, redaktor naczelny *Le Monde*, znany generał, dyplomata wysokiej rangi — to oznaka że sprawa polska jest ważna, że zajmują się nią (ba, czasem są ekspertami!) ludzie, którzy we Francji mają coś do powiedzenia. My, Polonia francuska, coś znaczymy w tym kraju; można nie tylko nie wstydić się polskości, ale warto — w jakiejś formie — do niej dołączyć.

Ostatniego dnia wykładów słuchacze otrzymali do wypełnienia długi i szczegółowy kwestionariusz na temat co myślą o zamykającej się sesji Uniwersytetu Letniego i o jego przyszłości. Na ok. 80 słuchaczy regularnie zapisanych (nie licząc zmieniających się co dzień gości) w ciągu tygodnia nadeszło 36 odpowiedzi. Ich analiza wymagałaby osobnego artykułu, któremu może *Kultura* udzieli gościny, kiedy będziemy mieli możliwość podsumowania całości odpowiedzi.

Mimo wszystkich usterek organizacyjnych, których powodem był w sporej mierze brak pieniędzy (słuchacze wpłacili tylko 30 F. na koszt sekretariatu) bilans Uniwersytetu można chyba określić jako dodatni. Tak się zresztą wyrażają wszyscy rozmówcy.

Regularnie zapisani słuchacze dostali od „Wspólnoty” skromne świadectwa ich uczestnictwa. Organizatorzy Uniwersytetu Letniego 1979 roku cieszyliby się aby te „dyplomy” były potraktowane jako zaproszenie do uczestnictwa w przyszłych imprezach „Wspólnoty”.

Jerzy JANKOWSKI

P.S. Ostatni numer *Polski w Europie*, która jest organem „Wspólnoty polsko-francuskiej”, poświęca wiele miejsca Uniwersytetowi Letniemu: dokładny program, spis wykładowców i uczestników oraz wiele innych informacji na temat sesji lipcowej Uniwersytetu. (*Polska w Europie*, 20 rue Legendre, 75017 Paris. Tel.: 227 54 28).

Kronika

„PUNKT SKARG KBWE”

Komitet Przygotowawczy Europejskiej Grupy Helsinki w Zurychu podał niedawno do wiadomości publicznej — opracowane przy współdziałaniu Kierownika Instytutu Prawa Międzynarodowego i Konstytucyjnego prof. dr. Die-

tricha Schindlera — główne wytyczne dotyczące przewodu postępowania międzynarodowej instancji sądowej, której zadaniem będzie wydawanie orzeczeń odnośnie respektowania przez państwa sygnatariuszy podpisanych w Helsinkach zobowiązań. Obawa o posądzenie o powinowactwo ze sławetnym „Trybunałem Russella” spowodowała, że instytucja, mająca najwyraźniej charakter instancji sądowej, będzie się nazywać „KSZE-Klagestelle”, czyli „Punkt Skarg KBWE”.

Zgodnie ze wspomnianym regulaminem postępowania, gremia złożone z trzech wybitnych znawców prawa pochodzących z różnych krajów, rozpatrywać będą skargi pojedynczych obywateli albo grup (z całymi mniejszościami narodowymi włącznie) w wypadku łamania zagwarantowanych w Komunikacie Końcowym praw ludzkich. Skargi mogą być przekazywane osobście lub przez pełnomocników. Warunkiem przyjęcia skargi jest wyczerpanie możliwości dochodzenia prawa we wszystkich instancjach danego kraju bez zadawalającego rezultatu, albo odrzucenie skargi bez jej rozpatrywania. Tu należy zaznaczyć, że sąd nie zamierza stosować jakiejś restryktywnej wykładni regulaminu. Już w czasie Konferencji w Aarau postanowiono, że ofiary represji nie muszą przedstawiać sądowi wyciągów z wyroków wszystkich instancji. Ten warunek prowadziły nieuchronnie do oddania sprawy w ręce krajowym biurom. Sądowi wystarczy wiarygodne podanie faktu łamania prawa i podjętych kroków w instancjach krajowych. Po otrzymaniu skargi sąd podejmuje decyzję o przyjęciu skargi i w wypadku przyjęcia przekazuje ją niezwłocznie głowie państwa albo szefowi rządu lub instytucji państwowej, która ponosi odpowiedzialność za dany akt, z wezwaniem do zajęcia stanowiska. Po nadejściu odpowiedzi, albo po upływie przewidzianego na tę odpowiedź terminu, sąd podejmuje decyzję i podaje ją drogą publikacji w prasie do wiadomości publicznej. Obok podania do wiadomości publicznej, wszystkie wyroki będą przesłane do odpowiednich organizacji międzynarodowych. Zbiór wszystkich wyroków sądu przekazany zostanie Konferencji w Madrycie.

Przy podejmowaniu decyzji sąd będzie uwzględniał nie tylko zobowiązania podjęte w Helsinkach ale również wszystkie umowy i konwencje międzynarodowe z prawodawstwem i konstytucją danego kraju włącznie.

Organizatorzy Europejskiej Grupy Helsinki zwracają się do wszystkich zainteresowanych o podawanie nazwisk znanych prawników, pochodzących ze wszystkich krajów, które podpisały Akt Końcowy Konferencji w Helsinkach. Tu chodzi najwyraźniej również o osoby przebywające poza krajem, znające dokładnie jego prawodawstwo. Podając do wiadomości regulamin sądu. Komitet Organizacyjny zwraca się z wezwaniem do wszystkich zainteresowanych o bezzwłoczne przekazywanie skarg i wyraża nadzieję, że już w najbliższym czasie będą się mogły odbyć posiedzenia pierwszego gremium sędziów.

Pierwsze gremium sędziów z udziałem prof. dr. D. Schindlera jest gotowe do przyjęcia pierwszych skarg. Należy korzystać z tej okazji i kierować skargi na następujący adres:

KSZE-KLAGESTELLE, EUROPAISCHE HELSINKI GRUPPE,
POSTFACH 1168, CH 8022 ZÜRICH, SCHWEIZ.

W tym samym komunikacie Europejska Grupa Helsinki prosi zainteresowanych o przekazywanie na jej adres wiadomości dotyczących łamania podpisanych w Helsinkach zobowiązań. Wiadomości te winny zawierać w możliwie skomentowanej formie wypadki gwałcenia praw wolności osobistej, nietykalności, wolności sumienia, wyznania i religii, wolności osiedlenia, wy-

jazdów i powrotu do kraju, praw zrzeszania się, organizowania zebrań, zawierania stowarzyszeń, prawa wolnych wyborów, prawa swobodnego wypowiedzenia opinii i prawa do łączenia się rodzin. Z tych danych znany uczony szwajcarski prof. dr Werner Kägi zestawia bilans dotrzymania zobowiązań podjętych w Helsinkach. Sprawą cenzury w krajach, które podpisały Akt Końcowy z Helsinek zajmie się specjalne studium. Odpowiedzialny za to studium jest prof. dr Dieter Blumenwitz z uniwersytetu w Würzburgu.

A. LUCZAK

ZAGROŻENIE POLONISTYKI NA UNIWERSYTECIE LONDYŃSKIM

Jerzy Peterkiewicz, profesor literatury polskiej na Uniwersytecie Londyńskim (*School of Slavonic Studies*) oraz b. kierownik wydziału literatur i języków wschodnioeuropejskich, zrezygnował od października br. ze swego stanowiska. Powodem jego podania się do dymisji jest kwestia właściwego poziomu naukowego, który z kolei zależy od doboru i kwalifikacji wykładowców. Polska literatura stała się jednym z głównych przedmiotów w Szkole Nauk Słowiańskich dzięki długoletniej pracy i międzynarodowej reputacji prof. Peterkiewicza jako pisarza, uczonego i wykładowcy. Placówka ta wymaga szczególnej troski w obecnych czasach, tak ważnych dla kultury polskiej w świecie. Nie wolno obniżyć jej znaczenia ani poziomu, spychając przedmiot na podrzędne miejsce, co w obecnych warunkach zagraża.

Prof. Peterkiewicz wychował kilka pokoleń studentów, wśród których znajdują się naukowcy wykładający literaturę polską w innych uczelniach na Zachodzie. Obecni i poprzedni studenci polonistyki podpisali petycję domagającą się interwencji zarówno w sprawie jego rezygnacji jak i przyszłości samego przedmiotu. Profesor Peterkiewicz był dla nich — piske petycja — „źródłem zachęty, oświecenia i inspiracji” (*a source of encouragement, enlightenment and inspiration*).

Poprzednikami Peterkiewicza na polonistyce Uniwersytetu Londyńskiego byli tacy naukowcy jak Julian Krzyżanowski, Wacław Borowy i W. J. Rose. Nie istniała nigdy w Anglii oficjalna katedra literatury polskiej. Katedra Peterkiewicza jest tzw. *personal chair*, co jest specjalnym wyróżnieniem naukowym.

Polacy w Wielkiej Brytanii powinni pamiętać, że mają prawo domagać się aby ich kultura była uszanowana w systemie uniwersyteckim tego kraju.

Kronika kulturalna

Międzynarodowe Targi Książki w Warszawie

Po raz pierwszy w Polsce czytelnikowi krajowemu pokazane zostały na 24-tych Międzynarodowych Targach Książki w Warszawie polskie książki wydawane na emigracji. Wystawiła je Księgarnia „Polonia” z Chicago na stoisku w warszawskim Pałacu Kultury, gdzie odbywają się targi. Wystawców na MTK było wielu: wszyscy wydawcy krajowi i 226 wystawców zagranicznych z 25 krajów, a w tym 28 stoisk z USA, między innymi: Chicago University Press, Harvard University Press, The University Press of Columbia and Princeton, Yale University Press itd. Na stoisku Księgarni „Polonia” wystawiono 81 tytułów, z czego 9 własnych i 72 wydawców polonistów w języku polskim i angielskim z USA, Kanady, Anglii, Francji i Włoch.

Z Ameryki zaprezentowaliśmy książki 22 wydawców, a mianowicie: Kościuszko Foundation (N.Y.), Polish Institut of Science and Art (N.Y.), Polish Museum of Chicago, Polish Alliance Press of Chicago, Doubleday Publishers (N.Y.), Vantage Press (N.Y.), University of Tennessee Press, M. E. Sharpe (N.Y.), Endurance Press (MI), American Institute of Polish Culture (Fla), David McKay Publishers (N.Y.), Oriental Research Partners (Mass.), Orchard Lake Center of Polish Studies (MI), Polanie Publishing Co. (MN), Roman Dmowski Institut (N.Y.), Astral Editorial Office (ILL), Michigan Slavic Publications, Worzalla Publishing Co. (Wisc.), Pol-America Press (Cal.), Polonia Bookstore & Publishers (ILL) oraz z Kanady: St. Francis Xavier University Press, Polish Voice Publishing Co.

Z Anglii, z Londynu, zaprezentowaliśmy publikacje Polskiej Fundacji Kulturalnej, Oficyny Poetów i Malarzy, Veritas Publication, Odnowy, Myśli Polskiej, Polonia Book Fund i Związku Polskich Spadochroniarzy. Z Francji — Instytutu Literackiego z Paryża i Editions du Dialogue, zaś z Włoch wydawnictwa Księży Marianów (Rzym).

Wszystkie stoiska zagraniczne na MTK podlegały kontroli cenzury, która ogółem zdjęła 80 tytułów, z czego na stoisku Księgarni „Polonia” zdjęto 20 tj. 25 % całej naszej ekspozycji, pozostawiając 61 tytułów.

Zauważmy, że doświadczeni wystawcy zagraniczni wystawiają na MTK przede wszystkim książki techniczne, specjalistyczno-naukowe, lingwistyczne, albumowe itp., bez literatury pięknej, bez poezji i książek historyczno-społecznych. Natomiast, stoisko Księgarni „Polonia” prezentowało głównie literaturę, poezję, współczesną historię, pamiętnikarstwo, książki religijne itd., głównie w języku polskim. A więc przeważnie humanistykę.

Ale praktyka nauczyła nas, że o decyzjach cenzora rozstrzyga nie tylko treść książki i nazwisko autora, lecz również osoba wydawcy. Nie łatwo było nam zorientować się i zrozumieć, czym powodowano się zdejmując książki zupełnie pozbawione tzw. tematów drażliwych. Oczywiście nikt nas o tym nie pouczał. Weryfikacja odbywała się bez naszej obecności. Dyskretnie i kurtuazyjnie. Nawet bez pokwitowania.

A oto lista tytułów zdjętych na stoisku Księgarni „Polonia”: R. C. Lukas „The Strange Allies”, „Polish Review” — kwartalnik naukowy (N.Y.), W. Jędrzejewicz „Kronika Życia Józefa Piłsudskiego”, 2 tomy, J. Warszawski „Studia Nad Wyznaniowością Marszałka J. Piłsudskiego”, H. Skolimowski „Medytacje”, W. Wasiułyński „Źródła Niepodległości”, H. Glass „W Pracy i Walce”, S. Żochowski „Brytyjska Polityka Wobec Polski 1916-1948”, „Zeszyty Historyczne”, M. Danilewicz-Zielińska „Wspomnienia o Bibliotece Narodowej w Warszawie”, M. Czapska „Czas Odmieniony”, Cz. Miłoś „Ziemia Ulro”, W. Stachewicz „Przygotowania Wojenne w Polsce 1935-1939”, M. Danilewicz-Zielińska „Szkice o Literaturze Emigracyjnej”, Z. Peszkowski „Zwierciadło Duszy”, A. Bromke „Idealizm a Realizm”, S. Kisielewski „Moje Dzwony Trzydziestolecia”, M. Nowakowski „Tutaj Całować Nie Wolno”, W. Zyndram-Kościałkowski „Poloneza Czas Skończyć” i „Jan Paweł II — Syn Narodu Polskiego”.

Po tym odsiewie pozostało nam na stoisku 61 tytułów. I o dziwo, stoisko Księgarni „Polonia” pobiło dwa rekordy na MTK. Mieliliśmy największą frekwencję i największą ilość indywidualnych zamówień (ok. 2.000 książek). Od rana do wieczora było tłoczono przy stoisku, książki nasze podawano sobie z rąk do rąk. Bez przerwy wypisywano zamówienia, które trzeba było składać w Biurze Zamówień na Targach, a my informowaliśmy, zgodnie z oficjalnym pismem, że książki zamówione na MTK, w naszym stoisku będzie można nabyć po pewnym czasie w Księgarni „Logo” w Warszawie, płacąc w relacji \$ 1 = zł. 55,00.

Powodzeniem cieszyły się wszystkie wystawione tytuły. Spróbujmy wymienić niektóre: Cz. Miłoś „Utworthy Poetyckie”, „Antologia Poezji Spadochronowej”, E. Dusza „Poets of Warsaw Aflame” i tegoż autora „Przez Ciemność do Światła”, książki O. Terleckiego i K. Popiela o gen. Wł. Sikorskim, słowniki Fun-

dacji Kościuszkowskiej, *P. Jasienicy* „Jagiellonian Poland”, *A. Słomskiego* „Alfabet Wspomnień”, *B. Ejbicha* „Wspomnienia Stalowego Munduru”, *Ks. S. Betcha* „Święty Stanisław — Biskup, Męczennik”, *D. Stabińskiej* „Danina Krwi”, *P. Borkowskiego* „Idiomy Angielsko-Polskie”, *Uchwały w Helsinkach (3-ci Koszyk)*, *F. Koneczny* „O Ład w Historii”, *D. Mostwin* „Odchodzą Moi Synowie”, *T. Szułdrzyński* „Wspomnienia Wielkopolskie”, pięknie wydane po angielsku „Listy Kościuszki z Czasów Rewolucji Amerykańskiej”, *Z. Zaniewicki* „Moje Pełnoletcie”, *S. Ossowiecki* „Świat Mego Ducha”, *T. Dołęga-Mostowicz* „Znachor”, *W. Romanowski* „Zaginiony Czas”; z pozycji w języku angielskim żywo interesowano się: *J. Wiewióry* „Jamestown Pioneers from Poland”, *J. Pula* „For Liberty and Justice”, *Z. Żurawskiego* „Polish Language”, *K. Stomczyński* „Class Structure and Social Mobility in Poland”, „Polish Songs with English Translations”. Każda z tych książek przeszła przez setki rąk i miała wielu chętnych nabywców.

Zamówienia u nas składali przeważnie ludzie młodzi, odwiedzali nas również naukowcy, kierownicy wielu bibliotek uniwersyteckich i nauczyciele. Wszystkie wystawione u nas tytuły zamówiła Biblioteka Narodowa w Warszawie. O piękną mapę folklorystyczną Polski, wydaną w USA, dopominali się nauczyciele dla swoich szkół. Słowem, wysiłek nasz owocował ludzką radością, zainteresowaniem, wdzięcznością i... zamówieniami.

Po zakończonych targach udałem się do dyrekcji Ars Polona (centrali eksportu i importu kultury), aby ustalić ilości i terminy dostaw książek u nas zamówionych. Zafatwiono nam wszystkie zamówienia hurtem. Odmownie. Brak dewiz.

W tej sytuacji zaproponowaliśmy *wymianę bezdewizową* książek tym bardziej łatwą, że Księgarnia „Polonia” rok rocznie zakupuje w Ars Polona książki krajowe za dziesiątki tysięcy dolarów. Propozycja ta została również odrzucona. Przypomniała mi się wówczas rozmowa z naczelnym dyrektorem Ars Polona, który powitał nas oświadczeniem, że ma pretensje do Polonii amerykańskiej (!), iż za mało kupuje książek w Polsce i dodał uprzejmie, że jego interesują tylko dolary. Miałem nawet ochotę zaraz spełnić to życzenie i zakupić większą ilość ciekawych książek, jakie znalazłem na Targach w stoiskach wydawców krajowych. Cóż, kiedy co lepsza książka była już dawno wyczerpana, a na MTK służyła za dekorację.

Zaiste, dziwne to były targi. Ani nic sprzedać ani nic kupić nie można. Podróże ksztafcą. A za naukę trzeba płacić. Dolarami. Mimo to warto było wziąć udział w Międzynarodowych Targach Książki w Warszawie. Daliśmy wielu ludziom chwilę zadowolenia z obcowania z książkami, których nie ma w kraju, *choć zostały dopuszczone do ekspozycji na MTK*. Poznaliśmy zainteresowania czytelnika krajowego oraz arkana handlu książkami „na niby”. Kosztowało nas to dużo pracy, pokonywania przeszkód i niemało wydatków.

Edward PUACZ

Herbata w Monachium

W dniach 17-20 czerwca br. odbyło się w Monachium spotkanie pisarzy-egzulantów z krajów Bloku Sowieckiego, zorganizowane przez Bawarską Akademię Sztuk przy niemałej zastudze pochodzącego ze Śląska pisarza niemieckiego Horsta Bienka.

Rzecz była pomyślana tak, że właściwymi gospodarzami mieli być literaci niemieccy, jako opiekunowie swoich kolegów-emigrantów. Niezupełnie to wyszło, może dlatego, że emigranci kupili się w grupki narodowe i na miesiąc popijali tegie bawarskie piwo, może dlatego też, że nie znali oni, albo znali bardzo słabo obce języki (wyjąwszy Polaków, Czechów i Słowaków), a może i dlatego, że Heinrich Böll utkwiał w szpitalu, co chyba przyczyniło się do tego, że i inni Niemcy nie kwapili się do wyznaczonej im roli.

Imprezy były dwie. Na pierwszej chodziło o to, żeby goście podzielili się swymi emigranckimi przypadkami. Wyszło to różnie. — Efim Etkind przeczytał esej o emigracji, operując głównie dwiema osobami: Puszkim i Mickiewiczem. Mówił o tęsknotach emigracyjnych (remigracyjnych? — i Afryka!) Puszkina i o czynie emigracyjnym Mickiewicza, stawiając go poniekąd za wzór. Ciekawe zwierzenia snuł Siegmur Paust z NRD: wypuszczony na własne żądanie i po wieloletnim pobycie w więzieniu i tamże nazywany zdrajcą socjalizmu, za zdrajcę takiego uważany jest również przez przymusowo wysiedlonych z NRD swoich kolegów, Biermanna i Fuchsa, którzy uważają, że Niemcy Wschodnie to jednak „lepsze niemieckie państwo”. Witold Wirpsza wywołał salwę aprobującego śmiechu, kiedy powiedział, że emigracja dla niego to przeniesienie się ze sfery gówna sztucznego w obszary gówna naturalnego; ale już prasa nie zrozumiała jego powiedzenia, że po powstaniu w Polsce pism niezależnych od cenzury wszystko mu jest jedno, czy dotrze do polskiego czytelnika przez wydawcę emigracyjnego czy krajowego; napisano z ubolewaniem, że Wirpszy wszystko jedno. Andrzej Siniawski wywodził, że łatwiej mu było zaadaptować się do niewoli w czasie pierwszego roku pobytu w Gułagu, niż do wolności w czasie pierwszego roku pobytu na Zachodzie: tam nie był odpowiedzialny (moralnie) za to, co czynił, bo to z nim coś czyniono, tutaj zaś odpowiada (moralnie) za to, co czyni, czyni *sponte sua*. Ota Filip, stwierdziwszy, że Praga, Kraków i Budapeszt są ośrodkami kultury zachodniej, oznajmił, że czuje się na Zachodzie szczęśliwy i że postanowił odłączyć się od niemieckiego. To samo zresztą powiedział przy innej okazji Mnačko, wygłosiwszy rzecz arcyśpetną niemiecką.

Drugą imprezą był — ostatniego dnia — wieczór autorski, na którym wystąpili Wiktor Niekrasow, Anatolij Gładilin, Dimiter Inkiow (Bułgaria), Paul Goma (Rumunia), Gabriel Laub (Czechosłowacja), Ladislav Mnačko, Witold Wirpsza i Natalia Gorbaniwskaja. Najżywiej wypadł Niekrasow: zamiast przeczytać, wygłosił ze swadą przemówienie na temat niemieckiego, o którym ma esej na warszacie. Sens był taki: „Oto przed laty ja do was strzelałem, zabijałem was. Teraz, kiedy moi rodacy wnieśli wam ten mur, najhianiebniejszą budowlę na świecie, wstydzę się samego siebie, bo po trzydziestoletnim stażu partyjnym odpowiadam za tę podłość. Dzisiaj, Niemcy, ja was kocham”. — Jedyne Goma i Wirpsza zaprezentowali utwory niepolityczne. — Autorzy czytali w języku ojczystym; przekłady czytały pisarze niemieccy.

Żagadką pozostaje, dlaczego organizatorzy nie zaprosili na spotkanie nikogo z Ukraińców, Białorusinów czy innych reprezentantów narodów niemieckich ze Związku Sowieckiego.

Wołanie na puszczy

Historii krok leniwy...

Warszawa w czerwcu.

Papież Jan Paweł II obdarzył nas wspaniałe: dał nam Dziewięć Dni Które Wstrząsnęły Polską. Dziewięć dni innego życia, innego języka, innej barwy duchowej, dziewięć dni Polski historycznej i europejskiej. Nawet zurzędnicza, upartyjniona, po chłopsku trzeźwa i po konsumpcyjnemu cyniczna Warszawa w parę godzin zrzuciła przybraną wschodnią skorupę, stała się sobą, prawdziwą i żywą. A potem Gniezno, Częstochowa, Oświęcim, Nowy Targ i milionowe tłumy na zalanych tropikalnym słońcem, równobarwnych krakowskich Błoniach. To była niestychana podróż: dialog z Ojczyzną, w którym zapomniana, odłożona *ad acta* historia zmartwychwstała nagle w całym swym bogactwie, zerwano z niej pieczęć milczenia lub skamieniałej, zdrętwiałej mowy partyjnych polityków. Młodzież zrozumiała gdzie żyje, zobaczyła zafałszowanie i sztuczność w jaką ją wikłano, nawet zagraniczni dziennikarze pojęli czym był naprawdę Oświęcim, czego komunistyczna propaganda przez 35 lat wytłumaczyć im nie potrafiła.

Tak — leniwy i nudny krok historii w tym kraju uległ na chwilę podniecającemu przyspieszeniu. Tego się nie zapomni, to będzie miało niezatarte skutki psychologiczne, bezcenne dla odrodzenia się narodowej świadomości i tożsamości, usypianej i zacieranej w naszej codziennej lodówce („Wy motyle i świerszcze w niewoli, Puchnąć zaczniecie i tyć”). A doraźne skutki polityczne podróży Papieża? Na razie żadne — Kościół nie zastąpi nam wszakże normalnego życia politycznego, więc po wyjeździe Papieża Wojtyły wszystko wróciło do normy: cenzura jeszcze ostrzejsza, drętwość jeszcze nudniejsza, władza coraz bardziej arogancka. Noc najciemniejsza jest przed świtem — powiedział ktoś. Ale jaki on ma być — ten świt?!

Niżej podpisany również powrócił do pesymistycznego oglądu spraw międzynarodowych, widzianych także przez pryzmat na-

szych komentarzy prasowych, co jest przyjemnością specjalnie masochistyczną. Ostatnio prasa warszawska pełna jest radości, że nie udały się wybory do zachodnioeuropejskiego parlamentu. Jest to oczywiście radość czysto rosyjska czyli sowiecka: żaden patriotyczny Polak nie będzie się cieszył z lekkomyślnego rozproszkowania Europy Zachodniej, wywołanego różnicą poglądów na ceny pomidorów, nie będzie się radował faktem, że jedynym prężnym i świadomym rzeczą krajem są tam Niemcy Zachodnie. Jak słusznie napisała paryska *L'Aurore*: „Entuzjazm europejski — któremu zresztą Francja zadała dwa najdotkliwsze ciosy, odzrucając w 1954 roku projekt Europejskiej Wspólnoty Obronnej i występując w roku 1963 ze zintegrowanego dowództwa NATO — przeżył więc swoje Waterloo...”. A zachodniemiecki *Die Welt* mówi: „Było jasne, że od momentu, kiedy Europejczycy dobrowolnie zrezygnowali ze wspólnej obrony i uczynili z tego podstawowego elementu jedności naszego kontynentu tabu, o którym wspominać byłoby „nieprzyzwoitością”, cała budowla musiała się szybko zarysować”.

Ano tak, znowu problem owej Duszy Wojownika, o której zaginięciu w Europie pisałem wielokrotnie. Została ona jeszcze tylko w Niemczech i Rosjanach, dwóch nacjach, między którymi my akurat leżymy. Czy naprawdę nie dałoby się przenieść Polski do Australii lub Kanady? Wszak „Polska to serce właśnie”, a transplantacje serca nie należą dziś do rzadkości!

Drugim wydarzeniem, którym dla odmiany prasa nasza ogromnie się entuzjazmuje, jest spotkanie Cartera z Breżniewem w Wiedniu oraz podpisanie układu „Salt II”. Wczytałem się w treść tego układu i nie bardzo widzę przyczyny do optymizmu. Ilość bomb atomowych, wodorowych i kobaltowych, i lichy wie jakich, zdolna wielokrotnie rozwalić kulę ziemską pozostaje bez zmian, umowa dotyczy tylko niezwiększania środków przenoszenia tych bomb (jest tych środków zresztą i tak dosyć), ma więc charakter oszczędnościowy na przyszłość. W czasie wojny opowiadano w Warszawie dowcip, że z powodu wysokich cen benzyny Anglicy i Niemcy zawarli ze sobą ciche porozumienie, na którego zasadzie lotnicy angielscy mieli dla oszczędności zrzucić swe bomby na Londyn, a niemieccy — na Berlin. Coś takiego widzę w układzie „Salt II”, natomiast zwiększenia bezpieczeństwa np. dla Polski zgoła nie widzę. Jeśliby bowiem wojna atomowa już wybuchła, to jedna bombka o Polskę zawadzi na pewno, co, według opinii fachowców, wystarczy najzupełniej: przy naszym systemie wodnym oraz braku rezerw i wszelkich urządzeń zabezpieczających — zatrucie będzie totalne, a to wystarczy — cześć pieśni, cześć dzielny narodzie!

Tak więc, oszczędnościowa dla supermocarstw treść wiedeńskiego układu mało nas, małych, ciekawa natomiast jest jego treść POLITYCZNA, na którą Rusy tak nalegali. Otóż polityczne znaczenie „Salt II” jest takie jak zawsze: Rosjanie ustępują w sferze imaginacji a otrzymują koncesje w sferze konkretu, w tym wypadku jeszcze jedno potwierdzenie *status quo*

w Europie (militarnego też) z zastrzeżeniem sobie prawa do rozrabiania w Azji, Afryce, Ameryce Łacińskiej. Wszystko dokładnie tak, jak opisałem w felietonie „Moje prorocstwo” (*Kultura*, listopad 1977).

Podobnych układów ze sprzedawaniem Niderlandów za coś konkretnego Rosjanie zawarli już sporo. Chruszczow zawiózł na Kubę wyrzutnie raketowe, po czym je zabrał i za tę łaskę uzyskał amerykańskie stwierdzenie nietykalności Kuby. Tenże Chruszczow groził zawarciem osobnego pokoju z NRD, za zaniechanie tego zamysłu uzyskał, mimo muru, zatwierdzenie czterostronnego statusu Berlina. Przed „Salt II” Rosjanie wypuścili (nie za darmo) na emigrację pięciu kontestatorów, co tak ucieszyło Amerykanów, że zapomnieli o 100 milionach wschodnich Europejczyków, którzy wprawdzie nie chcą emigrować, ale chcieliby żyć w demokratycznych warunkach. Zawsze ten sam manewr i nikt się jeszcze z niego niczego nie nauczył: sprzedawanie Niderlandów i Kolumby Zygmunta za gotówkę trwa. Za pokój atomowy w Europie wolna ręka na całym świecie! Co prawda Amerykanie też ją mają, ale nie skorzystają, bo mają też Kongres, Senat, wolną prasę, brak benzyny i miliony pacyfistów. Natomiast Rosjanie nic z tych rzeczy nie mają, ale za to mają jeszcze Kubańczyków, utajonych ekspertów, obłąamuonych rewolucjonistów różnych krajów, eksportowy leninizm i rzeczywistą politykę światową. A jako hamulec tylko Chiny, bo też totalistyczne i (na razie przynajmniej) antyrosyjskie.

„Tak to nierówno obie strony obdzielono”. W tej sytuacji Breżniew nie zawahał się surowo przestrzec amerykańskich senatorów przed głosowaniem przeciw układowi, choć było to wyraźne „mieszanie się w sprawy wewnętrzne innych państw”. Po czym nastąpił pocałunek z Carterem. Zdziwił on ludzi bardziej niż pocałunek Papieża z prezesem Jabłońskim. Papież skompromitował Jabłońskiego wobec Moskwy, Breżniew nobilituje Cartera wobec Nowego Jorku. Pocałunek pocałunkowi nie równy.

I tyle tego dobrego światowego. A cóż my w Warszawie, po zostawieniu sobie i naszym władzom oraz leniwej historii? Ano — przyzwyczajamy się. Totalizm tu bezosobowy, przyczyszcza nie przerywając snu, jak rycyna. Bardziej tu dom wariatów niż „zakład karny” — jednak Hitler i Stalin byli gorsi. Zinowiew pisze, że życie na Wschodzie jest prostsze niż na Zachodzie, więc ludzie przyzwyczajają się: najlepszy sposób na pluskwy to polubić je. Przyzwyczajamy się do absurdu, do cenzury, do pozbawionych treści przemówień, do codziennej fotografii Dygnitarza we wszystkich dziennikach (czyż nie wiemy jak on wygląda?!), do przenikniętych fałszem seriali i dzienników w telewizji, do produkcji mierzonej w kilogramach, do znikania z prasy niewygodnych nazwisk i ludzi, nawet do wstrząsających reportaży Kuśmierka (oczywiście niedrukowanych) o nonsensie naszej gospodarki. Przyzwyczajamy się, usypiamy. Ja też niedługo usnę, choć jeszcze piszę.

Z pustyni i z puszczy

Ciemnogród niezależny

Wszystko dziś niezależnie. Po niezależnym Komitecie Samoobrony Społecznej „KOR”, Niezależnej Oficynie Wydawniczej, niezależnej prasie i niezależnych twórcach przyszła kolej na niezależną ksenofobię, niezależną parafianiszczynę i niezależny obskurantyzm. Te trzy rzeczowniki mające w Polsce bogatą tradycję cisną mi się na usta w momencie gdy czytam niezależny od rozumu organ „Samoobronę Polską”, pismo Polskiego Komitetu Obrony Życia, Rodziny i Narodu. Sam Komitet, jak informuje okładka reklamowa pisma, „chce zapoczątkować ruch samoobrony polskiej, rozważny, niezależny i autentycznie polski nie związany z żadnymi obcymi siłami” (we wszystkich cytatach zachowuję oryginalną składnię i interpunkcję — przyp. mój, J.B.). „W wykonaniu tych zadań Komitet wydaje m.in. pismo „Samoobrona Polska”, którego dotychczas ukazało się sześć numerów, a także utworzył wydawnictwo o tej samej nazwie”. Numer siódmy pisma został wydany (techniką offsetową) przez Wydawnictwo im. Konstytucji 3-go Maja, związane z Ruchem Obrony Praw Człowieka i Obywatela w Polsce.

Pismo redagowane jest przez panów Mariana Barańskiego i Tomasza Jana Jankowskiego oraz prawie w całości zapełniane materiałami p. Mariana Barańskiego. Pismo jest uniwersalne i zajmuje się wszystkim, ale przede wszystkim demonologią. Główne demony, które krążą po „Samoobronie”, to masoni, Żydzi i mieszańcy cywilizacyjni „wszelkiej maści”. A oto główne nurty zainteresowań pisma pokrywające się na ogół ze stałymi działaniami w dwu ostatnich numerach (nr V-VI i nr VII): prawdziwa historia niepodległości; prawdziwa historia Polski; prawdziwa historia powszechna; dział obrony papieża przed masonami, Żydami i liberałami; Masoni i Żydzi; dział zaświatów albo czwartego wymiaru; Rycerstwo Niepokalanej; antykoncepcja i przerywa-

nie ciąży; dział dmowski. W tej kolejności postaram się też omówić główne nurty zainteresowań pisma.

Numer V-VI otwiera artykuł redakcyjny „Polska wolna (w sześćdziesiątą rocznicę odzyskania niepodległości)”. Dowiadujemy się z niego od razu i bez zbędnych wstępów, że „Ona, wysniona, wymodlona i wywalczona — Najjaśniejsza Rzeczpospolita Polska” odzyskała niepodległość, ponieważ „cudownym zarządzeniem Opatrzności, która pokierowała losami wojny wszyscy trzej nasi zaborcy ponieśli klęskę, a państwa ich bądź legły w gruzach bądź też popadły w stan długotrwałego chaosu”. Redakcja jednak „nie pomijając sprawczej woli Bożej” próbuje znaleźć inne „realne czynniki naturalne, które zaważyły na odzyskaniu przez nas niepodległości”. Jednym z tych czynników jest „praca narodowa”. Na czym polegała praca narodowa? „W ciągu 123 lat niewoli naród nasz bynajmniej nie przestał żyć bogatym życiem wewnętrznym. Co więcej: odnosi się niekiedy wrażenie jak gdyby nawet odpowiedział, na pozbawienie go niepodległości, wzmożeniem tempa pracy narodowej. Przede wszystkim wzmocniliśmy się liczebnie. W latach 1865-1900 ludność polska wzrastała w tempie najszybszym w Europie (*ex equo* z Anglikami)”.

Redakcja „Samoobrony” wysuwa wprawdzie tezę, że naród pracował dość jednostronnie, co jej odpowiada, ale zauważa też inne elementy pracy narodowej, np. kobiety. „Ogromną rolę w procesie wychowawczym odgrywał patriotyzm kobiet polskich. Dziś kiedy do domu naszego wkraść się ktoś trzeci, obcy w postaci telewizora widzimy coraz wyraźniej ten fakt”.

Drugim czynnikiem, który przyczynił się do odzyskania niepodległości, była walka narodowa, mimo że „wszystkie powstania polskie od powstania kościuszkowskiego począwszy aż do rewolucji 1905 roku (jeśli ją można nazwać powstaniem polskim) wybuchały z obcej inspiracji (masonerii, Niemców, Francuzów i innych) i w obcym interesie”.

Jednakże później walczył Roman Dmowski, „twórca polskiej idei narodowej”, w przeciwieństwie do Józefa Piłsudskiego, który nie dość, że gotów był sprzymierzyć się z Niemcami, to jeszcze chciał dać niepodległość Ukrainie, Litwie i Białorusi. Redakcja „Samoobrony Polskiej” jest niechętna planom Piłsudskiego i jak przystało na polskich narodowców wszechczasów ma orientację prorosyjską i zdecydowanie antyniemiecką. Jakże były i są plany Niemiec?

„Co do Rosji natomiast, to Niemcy zamierzały ją odciąć od obu mórz: Bałtyckiego i Czarnego poprzez utworzenie uzależnionej od siebie Litwy, Łotwy, Estonii i „niepodległej” Ukrainy. Wewnątrz zaś Rosji ich wpływy miała ugruntować kamaryla dworska i osadnicy niemieccy nad Wołgą. Takie były niemieckie plany w przededniu I-szej wojny światowej. Takie są — dodajmy i dziś w 33 lata po przegraniu przez nich II-giej wojny światowej”.

Samą pierwszą wojnę wywołała, według redakcji, masoneria, która próbowała już dokonać tego w 1905 roku, ponieważ była

„zainteresowana w rozbiu Rosji, którą uważała za oazę wstępnictwa, reakcji i antysemityzmu i utworzeniu tam rządu „demokratycznego”, pod którą to nazwą kryłyby się rząd absolutnie przez nią kierowany”. Najpierw „zakonspirowana bojówka masonska” dokonała zamachu na księcia Ferdynanda, później „mason Kiereński” stanął na czele rewolucji burżuazyjnej, która „stanowiła podściółkę pod rewolucję bolszewicką”, i wreszcie „dzięki sprzyjającej sytuacji na frontach i pomocy międzynarodowego kapitału żydowskiego dla towarzysza Trockiego (banki Jakuba Schiffa i Maxa Warburga) — udało się utworzyć „państwo sprawiedliwości społecznej””. Jednakże masonerii, która osiągnęła częściowo swoje cele obalając carat i przygotowując grunt pod rewolucję bolszewicką, nie udało się przeszkodzić w powstaniu silnej Polski, co było zasługą Dmowskiego na konferencji w Wersalu. Cytują: „Jednolite państwo polskie zostało utworzone i rządzone przez Polaków. Nie mogąc temu zapobiec masoneria utworzyła ok. 60 partii politycznych, które wpędziły młode państwo w stan chaosu”.

Redakcja nie kontynuuje refleksji o chaosie, który przecież trwa do dziś, co dobitnie świadczy o tym, że w pewnym momencie masoneria zmieniła taktykę, zjednoczyła wszystkie partie w jedną dla pogłębienia chaosu, a Komitet Centralny Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej stał się głównym siedliskiem masonów.

W ramach cyklu „Prawdziwa historia Polski” Stanisław Lański (?) — analiza stylometryczna według metody Wincentego Lutosławskiego wskazuje na Mariana Barańskiego — omawia sytuację w trzech zaborach w latach 1882-1893. W zaborze pruskim Bismarck rozpoczął zacięłą walkę z katolicyzmem i z Papieżem, a „atak na katolicyzm popierany był także przez żydów, którzy stali za Bismarckiem”, natomiast w zaborze rosyjskim „ruch emancypacji kobiet [...] bardzo szybko został opanowany przez ośrodki rozkładowe, promasonskie i skierowany przeciw rodzinie i społeczeństwu”.

W zaborze austriackim rozszalał się konserwatyzm. „Konserwatyzm polegał na pielęgnacji formacji przedkapitalistycznej. Niechęć do kapitalizmu była tu tak wielka, że uwolniono nawet L. Wawrzyńskiego, czołowego naówczas socjalistę, tylko dlatego, że zwalczał kapitalizm”.

W Krakowie działała grupa „Stańczyków”, która „wzięła górę nad życiem umysłowym Galicji po 1871 roku jak również i w jej ręce zaczęła przechodzić władza nad krajem. Współcześni obdarzyli ją mianem „grabarzy Polski” i „krakowską strażą pożarną”. Dziś wiemy, że za tą grupą stała masoneria — kończy swój wywód historyk lacki, a raczej aryjski.

Dział prawdziwej historii powszechnej albo historii cywilizacji polega na omiawianiu różnych cywilizacji (łacińskiej, bizantyjskiej, żydowskiej) na podstawie prac „znanego historiozofa

polskiego" profesora Feliksa Konecznego. W numerze szóstym historyk lacki na podstawie książki „Cywilizacja żydowska” (Londyn, 1974, Wydawnictwo Towarzystwa im. R. Dmowskiego) omawia religie żydowskie. Omówienie jest zwięzłe i mieści się — w przeliczeniu — na trzech stronach maszynopisu. Najbardziej interesujący w nim — z punktu widzenia badacza aberracji polskich — wydaje się krótki fragmencik na temat najnowszej religii żydowskiej. Cytuję:

„Za naszych czasów powstała jeszcze jedna religia żydowska, zrodzona z nowych interpretacji prawa mojżeszowego: socjalizm, boszewizm, komunizm [...]. Nie wszyscy Żydzi godzą się na nadawanie temu ruchowi żydowskiej cechy religijnej...”.

„Cechą i celem” wszystkich religii żydowskich jest „wybraństwo Izraela”. „Cel ten nadrzędny jest realizowany z uporem od czasów biblijnych aż do dziś, w czasach nowożytnych. Dobre są tu wszelkie środki jeśli prowadzą do nadrzędnego celu, m.in. środkami tymi jest utajnienie owego celu, szerzenie rozkładu wśród nie-Żydów, walka z religią nieżydowską, przede wszystkim chrześcijaństwem, utworzenie organizacji pomocniczej — masonerii etc. [...] walką tą kieruje jeden utajniony ośrodek, początkowo sanhedryn, dziś jednak inaczej nazywający się”.

Sądzę, że wystarczy już tych cytatów, aby dojść do przekonania, że profesor Koneczny wraz ze swoimi pracami, a szczególnie książką „Cywilizacja żydowska”, powinien jak najszybciej znaleźć się w jakimś cichym, prowincjonalnym muzeum archeologicznym.

Nie wiem, jakie rozwiązanie „kwestii żydowskiej” uznaliby „polscy wybitni antyżydzi” za ludzkie i chrześcijańskie, skoro Polski Komitet Obrony Życia, Rodziny i Narodu ma w swoim programie również „walkę z próbami legalizacji eutanazji”. Przyznam, że nie chciałbym się dowiedzieć.

Oprócz stałej, bezkompromisowej walki z Żydami i masonami Komitet za główne swoje zadanie uznał walkę z ustawą o warunkach dopuszczalności przerywania ciąży. Cytuję:

„W dziedzinie zwalczania ustawy o warunkach dopuszczalności przerywania ciąży, które to zadanie Komitet uznał za pierwszoplanowe, zebrano dotychczas 12 tysięcy podpisów do Sejmu PRL z żądaniem zniesienia tej ustawy”.

Komitet zwrócił się także do koła poselskiego „Znak”, a raczej „Neoznak” o wystąpienie w Sejmie PRL z interpelacją w tej sprawie.

„Samoobrona Polska” nie ogranicza się tylko do walki z ustawą o warunkach dopuszczalności przerywania ciąży. Ogłasza także cykl prelekcji księdza misjonarza Tadeusza Wołynowicza o antykoncepcji, porodzie, zagrożeniu biologicznym, wychowaniu, pt. „Człowiek oskałpowany”. Oto kilka wyjątków z artykułu księdza misjonarza w numerze V-VI:

„Kłękami bowiem XX wieku jest oskałpowanie człowieka z moralności, niewrażliwości na wyższe wartości...”.

„Dziecko odcięte i odłączone od ciała matki płacze całą dobę. Przeżywa. Przeżywa podświadomie utratę kontaktu z ciałem matki jako katastrofę zamknięcia w klatce z tygrysami. W rezultacie albo umrze, albo będzie człowiekiem moralnie negatywnym, mimo najlepszych warunków. Poród naturalny polega na położeniu na ciele matki świeżo urodzonego dziecka. Zaczyna ono pełznąć do góry, karmi się, a potem odłączone, jest szczęśliwe, uśmiechnięte, nie płacze”.

„Łatwo przewidzieć konieczność współdziałania z osobami o odmiennej inspiracji przynajmniej w stopniu koniecznym, by Ojczyzna nasza stała się szczęśliwym domem dla tych przynajmniej 50 mln koniecznych istnień ludzkich do wykorzystania w pełni bogactw naszej ziemi”.

O ile dobrze rozumiem, ks. Wołynowicz w duchu ekumenizmu, pluralizmu i tolerancji, w imię zasady: szlachetny cel uświęca niektóre środki (byle nie antykoncepcyjne) — postuluje konieczność stosunków seksualnych między marksistami i katoliczkami oraz odwrotnie; a wszystko w imię tych „pięćdziesięciu milionów koniecznych istnień” dla imperium komunistycznego, w tym bardaku, któremu na imię PRL. Piszę „dla imperium komunistycznego”, ponieważ ulubioną piosenką działaczy Socjalistycznego Związku Studentów Polskich na wszystkich rajdach studenckich jest piosenka o refrenie „Imperium gdy powstanie to tylko z naszej krwi” ze wstawką recytowaną „Polska od morza do morza!”.

Utrzymując się w nastroju patriotycznej mistyki możemy przejść teraz do opisanego działu zaświatów albo czwartego wymiaru. W numerze V-VI „Samoobrony” ukazał się artykuł-nekrolog pióra Mariana Barańskiego pt. „W rocznicę śmierci Walentego Majdańskiego. Artykuł przytaczam prawie w całości, co — mam nadzieję — sprawi satysfakcję Czytelnikom.

[...] Był specem od moralności, ale nie tej powierzchownej, przegadanej i rozmyślkowanej, lecz głębokiej, prawdziwej, dobijającej się z wnętrza istoty ludzkiej. Miał stały zwyczaj dawać się wygadać rozmówcy; słuchał uważnie a potem dopiero zabierał głos, ale to jak... właściwie to każde jego słowo można było od razu przelewać na papier, bez żadnego ryzyka — tyle w nim było przenikliwości, precyzji, daru przewidywania wydarzeń.

W jakiś czas potem, kiedy już nie żył zgasiłszy w wolskim szpitalu i kiedy przeczytałem „Dziedzictwo” Wybranowskiego, przypomniał mi jako żywo starego Grzybowskiego, który nie wytrzymałby w nauce i który chciał robić Wielką Polskę; obłożony lekarstwami pragnął jak najdłużej żyć, bodaj jeszcze kilka miesięcy z jedną jedyną myślą — służenie Polsce. Jota w jotę pan Walenty.

Podobnie jak Grzybowski nie miał wyższego wykształcenia

i podobnie jak on wiedzą swoją wszechstronną mógł zakasać niejednego docenta. Pan Walenty chciał służyć Polsce, ale patrzył daleko. Stąd w jego „Kołyaskach i potędze” wizja Polski 100-milionowej jako najważniejszego zadania narodowego. I związana z tym zadaniem mocna, krystaliczna moralność, oparta na ortodoksyjnej wierze katolickiej. Pan Walenty traktował to ogromnie poważnie. Walczył o wiarę autentyczną i żywą. Dlatego, choć sam niemal bigot (bywał codziennie na Mszy św. o 6-tej rano) nie było odeń surowszego krytyka duchowieństwa — jego zmaterializowania, pychy, urzędniczenia, indolencji, płycizny wewnętrznej.

Szczególnie gorszyły go posoborowe „nowinki”, dziwactwa i błazeństwa. „Kościół polski płonie” — pisał do jednego z hierarchów kościelnych.

Zwierzył mi się kiedyś, że „Ojciec Maksymilian Kolbe, ten to dopiero pracuje w niebie”.

Drogi Panie Walenty! A Pan, czy nareszcie tam odpoczywa po trudach ziemskiego żywota, czy też może przeciwnie...

Szczególnie jednak sprawy rodziny polskiej stanowiły Jego wielką życiową pasję. O „zdrową” polską rodzinę z 3 P (Pan, Pani i Pies) walczył już przed wojną na łamach *Rycerza Niepokalanej, Prosto z Mostu...* „Matka trumna” — to było jego określenie kobiety zabijającej dzieci nienarodzone. W ogóle to styl pisania miał mocny, męski, jednający mu zwolenników wśród osób szczerze zatroskanych sprawą polskiej rodziny; miał też licznych przeciwników — wśród zwolenników kwietyzmu i różnej maści mieszańców cywilizacyjnych.

Szczególnie uporczywie walczył z przerywaniem ciąży! o prawo do życia dla ostatniej już „klasy wyzyskiwanej” — dzieci nienarodzonych.

Podupadł bardzo na zdrowiu i duchu kiedy Sejm PRL uchwalił ustawę o przerywaniu ciąży (27.IV.1956 r.). Mimo to pisał (przeważnie do szuflady), przemawiał, agitował — nawet w tramwaju. Pracował po kilkanaście godzin na dobę w nadziei, że jeśli nie teraz to kiedyś się to przyda. Żył w biedzie, ale nie przywiązywał do takiego trybu życia żadnej uwagi.

Kiedy w sierpniu 1972 roku na Warszawskiej Pielgrzymce Pięszej grupa młodzieży akademickiej zaczęła zbierać podpisy o zniesienie ustawy o warunkach dopuszczalności przerywania ciąży wiedział już, że praca jego nie poszła na marne, natrafiła na podatny grunt.

Dziś, kiedy złączeni jesteśmy w jedno w Polskim Komitecie Obrony Życia, Rodziny i Narodu, wiemy, że nie jesteśmy tu sami — mamy bowiem naszego Człowieka, tam poza trzecim wymiarem...”

Styl pisania ma p. Marian Barański mocny, męski, lacki, jednający mu zwolenników wśród stylistów.

Niezrównanym stylistą i eksploratorem okazuje się być rów-

niez S.L. (Stanisław Lacki?), który w numerze siódmym omawiając wydarzenia w Iranie pisze m.in.:

„Rosjanie będą próbowali wykorzystać zaistniałą sytuację, będą propagandowo rozdmuchiwać znaczenie słabych jakichś „frontów demokratycznych”, penetrować wojsko, studentów, może kobiety czy inne oderwane od społeczeństwa siły; wprawę zaś ku temu mają nielichą”.

Szczególnie podniecające musi się wydać Czytelnikowi penetrowanie kobiet, czy innych oderwanych od społeczeństwa sił, jako metoda radzieckiej walki politycznej.

Pozostał nam jeszcze do omówienia dział dmowski niezwykle bogato reprezentowany we wszystkich numerach. Numer siódmy otwiera artykuł pt. „Myśl polityczna Romana Dmowskiego” pióra Mariana Barańskiego. Autorowi temu poświęciłem już tyle uwagi, że przekracza to wielokrotnie jego zasługi na polu satyry. Ale zbrojny w maksymę mojego przyjaciela grafika „prawdziwy krytyk cnoty się nie boi” spróbuję, przewyciężając śmiertelną nudę, przybliżyć Czytelnikowi myśl Barańskiego. Artykuł liczy czternaście stron. Na stronie mieści się od sześćdziesięciu do sześćdziesięciu trzech wersów. Myśl artykułu koncentruje się wokół pięciu słów-kluczy: narodowy (narodowa), polskość (Polska, polski), Żydzi, MASONI, patriotyzm (lub nacjonalizm jako wyższa jego forma). Słowo „narodowy” (narodowa) powtarza się w tekście 168 razy (statystycznie 12 razy na stronie), słowo „polskość” (Polska, polski) 104 razy (statystycznie 8 razy na stronie), słowo „Żydzi” — 10 razy, słowo „masoni” — 14 razy, słowo „patriotyzm” (nacjonalizm) — 20 razy. Między tymi wszystkimi słowami są różne zdania, głównie oznajmujące.



Sądzę, że czas już najwyższy zakończyć ten najpracowitszy felieton mojego życia. Czytelnikom chciałbym uświadomić fakt, że zmuszony byłem przeczytać dwa numery „Samoobrony Polskiej”, pisma Polskiego Komitetu Obrony Życia, Rodziny i Narodu. Jak obliczyli specjaliści, równa się to dla człowieka normalnego czterem dniówkom w kopalni uranu. W następnym numerze „Samoobrony Polskiej” powinna ukazać się nota pióra Mariana Barańskiego lub Stanisława Lackiego pt. „Kolejny atak masoni na „Samoobronę Polską””.

Jacek BIEREZIN

Książki

O teorii politycznej

Teoria polityczna była zawsze tradycyjną gałęzią filozofii, na której spekulatywnym charakterze opierała swoje metody. Ale oparcie to nie było czymś, czego identyczność dałoby się łatwo określić. Filozofia była szeregiem nawzajem obalających się doktryn, jej osiągnięcia nie układały się w linię poznawczego postępu, a jej ambicje, początkowo obejmujące wszystkie dziedziny ludzkich poczynań, kurczyły się w miarę rozwoju nauk, by wreszcie zamknąć się dzisiaj w *splendid isolation* anglosaskiej szkoły „analitycznej” już zupełnie zrezygnować z bezpośredniego zajmowania się rzeczywistością. Teoria polityczna, mimo tego zmiennego oparcia, zdołała zachować identyczność swoich elementarnych rozeznań, których kolejne interpretacje układają się w linię, wprawdzie nie postępu, ale przynajmniej ciągłości. Przyczyną częściowej niezależności tej dyscypliny był przede wszystkim fakt, że teoria polityki miała od samego początku bezpośredni kontakt z doświadczeniem. W starożytnej Grecji, gdzie sytuacja geograficzna zmuszała Hellenów do organizowania się w wielką ilość małych państw, filozofowie mieli do swej dyspozycji wyjątkowo obfity materiał empiryczny. Nic więc dziwnego, że filozofia polityczna tam się zaczęła, że Platon pierwszy wyszedł dynamizmy przemian i katastrof ustrojowych, i że to już Arystoteles, który, jak twierdzi, przestudiował w tym celu 158 różnych konstytucji, pierwszy sformułował podstawowe koncepty, na których teoria polityczna opiera się do dzisiaj. A poza tym sam fakt istnienia już wówczas tyłu konstytucji zdaje się wskazywać, że zasadnicze orientowanie się w możliwościach i ryzykach politycznego organizowania społeczeństwa było już dane w biologicznej głębi natury ludzkiej, w formie instynktu ostrzegającego, że powierzona gatunkowi ludzkemu funkcja kontynuowania procesu twórczego wymaga pogodzenia dwóch sprzecznych warunków: wyzwolenia wolności indywidualnej i zachowania dyscypliny społecznej. Próby znalezienia drogi pośredniej, wyni-

kające z tego dążenia w dwóch sprzecznych kierunkach, kolejne przeważanie jednego lub drugiego, wahanie się od katastrofального przechylenia w jedną stronę do takiegoż przechylenia w stronę przeciwną, oto doświadczenia, tym wymowniejsze, że ujawniające regularną powtarzalność pewnych fenomenów. Teoria polityczna usiłowała spełniać swoją misję filozoficznego drogowskazu podwójną drogą: przez orientowanie w elementach politycznej rzeczywistości i przez sugerowanie koncepcji zabezpieczających utrzymanie równowagi. Historię tej misji zdobi szereg sławnych imion: Platon, Arystoteles, Machiavelli, Hobbes, Montesquieu, Rousseau, Hegel. Ale jakież jest bilans tych wysiłków? Rosnąca przez wieki złożoność ustrojowych instytucji rozbudowała deskrypcyjną stronę teorii. Ale nasze orientowanie się w istocie dynamizmów społecznych jest dziś na tym samym (jeśli nie niższym) poziomie, na jakim było przed 2000 lat. W rezultacie teorie zapędziły dziś ludzkość w dwa kierunki niebezpiecznego ekstremizmu: jeden konsolidujący się na wzór uzbrojonego mrowiska, drugi tracący panowanie nad lawinowymi procesami rozkładu. Gdzie leży przyczyna tego tragicznego fiaska? Co jest źródłem błędnych rozpoznań i wskazań teorii, a, co za tym idzie, błędnych kierunków praktyki?

Wydana przed dwoma laty w Londynie książka W.J. Stankiewicza, profesora nauk politycznych na uniwersytecie w Vancouver, jest poważną i głęboko sięgającą próbą odpowiedzi na te pytanie. *Aspects of Political Theory** jest nie tylko krytyczną rewizją podstawowych problemów filozofii politycznej i ich powiązań z dzisiejszą praktyką, ale w swoich filozoficznych pogłębieniach jest sięgnięciem do poznawczych podstaw teorii i wykryciem roli, jaką w kształtowaniu się błędnych orientacji odgrywa relatywizm.

Książka składa się z siedmiu rozdziałów. Rozdziały I do VI poświęcone są analizom centralnych pojęć teorii i ich znaczeń w dzisiejszej praktycznej problematyce. Omawiane są kolejno: kontrakt społeczny, wola ogółu, suwerenność, autorytet, legitymizm, prawo naturalne. Każdy rozdział podzielony jest na kilka krótkich podrozdziałów oświatlających istotę reprezentowanego przez dane pojęcie aspektu rzeczywistości. Głównym celem analiz jest wykazanie, jak niektóre późniejsze interpretacje klasycznych pojęć zacierały instuicyjną trafność oryginalnych ich znaczeń i jak nie zdawały sobie sprawy, że te oryginalne głębokie wglądy, mimo wszystkich narosłych w międzyczasie skomplikowań rzeczywistości materialnej, wciąż zachowują swoją zasadniczą aktualność. Niepodobna w krótkiej recenzji wdawać się w szczegółowe wyniki tych analiz. Ale dwa momenty są w nich specjalnie ważne. Pierwszy, to zaktualizowanie problematyki teoretycznej drogą systematycznie prowadzonej konfrontacji z mechanizmami kryzysu dzisiejszych demokracji wykazanie, z jakim

* W. J. Stankiewicz, *Aspects of Political Theory*. Collier Macmillan, London, 1977.

fatalizmem narzędzia teorii, zamieniając się w polityczne hasła, stają się narzędziami błędzenia praktyki. Drugim interesującym momentem jest stosowana przez autora metoda analityczna polegająca przede wszystkim na rozróżnianiu między logicznym sensem pojęcia a istotą rzeczy, czyli między eksplikacyjną formułą a aktywnym czynnikiem rzeczywistości. Rozróżnianie to jest niezmiernie subtelne, i jak w wypadku pojęcia suwerenności, niełatwe do wytłumaczenia. Ale dzięki tej metodzie autor przywraca centralnym pojęciom ich kontakt z rzeczywistością.

Ten długi szereg analiz jest właściwie uporządkowaniem konceptualnych podstaw głównego tematu, i w tym sensie jak gdyby obszernym wstępem do ostatniego rozdziału. W ostatniej, najważniejszej części książki autor podejmuje w szerszych zarysach studium teoretycznych powiązań i praktycznych konsekwencji relatywizmu. W traktowaniu głównego tematu profesor Stankiewicz stosuje tę samą metodę krążenia dokoła intuicyjnie wy czutej istoty zjawiska i stopniowego oświetlania jej z różnych płaszczyzn. Metoda ta polega na wykrywaniu *kierunków* i charakteryzowaniu *tendencji* raczej, niż na usiłowaniach uchwycenia ontologicznej głębi zjawiska w precyzję kompletnego pojęciowego opisu, zresztą niemożliwego, i budowania na tym konstrukcji logicznych. Jest to jeden z najbardziej interesujących aspektów oryginalności tej książki.

Relatywizm, w sensie najogólniejszym, jest poglądem, że wszelka wartość zależy od punktu widzenia. Jako odwrotność absolutyzmu, przejawia się on w zasadniczo negatywnym stosunku do ustalonych hierarchii norm. Jako filozoficzne stanowisko poznawcze, stał się podstawą scjentyzmu, czyli wiary w uniwersalną zastosowalność metod naukowych. Scjentyzm zarysował się wyraźnie w epoce pozytywizmu Augusta Comte i ówczesnych triumfów fizyki i chemii. Kolejną falą zachęty i złudzeń był w drugiej połowie ub. wieku tzw. pozytywizm logiczny, zrodzony pod wpływem fascynującego rozkwitu nauk logiko-matematycznych. Ten kierunek filozofii, przeszedłszy przez szereg rozczarowań i stopniowo modyfikując swój radykalizm, przybrał w końcu nazwę filozofii „analitycznej”, zmonopolizował katedry w Wielkiej Brytanii i ustalił się jako obowiązująca moda w świecie anglosaskim, otwarcie rezygnując z resztek tradycyjnych kompetencji i redukując rolę filozofii do analizowania semantycznych subtelności języka. Ostateczna abdykacja filozofii umocniła oczywiście atrakcyjność scjentyzmu, spopularyzowała behawioryzm i przyczyniła się w ten sposób do rozpowszechnienia postawy relatywistycznej. Tradycyjna, posiłkująca się intuicją i refleksją filozofia polityczna zaczęła być uważana za rodzaj ideologii, a zadanie miarodajnego orientowania się w tej dziedzinie zaczęły przejmować poszczególne nauki. Ale nauki polityczne, oparte na bezkrytycznym empiryzmie, nie są w stanie wykroczyć poza swoje czyste opisowe funkcje. Obserwując ludzkie zachowanie się, rejestrują one zewnętrzne fakty, ale nie dostrzegają decydującej roli motywacji moralnych, tzn. dążeń do jeszcze nie zdetermino-

wanych osiągnięć. Nie zdając sobie sprawy, że zachowanie się człowieka jest splotem dwóch różnych porządków rzeczywistości, materialnego, który dostarcza środków, i moralnego, który inicjuje kierunki, naukowe orientowanie się w istocie społecznych dynamizmów nieświadomie wychodzi z fałszywych epistemologicznych założeń i staje się w ten sposób źródłem błędnych rozpoznań praktycznych. Rezultatem empirycznych metod psychologii jest, że w naturze ludzkiej orientujemy się dziś gorzej niż kiedykolwiek. Łudzimy się, że postęp intelektualny pociąga za sobą postęp moralny, i do dziś dnia nie możemy zrozumieć, że prymitywna natura nie zmienia się wcale, że jej potencjalne naciski są wciąż te same, zaś rezultaty zależą jedynie od tych czynników, które się tym naciskom przeciwstawiają. A rozciągnięcie metod behawioryzmu na problematykę społeczną, polityczną, ekonomiczną, kulturalną i wychowawczą spowodowało jedynie masowy najazd badań statystyczno-ankietowych, zastąpiło rzeczywisty stan rzeczy gęstą siatką faktów nieskoordynowanych żadną głębszą teorią, i, usypiając w ten sposób czujność społeczeństw, otworzyło naciskom natury prymitywnej wolną drogę.

A tymczasem czynnikiem, który od wieków przeciwdziałał tym naciskom, i tym samym ułatwiał zachowywanie równowagi między warunkiem wolności i warunkiem dyscypliny, był czynnik motywacji moralnych skonsolidowanych w hierarchię norm. Działając na ludzką wolę od wewnątrz, czynnik ten zastępował systemy przymusów zewnętrznych i był w ten sposób potężnym sprzymierzeńcem rządów demokratycznych. Starożytni doceniali praktyczną rolę sfery moralnej. Ale dopiero Chrystianizm, przez tysiąc lat supremacji Kościoła i etycznego absolutyzmu, umocnił hierarchię norm tak, że, mimo destrukcyjnej ingerencji racjonalizmu, do bardzo niedawna jeszcze funkcjonowała ona, jako utrwalony w nawykach kodeks zachowania się. Relatywizm, odrzucając zasadę absolutyzmu, podważył opartą na religii hierarchię norm, a tym samym rozluźnił obowiązujący charakter tradycyjnego kodeksu obyczajów. System nawyków, raz naruszony, wykruszył się szybko, pociągając za sobą załamywanie się ważnej aksjologicznej struktury, na której opiera się równowaga. Po raz pierwszy w historii demokracji znalazły się bez kierownictwa „od wewnątrz” i bez żadnego zastępczego źródła, które mogłyby autorytatywnie restytuować kodeks norm moralnych. Filozofia, zablakana w werbalizmie, nie ma już dziś nic do powiedzenia społeczeństwu, a rządy i parlamenty, w imię złe zrozumianych zasad i nie mając zresztą w odwodzie żadnego „naukowego” absolutu, na którym mogłyby hierarchię norm oprzeć, umywają ręce. W tej sytuacji ośmielona brakiem przeszkód natura prymitywna rozpoczęła inwazję na sferę etyki. Pozostawione samym sobie społeczeństwa, nie mając ani wewnętrznych ani zewnętrznych środków oporu, zmuszone zostały do bezplanowych kapitulacji. Każda z nich zachęcała naturę prymitywną do śmielszych posunięć a to z kolei powodowało dalsze kapitulacje. Wytworzył się w ten sposób cykl wzajemnych przyspieszeń, nadają-

cy procesowi moralnego rozkładu charakter procesu lawinowego, rozluźniający wszystkie systemy dyscypliny i przechylający ideał wolności poza próg bezpieczeństwa.

Krytyka relatywizmu, którą autor przeprowadza, jest przede wszystkim krytyką podstaw teorii poznania. Wykrywa ona niewidoczne ścieżki, którymi błędne epistemologiczne założenie przemyca swoją błędną orientację do ontologicznych interpretacji podstawowych pojęć, od nich do nieświadomie na tym budowanych teorii, a w końcu do praktycznych zastosowań i ich wielokierunkowych konsekwencji. W świetle tej krytyki problem adekwatnej teorii poznania wysuwa się na pierwszy plan, a jej oczywisty brak, w sytuacji bardziej niż kiedykolwiek wymagającej trafnego orientowania się rzuca cień odpowiedzialności na filozofię.

Zygmunt HŁADKI

Zamroczone lata

Z dziwnym uczuciem czytałem książkę Józefy Radzywińskiej*. Prowadzi przez dobrze mi znany krajobraz, akcja dzieje się w Buenos Aires. Z metafizyką scenerią, kulisami, głównymi aktorami, a co najważniejsze z okresem jestem „na ty”. Na książkę jej składają się zapisy o charakterze kronikarskim, sylwetki, opisy turystycznych eskapad po Argentynie, wyznania chwilami bardzo intymne i będące w nastroju i wibracjach w rozbieżności z tonem całości.

Często odkładam książkę, zmuszając się do lektury. Nie szła mi łatwo. Przedstawia to, co teraz nazywa się „nawijaniem”: Radzywińska nawija, nawija, używając różnych szpulek i nici. Farbowane one są — czuję się w obowiązku stwierdzić — obłudą, nierzetelnością i czymś więcej, ale o tym później. Już sam tytuł „Czternaście lat mroku” jest pozą. Patrząc wstecz okazują się one najbardziej twórczym okresem pisarskim i poetyckim autorki. To raczej lata spędzone już w PRL zasługują na określenie mrocznych. W krajowym piśmiennictwie jest wielkością nieznaną, działa na marginesie, podczas gdy w polonijnym Buenos Aires była na pierwszym planie, należała do komitetu redakcyjnego *Głosu Polskiego*, jej wiersze zaczęto tłumaczyć na hiszpański. Teraz byłaby już może pozycją w międzynarodowej literaturze Buenos Aires i Ameryki Łacińskiej.

* Józefa Radzywińska, *Czternaście lat mroku*. Wydawnictwo Literackie, Kraków, str. 327.

Mój odbiór prozy Radzywińskiej jest z natury rzeczy inny niż czytelnika, który ma zielone pojęcie o tych czterech latach spędzonych przez autorkę w Argentynie. Jeśli mam być szczerzy, to jeszcze bardziej od tego co „nawinęła” irytuje mnie to, czego nie „nawinęła”. Na próżno w jej książce szuka się choć kilku skromnych stroniczek poświęconych argentyńskiej kulturze.

Autorka pisze obszernie o swoim pradziadku, którego ślady rzekomo odkryła w Argentynie, o wyprawach do Mendoza, Mar del Plata, o nieporozumieniach z mężem, którego pozbyła się wysyłając go do USA, ale nie daje nawet krótkiej syntezy literatury kraju, w którym przyszło jej żyć.

Co wolno wojewodzie... Owszem, Gombrowiczowi wolno było na impertynencką obojętność w stosunku do Jorge Luisa Borgesa, Victorii Ocampo. To było częścią jego bardzo złożonej gry, jego „gęby”. Ale w wypadku znacznie „krótszej” Józefy Radzywińskiej jest to typowy przykład nonszalancji, pomieszania intelektualnych priorytetów i niczym nieusprawiedliwionego poczucia wyższości.

Argentyna w latach 50-tych nie była przecież Swazilandem. Buenos Aires, w którym działała Józefa Radzywińska było wspólną wielomilionową stolicą, w której tętniło życie kulturalne z intensywnością, o jakiej nam się w Polsce nie śniło. Literatura argentyńska nie była jeszcze znana w Stanach Zjednoczonych i w Europie, ale wszyscy pisarze i poeci, należący obecnie do ekstraklasy światowej, jak Jorge Luis Borges, Ernesto Sabato, Roberto Arlt, Bioy Casares, Manuel Mujica Lainez, Hector Murena, Alberto Girri, Marcos Denevi już wówczas promieniowali. O tym wszystkim nie ma ani słowa w czterech mrocznych latach.

Autorka liczy na kompletną nieznaną sytuację argentyńskiej przeciętnej czytelnicy swoich wspomnień. Na przykład opisuje swoją wizytę u naczelnego redaktora dziennika *La Prensa*, Cesara Tiempo. Nie wspomina jednak ani słowem, że działa się to w okresie kiedy Juan Peron „zglajszaltował” ten organ o świetnych tradycjach, oddając go związkom zawodowym i zmuszając prawowitego właściciela, Alberto Gainza Paz, do ucieczki za granicę. Żyjący jeszcze w Buenos Aires Tiempo, miernota intelektualna o ciągłych komunistycznych w młodości i w wieku dojrzałym, bardzo się tego okresu naczelnego redaktora wstydził u schyłku swego życia.

W prozie Radzywińskiej pełno jest takiego fałszywego „nawijania” i takich nici podfarbowanych dla zmylenia czytelników. Obawiam się, że zamiast recenzji „odwija” mi się wspomnienie o Józefie Radzywińskiej, która w okresie Buenos Aires wydawała mi się utalentowana i miła — z jednym zastrzeżeniem. Tak jak ją pamiętam, należała do gatunku tak zwanych nieodpartych trzpiotek-flirciarek. Taki był jej styl i interakcja. Wolno jej było. Gdyby tego nie „nawinęła” w swojej książce, nie przypomniałbym tego. Ale to stawia mnie w obowiązku nakreślenia jej sylwetki. Była ciągle na pełnych obrotach czarowania. W towa-

rzystwie panów uwodziła spojrzeniami i głosem jednocześnie wszystkich, bez względu na wiek i stan cywilny. W restauracji usiłowała podbić serce kelnera, szatniarza, a nawet pikolaka. W taksówce flirtowała z kierowcą, w sklepie z subiektem. Żyła w szczęśliwym przekonaniu, że cały świat się w niej podkochuje, nawet Witold Gombrowicz. Daje to do zrozumienia w rozdziale poświęconym autorowi „Ferdydurke”. Ktokolwiek znał Gombra, jego wrażliwość, chemię, czyta to jak „Księżniczkę Burgunda”. Zwłaszcza kiedy trzymając Józefę za rękę, pożerając ją wzrokiem — „w brązowych oczach lśnią mu dwa ciemne ogniki” (str. 94) — namawia ją do eskapady *à deux* do Mar del Plata. Gombrowicz w roli „macha”...! Nie przeszkadza jej to do zadania mu ciosu poniżej pasa, twierdzeniem że dlatego nie chciał napisać przedmowy do jej książki, gdyż bał się w niej fraszki o Stalinie. Witold Gombrowicz — jej zdaniem — asekurował się. „A on nie ma odwagi otwartego angażowania się w politykę, że mu wstyd, ale jest tchórzem, że go pokonałam”... itp., itd. (str. 92). Tak podobno jej się zwierzał.

W intymnym dzienniku Gombrowicza — znajdującym się w posiadaniu jego wdowy — nie ma ani jednego słowa o Józefie Radzywińskiej. Nie wspomina w nim o propozycjach *weekend’o*-wych w Mar del Plata, choć notuje skrętnie wszystkie swoje próby romansów, jak na przykład to, że dwukrotnie oświadczał się Zofii z ulicy Coronel Diaz — nosił się z zamiarem pojęcia jej za żonę (dwukrotnie dostał „kosza”) oraz próby uwiadzenia go przez utytułowaną damę, która była odpowiednikiem Lee Radziwiłł w polonijnym Buenos Aires, albo sobie tak wyobrażała.

Niektóre „nawijania” są wprost żenujące. W pierwszym rozdziale pt. „Na oceanie” opisuje odjazd z Anglii na pokładzie S/S Winchester Castle. — „Oto od strony angielskiej orkiestry stojącej na brzegu dobiegają tony poloneza Chopina i ta melodia, zawierająca ładunek skondensowanej polskości, sprawia, że w równie zwartym, bolesnym skrócie uświadamiam sobie to, o czym nie chciałam pamiętać, aby przeżyć spokojnie tę chwilę odrywam się od Europy” (str. 5). Jest to od początku do końca zełgane. Statków ze zdemobilizowanymi żołnierzami z armii polskiej na Zachodzie nie żegnano Chopinem. Jest to motyw zapożyczony z łagrów sowieckich, gdzie — pamiętam — brygady wyprawiano na trasę muzyką. Mieszkająca w Buenos Aires p. Hanka Lipkowska płynęła z Radzywińską na tym samym Winchester Castle i potwierdza, że nie zrobiono wówczas specjalnego koncertu dla autorki „mrocznych lat”.

Poważniej przedstawia się sprawa poety, dyplomaty meksykańskiego, radcy prasowego ambasady w Buenos Aires, Jesusa Flores Aguirre, postaci pierwszoplanowej argentyńskich wspomnień Józefy Radzywińskiej. Przez niego poznała rzeźbiarza Octavio Ponzanelli, który oczarowany nią, chciał zrezygnować ze swej ojczyzny i pojechać z nią do Polski Ludowej „ale zapewne do czasu póki bym mu się nie poddała” (str. 204). Epizod z Flores Aguirre jest czymś więcej niż „nawijaniem” *pour la bonne*

bouche. Rzuca dziwne światło na autorkę i jej książkę. Spotykałem go często z racji mojej działalności korespondenta dyplomatycznego *El Hogar’u*. Był bardzo miły, towarzyski, zawsze tryskający dobrym humorem, skory do zabawy, świetny gawędziarz. Z zawodu prawnik czyli *licenciado*, z upodobań i powołania poeta i pisarz. Tak się złożyło, że ostatni raz widziałem Józefę Radzywińską właśnie w towarzystwie Jesusa Flores Aguirre. Zaprosił mnie na *almuerzo* — obiad do restauracji znajdującej się na tarasie ostatniego piętra Hotelu Jousten, znanego przede wszystkim dlatego, że znajdowała się w nim kwatery główna austriackiego „króla broni” Fritza Mandla, męża Heddy Lamar, gwiazdy pierwszego „porno” sprzed 50 lat pt. „Ekstaza”. Flores Aguirre zjawił się w Towarzystwie Józefy Radzywińskiej. Doskonale zjedliśmy i przyjemnie, wesoło pogadaliśmy sobie. Flores Aguirre był w meksykańskich rewersach dla naszej poetki, a ona kusiła go „ciemnymi spojrzeniami” i srebrzystym śmiechem. Niedługo później Flores Aguirre został przeniesiony do centrali, a stamtąd po dojściu do władzy Fidel Castro odkomenderowany do ambasady meksykańskiej w Hawanie. Pewnego dnia przeczytałem w jednej z gazet argentyńskich, że zniknął w tajemniczych okolicznościach w stolicy kubańskiej. Po kilku dniach wiadomość tę potwierdzono: znaleziono jego zwłoki — został zamordowany. Nie miałem okazji porozmawiać na ten temat z Józefą Radzywińską. Była już wtedy z powrotem z pierwszej podróży do PRL. Czytając teraz w Nowym Jorku jej wspomnienia, czekałem niecierpliwie jak opisz jego zniknięcie. Nie ma o tym ani słowa. Ani słowa o tajemniczym końcu człowieka, który był w Buenos Aires jej towarzyszem i mecenasem. W pewnej chwili — odkładając książkę — pomyślałem sobie, że może pamięć mi nie dopisuje, że może mi się tylko wydawało, że Flores Aguirre został w tajemniczy sposób zgładzony na Kubie. Postanowiłem to zbadać, upewnić się. Udałem się do Biblioteki Narodów Zjednoczonych i tam zacząłem szperać w różnych encyklopediach i leksykonach Ameryki Łacińskiej. W końcu trafiłem w „dziesiątkę”. W encyklopedii meksykańskiej znalazłem hasło: Jesus Flores Aguirre, w czwartym tomie na str. 662. Przepisuję je dosłownie: *FLORES AGUIRRE, Lic. Jesus, escritor y diplomático, n. en Saltillo, Coah., en 1904, m. asesinado en Cuba en 1961. Desde 1947 fue miembro del servicio exterior de Mexico. Entre sus obras: Horizontes grises (1925), Soledad (1941), Mexico endrujulo (1950) y la Anunciacion del maíz (1955).*

Czarno na białym — zamordowany na Kubie w 1961. Dlaczego to przemilczała? Gdyby padł z ręki podziemia antykomunistycznego, niewątpliwie napisałaby o tym. To dziwne potraktowanie Flores Aguirre daje dużo do myślenia. Przemilczała jego tragiczny koniec pod wpływem autocenzury, czy też innych czynników.

Dziwne to wspomnienia. Grubą nicią nawinięty jest też ostatni rozdział. Józefa Radzywińska likwiduje Argentynę i wraca na stałe do kraju. Oczywiście żegnano ją. Na jednej z *parties po-*

częstowano ją *yerba mate*, argentyńską herbatą, której — jak pisze — unikała. „Był tam pewien *caballero*, który mnie od dawna adorował, a nawet próbował w Argentynie zatrzymać. Teraz też, romantycznie na mnie patrząc i po argentyńsku czule wzdychając, oświadczył: 'Josefina, ja jeszcze dziś mogę sprawić, że nie wyjedziesz...'” (str. 318).

Zlekceważyła te słowa. Nastawiono płyty z jej ulubionymi tangami. Wracała do hotelu w przyjemnym nastroju. Ale nagle osunęła się na podłogę i zapadła w ciemność. O mało nie spóźniła się na odpływający do Gdyni statek „Conrad”. Pisze: „Rozmawiałam z lekarzem, bo interesowały mnie źródła choroby. Młody i inteligentny, odległy od przesądów, legend i tajemnych mocy, powiedział zdanie, które mnie w pierwszej chwili rozśmieszyło: — Złe ręce podały pani *yerba mate*, a oczy rzuciły urok...” (str. 319). Ale zdołał rozśmieszyć tylko na krótko. — „Nagle przesuwała się w mej pamięci twarz tamtego Argentyńczyka i jego dziwne, uporczywe spojrzenie, gdy podawał mi *mate*. Trudno było uwierzyć, by rzeczywiście istniały jakieś uroki, a jednak...” (str. 320).

Ten i inne epizody powodują, że nie mogę napisać recenzji o czterestu „zamroczonych latach” Józefy Radzymińskiej i zastępuję to wspomnieniem o ich autorce.

Do tej chwili, nawet w Nowym Jorku, popijam *yerba mate*, co mi pomaga pisać jasno o takich bzdurach.

Zdzisław BAU

Nadesłane nowości wydawnicze

JAN PAWEŁ II. Encyklika *Redemptor hominis — Odkupiciel świata*. Str. 88. (Wyd. Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas”, Londyn, 1979; cena £ 0,90).

Księga psalmów. Tłumaczył z hebrajskiego Czesław Miłosz. Obwołana i tłoczenia Roman Cieślewicz. Wydano w pierwszym roku pontyfikatu Papieża Jana Pawła II. Str. 324 i 4 nlb. (Wyd. Edition du Dialogue, Paris, 1 (:); cena F.45).

JĘDRZEJEWICZ (Wacław). *Kronika życia Józefa Piłsudskiego 1867-1935*. Tom pierwszy 1867-1920 — str. 544 (wydanie drugie); tom drugi 1921-1935 — str. 605 i 1 nlb. (Wyd. 2-gie). (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1977).

WNOROWSKI (C.). *Marxizm-komunizm. Dyskusja*. Str. 198. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1977).

KLUZ (Stanisław). *W potrzasku dziejowym — W.I.N. na szlaku A.K.* Rozważania i dokumentacja. Str. 463 i 1 nlb. (Wyd. Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas”, Londyn, 1978; cena £ 6.60).

MALIŃSKI (M., ks.). *Chodzący po morzu*. Wydanie II. Str. 180 i 2 nlb. (Wyd. Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas”, Londyn, 1979; cena £ 2.20).

WOJTYŁA (Karol, ks. Biskup-Arcybiskup-Kardynał). *Aby Chrystus się nami posługiwał*. Str. 491 i 1 nlb. (Wydawnictwo „Znak”, Kraków, 1979; cena zł. 130).

RAHNER (Karl). *Przez syna do ojca*. Tłumaczyły z niemieckiego Anna Morawska i Danuta Szumska. Str. 198 i 2 nlb. (Wydawnictwo „Znak”, Kraków, 1979; cena zł. 48).

TABORSKI (Bolesław). *Obserwator cieni*. Str. 51 i 1 nlb. (Wyd. Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1979; cena zł. 10).

KAMIŃSKI (Stanisław). *Pojęcie nauki i klasyfikacja nauk*. Str. 322 2 nlb. (Wyd. Towarzystwo naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego; seria: „Rozprawy Wydziału Filozoficznego” — 19; Lublin, 1970; cena zł. 58).

Studia z dziejów myśli świętego Tomasza z Akwinu. Praca zbiorowa pod redakcją Stefana Świeżawskiego i Jana Czerkawskiego. Str. 401 i 3 nlb. (Wyd. Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego; seria: „Źródła i monografie” — 105; Lublin, 1978; cena zł. 195).

RUDZKA (Brygida), GOCZOŁOWA (Zofia). *Wśród Polaków*. Podręcznik języka polskiego dla cudzoziemców, część I. Str. 342 i 2 nlb. oraz *Aneks do cz. I* — str. I — str. 83 i 5 nlb. (Wyd. Katolicki Uniwersytet Lubelski, Lublin, 1977; cena zł. 200).

Religia a literatura. Bibliografia. Prace polskie 1966-1969 (Materiały pomocnicze dla studentów KUL). Opracował Zespół Komisji Badań nad Literaturą Katolicką KUL. Str. 137 i 1 nlb. (Wyd. Katolicki Uniwersytet Lubelski, Lublin, 1972; cena zł. 40).

KALABUN (Wiesław Aleksander). *Psalmy pomyślności*. Str. 38 i 2 nlb. (Wyd. Związek Literatów Polskich, oddział w Lublinie — Koło Młodych Pisarzy; seria: „Lubelskie Prezentacje Poetyckie”, seria II; Lublin, 1978).

PACZUSKI (Krzysztof). *Polonez z różą w gardle*. Str. 35 i 1 nlb. (Wyd. Związek Literatów Polskich, oddział w Lublinie — Koło Młodych Pisarzy; seria: „Lubelskie Prezentacje Poetyckie”, seria II; Lublin, 1978).

SADURSKI (Stanisław). *Gra na pamięć*. Str. 31 i 1 nlb. (Wyd. Związek Literatów Polskich, oddział w Lublinie — Koło Młodych Pisarzy; seria: „Lubelskie Prezentacje Poetyckie”, seria II; Lublin, 1978).

ROZENFELD (Aleksander). *Jeśli mam być obecny*. Str. 35 i 1 nlb. (Wyd. Związek Literatów Polskich, oddział w Lublinie — Koło Młodych Pisarzy; seria: „Lubelskie Prezentacje Poetyckie”, seria II; Lublin, 1978).

WASZCZUK-LISTOWSKA (Anna). *Studnia proroków*. Str. 31 i 1 nlb. (Wyd. Związek Literatów Polskich, oddział w Lublinie — Koło Młodych Pisarzy; seria: „Lubelskie Prezentacje Poetyckie”, seria II; Lublin, 1978).

MISIEC (Jerzy Krzysztof). *Będziesz jeszcze żył*. Str. 35 i 1 nlb. (Wyd. Związek Literatów Polskich, oddział w Lublinie — Koło Młodych Pisarzy; seria: „Lubelskie Prezentacje Poetyckie”, seria II; Lublin, 1978).

DRAS (Waldemar). *Czatownik*. Str. 39 i 1 nlb. (Wyd. Związek Literatów Polskich, oddział w Lublinie — Koło Młodych Pisarzy; seria: „Lubelskie Prezentacje Poetyckie”, seria II; Lublin, 1978).

NOSSOL (Alfons, Ks.). *Chrystologia Karola Bartha*. (Wpływ na współczesną chrystologię katolicką). Str. 215 i 3 nlb. (Wyd. Katolicki Uniwersytet Lubelski — rozprawa habilitacyjna, Wydział Teologiczny, Lublin, 1979; cena zł. 150).

ZDYBICKA (Zofia Józefa). *Poznania Boga w ujęciu Henri de Lubaca*. Str. 199 i 1 nlb. (Wyd. Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego; seria: „Rozprawy Wydziału Filozoficznego” — 25; Lublin, 1973; cena zł. 70).

MARCZEWSKI (Jerzy). *Hitlerowska koncepcja polityki kolonizacyjno-wysiedleńczej i jej realizacja w „Okregu Warty”*. Str. 488 i 2 nlb. (Wyd. Instytut Zachodni; seria: „Badania nad okupacją nie-

- miecką w Polsce", tom XIV; Poznań, 1979; cena zł. 120).
- BUTTNER (Danuta). *Rozwój semantyczny wyrazów polskich*. Str. 275 i 1 nlb. (Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego — Instytut Języka Polskiego, Warszawa, 1978; cena zł. 66).
- Literatura ludowa*. Nr 1, styczeń-luty 1978 (poświęcony Polonii francuskiej). Dwumiesięcznik naukowo-literacki. (Wyd. Polskie Towarzystwo Ludoznawcze, Wrocław; cena numeru zł. 15) (Do nabycia, Section d'Etudes Polonaises, Univ. de Lille III, S.P. 18, 59650 Villeneuve d'Ascq. Cena F. 3,90).
- FRAJLICH (Anna). *Tylko ziemia*. Wiersze. Str. 45 i 3 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1979).
- Drogi do niepodległości*. Wybór, redakcja i słowo wstępne Krzysztof Kozłowski. Str. 295 i 1 nlb. (Wyd. Społeczny Instytut Wydawniczy ZNAK, Kraków, 1978; cena zł. 90).
- PROKOP (Jan). *Piękna Węgierka*. Opowiadania. Str. 133 i 3 nlb. (Wyd. Czytelnik, Warszawa, 1978; cena zł. 16).
- Wiek oświecenia*. Cz. 1 — str. 373 i 3 nlb. Cz. 2 — *O rozumieniu klasyczności — Spór o Stanisława Augusta* — str. 221 i 1 nlb. (Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa, 1978; cena cz. 1 — zł. 83, cz. 2 — zł. 49).
- Starożytne teksty chrześcijańskie*. Kazania i homilie na święta pańskie i maryjne. Praca zbiorowa pod redakcją ks. Ludwika Gładyszewskiego. Str. 321 i 3 nlb. (Wyd. Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego; seria „Rozprawy Wydziału Historyczno-Filologicznego” — 40; Lublin, 1976; cena zł. 150).
- Encyklopedia katolicka*. Tom III — Cenzor — Dobszewicz. Pod redakcją Romualda Łukaszyka, Ludomira Bieńkowskiego, Feliksa Gryglewicza. 1408 szpalt (każda strona zawiera dwie szpalty osobno numerowane). (Wyd. Katolic-
- ki Uniwersytet Lubelski, Lublin, 1979; cena zł. 550).
- PUACZ (Edward). *Polityka tygla asymilacyjnego („Melting-Pot”) w USA i jej efekty dla polskiej grupy etnicznej*. (Nadbitka z „Stan i potrzeby badań nad zbiornościami polonijnymi”, str. 397-408; wyd. Polska Akademia Nauk, Komitet Badania Polonii Zagranicznej, Ossolineum, 1976).
- Roczniki Humanistyczne*, Literatura polska. Tom XXV, zeszyt 1, 1977. *Teatrolgia dzisiaj — refleksja metodologiczna*. Materiały z Sympozjum Teatrolgicznego (TN KUL i Katedry Dramatu i Teatru KUL), Lublin, 12-14. XII. 1975. Str. 142 i 2 nlb. (Wyd. Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Lublin, 1977; cena zł. 60).
- SAWICKI (Stefan). *Z pogranicza literatury i religii*. Szkice. Str. 160 i 4 nlb. (Wyd. Katolicki Uniwersytet Lubelski, Zakład Badań nad Literaturą Religijną — 8; Lublin, 1978; cena zł. 60).
- WOJTYSKA (Henryk Damian, CP). *Papiestwo — Polska 1548-1563*. T. I — *Dyplomacja*. Str. 473 i 1 nlb. (Wyd. Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego; seria: *Rozprawy Wydziału Teologiczno-Kanonicznego* — 43; Lublin, 1977; cena zł. 210).
- Zeszyty Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego*. Rok XVII, nr 1-2, Lublin, 1974. (Kwartalnik). Str. 146 i 2 nlb. (Wyd. Katolicki Uniwersytet Lubelski; cena zł. 80).
- Zeszyty Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego*. Rok XXI, numer specjalny, Lublin, 1978. Teksty w językach: włoskim, niemieckim, francuskim, angielskim. Str. 100. (Wyd. Katolicki Uniwersytet Lubelski).
- Zeszyty Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego*. Rok XXI, nr 2 (82), Lublin, 1978. Numer poświęcony 60-leciu KUL-u. Str. 121 i 3 nlb. (Wyd. Katolicki Uniwersytet Lubelski; cena zł. 40).

- Nous chrétiens de Pologne*. Teksty: A. Boniecki, J. Hannelowa, T. Mazowiecki, A. Swiecicki, J. Turowicz, A. Wielowieyski, S. Wilkanowicz, J. Wozniakowski — przy Przedmowa Jean Offredo. Str. 167 i 5 nlb. (Wyd. Editions CANA, Paryż, 1979).
- KORCZAK (Janusz). *Le droit de l'enfant au respect suivi de Quand je redeviendrai petit et de Journal du ghetto*. Traduit du polonais par Zofia Bobowicz. Préface de Pr S. Tomkiewicz, postface de Igor Newerly. Str. 300 i 4 nlb. (Wyd. Robert Laffont, Collection „Réponses”, Paris, 1979).
- KANFER (Irène). *D'autres... et de moi*. Min. tłumaczenia na język francuski wierszy Adama Mickiewicza i Adama Ważyka. Str. 59 i 1 nlb. (Wyd. Les Cahiers Indépendants, Paryż, 1979).
- La renaissance du mouvement ouvrier en Pologne*. Przedmowa Krzysztof Pomian. Dokumenty z Robotnika, KSS „KOR” i in. Str. 79 i 1 nlb. (Wyd. Comité International Contre la répression, Paryż, 1979).
- MAREK (Edmond). *Kochanowski, un émule de Ronsard*. (Nadbitka z *Mélanges II*, str. 195-204; wyd. przez Société Toulousaine d'Etudes Classiques, Toulouse, 1978).
- JOFFE (Maria). *One Long Night*. A Tale of Truth. Tłumaczyła z rosyjskiego na angielski Vera Dixon. Str. 248 i 8 nlb. (Wyd. New Park Publications, Clapham (Great Britain, 1978).
- EKMANIS (Rofls). *Latvian Literature under the Soviets 1940-1975*. Str. 533 i 7 nlb. (Wyd. Nordland Publishing Company, Belmont, Mass., 1978; cena \$ 27,50).
- Structures sociales en Europe de l'Est*. 2. — *Transformation de la classe ouvrière*. Coordination: Georges Mink. Str. 188. (Wyd. La Documentation Française; collection: „Notes et études documentaires”, No 4511-4512, 10 mai 1979, Paris; cena F. 22).
- GROSS (Jan Tomasz). *Polish Society under German Occupation. The Generalgouvernement 1939-1944*. Str. 343 i 5 nlb. (Wyd. Princeton University Press, Princeton, N.J., 1979; cena \$ 25).
- The Pope in Poland*. Str. 128. (Wyd. Radio Free Europe Research, July, 1979).
- BLAZYNSKI (George). *Pope John Paul II — A Man from Krakow*. A biography. Str. 176 i 2 nlb. (Wyd. Sphere Books Ltd., London, 1979; cena £ 1.25).
- THOMPSON (Ewa M.). *Witold Combrowicz*. Str. 171 i 3 nlb. (Wyd. Twayne Publishers — A division of G. H. Hall and Co., Seria: Twayne's World Authors Series — Poland; Boston, 1979).
- SHTROMAS (Alex, Dr). *Who are the Soviet Dissidents?* Str. 19 i 3 nlb. (Wyd. School of Peace Studies, Bradford University, 1979; cena \$ 0,60).
- Michigan Quarterly Review*. Spring, 1979. Na str. 271-274: W. ROSTAFINSKI — *To do Research of Real Significance*. Str. 363 i 1 nlb. (Wyd. The University of Michigan; cena \$ 2,50).
- LENGAUER (Włodzimierz). *Greek Commanders in the 5-th and 4th Centuries B.C. Politics and Ideology: A Study of Militarism*. Str. 189 i 3 nlb. (Wyd. Uniwersytetu Warszawskiego; seria: *Studia Antiqua*; Warszawa, 1979; cena zł. 31).
- STRONSKI (Leon). *Window*. Prose poems translated by Adam Czerniawski. Str. 36 i 2 nlb. (Wyd. Oasis Books, London; East European Series No 1; 1979).
- MANDEL (Arthur). *The Militant Messiah or The Flight from the Ghetto*. The Story of Jacob Frank and the Frankist Movement. Str. 185 i 9 nlb. — w tym 8 ilustracji. (Wyd. Peter Bergman Book w wydawnictwie Humanities Press, Atlantic Highlands, N.J., 1979).
- OZDOWSKI (Seweryn A.), ALEXANDER (Sue C.). *The Legal Order and Institutional Workers in a Communist Enterprise: The Polish Case*. (Nadbitka z *Law and*

- Society Review*, Volume 12, Number 4, Summer 1978, str. 545-584; wyd. The Law and Society Association).
- SZPORLUK (Roman). *West Ukraine and West Belorussia*. Historical tradition, social communication, and linguistic assimilation. (Nadbitka z *Soviet Studies*, vol. XXXI, No 1, January, 1979, str. 76-98).
- DREWNOWSKI (Jan). *The Central Planning Office on Trial: An Account of the Beginning of Stalinism in Poland*. (Nadbitka z *Soviet Studies*, vol. XXXI, no 1, January, 1979, str. 23-42).
- LENCZOWSKI (George). *The Arc of Crisis: Its Central Sector*. (Nadbitka z *Foreign Affairs — An American Quarterly Review*, Spring 1979, str. 796-820).
- Wissen und Nacht*. Europäisches Forum Alpbach 1978. Redakcja Otto Molden. Str. 352. (Wyd. Verlag Fritz Molden, Wien-München-Zürich-Innsbrück, 1979).
- MENZIL (Josef Joachim), STRIBERNY (Wolfgang), VÖLKER (Eberhard). *Alternativ-Empfehlungen zur Behandlung der deutsch-polnischen Geschichte in den Schulbüchern*. Str. 31. (Wyd. v. Hase und Köhler Verlag, Mainz).
- HAŁAN (Anatol). *Żytia*. Opowiadania. Str. 196 i 4 nlb. (Wyd. Juliana Serediaka, Buenos Aires, 1976).
- PALEY (Nicholas M.) *Nalkoju krow'ju*. Tłumaczenie z hiszpańskiego na ukraiński. Str. 114 i 6 nlb. (Wyd. Juliana Serediaka, Buenos Aires, 1978).
- MYCHAJLIWSKA-CYMBAŁ (Tatiana). *Z wijskowoho hniada*. Spohady. Str. 128 i 2 nlb. (Wyd. Juliana Serediaka, Buenos Aires, 1977).
- NEZABUDKO (Pańko). *Emihracijni rodzynky*. Humorystyczne fejetony i reportaży. Str. 200 i 2 nlb. (Wyd. Juliana Serediaka, Buenos Aires, 1978).
- DOWHALIUK (Chariton). *Spowid' Andrija Zaslawskoho*. Powist'. Str. 264. (Wyd. Juliana Serediaka, Buenos Aires, 1977).
- EWENTUALNYJ (Iwan). *Pro wsio potrochy*. Humor i satyra. Str. 103 i 1 nlb. (Wyd. Juliana Serediaka, Buenos Aires, 1978).
- Za Heroicznu duchovist'*. Materiały Konferencji „Zarewa” pryswiazczonji dr. Ołehowi Kandybi — O. Olżyczu — 3. 7. 1977. Str. 63 i 1 nlb. (Wyd. O.U.S.A.T. „Zarewo”, New York, 1977).
- NIEKRICZ (Alieksandr). *Otrieszys' ot stracha*. Wspominania historika. Str. 414 i 2 nlb. (Wyd. Overseas Publications Interchange Ltd., London, 1979).
- SZACHOWSKAJA (Zinaida). *W poiskach Nabokowa*. Str. 167 i 1 nlb. (Wyd. „La Presse Libre”, Paris, 1979).
- MAKSIMOW (W.). *Kowczeg dlia niezwananych*. Str. 285 i 5 nlb. (Wyd. Possev-Verlag, Frankfurt/Main, 1979).
- KORMIER (W.). *Krot istorii ili riwolucija w riespublikie S=F*. Str. 187 i 5 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paris, 1979).
- CZUKOWSKAJA (Lidija). *Process iskluczenija*. Oczerk literaturnych nrawow. Str. 207 i 1 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paris, 1979).
- ROZANOW (W. W.). *Rieligija i kultura*. Sbornik statiej. Str. 264. (Wyd. YMCA-Press, Paris, 1979 — odbitka wydania P. Piercow, S. Pietierburg, 1899).
- AMALRIK (Andriej). *SSSR i Zapad w odnoj todkie*. Str. 241 i 3 nlb. (Wyd. Overseas Publications Interchange, Ltd., Londyn, 1978).
- JOFFE (Marija). *Odna noc*. Powiest' o prawdie. Str. 130 i 6 nlb. (Izdatielstwo „Chronika”, Nowy Jork, 1978).
- BOKOW (Nikołaj). *Biestsiellier*. Proza. Str. 199 i 1 nlb. (Wyd. Izdania żurnała *Kowczeg*, Paryż, 1979).
- POPOWSKIJ (Mark). *Żyzi i żytie Wojno-Jasienieckiego, archijepiskopa i chirurga*. Str. 513 i 5 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paris, 1979).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

- 22-6-79**
Zmarł w Warszawie, w wieku 79 lat, Jerzy Pański, publicysta, krytyk i tłumacz.
- 23-6-79**
Na mieszkania w Polsce czeka obecnie 727 tysięcy członków spółdzielni i co 7-my z nich dłużej niż 7 lat. Wśród kandydatów na członków (około 1,3 miliona) 40 % stanowią osoby pełnoletnie, legitymujące się pełnym wkładem pieniężnym. ■ Plan budownictwa szpitalnego w Polsce wykonano w ub. roku tylko w 74 %. Pierwsze miesiące bież. roku przyniosły dalszy wzrost zaległości. Kontrola 63 inwestycji, przeprowadzona w maju bież. roku, wykazała, że tylko 8 obiektów ma szanse oddania ich do użytku w terminie. ■ W Warszawie zmarł, w wieku 79 lat, Jerzy Kański, literat, tłumacz z literatury francuskiej, publicysta.
- 24-6-79**
W Gdańsku obradował ogólnopolski zjazd działaczy, intelektualistów katolickich, zrzeszonych w Chrześcijańskim Stowarzyszeniu Społecznym. W obradach uczestniczyło około 600 osób z całego kraju oraz przedstawiciele chrześcijan z NRD i Związku Sowieckiego.
- 25-6-79**
Zmarła w Warszawie wybitna polska śpiewaczka Ewa Bandrowska-Turska.
- 26-6-79**
W Pradze czeskiej zmarł prof. Karel Krejci, wybitny polonista, sławista, pisarz, doktor *honoris causa* Uniwersytetu Warszawskiego.
- 28-6-79**
Zmarł w Krakowie, w wieku 72 lat, Antoni Gołubiew, autor wielkiego fresku historycznego „Bolesław Chrobry” o początkach państwowości polskiej.
- 25-7-79**
W Warszawie zmarł, w wieku 41 lat, Edward Stachura, znany poeta i prozaik.
- 26-7-79**
Zmarł w Warszawie, w wieku 83 lat, Stefan Wiechecki-Wiech. Był autorem książek i popularnych felietonów pisanych gwarą warszawską.
- 29-7-79**
W PRL na trasach brakuje codziennie ponad 1.200 autobusów PKS, 600 wozów psuje się w drodze. Według rozkładu jazdy 1977/78 zlikwidowano 3.600 kursów, w bież. roku zaś dodatkowo 1.300. ■ W 1978 roku związkową kontrolą społeczną objęto w PRL ponad 42.000 jednostek usługowych. W 6-ciu na 10 badanych stwierdzono niedokładności i niedociągnięcia. ■ Na Węgrzech zdrożały przeciętnie o 20 % artykuły żywnościowe (najwięcej chleb i mięso), obuwie (przeciętnie o 27 %), energia elektryczna, materiały budowlane, samochody osobowe, usługi, bilety do kin i teatrów. Również w Czechosłowacji zakomunikowano o podwyżce cen benzyny i energii o 50 %, a także opłat pocztowych, telefonicznych i telegraficznych (od 100 do 300 %). ■ W ZSSR nastąpiła gwałtowna podwyżka cen na samochody,

meble, dywany, futra. Ceny posiłków w kawiarniach i restauracjach zostały podniesione od 25 % do 45 %. Samochody zdrożały o 18 %, meble importowane — o 30 %, meble produkcji sowieckiej — o 10 %. Złota i srebrna biżuteria podrożała o 50 %. ■ Z okazji 35-lecia Polski Ludowej Order Sztandaru Pracy I klasy otrzymał m.in. ks. Stanisław Owczarek (prezes „Caritas”), Order Sztandaru Pracy II klasy otrzymali m.in. Kazimierz Morawski (prezes ChSS), Ryszard Reiff (przewodniczący Stowarzyszenia PAX) i Janusz Zabłocki (dyrektor ODISS). Odznaczono również innych działaczy wymienionych organizacji.

1-8-79

Bez uprzedzenia władze rumuńskie zarządziły, że sprzedaż benzyny i innych materiałów pędnych dla turystów zagranicznych (również z krajów socjalistycznych) może się odbywać wyłącznie za waluty wymienialne. Polskie biura podróży nie posiadają i nie będą w najbliższej przyszłości posiadały talonów benzynowych, które mogą być realizowane w Rumunii.

2-8-79

W związku z rozwiązaniem sił zbrojnych ONZ na Środkowym Wschodzie, do Polski wrócił kontyngent wojsk PRL. Od 1973 roku do chwili obecnej na Bliskim Wschodzie pełniło służbę 12 tys. polskich żołnierzy.

3-8-79

Zmarł w Kruku pod Gostyninem, w wieku 84 lat, Adam Szczypiorski, historyk i demograf, żołnierz P.O.W., ochotnik WP w 1920 r., obrońca Warszawy w 1939 r., działacz P.P.S. i W.R.N., poseł na Sejm R.P., organizator szkolnictwa polskiego bezpośrednio po wojnie w Wielkiej Brytanii i Szwecji, sygnatariusz „Memoriału 59”, jeden z założycieli KSS „KOR”. Wykładowca na „Latającym Uniwersytecie” T.K.N.

5-8-79

Zmarł w Kozłowie k. Miechowa, w wieku 81 lat, płk Pluta-Czachowski (Kuczaba), żołnierz I-szej Brygady Legionów, szef Oddz. V-go Komendy Głównej ZWZ — AK.

7-8-79

Zmarł w Warszawie, w wieku 72 lat, Karol Hirschberg-Hig, wybitny dziennikarz sportowy, żołnierz Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich (tobruki) oraz 2-go Korpusu.

8-8-79

Zmarł w Polsce, w wieku 81 lat, prof. Tadeusz Cyprian, wybitny prawnik, wieloletni wykładowca prawa karnego na Uniwersytecie w Poznaniu i na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, członek polskiej delegacji uczestniczącej w procesie norymberskim.

9-8-79

W Polsce podwyższono ceny benzyny (o 2 zł. za litr), olejów silnikowych, smarów, oleju napędowego, gazu bezprzewodowego, a także opłaty za korzystanie z taksówek (za pierwszy kilometr płaci się o 4 zł. więcej). Ograniczono także szybkość pojazdów do 90 km/godz. na drogach szybkiego ruchu i do 80 km/godz. na pozostałych drogach. Samochody ciężarowe i autobusy będą mogły jeździć z maksymalną szybkością 70 km/godz. ■ Pierwsze półrocze bieżącego roku okazało się dla polskiej gospodarki szczególnie trudne. Produkcja przemysłowa utrzymała się jedynie na poziomie zeszłorocznym, w rolnictwie nastąpił lekki spadek pogłowia bydła i wyraźny trzody chlewnej,

budownictwo mieszkaniowe wykonało zaledwie 31 % planu rocznego. W handlu zagranicznym zaznaczył się wzrost eksportu do krajów socjalistycznych (o 10 %), natomiast eksport do krajów kapitalistycznych wzrósł o 2,7 % (podczas gdy import z tych krajów obniżył się o 0,7 %).

ZACHÓD — EMIGRACJA

27-5-79

Ks. Władysław Biernacki, przełożony prowincjonalny zgromadzenia księży misjonarzy Św. Wincentego à Paulo z Kurytyby, został mianowany biskupem pomocniczym archidiecezji w Kurytybie na miejsce ks. bpa Dominika Wiśniewskiego, który otrzymał nominację na ordynariusza diecezji Cornelio Procopio w stanie Parana.

12-6-79

Na Międzynarodowym Zjeździe Autorów i Realizatorów Radiowych, organizowanym corocznie w Międzynarodowym Centrum Słuchowisk w Unterrabnitz w Austrii, polski pisarz emigracyjny, obecnie zamieszkały w Izraelu, Michał Tonecki, otrzymał dwie nagrody za słuchowisko pt. „Przemiany”: główną nagrodę Międzynarodowego Centrum Słuchowisk, tak zwaną *Schlables* oraz I-szą nagrodę radiofonii austriackiej.

20-6-79

W skład nowego rządu emigracyjnego w Londynie wchodzi: Kazimierz Sabbat — Prezes Rady Ministrów oraz sprawy zagraniczne; Ministrowie: Jerzy Zaleski — sprawy krajowe, gen. Stefan Brzeszczyński — sprawy wojskowe, dr Mieczysław Sas-Skowroński — sprawy emigracji, Stanisław Borczyk — sprawy skarbowe, Bolesław Dziedzic — sprawy prawne, Zbigniew Scholtz — sprawy oświaty i kultury, płk Roman Czerniawski — sprawy Zjazdu Światowego. Ponadto zostali zamianowani Podsekretarzami Stanu: Tadeusz Lasko — sprawy zagraniczne, Bohdan Wendorff — sprawy ogólne, Maksymilian Lorenz — sprawy emigracyjne, Leszek Stachow — sprawy zagraniczne. ■ Znany działacz Polonii francuskiej, architekt Władysław Szalawa, został odznaczony kawalerskim krzyżem Ordre de Mérite.

24-6-79

W swym raporcie Amnesty International w Londynie podaje, że od daty podpisania układu w Helsinkach w sierpniu 1975 roku, 321 osób zostało skazanych w Związku Sowieckim za próbę wykorzystania swych praw człowieka i obywatela.

28-6-79

Towarzystwo Polsko-Ukraińskie w Londynie zorganizowało zebranie na którym Bolesław Grzybowski mówił o kryzysie gospodarczym w PRL, Kazimierz Trembicki na temat „Polska i Ukraina na tle sytuacji międzynarodowej”, Konstantyn Zelenko o „Sytuacji Ukrainy w perspektywie przyszłości”.

29-6-79

Prof. Kamil Dziewanowski z Milwaukee wygłosił w Domu Polskim w Zurychu odczyt pt. „Satyra polityczna i obyczajowa w Polsce międzywojennej”.

1-7-79

Witold Zahorski, wieloletni prezes S.P.K. we Włoszech, został stałym korespondentem *Nowego Dziennika* w Nowym Jorku. W. Zahorski jest akre-

dytowany w Biurze Prasowym Watykanu. ■ Zmarł w Londynie, w wieku 88 lat, Zygmunt Berezowski, ostatni żyjący minister rządu antyjałtańskiego w Londynie (1944-1949), wybitny działacz Stronnictwa Narodowego.

4-7-79

Przez całe lato, w każdą sobotę, od godz. 10-tej do 14-tej, członkowie kopenhaskiego „Komitetu dla Rozpowszechniania Emigracyjnych Literatur — polskiej i rosyjskiej” (prezes — Maryla Świętek-Hansen) na stoisku przy kościele Św. Ducha w Kopenhadze rozdawali wydawane na Zachodzie książki polskie i rosyjskie. Akcja cieszyła się wielkim powodzeniem, gdyż w tym roku przebywało w Danii wielu indywidualnych turystów z Polski oraz zbiorowe wycieczki z Rosji.

6-7-79

Papież przyjął w Watykanie członków stałego Komitetu do Spraw Porozumienia i Współpracy Żydów i Polaków, obywateli amerykańskich w Stanach Zjednoczonych. W skład delegacji wchodził: reprezentacja Studium Północno-Amerykańskiego w osobach Danuty i Stanisława Mostwinów oraz Wacława H. Bnińskiego, p. Anna Chrypińska reprezentowała Stowarzyszenie Klubów Kulturalnych w USA, a dr Karol Wagner reprezentował prezesa A. Mazewskiego. Organizacje Amerykanów żydowskiego pochodzenia były reprezentowane przez czołowe osobistości z B'Nai B'Rith, jak dr Maxwell Greenberg, dr Nathan Perlmutter, dr Theodore Freedman, Abraham H. Foxman oraz dr Joseph L. Lichten, specjalista w dziedzinie stosunków katolicko-żydowskich i przedstawiciel B'Nai B'Rith przy Watykanie. Delegacja zapoznała Ojca św. z projektem nagrody imienia dr. Janusza Korczaka, zainicjowanym przez Studium. Ma to być międzynarodowa nagroda literacka. Nagroda pieniężna i specjalny medal Janusza Korczaka przyznawane będą za dwa rodzaje już opublikowanych prac: książkę dla dzieci opartą na zasadach humanizmu i odzwierciedlającą bezinteresowność i ofiarność dla innych ludzi — zasadach, według których żył i dla których poświęcił życie Janusz Korczak — oraz książkę o dzieciach, skierowaną do rodziców, nauczycielstwa, wychowawców i specjalistów w dziedzinie terapii i pracy z dziećmi. Wybór tych prac ma być dokonywany przez komitet złożony z naukowców, wychowawców i krytyków literackich. Delegacja studium wręczyła Janowi Pawłowi II obraz Św. Stanisława Biskupa pędzla Jana Henryka de Rosen, specjalnie wykonany na tę okazję. Tegoż samego dnia odbyła się w Hotelu Excelsior w Rzymie konferencja prasowa na temat tej audyencji u Ojca św. oraz prac i projektów Komitetu.

18-7-79

W ramach berlińskiego programu artystycznego odbył się wieczór autorski Adama Zagajewskiego. Wieczór zagaik Witold Wirpsza, a autor odczytał fragment eseju o Peiperze, fragment z powieści „Ciepło, zimno” oraz wiersze w przekładach Dedeciusa, Lachmana i Kureckiej. Wieczór ten wzbudził wielkie zainteresowanie i tak np. *Der Tagesspiegel*, najważniejszy dziennik berliński, napisał, że mamy do czynienia z „literaturą pod ciśnieniem, która mimo to pozostaje literaturą *par excellence*”, „Ten nowy Polak przewyższa świat, w którym żyje — w typowo myślicielski sposób”.

21-7-79

Zmarł nagle w Londynie, w wieku 75 lat, Edward Sojka, wybitny działacz Stronnictwa Narodowego.

23-7-79

Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny w Londynie przygotowuje jednogodzinny film w wersjach polskiej i angielskiej o Papieżu Janie Pawle II.

Film ten reżyseruje Howard Ross, scenariusz opracował Bolesław Sulik, pisarz-krytyk-filmowiec, autor filmu dokumentarnego „Trzy dni w Szczecinie” oraz inicjator i współautor serii „Stalin — czerwony car”. Premiera wersji angielskiej odbędzie się 3. 9. br., a premiera polska 5. 9. br. w Hamersmith Town Hall.

25-7-79

Akademia Brytyjska wybrała na swojego członka korespondenta prof. Edwarda Lipińskiego z Warszawy.

8-8-79

Zmarł w tragicznych okolicznościach w Glasgow, w wieku 48 lat, Janusz G. Zieliński, docent Szkoły Głównej Planowania i Statystyki w Warszawie, ostatnio przez wiele lat przebywający w Anglii, wykładowca na uniwersytecie w Glasgow, wybitny specjalista w zakresie problemów gospodarczych Europy Wschodniej. Prof. J. G. Zieliński był współredaktorem kwartalnika *Soviet Studies*.

15-8-79

Tegoroczną nagrodę pisarską Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w wysokości £ 400 przyznano Studium Polski Podziemnej w Londynie za wydawnictwo „Armia Krajowa w dokumentach”, tom I-IV, 1939-1945. ■ Zmarł w Londynie, w wieku 65 lat, Zygmunt Godyń, założyciel i wieloletni redaktor *Przeglądu Kawalerii i Broni Pancernej*.

1-9-79

W Londynie rozpoczął się Światowy Zjazd Jedności z Walczącym Krajem. Rezultaty Zjazdu będą omówione w październikowym numerze *Kultury*.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

Prof. Feliks Gross, urzędujący wiceprezes Polskiego Instytutu Naukowego, socjolog (N.Y.U., Brooklyn College i The Graduate Center of The City University of New York), został wybrany przewodniczącym Akademii Nauk i Wiedzy Humanistycznej CUNY, miejskiego Uniwersytetu Nowego Jorku — The Academy of Sciences and Humanities of the City University of N.Y. ■ Defense Language Institute, Foreign Language Centre w Monterey, Cal. przeprowadził ankietę, z której wynika że nauka języka polskiego jest prowadzona w 42 uniwersytetach i college'ach, oraz opracował wykaz podręczników języka polskiego, używanych na tych uczelniach. Podajemy za *Dziennikiem Związkowym* w Chicago wykaz centrów nauczania: University of California w Berkeley i w Los Angeles; University of Connecticut w Storrs, Conn.; George Washington University w Washingtonie D.C.; University of Florida w Gainesville, Fla.; University of Hawaii w Honolulu; Northwestern University w Evanston, IL.; University of Illinois w Urbana, IL.; University of Illinois-Chicago Circle; Indiana University w Bloomington, Ind.; University of Kansas w Lawrence, Kansas; Boston College w Chestnut Hill, Mass.; St. Hyacinth College and Seminary w Granby, Mass.; University of Massachusetts w Amherst, Mass.; Madonna College w Livonia, Mich.; Oakland University w Rochester, Mich.; St. Mary's College w Orchard Lake, Mich.; University of Michigan, Ann Arbor, Mich.; Wayne State University w Detroit, Mich.; Felician College w Lodi, N.J.; Canisius College w Buffalo, N.Y.; Columbia University w New York, N.Y.; Cornell University w Ithaca, N.Y.; Hunter College, CUNY w New York, N.Y.; State University of N.Y. w Buffalo, N.Y.; SUNY Albany w Albany, N.Y.;

Villa Maria College w Buffalo, N.Y.; University of North Carolina w Chapel Hill, NC; Ohio State University w Columbus, Ohio; Alliance College w Cambridge Springs, Pa.; Bloomsburg State College w Bloomsburg, Pa.; Holy Family College, Philadelphia, Pa.; Pennsylvania State University w University Park, Pa.; University of Pennsylvania w Philadelphia, Pa.; University of Pittsburgh, Pittsburgh, Pa.; Brown University of Providence, R.I.; University of Washington, Seattle, Wash.; University of Wisconsin w Madison, Wis.; University of Wisconsin w Milwaukee, Wis.; SUNY Stony Brook w Stony Brook, N.J.; City College of New York, New York, N.Y.; — Analiza miejsc uczelni, które mają kursy języka polskiego wykazuje, że znajdują się one głównie na obszarach i w stanach, w których są poważne skupiska polonijne. Ale są też i miejsca, gdzie Polonii jest stosunkowo mało, jak choćby dla przykładu Honolulu. — Spośród używanych przez studentów podręczników: najpopularniejszym jest A. Schenkera: *Beginning Polish*, używany w 23 uczelniach. Tego samego autora *Fifteen Modern Polish Short Stories*, używany w 10 uczelniach; dalej zaś idą: T. Iglíkowska & L. Kasprzak: *Język polski* (8); Birkenmayer & Folejewski: *Introduction to the Polish Language* (7); M. Patkaniowska: *Teach Yourself Polish* (4); W. Bisko: *Mówimy po polsku* (4); B. Penny & K. Malinowska: *Communicating in Polish* (4); Rudzka & Goczłowa: *Wśród Polaków* (4); Oscar Swann: *Concise Grammar of Polish* (3); W. Cienkowski: *Gramatyka języka polskiego dla cudzoziemców* (2). — W wypadku następujących podręczników wykorzystywane są każdy z nich w jednej tylko uczelni: R. Stone: *Polish for Advanced Students*; F. Gladney: *Handbook of Polish*; Bastgen: *Let's Learn Polish*; Słupski: *Polnishes Elementarbuch*; C. Kaipio: *Polish Verb Fully Conjugated in All Tenses*; J. A. Teslar: *A New Polish Grammar*; *Polska mowa* (podręcznik wydany w Chicago przez Zrzeszenie Polskich Nauczycieli); D. Nowiecka: *Wybór tekstów dla cudzoziemców*; J. Kulak & W. Łaciak: *Język polski*; Brooks-Zagórska: *Polish Reference Grammar*; S. Birkenmayer: *Modern Polish Reader*; B. Bartnicka & D. Buttler: *Język polski dla cudzoziemców*. — Osobliwością jest, że w jednej z uczelni używany jest podręcznik Krotovskai & Goldberg: *Uczebnik polskiego języka*, ale jest to podręcznik w języku polskim. ■ Jak podawaliśmy w „Wydarzeniach miesiąca” w majowym numerze *Kultury*, Instytut Piśmudskiego w Nowym Jorku otrzymał dotację w wysokości 40 tysięcy dolarów pod warunkiem zebrania we własnym zakresie funduszu trzykrotnie wyższego. Otóż Instytut zebrał już 110 tysięcy dolarów. Na zebranie pozostałych 10 tysięcy Instytut ma dwa lata, więc będzie to już sprawa łatwa. ■ Na początku maja br. ukazał się nakładem Białoruskiego Instytutu Nauki i Sztuki w Nowym Jorku zbiór wybitnej poetki białoruskiej na emigracji, Natalii Arsienniewej pt. „Miz bierehami” (Między brzegami” — 400 str.). ■ 29. 4. br. w Fundacji Kościuszkowskiej w Nowym Jorku miała miejsce prezentacja pierwszej książki opublikowanej w ramach Funduszu Wydawniczego im. Josepha Slotkowskiego. Fundusz ten jest przeznaczony na pomoc w publikowaniu opracowań o polskiej tematyce. Pierwszą pozycją jest książka Stefana Korbońskiego pt. „The Polish Underground State: A Guide to the Underground, 1939-1945”, opublikowana przez *East European Quarterly* i przez Fundację Kościuszkowską, a rozprowadzona przez Columbia University Press.

KRONIKA AUSTRALIJSKA

W czerwcu odbyły się dwa ważne ogólnokrajowe zjazdy australijskiej Polonii. W Adelajdzie — Sympozjum Młodzieżowe powołało stały sekretariat, który ma zająć się m.in. wydaniem poradnika młodzieżowego. Drugi

zjazd, z udziałem prezesa Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii Krzysztofa Łańcuckiego, odbył się w Hobart i poświęcony był polskiemu szkolnictwu. Na zjeździe tym omówiono m.in. sprawy podręczników szkolnych, przyjmując w zasadzie wydawnictwa szkolne Polskiej Macierzy Szkolnej w Londynie, jako podstawowe do nauczania. Postanowiono także prowadzić starania dotyczące wprowadzenia języka polskiego, jako przedmiotu maturalnego w tych stanach, które jeszcze takiego przedmiotu maturalnego nie posiadają. Aby zapobiec wynaradawianiu się polskiej młodzieży, planuje się dalsze rozwinięcie sieci szkolnictwa. Obecnie polskie szkolnictwo obejmuje ponad półtora tysiąca uczących się w szkołach sobotnich w Australii dzieci i młodzieży. ■ W ostatnim czasie ukazało się kilka nowych książek autorów Polaków z Australii. Są to: *Zaginiony czas* Władysława Romanowskiego (Adelaide), o europejskiej emigracji w Australii po drugiej wojnie światowej, w bieżącej serii wydawnictw londyńskiej Polskiej Fundacji Kulturalnej; *Aspazja z Miletosu* Franciszka Gonczyńskiego (Melbourne), opowieść o losach drugiej żony Peryklesa, książka wydana przez Oficynę Poetów i Malarzy w Londynie; *Nasze drogi* pod redakcją płk. Andrzeja Racińskiego (Sydney), zbiór tekstów dotyczących osiedlania się w Australii żołnierzy Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich, liczne ilustracje, wydane przez polską drukarnię Polpress (Melbourne); *Memoirs of Gold-digging in Australia* — to tytuł książki Seweryna Korzeźlińskiego, przetłumaczonej na język angielski i opracowanej przez Stanisława Robe (Melbourne), liczne ilustracje, nakładem University of Queensland Press. Historyk australijskiej Polonii Lech Paszkowski (Melbourne) kończy książkę w języku angielskim o dziejach polskiej emigracji w Australii i Nowej Zelandii; książka ta ma zawierać około 500 stron i dużą ilość ilustracji. ■ Polska Kasa Kredytowa w Hobart (której wkłady depozytowe dochodzą już do miliona dolarów) utworzyła przy zakładowym kapitale 22 tys. dolarów Fundację Polonii Tasmańskiej. Suma ta jest zainwestowana w Kasie Kredytowej i będzie powiększana corocznie. Uzyskany procent z niej będzie przeznaczony na stypendia i działalność zmierzającą do utrzymania polskości w Australii. ■ Z okazji urodzin królowej Wspólnoty Brytyjskiej Elżbiety II, na liście australijskiej odznaczeń znalazło się dwóch Polaków — prezes Federacji Polskich Organizacji w Wiktorii, Piotr Kozieł, oraz Jerzy Wojak, działacz społeczny w Sydney. ■ Redakcja *Tygodnika Polskiego* (Melbourne) przygotowała i przedłożyła na konferencji prasowej z federalnym premierem Australii Malcolm Fraserem, wniosek ażeby do kwestionariusza najbliższego spisu ludności Australii była włączona pozycja — przynależność do grupy etnicznej. Oficjalna statystyka ludności Australii nie wykazuje obecnie faktycznego stanu ilościowego członków grup etnicznych. Podaje ona jedynie grupy narodowościowe według krajów urodzenia. Na podstawie oficjalnej statystyki polska grupa etniczna (urodzeni w Polsce) obejmuje 60 tys. Wiadomo jest jednak, iż ponad 12 tys. polskich dzieci, które przybyły po wojnie ze swymi rodzicami, urodziło się w obozach wysiedleńców w Niemczech. Ponadto istnieje już około 60 tys. osób urodzonych w Australii, z polskich rodziców oraz pewna ilość osób polskiego pochodzenia urodzonych w innych krajach. Ocenia się, iż faktyczny stan polskiej grupy etnicznej wynosi obecnie około 135 tysięcy. W oficjalnym rządowym komunikacie, w związku z wymienioną konferencją prasową, powiadomiono, iż na podstawie wniosku *Tygodnika Polskiego*, Australijski Urząd Statystyczny rozpatrzy rządową sugestję dotyczącą kwestionariusza najbliższego spisu ludności. ■ Prezydium Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii wystosowało apel o stałą zbiórkę pieniężną na pomoc dla ruchów wolnościowych w Polsce. Organizację zbiórki oraz przekazywaniem zebranych sum zajmuje się prezydium Rady Naczelnej.

Jerzy GROT-KWAŚNIEWSKI

KRONIKA KANADYJSKA

Szesnastoletnie rządy Partii Liberalnej — w tym ostatnie 11 lat pod kierownictwem Pierre Elliot Trudeau — zakończyły się 22 maja br., kiedy to partia poniosła klęskę wyborczą. 4 czerwca br. nowy rząd utworzył 40-letni przywódca Postępowych Konserwatystów, Joe Clark, który zaledwie przed trzema laty stanął na czele tej partii. Klęska wyborcza Liberalów nie była niespodzianką, a to głównie z powodu premiera Trudeau, którego atakowano ze wszystkich stron. Głosowano na kandydatów konserwatywnych na znak protestu, a nie w przekonaniu, iż nowy premier będzie lepszy od poprzedniego. Środki masowego przekazu, które odegrały kapitalną rolę w kampanii przeciwko Trudeau, stwierdzały równocześnie, że Clark jest jeszcze mało wyrobionym politykiem, a jeśli idzie o poziom intelektualny i wykształcenie, to stoi o wiele niżej od Trudeau. Nie kwestionowano poziomu intelektualnego czy inteligencji Trudeau, ale zarzucano mu brak kontaktu ze społeczeństwem, nieliczenie się z opinią, poleganie niemal wyłącznie na własnych sądach itp. Określano go niemal jako dyktatora, co prawda działającego w oparciu o większość parlamentarną. Joe Clark jest pierwszym kanadyjskim premierem „aparaczykiem”. Pochodzi z małego miasta w prowincji Alberta — twierdzą Konserwatystów; jeszcze w okresie studiów uniwersyteckich działał w partii. Pracował w jednej z lokalnych gazet w Edmonton, po czym wszedł do sekretariatu Roberta Stanfielda, który został przywódcą Postępowych Konserwatystów na miejsce Johna Diefenbakera. W 1972 roku Clark kandydował w swoim rodzinnym okręgu i uzyskał mandat. Robert Stanfield po trzykrotnym prowadzeniu Konserwatystów do wyborów, nie zdoławszy osiągnąć zwycięstwa, zgłosił w 1974 r. chęć ustąpienia ze stanowiska przywódcy i polecił zwołać konwencję dla wyboru następcy. W 1976 r. delegaci wybrali młodego pośła, Joe Clarka. Było to zaskoczeniem dla publiczności, ale pełnym zwycięstwem machiny partyjnej preryjnych prowincji, z Albertą na czele. Chociaż o umiarkowanym zresztą zwycięstwie — bo nie uzyskali absolutnej większości w Izbie Gmin — zdecydowała wrogość wobec Trudeau i chęć zmian w Ottawie, to jednak pewien wpływ miały również obietniki wyborcze. Liberalowie tym razem nie serwowali „kiełbasy wyborczej”, natomiast nie żałowali jej Konserwatyści. Obiecali bardzo wiele zarówno na odcinku gospodarczym, jak społecznym i politycznym: obniżenie podatku dochodowego, zwolnienie z opodatkowania procentów od spłat długów hipotecznych za domy mieszkalne, likwidację państwowego przedsiębiorstwa Petrocan, prowadzącego poszukiwania ropy naftowej, regulujące import, a częściowo i eksport ropy — jednego z nielicznych dochodowych przedsiębiorstw państwowych, będącego solą w oku wielu spółek naftowych Alberta. Z wywiązaniem się z tych obietnic będzie krucho, ale zresztą i bez tego rząd będzie miał sporo kłopotów. Co prawda odpowiedzialnością za obecny stan rzeczy i za nadchodzące lata obarcza poprzedni rząd liberalny, ale i nawet najbardziej życzliwie nastawieni wobec nowych władz przestrzegają przed takimi fałszywymi chwytami. Pierwszym poślizgiem rządu Clarka było oświadczenie, iż zgodnie z zapowiedzią wyborczą ambasada kanadyjska w Izraelu zostanie przeniesiona z Tel-Awivu do Jeruzolimy. Ambasadaorowie państw arabskich z miejsca złożyli ostry protest i rządy poszczególnych państw zapowiedziały represje gospodarcze w postaci wstrzymania zamówień, zerwania kontraktów na różne dostawy itp. Przemysłowcy kanadyjscy ze swej strony złożyli oświadczenie, w którym podkreślili, że represje arabskie spowodują wielomilionowe straty i utratę pracy przez wiele tysięcy osób. Premier Clark wycofał się chyłkiem: mianował Roberta Stanfielda — po którym objął

kierownictwo partii Postępowo-Konserwatywnej — specjalnym delegatem do zbadania stanowiska państw arabskich wobec projektu przeniesienia ambasady. Misja ta jest oczywiście wybiegiem, służącym dla zachowania twarzy. Spójrzmy na nowy rząd Kanady zgodnie z tezą *stoń a sprawa polska*. Należy było oczekiwanie, że nastąpią zasadnicze zmiany w polityce zagranicznej. Wspomnieliśmy o incydencie z ambasadą kanadyjską w Izraelu dla zilustrowania pierwszego samodzielnego kroku, bez porozumienia się z odpowiedzialnym personelem służby dyplomatycznej. W opozycji zarówno Clark, jak i inni posłowie — szczególnie w okresie przedwyborczym — nie szczędzili ostrych słów pod adresem ZSSR i innych państw rządzonych przez partie komunistyczne; składali okolicznościowe deklaracje, zjawiali się na zebraniach, zapewniali że gdy dojdą do władzy, poprą szkodliwe postulaty ludności państw zniewolonych itp. Nie wydaje się jednak, by jakkolwiek akcja w tym kierunku miała zostać podjęta przez nowy rząd. Być może, podobnie jak to kiedyś praktykował Diefenbaker, frazeologia będzie mocniejsza, dosadniejsza — i nie ponadto. Grupa polonijna wyszła z ostatnich wyborów zwycięsko, gdyż mandat w okręgu Parkdale — High Park w Toronto zdobył Jessie Flis, kandydat Partii Liberalnej. Mandat z tego okręgu — nieco zmienionego geograficznie — piastował przez wiele lat dr Stanley Haidasz, który przeszedł do Senatu. W wyborach uzupełniających — jesienią ub. roku — mandat ten zdobył Juri Shymko, wybitny działacz ukraiński, kandydat partii Postępowo-Konserwatywnej. 22 maja br. zdobył ten okręg Flis, aktywny w Polsce, członek Związku Polaków w Kanadzie, Fundacji im. Reymonta, Związku Nauczycielstwa itp. Flis, podobnie jak dr Haidasz, jest synem polskich imigrantów, urodził się na farmie w prowincji Saskatchewan, studia uniwersyteckie (pedagogiczne) ukończył w Toronto, był dyrektorem podstawowej szkoły publicznej, a w ostatnich dwóch latach kierownikiem wydziału szkolnictwa dla upośledzonych. Prasa ukraińska głosi, że 8 posłów konserwatywnych, w tym trzech członków rządu, jest pochodzenia ukraińskiego: Ray Hnatyszyn, minister energetyki i minister stanu, nauki i technologii, Don Mazankowski, minister transportu i minister odpowiedzialny za Urząd Żywności, Steve Paproski, minister stanu dla sportu amatorskiego i wielokulturowości oraz posłowie — Harvie André, John Kuszner, William Jurko, Stan Korchinski i Paul Jewchuk. Ministrowie Mazankowski i Paproski — jeśli chodzi o ich ojców — są wprawdzie pochodzenia polskiego, ale obaj akcentują raczej ukraińskość, co jest między innymi rezultatem ich związków małżeńskich — ich żony są pochodzenia ukraińskiego. Pół-polskiego pochodzenia jest poseł Stan Korchinski, ale również deklaruje przynależność ukraińską. Wszyscy oni mieszkają i kandydują w okręgach, w których znajduje się znaczna ilość ludności pochodzenia ukraińskiego i sami wychowali się w tych środowiskach. Natomiast całkowicie polskiego pochodzenia są trzej członkowie rządu prowincji Saskatchewan: Tchorzewski, Smisek i Macula. Jest to jedyna prowincja pod rządami Nowej Partii Demokratycznej — to jest socjalistów bez marksizmu. Min. Paproski, urodzony we Lwowie, odpowiedzialny za program wielokulturowości, ma jako doradcę politycznego wspomnianego wyżej b. pośła Shymko, jednego z czołowych działaczy grupy ukraińskiej. Szefem gabinetu min. Paproskiego został również urzędnik pochodzenia ukraińskiego. Jak wynika z przeprowadzonych badań terenowych, oraz ankiet, grupy etniczne w wyborach federalnych (z wyłączeniem grupy ukraińskiej) popierały przeważnie kandydatów Partii Liberalnej, podobnie jak w Stanach Zjednoczonych kandydatów Partii Demokratycznej. Liberalowie bowiem nie tylko otwierali bramy dla imigrantów, ale usuwali kolejno wszelkie postanowienia o charakterze dyskryminacyjnym. Oczywiście w każdym wyborach występują pewne odchylenia i naturalnie nie jest to tendencja sztywna, powszechna. I tak np. Nowa Partia Demokratyczna zdobyła niewątpliwie w kilku ostatnich wyborach głosy etniczne, w tym polonijne. Pewien wpływ wywarł

tu fakt, że w Izbie Ustawodawczej prowincji Ontario dwaj posłowie z Toronto: dr Janusz Dukszta i Edward Ziemia — obaj z NPD — należą do najbardziej aktywnych. Pierwszy z nich — lekarz psychiatra — jest imigranem, a drugi synem polskich imigrantów. Obaj zdobyli mandaty w okręgach tworzących mozaikę narodowościową. Kandydaci uzyskali w wyborach federalnych poparcie grup etnicznych w kilku okręgach. W partii Postępowo-Konserwatywnej tylko grupa ukraińska miała i ma poważne wpływy. Jednakże, w związku z dojściem tej partii do władzy, obie strony — to znaczy tak przedstawiciele poszczególnych grup etnicznych, jak i rządu — szukać będą zbliżenia. Nie należy więc wykluczyć pewnych koncesji w formie uwzględnienia niektórych postulatów grup etnicznych, co niewątpliwie przyczyni się do poszerzenia bazy etnicznej. Jeśli natomiast chodzi o zasadnicze nastawienie np. wobec państw rządzonych przez komunistów, to nie się nie zmieni. Warto w związku z tym odnotować, że Walentyn Moroz został przyjęty przez premiera Clarka, który ofiarował mu prawo pobytu w Kanadzie. Moroz, dziękując za to, apelował m.in. o zbojkotowanie Olimpiady w Moskwie. Wysłuchano go, prasa relacjonowała jego wizytę, ale przygotowań do udziału w Olimpiadzie nie wstrzymano. Zajmuje się tym zresztą min. Paproski. ■ Pierwsza grupa kanadyjskich sportowców udała się do Moskwy na treningi i spotkania. Nie są zachwyceni ogólnymi warunkami, natomiast chwalą poszczególne urządzenia sportowe. ZSSR przydzielił Kanadzie na Olimpiadę 8.000 wiz, to znaczy tylko taka ilość obywateli kanadyjskich będzie mogła pojechać do Moskwy na igrzyska. Wizy wydawane będą tylko w Kanadzie. Obywatele kanadyjscy znajdujący się w innych krajach muszą starać się o wizy w Kanadzie. Koszt wycieczki wynosić będzie od \$ 1.600 do \$ 2.400, w zależności od przydzielonego hotelu. W cenie tej mieszczą się bilety wstępu na 5 imprez, wyznaczonych przez moskiewskie biuro Olimpiady. Nikt nie będzie miał prawa swobodnego, indywidualnego poruszania się po ZSSR. Grupy nie będą mogły również zmieniać wyznaczonej im i ustalonej trasy, programu pobytu, itp. Biura podróży w Kanadzie sprzedają już wycieczki olimpijskie ponad 4.000 osobom i nie sądzą, by nowe zarządzenia sowieckie wstrzymały sportowców przed wyjazdem do Moskwy, natomiast odpadną amatorzy zwiedzania, urodzeni na obszarach włączonych do ZSSR. Optymizm biur podróży może okazać się nieuzasadniony, gdyż akcja bojkotowa prowadzona jest przez grupy ukraińskie i żydowskie. ■ Akcja bojkotu imprez z ZSSR spowodowała, że występy sławnego baletu moskiewskiego Bolszoi Tietar w Hamiltonie i Toronto w ostatnich dniach lipca br. były fiaskiem — sale świeciły pustkami. ■ W ramach imprez Międzynarodowego Roku Dziecka odbyła się w dniach 8-26 sierpnia br., w gmachu rządu prowincjonalnego w Toronto, wystawa prac artystycznych dzieci polskich w wieku od 3 do 16 lat. ■ Na fundusz budowy pomnika ku czci ofiar Katynia wpłynęło dotychczas — tj. do sierpnia br. — na siedmiu listach \$ 25.873. ■ Komisja Skarbu Narodowego na Kanadę ogłosiła sprawozdanie finansowe za rok 1978. Wpływy wyniosły \$ 9.389,08 (najwyższa suma — \$ 3.363,61 — wpłynęła z Komitetu w Toronto, następną — Hamilton — \$ 1.589,55, z Ottawy — \$ 1.508,80 i z Montrealu — \$ 1.000; z pozostałych ośrodków wpływy były grubo poniżej tysiąca dolarów). ■ 24 lipca br. zmarł w Montrealu, w wieku 78 lat, komandor Konrad Namieśniowski, współzałożyciel i pierwszy prezes Stowarzyszenia Marynarki Wojennej. Po wojnie bardzo aktywny działacz na terenie Kanady; m.in. był prezesem ottawskiego Komitetu Pomocy Ofiarom Represji w PRL; brał czynny udział w Kanadyjskim Komitecie Europejskich Narodów Ujarzmionych. Ukraińsko-kanadyjski Komiteet złożył na trumnie Zmarłego wieniec o barwach ukraińskich. Był bliskim przyjacielem *Kultury* i jej Redaktora.

B. H.

Listy do Redakcji

Warszawa, 18 czerwca 1979.

Wielce Szanowny Kisielu!

Tak Pana nazywam, ponieważ pod tym mianem stał się Pan już niejako instytucją. Bardzo dziwną, paradoksalną, niemniej — budzącą zaufanie. Instytucją paradoksalną, jako że ludzie nie ufający sobie wzajem i najróżniejszych formacji wpływają ku Panu niemal zgodnym (choć z sobą wzajem skłóconym) nurtem.

Co do mnie, intuicyjne oraz wyniki z obserwacji zaufanie klóci się jednak z Panem w pewnych kwestiach. Już nie raz tak bywało, ale ostatnio chodzi o Pana felieton z cyklu „Wołanie na puszczy” pt. „Gorczyce dwa ziarna” (*Kultura* Nr 5, 1979 r.) i zawarty w nim atak na „osobliwy artykuł p. Jana Drewnowskiego pt. „Władza i opozycja”. Ta drastyczna ocena wprowadza zamieszanie w i tak już chaotycznym i ulegającym dezinformacji ruchu opozycyjnym. Bo dla wielu ludzi np. z Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela („Ropcio”) prof. Jan Drewnowski jest i sprzymierzeńcem i postacią szacowaną: renomowanym wykładowcą ekonomii, PPS’owcem (a nie PZPR’owcem, jak ktoś Pana poinformował), rozgromionym przez Minca jednym z szefów Centralnego Urzędu Planowania w latach 1945-48, wreszcie człowiekiem zmuszonym przesładowaniami stalinowskimi do emigracji. Jeśli chodzi o broszurę „Władza i opozycja” jest w jej diagnozie chyba wiele elementów trafnych, za to niektórym trafiających pod zebro. Czy czytał Pan np. artykuł Krzysztofa Kwietnia (pseudonim, ale rozszyfrowany) w *Krytyce* nr 2?

Gdzieś — może w „Sprzysiężeniu” — wspomniał Pan, że Irzykowski mówił o pewnym polemście: „Ja mu proponuję partię szachów, a on zgarnia figury i majchrem we mnie”. I dodał Pan do tego bodaj coś w tym rodzaju: należy obronić przeciwnika w polemice, bo to nasze bogactwo. Tymczasem nie tylko wspomniany Kwiecień z tzw. „Kuroniady” zamierzył się w prof. Drewnowskiego majchrem, bo wpadł we wściekłość (co jest raczej pochlebne dla jego antagonisty), ale i Pan — wprawdzie nie majchrem — ale jednak próbuje strącić figurę „Drewnowski” z szachownicy. Ja zaś szczególnie cenię właśnie strącane figury i wiem jak intensywnie mogą mieć życie.

Komu wierzyć? Takie jest najczęściej zadawane pytanie przez ewentualnych sympatyków lub uczestników tej czy innej grupy w ruchu opozycyjnym. Wielu ludzi Panu wierzy, mimo tych ciągłych zmian nastrojów. Ale

wściekłym na Drewnowskiego ludziom z „Kuronady” wierzą znacznie mniej. Dlaczego? Ze względu na ów „szkielet w szafie”, o którym pisze Gustaw Herling-Grudziński w *Kulturze* Nr 5 z 1979 r. Nie jest to szkielet w ich własnych szafach, ale dlaczego tak się go boją? Michnik np. starannie omija „szkielety w szafach” stalinowskich intelektualistów. Czy czytał Pan w *Pulsie* nr 4-5 spisany z taśmy wykład Michnika z cyklu „Historia polityczna PRL” pt. „Intelektualiści i komunizm w Polsce po 1945 roku”? Jest to apologia intelektualistów owych czasów przy przetrzuceniu odium na polskie podziemie, klasyfikowane chyba zgodnie z oficjalnymi podręcznikami „historii”. Michnik cytuje zatem bez żenady wiersz M. Jastruna o gamratach, tuczonych dolarami zza granicy, o twarzach bez czoła itd. Dodaje do tego jeszcze przykład ohydnych zachowania się NSZ'owców i już podziemie ma z głowy, zaś metody stalinowskie w stosunku do takich ludzi nieomal uzasadnione.

Czy z powodu takiego wykładu historii ja z kolei strącam z szachownicy Michnika? Nie — bo, jakby Pan powiedział — przeciwnik to bogactwo. Poza tym ma on i inne posunięcia. A także... cóż... bliźni. Znamienna jest też odpowiedź ks. L. Wiśniewskiego o Michniku w pewnym młodym gronie: „No, tak, ale ja go lubię...”. To „ale”... No i wcale nie wydaje mi się śmieszne zmartwienie Drewnowskiego, żeby opozycja nie była związana z reżymem choćby tylko rodzajem mentalności, a co za tym idzie — solidarności. Tu nie chodzi o deklaracje, ale o to, co się czuje i myśli, a czasem mimo woli i ujawnia.

Pisze Bolesław Sulik (*Kultura* Nr 4 z 1979 r.), że „pokolenie AK najniższe piętro piekła osiągnęło nie w kłęsce Powstania, ale w latach stalinowskiej inkwizycji”. Na dnie tego piekła mogli być i tacy, jakich oglądał Jastrun, ale to nie jest punkt widzenia, ogarniający całość. Intelektualistom z czasów stalinowskich potrzebny był jednak zawężający punkt widzenia dla usprawiedliwienia własnej postawy. Jest coś uragliwego w tym, że znowu, jak w latach „błędów i wypaczeń”, ci sami ludzie lub ich najbliżsi atakują to samo — choć już z innych pozycji. Tak jak gdyby nie mieli własnego „szkieletu w szafie”.

To prawda, że w „Ropciu” jest bałagan i gra osobistych ambicji. Ale — w przeciwieństwie do „Kuronady”, gdzie obowiązuje posłuszeństwo — w „Ropciu” zasadą jest pluralizm i rozmowa ze społeczeństwem. Jan Drewnowski jest atakowany przez grupę Kuronia jako stronnik „Ropcia” (vide wspomniany już artykuł Kwietnia w nr. 2 *Krytyki*). Jeśli Pan z kolei atakuje Drewnowskiego, staje się Pan mimo woli przeciwnikiem pluralizmu i rozmowy ze społeczeństwem. I o to mi głównie chodzi. Poza tym warto pamiętać, że ludzie, pochodzący z grup uprzywilejowanych, marksistowskich, radzą sobie lepiej w grze politycznej niż niedoświadczeni uczestnicy „Ropcia”, wywodzący się z grup dyskryminowanych w poprzednich okresach. Teraz dopiero pielgrzymka Jana Pawła II podniosła ich na duchu, choć ma Pan rację, że nikt nie powinien liczyć na to, że „wybawi ich Papież i Pen-derecki”.

Zupełnie nie rozumiem natomiast, co znaczy następujące zdanie w Pana felietonie, napisane jakby za podszeptem wiosennego „Kwietnia”: Czy młodzi opozycjoniści „wywodzą się z jakiejś frakcji (co jest zresztą roboczym policyjnym mitem) czy nawet z samego piekła — to nie sprawa tych, co przez lata gardłowali o prawdziwym socjalizmie”. Mętlak. Bo Kuroniowi jest Pan — jak staram się zrozumieć — skłonny darować udział w „gardłowaniu” w PZPR, ale nie Drewnowskiemu w PPS. Bo ten jest w kraju, a tamten na emigracji?

Inne moje zastrzeżenie do „Dwu ziarn gorczycy” to ten Pana „pesymizm”, choć raz po raz jest Pan przecież optymistą i nawet bierze udział w Sprzysiężeniu Nadziei (mam na myśli odnośny Pana felieton w *Tygodniu Pow-*

szechnym). Sam Pan też stwierdza, że nawet uzasadniony pesymizm może się „przerodzić w kompletną drętwotę, marazm, śmierć duchową”. Niemniej, jako argument za pesymizmem, przytacza Pan opinie... zachodnich dziennikarzy. Gdzie indziej przez Pana spostonowani, raptem stają się autorytetem, gdy stwierdzają, że Polacy nie powinni podskakiwać, bo nic innego niż to co mają im się nie należy. I bądź tu mądry z tą Pana zmianą nastrojów. Wiem, że gra jest złożona i równie realistyczny może być optymistyczny jak pesymistyczny punkt widzenia. Za optymizmem przemawia jednak ten wzgląd, że wymaga on więcej odwagi (a tej, jak wiadomo, Panu nie brak). Mówi się o pesymistach, że brak im odwagi, aby przyjąć ewentualność nagłego ciosu zawiedzionych nadziei i że dlatego zatruwają profilaktycznie siebie i innych drobnymi porcjami tego ewentualnego ciosu. Nie życzę Panu tego.

I jeszcze jedno. Wydaje mi się, że i moje obserwacje tego, co się dzieje w kraju, mogłyby — gwoli sprawiedliwości — być przekazane redakcji *Kultury*. Jeśli zechce Pan to zrobić za pośrednictwem znajomego dziennikarza zachodniego, będę bardzo wdzięczna.

Z pozdrowieniami i z szacunkiem,

Wanda CHYLICKA
(ul. Dobra 8/10 m. 47, 00388 Warszawa)

Powyższy list nadesłał nam Stefan Kisielewski. (*Redakcja*).

Patterson, N.Y., 9 sierpnia 1979.

Panie Redaktorze,

W kwietniowym numerze *Kultury* ukazał się artykuł p. Wawrzyńskiej, która zaatakowała nie tylko niedawno zmarłą Iżę Landsberger, ale także instytucje charytatywne w USA. Wezwane do polemiki, jako przedstawicielki instytucji charytatywnej w USA, *Committee for the Blind of Poland*, Halina Rodzinska i ja odpowiedziałyśmy na list, żądając od p. Wawrzyńskiej wytłumaczenia się z bezpodstawnych oskarżeń.

Listu tego Pan Redaktor nie uważał za stosowne opublikować, pozostawiając oskarżenie o nieuczciwości bez protestu. Nasz list był próbą naprawienia krzywdy, która się stała pamięci Izy Landsberger a także bezinteresownym wysiłkiem wolontariuszy z *Committee for the Blind of Poland*.

Natomiast insynuacje, że listy w obronie Izy Landsberger pochodzą od osób, z którymi łączyły ją „stosunki towarzyskie” są prawie tak samo obraźliwe, jak szkalowanie ze strony p. Wawrzyńskiej. Piszę to wszystko po to, aby rozumiał Pan, jak dalece jestem dotknięta brakiem bezstronnej opinii Pana Redaktora. Wydaje mi się, że mam prawo spodziewać się od przedującego pisma emigracyjnego obiektywności i *fair play* w sprawach dotyczących społeczności polskiej.

Ponieważ brak tych cech podważa moje zaufanie dla innych opinii wyrażanych w *Kulturze*, proszę o skreślenie mnie z listy prenumeratorów.

Karin FALENCKA

Nie mamy nic do dodania do naszego oświadczenia w *Kulturze* Nr 5/380, chyba to jedynie że *wszystkie* listy otrzymane w tej sprawie, których — poza pierwszym otrzymanym od p. A. Mieczysławskiej — nie wydrukowaliśmy ponieważ nie wnosiły nic nowego — pochodziły *rzeczywiście* od osób które z p. Landsberger łączyły „stosunki towarzyskie”. Jedyne listy spoza tego grona otrzymaliśmy od p. Jadwigi Gołubiec i ten drukujemy w tym numerze. (*Redaktor*).

Drogi Panie Redaktorze!

Rozważania Bolesława Sulika na temat Romana Bratnego i jego ostatniego dzieła pt. „Pamiętnik moich książek” (*Kultura*, kwiecień 1979), skłaniają mnie do wyrażenia obawy, że Bratnemu nie dopisała jak należy pamięć i we wspomnianym pamiętniku nie przyznał się do plagiatu, który popełnił przepisu-ając żywcem w swej książce „Kolumbowie Rocznik 20” całe ustępy z mojej książki „W Imieniu Rzeczypospolitej”, a poza tym kopiując z niej różne sytuacje i powiedzenia. Zainteresowanych odsyłam do *Kultury* z listopada 1963, Nr 11/193, str. 107-111, w której „Londyńczyk” zestawiał teksty z mojej książki z zapożyczonymi przez Bratnego.

Poza tym plagiat ten napiętnował *Nowy Świat* w Nowym Jorku z 12 kwietnia 1958 i tygodnik *Współczesność* w Warszawie z 11-15 lutego 1960.

Ściskam mocno dłoń Pana,

Stefan KORBOŃSKI

Monachium, 7 sierpnia 1979.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Dnia 3 czerwca br. pozwoliłem sobie wystosować do londyńskiego czasopisma *Rzeczypospolita* załączony poniżej: List do Redakcji.

List ten został zamieszczony, i nie otrzymałem też żadnej odpowiedzi.

Byłbym wdzięczny Panu Redaktorowi, gdyby zechciał uznać za możliwe zamieszczenie tego Listu do Redakcji na łamach *Kultury*.

Józef MACKIEWICZ

LIST DO REDAKCJI

3 czerwca 1979.

W nr. 6, z czerwca 1979 r. londyńskiej *Rzeczypospolitej Polskiej* ukazał się doskonały artykuł A. Kajkowskiego pt.: „Zbrodnia Katyńska”. W szczegółach wyborne streszczenie przebiegu znanej powszechnie pod tą nazwą zbrodni wymordowania przez bolszewików wiosną roku 1940 w Katyniu (i gdzie indziej, w nieustalonych jeszcze miejscach) ok. 14.000 oficerów polskich. Charakteryzując pomordowanych, autor raczej słusznie uogólnia: „... najlepszych i najbardziej ideowych synów Ojczyzny”. Niewątpliwie zapożyczając z epokowej już dziś książki Józefa Czapskiego, pt. „Wspomnienia Starobielskie”, Kajkowski pisze: „Zginęli w ten sposób generałowie, oficerowie niższych stopni, podoficerowie... etc. — wśród nich uczeni polscy, kwiaci polskiej inteligencji”. (Powołani do wojska z rezerwy). I dalej:

„Nie wolno nam nigdy zapomnieć o tych nazwiskach zamordowanych, znanych nam tak bardzo z naszej historii, przypomnę tylko kilka z nich:

Gen. dyw. Stanisław Haller, stryjeczny brat Józefa Hallera, d-cy Armii Błękitnej. — Gen. dyw. Leonard Skierski d-ca 4 Armii z 1920 roku. — Gen. Leon Billewicz, żołnierz wojny rosyjsko-japońskiej. — Gen. Bronisław Bohatyrewicz znany z wojny 1918 roku. Gen. Piotr Skuratowicz, murmańczyk. — Gen. Konstanty Plissowski d-ca oddziału marszowego Odessa-Bobrujsk. — Gen. Franciszek Sikorski, obrońca Lwowa. — Kontradmiral Ksawery Czernicki, twórca polskiej Marynarki Wojennej. — Inni, jak gen. Kazimierz Orlik-Łukoski, gen. Mieczysław Smorawiński, pułkownicy Kons-

tanty Drucki-Lubecki, Jarosza Szafran, Alojzy Wir-Konasa, Bolesław Schwarzenberg-Czerny i wielu, wielu innych oficerów wszystkich stopni, lekarzy, profesorów etc. i wszystkich Polaków, dla których Wolna i Niepodległa Polska była najwyższą wartością”.

Do kwalifikacji tej zbrodni dodać by może jeszcze należało, że w powo-
dzi dokonanych w ostatniej wojnie masowych mordów, zbrodnię katyńską wyróżnia pewna specyfika: wyjątkowa, czy też zgoła „niebywała”. Objęta potocznym pojęciem: „zbrodni wojennej”, wyróżnia się szczególnym ciężarem gatunkowym. I tym różni się od innych, w ich moralnych, prawnych, czy ilościowych ocenach. Albowiem z jakości swojej jest zbrodnią bez precedensu w historii wojen. Gdyż pomordowani żołnierze polscy nie należeli nawet do strony walczącej. Formalnej wojny polsko-sowieckiej nie było wtedy. Nie byli więc według prawa wojennego nawet „jeńcami wojennymi”, a internowanymi na terytorium trzeciego państwa, w tym wypadku Związku Sowieckiego. Wymordowanie ich zatem bez cienia chociażby pretekstu, nadaje właśnie to — co byśmy w potocznym wykrzykniku określić mogli, jako: „niesłychaność!” zbrodni katyńskiej.

Kajkowski pisze: „Zbrodnia nad oficerami polskimi w Katyniu obciąża władze NKWD ze Stalinem i Bieżą na czele. Obciąża również późniejsza władza sowiecka Chruszczowa, Breżniewa za zatajenie zbrodni ludobójstwa; obciąża władze PRL-u za zatajenie tej zbrodni, jak i również rządy krajów zachodnich za tchórzowskie milczenie i nikizemne zapomnienie o obywatelach swych sojuszników”.

Pozwolę sobie jednak dodać — nie w formie zarzutu, lecz konstatacji — że nastąpiło też „zapomnienie”, tym razem ze strony najmniej chyba spodziewanej. A to ze strony polskiego Kościoła katolickiego. Od trzydziestu z górą lat w żadnym kościele w Polsce nie odbyły się modły żałobne za dusze oficerów pomordowanych w Katyniu. Rzecz tłumaczyła się tym, że w PRL-u było to zakazane, choć formalnie — jako że zbrodnia katyńska zaliczona została przez komunistów do zbrodni „hitlerowskiej” — nie powinna powodować zakazu. Ale, powiedzmy, że było niemożnością, której ocenić z dała się nie da. Choć przyznam, że obojętność w historii prześladowania Kościoła katolickiego w PRL, nie słyszałem konkretnie ani o takich próbach, ani o takich zakazach. Faktem pozostaje niemniej, że ani Episkopat, ani Prymas nie wymieniali geograficznej nazwy tej miejscowości. Od śmierci nieodżałowanej pamięci duchowego opiekuna emigracji, ks. arcybiskupa Józefa Gawliny — który w oświadczeniu jeszcze z 15 października 1956 roku, nazwał siebie: „jedynym członkiem Episkopatu Polskiego w wolnym świecie” — żaden biskup polski nie celebrował mszy żałobnej za pomordowanych w Katyniu. Mianowany przez prymasa, po śmierci arcybiskupa Gawliny, duszpasterzem „uchodźstwa polskiego” biskup Rubin, dziś kardynał, nie odprawił nigdy w rocznicę lub nie rocznicę zbrodni katyńskiej, uroczystych modłów za dusze pomordowanych. Jeżeli się czasem ukazał przy poświęceniu jakiegoś pomnika katyńskiego na emigracji, zaliczano to nie do zwyczajnego, lecz nadzwyczajnego zdarzenia. Jedynie garstka, dosłownie, dostojnych i odważnych kapłanów na emigracji, odprawiła corocznie modły za dusze tamtych pomordowanych Polaków.

Żyjemy w okresie czasu, gdy wciąż jeszcze zapadają zbiorowe protesty przeciwko przedawnieniu i odpowiedzialności za zbrodnię wojenne, składane są masowe petycje o wydanie sądom i ukaranie zbrodniarzy wojennych. — Czy z okazji pierwszego Polaka-papieża w Rzymie, nie dałoby się zgromadzić podpisów pod petycją... Nie, nie domagającej się ani kary, ani wydanja, ani potępienia, ani innego aktu zaangażowania politycznego. Lecz złożenie petycji do stóp Ojca Świętego, Namiestnika Chrystusowego, z prośbą aby raczył ze Stolicy Apostolskiej wnieść za dusze pomordowanych w Katyniu Polaków modły do Nieba?

Zwłaszcza, że za niespełna rok przypada już czterdziesta rocznica. Może byłoby to zarazem większe upamiętnienie, niż skromne pomniki na obcej ziemi.

Józef MACKIEWICZ

Montreal, lipiec 1979.

Szanowny Panie Redaktorze,

9 lat mija jak zacząłem moją, dotychczas beznadziejną, akcję nawrócenia zarządu Stowarzyszenia Lotników Polskich na drogę wymiany myśli i lojalnej współpracy lub opozycji, mającej na celu wytyczenie kierunku działalności SLP i jego testamentu.

Do przyspieszenia tempa walki skłoniły mnie przedwczesne zgony kolegów-lotników, którym losy SLP od początku jego założenia bardzo leżały na sercu (Kalinowski, Połturak i wielu innych). Śmierć generała Rayskiego i moje 82 lata też mają coś wspólnego z tym pośpiechem.

Gdyby powstała inicjatywa wysublimowania niezłomnego żołnierza-lotnika Polaka tej wojny, mój głos by padł na generała Rayskiego. Mimo wyroków, ponizeń i lat życia (był bliski 50-tki na początku wojny), przejdzie on do historii jako żołnierz-lotnik, wzór dla przyszłych pokoleń.

Od 1918 roku byliśmy w lotnictwie razem przez cały czas, ja — ponieważ nie zgadzałem się z nim prawie we wszystkich zasadniczych sprawach — w 1930 roku wyszedłem do cywilnego lotnictwa, on przez długie lata okresu międzywojennego był faktycznym dyktatorem całego lotnictwa polskiego.

Organizował przemysł lotniczy, tworzył służby, szkoły, ośrodki treningowe, eskadry, pułki lotnicze itd. W dużym stopniu przyczynił się do tego, że polska młodzież garnęca się do lotnictwa była wyszkolona na licznych polskich samolotach i to w duchu najlepszych tradycji wojska polskiego.

Zrobił dużo, dużo więcej niż Polskę było stać, robił więc i błędy, bo nie robi błędów tylko ten kto nic nie robi.

Władza zrobiła z niego kozła ofiarnego, winnego klęski wrześniowej na polu lotniczym i szereg rozgoryczonych patriotów podjęło takie stanowisko i jego błędy uwypukliło w rozmaitych książkach i publikacjach.

Możni mieli mu za złe, więcej, oskarżyli i skazali, mało, nie pozwolili mu nawet walczyć w szeregach polskich w jakiejś szarzy na początku tej wojny, a to, w moim pojęciu, jest najwyższą niedopuszczalną torturą moralną.

Stan faktyczny zaś jest taki: z powodu mylnej koncepcji wojennej, najwzysze władze R.P. pozwoliły mu, a on się podjął rzeczy niewykonalnej. Śmiem twierdzić, poparty autorytetem swojej 50-letniej służby lotniczej, że gdyby nawet uniknął wszystkich błędów, które mu słusznie wytykają, wojna w Polsce trwałaby nie 17 a może 18, 19 lub 20 dni, na ten temat można dyskutować, ale rezultat byłby ten sam.

Ale nikt nie podkreślił nawet lekko, że to głównie dzięki jego wysiłkowi i jego ekipy (do której nie należałem), Lotnictwo wyszkoliło przeszło 30 tysięcy lotników i pomocniczego personelu, którego duża część przedarła się, można powiedzieć własnym sumptem, przez Europę, znalazła się w Anglii, w czasie i w ilości dostatecznej żeby przeważać szalę zwycięstwa w bitwie o Wielką Brytanię i zagrać swoją, chwałą okrytą, kartę na cudzych samolotach i niebach walk lotniczych.

Na pewno tak nie planował, ale tak wyszło i trzeba to uznać i zapisać na plus jego działalności.

Lotnictwo ekonomicznie biednej Polski nie mogło wypełnić lepszej roli w tej wojnie tytanów przemysłowych.

Będąc w Polsce w tym roku, złożyłem kwiaty na płycie pamiątkowej w kościele Świętego Krzyża (ufundowanej prywatną inicjatywą lotników

uczestników tej wojny) i nie zeszedłbym z tego świata spokojnie nie napisawszy tych paru słów o nim, tragicznym budowniczym potęgi lotniczej ubogiej Polski i wzorowym żołnierzu lotnictwa w czasie wojny.

Cześć Twojej pamięci, Niezłomny Żołnierzu Lotniku.

On też wychował bohaterów-lotników tej wojny, między innymi Gabszewicza i wielu innych dużo mniej rozreklamowanych, żywych i umarłych, znanych i bezimiennych, ale nie mniej bohaterskich.

O co mnie więc chodzi, gdzie źródło zła dzisiejszego tu u nas na emigracji?

Wojsko i wojna to wielka rzecz i nie można jej powierzyć tylko wojskowym, powiedział wielki Clémenceau. Z tej to pewnie przyczyny, doktryna wojenna oparta na zwycięstwie Dawida nad Goliatem (wojna 1920) nie miała szans powodzenia i nie zagrała.

Wojsko, wraz ze swoimi zaletami, wykształceniem, mentalnością, dyscypliną, uczy słuchać i rozkazywać i nie nadaje się do rządzenia.

Wojsko rządzące, to z natury rzeczy dyktatura.

Byliśmy pod wojskową dyktaturą od 1920 roku. Polityka, przemysł, ekonomia kraju, wszystko było tej dyktaturze podległe. Cały czas, wojny, nierzy. Po skończonej wojnie, dalej walczyliśmy o wolność, bez której niepodległość jest nie do pomyślenia. Wielcy żołnierze rozumieją tę walkę po swojemu: „silni, zwarci i gotowi, pod naszym przewodem, złączymy się z narodem” — to nie wychodzi.

Wolność to prawo podstawowe człowieka, wolność słowa i opinii, wolność miejsca zamieszkania, swoboda krytyki, wolne wybory swoich władz. Rozsiani po świecie, tego robić nie możemy. Nakłada to obowiązek specjalny na władze (zarządy) sondowania opinii innymi sposobami. Oni tego nie potrafią, im to do głowy nawet przyjść nie może.

Władza powoduje korupcję, absolutna władza powoduje korupcję moralną absolutną.

Nasz zarząd i prezes, usadowiwszy się na tronie, mając pod sobą organ (pismo) stowarzyszenia, środki, używając demagogii i grając wyborami z udziałem „martwych dusz”, jak każdy dyktator będzie się starał „dowodzić” niezłomnie i dożywno.

Smutno, ale tak jest.

Anders był wielkim żołnierzem, ale jako polityk nikomu nie zaimponował. Gabszewicz tak samo. Są czy byli patriotami, ale do przewodzenia w wolnym społeczeństwie, do którego my na emigracji zaliczamy się i o które dla Polski walczyliśmy i marzymy, nie nadają się. „Uwojskować” cywila to łatwo: powołać i nabić go w mundur. „Ucywilizować” wojskowego to dużo trudniej, w pewnych wypadkach niemożliwe.

Może podjąłem się niemożliwej rzeczy?

Dłoń ściskam,

Wacław MAKOWSKI
b. pułkownik-pilot-inżynier
autor napisanych ale nie wydanych
wspomnień pt. „Cywil w wojsku”.

P.S. Myślących podobnie o słów parę „otuchy” proszę.

Chicago, 22 lipca 1979.

Szanowny Panie Redaktorze!

„Instytut Literacki” zasłużył sobie na wdzięczną pamięć byłych żołnierzy Podziemia na Wileńszczyźnie wydając „Wileński Matecznik, 1939-1944”

(Z dziejów „Wachlarza” i Armii Krajowej) Bronisława Krzyżanowskiego pseud. „Bałtruk”, w serii książek „Bez cenzury”*.

Dobrze że stało się to w roku 1979, bowiem przypada w nim 40-lecie rocznica Polskiego Państwa Podziemnego i 35-lecie „Burzy” — częściowego powstania. „Burza” odbyła się w Wilnie i na Wileńszczyźnie w lipcu 1944 roku, a punktem kulminacyjnym jej była Bitwa o Wilno, zdobywane połączonymi siłami Okręgów AK Wilno i Nowogródek w dniach od 6/7 do 13 lipca 1944 roku początkowo samodzielnie, a potem razem z Armią Sowiecką. W bitwie po stronie polskiej wzięło udział około 9.000 żołnierzy AK wraz z odwodami. Choć było więcej ochotników do walki, nie starczało dla nich broni i nie był to jeszcze czas na mobilizację.

Wspomnienia Krzyżanowskiego różnią się tym na plus od innych, że odnoszą się do prawdziwych uczestników Podziemia w Wilnie i na Wileńszczyźnie, że opisują prawdziwe fakty, że oddają tło wypadków tak jak one miały miejsce, że ujawniają działalność do tej pory mało znaną (dywersja na liniach kolejowych) i że ujmują to wszystko w takiej formie opisowej, że trudno się oderwać od czytania.

Wilno i Wileńszczyzna przeżyły pięć okupacji, w tym trzy sowieckie, z których ostatnia trwa do tej pory. Wszystko się zaczęło najazdem niemiecko-sowieckim we wrześniu 1939 roku na podstawie umowy z 23 sierpnia 1939 roku. Sytuacja ludności pod okupacją sowiecką różniła się od położenia rodaków na zachód od linii Ribbentrop-Mołotow. Różnice były tak duże, że gdy przekroczyłem granicę pod Małkinią w lipcu 1941 roku w drodze z Wilna do Zamościa, zdawało mi się, że wielki ciężar spadł mi z serca, chociaż wjeżdżałem w teren gdzie Gestapo szalało już od dwóch lat.

Autor wspomnień był związany z tą działalnością Podziemia Wileńskiego, z którą nie miałem kontaktu, choć w pracy konspiracyjnej byłem od początku do końca. Było to zgodne z zasadą, aby wiedzieć jak najmniej o innych komórkach działalności. Ponadto, autor początkowo nie był związany organizacyjnie z Okręgiem AK, pracując do końca 1942 na siatce „Wachlarza”, którego dowództwo było w Warszawie, a potem w Kedywie (Kierownictwo Dywersji). Dla przypomnienia, „Wachlarz” był organizacją dywersyjno-wywiadowczą na ziemi, które nie były w granicach Polski w latach 1918-1939. Pomimo naszego uplasowania się w różnych odpowiedzialnościach, łączyły nas osoby z Okręgu AK, do których autor się zwracał i wy-padki, opisane poprawnie, w świetle tego co było mi wiadome.

Czym więcej takich wspomnień, tym lepiej będzie przyszłemu historykowi odtworzyć nasze czasy, a były one nadzwyczajne dla nas osobiście, dla rodziny, w których się działy i dla całego narodu.

Czytając „Wileński Matecznik” przypomniał mi się „Dialog o Wilnie” Czesława Miłosza i T. Venclovy (*Kultura* nr 1/2 z 1979 r.), bowiem jest oczywiste, że poza Wilnami opisanymi przez autorów DIALOGU, było jeszcze inne Wilno, które w czasie mieściło się pomiędzy ich Wilnem. Niestety, nie pozostała po nim architektura i związana z nią aura, o której pisze T. Venclova. Wprost przeciwnie, miasto było w dużym stopniu w ruinach. Venclova, Litwin z Kłajpedy, był wtedy dzieckiem, gdy się rozgrywały dramaty „Wileńskiego Matecznika”. On, wychowanek rzeczywistości sowiecko-litewskiej, który mutację polityczną przeszedł dopiero po zdławieniu powstania węgierskiego w 1956 roku i znalazł się za granicą dwa lata temu — pisze o wielu rzeczach w sposób zrozumiały dla mnie, choć nie wspólnego nie mieliśmy. Czyżby ta inna aura, nie związana z murami miasta, lecz z duszą miasta, przemawiała do nas w jednakowy sposób? A jeśli tak, to co nas łączy? Zdaje się, że łączy nas duch wolności, który przyłgnął do murów Uniwersytetu Wileńskiego, tej Wszechnicy Mickiewicza, łączą

nas te same przeżycia polityczne i tradycje, a nawet Wilno, tak drogie obu narodom i którego istotę użyto do pokłócenia nas.

Były rozmowy polsko-litewskie w latach 1942/43. Brałem w nich udział. 80% społeczeństwa litewskiego (używając cyfr podanych przez Litwinów) chciało porozumienia z nami. Niestety, oni i my żyliśmy pod terrorem 20% Litwinów, którzy pracowali czy to w litewskim NKWD, czy też Gestapo lub w administracji i których myślą przewodnią było zniszczyć Polaków przy pomocy okupantów i zastraszyć swoich, chcących współpracować. Wielu z tych 20% znalazło się za granicą i oni kontynuują swą nienawiść i o ich mentalności wspomina Venclova.

Przyszłość należy do nowego pokolenia i Wilno, które nas dzieliło, może nas połączyć ponownie.

Jan „ROLAND” MORELEWSKI

EDITIONS CANA

52, rue Servan, 75011 Paris.

Monsieur Jerzy GIEDROYC
 Revue *KULTURA*
 91, avenue de Poissy
 Le-Mesnil-Le-Roi
 78600 Maisons-Laffitte

Paris, le 20 août 1979

Monsieur le Directeur,

J'ai lu avec un certain étonnement dans le n° de Juillet de *Kultura* la lettre de Monsieur Stéfan KISIELEWSKI, datée, il est vrai, du 3 juin. En effet, nous nous sommes rencontrés depuis.

Sans aucun esprit de polémique, je ne peux laisser passer des propos et une manière de dire qui pourraient mettre en cause mon honnêteté personnelle et celle de la Maison d'Édition que j'occupe.

Il n'est pas de notre fait que le texte de Monsieur KISIELEWSKI ait été retiré. Personnellement, j'ai regretté cette position mais je ne pouvais, comme éditeur, que m'incliner devant le souhait de la majorité des co-auteurs de ZNAK. Mais il me paraissait important malgré tout que le nom de Monsieur KISIELEWSKI figure quelque part dans le livre.

C'est pourquoi j'ai tenu, dans mon avant-propos, à faire une référence explicite et approuvée par l'un des co-auteurs de passage à Paris, à son travail.

Bien évidemment, si le texte polonais avait déjà été publié, cette référence eut été plus précise mais nous ne savions pas que ce texte le serait dans cette langue ; alors, il est difficile de reprocher à *Cana* des choses que nous ne savions pas.

Que Monsieur KISIELEWSKI soit rassuré ; tous ses droits sont bien préservés. Comme quoi, quand on veut agir élégamment et honnêtement, on est pas toujours compris !

Je souhate grand succès au texte original de Monsieur KISIELEWSKI. Il permettra, comme l'avant-propos de *Nous, Chrétiens de Pologne*, de mieux faire comprendre le travail de nos frères Chrétiens au pays de Jean-Paul II et c'est cela qui est finalement le plus important.

C'est dans cet esprit que, depuis 15 ans, je travaille tant dans la presse que dans l'édition. Je ne compte pas agir autrement aujourd'hui.

Bien confraternellement,

Jean OFFREDO
 Directeur Littéraire

* „Biblioteka Kultury”, tom 304, str. 264, cena F. 65.

Chicago, 15 czerwca 1979.

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z artykułem pani J. P. Wawrzyńskiej i reportażem ks. H. M. Malaka* chciałabym bardzo dołączyć parę moich uwag i spostrzeżeń. Wobec tego, że ja także przybyłam do Stanów pod opieką IRO, tak samo płynęłam na amerykańskim wojskowym transportowcu, więc może w sumie te opisy dadzą bardziej obiektywny obraz.

W marcu 1950 roku wypłynęły z Bremy dwa statki wiozące uchodźców do Stanów Zjednoczonych. Jeden zdążył do New Yorku, a drugi na południe do New Orleanu. (Może właśnie na tym drugim płynął ks. Malak). Według mojej opinii warunki dla uchodźców na obu statkach nie mogły się znacznie różnić, gdyż nie tylko statki były bliźniacze, ale tak samo opiekowała się nimi organizacja IRO. Ale dziwnie... Nie było na naszym statku okropnej policji z pałkami, nikt na nas nie krzyczał, nikomu nie grożono więzieniem i nie zauważyłam żadnego uprzedzenia do Polaków. Musieliśmy pracować, bo to przecie nie był luksusowy statek pasażerski i nie było wobec tego żadnej obsługi i wygod. Osoby, z pretensjami i wymaganiami musiałyby płynąć pierwszą klasą na Queen Mary, a nie korzystać z bezpłatnej transportacji na wojskowym transportowcu.

Gdy po paru dniach na oceanie, rozszalała się straszna burza grożąc nam zatonięciem i gdy 90 % pasażerów leżało cierpiąc na morską chorobę, to trudno w tak niezwykłych warunkach oczekiwać czystości i porządku. Gdy po ciężkiej walce z huraganem nasz „General McRay” zawiąnął do portu w New Yorku — westchnęliśmy z ulgą. Tu nami się zaopiekowano, otrzymaliśmy po \$ 5 na drobne wydatki i wsadzono nas do pociągu. Ruszyliśmy do miejsca przeznaczenia, gdzie na nas musieli czekać poręczytiele (sponsors).

W Chicago, na dworcu, oczekiwano na nas. Byli tu przedstawiciele ZNP, żona prezesa p. W. Rozmarek, oraz poręczytiele. Wobec tego, że po niektórych z nas nikt nie przyjechał, pani Rozmarek zabrała całe towarzystwo do domu, specjalnie w tym celu kupionego przez ZNP. Tu przeczekaliśmy, aż każdy znalazł mieszkanie i pracę. Korzystam w tej chwili z okazji i wyrażam Polskim Organizacjom swoje podziękowanie — Bóg zapłać.

Na mocy własnego doświadczenia uważam, że tak ostre zarzuty pod względem IRO lub Polskich Organizacji na terenie USA, są niesłuszne, krzywdzące i niesprawiedliwe.

Nie tylko na plantacjach bawełny początki nowego życia były trudne. Swą pracę rozpoczęłam w fabryce, gdzie pracując w nocy, przez 8 godzin stałam przy rozpalonym piecu przy temperaturze do 110° F. Czasami myślałam, że już za życia trafiłam do piekła. Jednak na nikogo winy nie składałam. Cóż mógł mi pomóc mój dyplom, gdy nie znałam języka angielskiego i nie znałam żadnego praktycznego fachu?

Wierzyłam, że ostatecznie z tego wyjdę i tak się to stało.

Mam wrażenie, że ciężki los uchodźców na południu, na plantacjach bawełny, był spowodowany tym, że poręczytiele (sponsors), zapewniając pracę myśleli o swojej wygodzie, a uchodźcy, nie mając pojęcia o warunkach i zgadzając się na taki kontrakt stali się ofiarami losu. Zerwać taki kontrakt przedwcześnie było niemożliwością dla polskich organizacji i to z innego Stanu. Przecie i w Australii obowiązywała uchodźców-mężczyzn ciężka fizyczna praca przez dwa lata gdzieś w pustyni, przy budowie dróg i kopaniu rowów. Wyjątków nie było.

Ze zdziwieniem i przerażeniem czytałam opisy ks. Malaka o takich okrop-

nościach jak „na plantacjach Luizjany bieleją kości tysięcy i tysięcy wychodźców (jak to, bez pochowania? — J.G.), jak wielu zostało zastrzelonych” itd. Przed takim opisem błędną opisy obozów koncentracyjnych niemieckich. Po co taka przesada? Po co ten tragiczny patos? W jakim celu? Pani A. Mieczysławska ma rację, że artykuł ks. Malaka, to „televizyjny serial amerykański”.

Łączę wyrazy szacunku,

Jadwiga GOŁUBIEC

ODPOWIEDZI REDAKCJI

W związku z listem do Redakcji naszego Czytelnika z Holandii, donoszącym o wystąpieniu p. Begin'a w telewizji holenderskiej, otrzymaliśmy listy nie tylko proszące o szczegóły, ale wręcz kwestionujące autentyczność. Z tego też powodu zamieszczamy:

FRAGMENT WYWIADU PREMIERA BEGINA

w telewizji holenderskiej, nadanego w programie TROS AKTUA dn. 15 maja 1979, według stenogramu udostępnionego przez *Televisie Radio Omroep Stichting*, Lage Naarderweg 45-47, Hilversum, tel.: 02150-85313.

A. HORVERS [prowadzący rozmowę]: Czy serial telewizyjny w rodzaju Holocaustu może położyć kres antysemityzmowi?

BEGIN: Nie. Ale ten film jest bardzo ważny. Zrobił głębokie wrażenie w Ameryce, a także w samych Niemczech. Pozwala zobaczyć młodemu pokoleniu co stało się z naszym narodem. [...] W ostatnim czasie pisano, w Niemczech i w Anglii, że Holocaust jest zmyślony. Obrzydliwa profanacja pamięci naszych zabitych. Cały lud zginął, a teraz mówi się: nie było komór gazowych. Wszystko zmyślili Żydzi. Cóż za okropna profanacja tych wszystkich pomordowanych! Film Holocaust unaoacza ponownie narodem, szczególnie zaś młodzieży, co spotkało lud żydowski. Dlatego film ten jest ważny. Ludzie uczą się z niego, w całej Europie.

A. HORVERS: Czy kontakty z tymi profanatorami nie sprawiają Panu dużej trudności?

BEGIN: Tak, to jest trudne. Dlatego też nigdy nie postawię nogi na niemieckiej ziemi. Ani nigdy nie odwiedzę kraju mego urodzenia, Polski. Wśród Polaków nie było zdrajców, walczyli przeciwko Niemcom. Lecz jeśli chodzi o Żydów, kolaborowali z Niemcami. Spośród 30 milionów Polaków może stu pomagało Żydom. Te dziesiątki tysięcy katolickich księży w Polsce nie uratowały żadnego żydowskiego życia, mimo tego co w Nowym Testamencie jest napisane o miłości bliźniego — odpisane ze Starego Testamentu, ale jest. Nie pomogli nam. Z wyjątkiem jednostek, „sprawiedliwych pośród narodów”, dla upamiętnienia których zasadziliśmy drzewa. Wszystkie obozy zagłady też znajdowały się na polskiej ziemi. Nigdy nie pojedę do Polski, nigdy też do Niemiec.

(Tłumaczenie z holenderskiego M. BRONSKIEGO)

P. Begin mógł wyjechać z ZSSR jedynie dlatego że został przyjęty do wojska polskiego, co sam przyznaje w swych pamiętnikach — w sposób

* *Kultura*, kwiecień 1979.

karykaturalny ale przyznaje. W Palestynie, mimo że był zwykłym strzelcem (neguje że był mianowany kapralem), mógł prowadzić działalność polityczną za zgodą dowództwa 2-go Korpusu. O tym p. Begin nie wspomina, jak również nie wspomina jak rozstał się z wojskiem polskim. Nie zamierzamy komentować wystąpienia urzędującego premiera Izraela. Ocena należy do drugiej strony. — *Redaktor*.

J. P., Buenos Aires. — Listu nie zamieścimy. Interpretuje Pan ustępy z artykułu p. Z. Byrskiego w sposób — nazwijmy to — bardzo dowolny.

J. R., Detroit. — Nie zamieścimy. List nie wnosi nic nowego do naszych ocen sytuacji światowej a jest niepotrzebnie gwałtowny i obraźliwy wobec zachodnich mężów stanu.

J. G., Dania. — Nie zamieścimy. Na ten temat pisaliśmy wielokrotnie i nie chcemy tych spraw obecnie poruszać.

Z. D., Vancouver. — Pana artykułu nie zamieścimy. Jego tematyka była wielokrotnie w *Kulturze* poruszana.

SPROSTOWANIA

Do mojego artykułu „Problemy gospodarcze Polski”, zamieszczonego w nr. 7/382-8/383 *Kultury*, zakradły się dwa błędy, a mianowicie:

1) w drugiej kolumnie tabliczki na str. 208 powinno być 1976-1979 (a nie 1976-1978), gdyż — jak wynika z tekstu — przyjąłem założenie, iż stan faktyczny w 1979 roku będzie ściśle odpowiadał planowi; przeciętne roczne stopy wzrostu dotyczą więc czterech lat, a nie trzech; 2) w wierszu 8 drugiego akapitu na str. 210 cytata z Barteckiego mówi oczywiście o „wielkiej odmowie”, a nie o „wielkiej odnowie”; ktoś złośliwy mógłby na tej podstawie stwierdzić, że *Kultura* również znalazła się pod wpływem warszawskiej „nowo-mowy”...

Włodzimierz BRUS

W opracowaniu p. Danuty Mostwin „Młodzież polska na Zachodzie” zamieszczonym w nr. 7/382-8/383 *Kultury*, na str. 129 na początku rozdziału „Kto odpowiedział na ankietę *Kultury*” znalazł się błąd korektorski: zamiast „Austria” powinno być „Australia”. — (*Redakcja*).

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 303 — SERIA „BEZ CENZURY”
STANISŁAW BARAŃCZAK

ETYKA I POETYKA

SZKICE 1970-1978

Str. 272.

Cena F. 65,00.

TOM 304 — SERIA „BEZ CENZURY”
BRONISŁAW KRZYŻANOWSKI

WILEŃSKI MATECZNIK

1939 - 1944

Wspomnienia z Ruchu Oporu na Wileńszczyźnie a przede wszystkim z działalności „Wachlarza” i Armii Krajowej.

Str. 264.

Cena F. 65,00.

TOM 305 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT CZTERDZIEŚTY ÓSMY

Zawiera m.in. prace: Prof. Władysława Kulskiego — *Zachód a Polska od czasów rozbiorowych*; Wiktora Sukiennickiego — *Wojna? — Nie, dialog*; A. Nowak-Przygodzkiego — *Wojskowa Służba Społeczna* (Warszawa sierpień-wrzesień 1944); Jana T. Grossa — *Okupacja sowiecka i deportacje do Rosji w oczach dzieci*; „Wolność i Niezawisłość” — *Wytyczne ideowe*; Anieli Steinsbergowej — *Ze wspomnień obrońcy: kariera art. 23*; Bronisława Krzyżanowskiego — *Kampania Wrześniowa w oczach D-cy plutonu* oraz bogaty dział RECENZJI i LISTÓW DO REDAKCJI

Str. 240.

Cena F. 40,00.

(Dalszy ciąg Wpłat ze str. 2-giej)

Czytelnicy *Pomostu*, Chicago, Ill. (USA) na Redakcje pism

opozycyjnych:

<i>Puls</i> — \$ 30,00	F. 126,00
<i>Droga</i> — \$ 30,00	F. 126,00
<i>Bratniak</i> — \$ 30,00	F. 126,00
<i>Opinia</i> — \$ 50,00	F. 210,00
<i>Spotkania</i> — \$ 50,00	F. 210,00
<i>Głos</i> — \$ 50,00	F. 210,00
<i>Gospodarz</i> — \$ 50,00	F. 210,00
<i>Krytyka</i> — \$ 50,00	F. 210,00
Urszula Wisłanka, członek zespołu redakcyjnego <i>Pomostu</i> , na Redakcję <i>Robotnika</i> — \$ 100,00	F. 420,00

DZIĘKUJEMY!

WPLATY NA KSS „KOR”

Bezimiennie z Kanady, po raz 2-gi	F. 150,00
Bezimiennie z Kassel (RFN)	F. 23,00
Bezimiennie z Opolszczyzny	F. 23,00
Bezimiennie z Ottawy — zamiast kwiatów na grób Komandora Konrada F. Namieśnińskiego	F. 200,00
Piotr Kalinowski, Paryż	F. 100,00
Kanada. Ottawski Komitet Pomocy Ofiarom Represji stosowanej w PRL w stosunku do członków ruchów oporu	F. 800,00
Aleksander Jaxa-Kwiatkowski, Bethesda, D.C. (USA)	F. 420,00
Zbrane w Klubie Polskim w Moss (Norwegia)	F. 160,00
Janusz Zembrzusi, Anglet (Francja)	F. 100,00
Zamiast kwiatów na grób śp. Janusza Wakara od grona przyjaciół z Paryża	F. 2.000,00

WPLATY NA ROPCİO

Tadeusz Brzostek, Paryż — na Radę Funduszu Praw Człowieka	F. 100,00
Grupa Rodaków z Chicago i okolicy (USA)	F. 294,00
G.S.M.B. z Norwegii	F. 200,00
Kanada. Ottawski Komitet Pomocy Ofiarom Represji stosowanej w PRL w stosunku do członków ruchu oporu	F. 800,00
N.N. z Sydney (Australia)	F. 238,00
Janusz Zembrzusi, Anglet (Francja)	F. 100,00

WPLATY NA P.P.N.

Tadeusz Brzostek, Paryż — z okazji Zjazdu Jedności z Walczącym Krajem	F. 200,00
Andrzej J. Chylecki, Kolonia (RFN) — w 14-tą rocznicę Ordza Biskupów Polskich do Episkopatu niemieckiego ..	F. 115,00
Kanada. Ottawski Komitet Pomocy Ofiarom Represji stosowanej w PRL w stosunku do członków ruchów oporu	F. 800,00
Z. Powch, Mt. Pritchard, N.S.W. (Australia)	F. 23,80
Janusz Zembrzusi, Anglet (Francja)	F. 100,00

Na Apel „Konfederacji 76” w USA wpłacili: *Oddział Brooklyn, N.Y.* (na SKS) — \$ 65,00 (Bezimiennie z Elizabeth i

M. Orłowski z New Yorku po \$ 20,00, H. Szuster \$ 10,00, Turysta z Polski, C. Maliszewski i J. Wójcik z New Britain po \$ 5,00). *Oddział Boston* — \$ 63,00 (A. Dębski — \$ 20,00, F. Dziadul, W. Ostrowski po \$ 10,00, Rodzina J. K., dr R. Bogusławski, Rodzina S. i H. S. po \$ 5,00, Rodzina Grabowskich — \$ 3,00; B. Cornelius, D. Caderaun, F. Figuerona, O. Plain, H. Plata, po \$ 1,00). *Oddział New Jersey* — \$ 340,00 (W. Sosulski i J. Siatkowski zebrane na akademii 3 Maja, Placówka SWAP 208 — \$ 100,00; W. Sosulski i R. Winowski na tejże akademii, Zjednoczenie Polaków w Ameryce — Perth Amboy — \$ 210,00; Róża K. z Brooklynu — \$ 30,00). *Złożone w Redakcji „Listów do Polaków”* — \$ 25,00 (J. Rzyski, Chicago — \$ 15,00, T. Błazejowski z Wallingford — \$ 10,00). Ogółem zebrano \$ 493,00, z czego na:

Studencki Komitet Solidarności — \$ 65,00	F. 273,00
KSS „KOR” — \$ 200,00	F. 840,00
ROPCİO — \$ 228,00	F. 957,60

Na Apel „Konfederacji 76” w USA wpłacili: *Oddział Brooklyn* — \$ 60,00 (M. Orłowski — \$ 20,00, Turysta z Polski, A. Brzóska i H. Szuster po \$ 10,00, Turysta z Polski i J. Chmielowski po \$ 5,00). *Oddział Boston* — \$ 73,00 (T. Brzozowski i Bezimiennie po \$ 20,00, F. Dziadul i W. Ostrowski po \$ 10,00, K. Gotowicki, J. i M. Czernik po \$ 5,00, J. i B. Stock — \$ 3,00). *Komitet Obywatelski Zarządu Głównego „Konferencji 76” w New Jersey* — \$ 200,00 (ks. W. Kłos i M. Orłowski po \$ 40,00; T. Dziekanowski — \$ 25,00; W. Adamciewicz, Z. Wójcik, H. Szuster po \$ 20,00; J. Szczczyk, B. Pilecki, W. Horezga po \$ 10,00; Bezimiennie — \$ 5,00). F. Kurnik z Kalifornii złożył w Redakcji *Listów do Polaków* \$ 5,00. Ogółem zebrano \$ 338,00 z czego na:

KSS „KOR” — \$ 169,00	F. 709,80
ROPCİO (Rada Sygnatariuszy Ruchu Operu) — \$ 84,50	F. 354,90
ROPCİO (Rada Funduszu Praw Człowieka) — \$ 84,50	F. 354,90

KOMUNIKAT REDAKCJI

W związku z naszym Komunikatem zamieszczonym w nrze lipcowym *Kultury* (str. 240) wyjaśniamy, że przekazując wpłaty na ROPCİO należy zaznaczać czy są one przeznaczone dla RADY FINANSOWEJ RUCHU OBRONY czy też dla RADY FUNDUSZU PRAW CZŁOWIEKA. W braku takiego zaznaczenia nadesłane sumy będą dzielone po połowie dla obu RAD.

W związku z kursującymi ostatnio plotkami jesteśmy zmuszeni zaznaczyć jeszcze raz, że *Kultura* nigdy nie miała i nie ma nic wspólnego ani z organizacją Free Poland-Wolna Polska, ani z jakimkolwiek jej poczynaniami czy inicjatywami.

SPIS RZECZY

(Dalszy ciąg)

KSIĄŻKI

Zygmunt Hładki:	<i>O teorii politycznej</i>	138
Zdzisław Bau:	<i>Zamroczone lata</i>	142
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	146
◆		
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	150
◆		
W. Chylicka, K. Falencka, St. Korboński, J. Mackiewicz, W. Makowski, J. „Roland” Morelewski, Jean Offredo, J. Gołubiec:	<i>Listy do Redakcji</i>	161
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	170
—	<i>Sprostowania</i>	172

PULS PUBLICATIONS

W lipcowym/sierpniowym nr. *Kultury* zamieściliśmy Apel *Pulsu*, nieregularnego pisma literackiego, wychodzącego w Łodzi, w sprawie zbiórki na umożliwienie wydania tego pisma na Zachodzie. Ponieważ kilka osób zwróciło się do nas z zapytaniem jak można przekazywać pieniądze na powyższy cel gdyż podany adres nie był dostatecznie jasny — po sprawdzeniu zawiadamiany, że dary należy przekazywać na *PULS PUBLICATIONS* bądź bezpośrednio na ich konto bankowe Nr 0191421 w LLOYDS BANK, 18 WIGMORE STREET, LONDON W1H 9DE, WIELKA BRYTANIA, względnie wysyłać pieniądze międzynarodowym przekazem pocztowym lub czeki wystawione na *Puls Publication* w listach, adresując:

*PULS PUBLICATION c/o LLOYDS BANK,
18 WIGMORE STREET, LONDON W1H 9DE.*

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt Légal : 3^e Trimestre 1979.

Imprimé en France

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002		R. 19,50	R. 37,00
ARGENTYNA : Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00
AUSTRALIA : Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013	\$ A 4,00	\$ A 20,00	\$ A 38,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 219-69-23	F.B. 160,00	F.B. 900,00	F.B. 1 700,00
BRAZYLIA : prosimy o przesyłanie czekow do adm. „Kultury”	\$ US 4,00	\$ US 22,00	\$ US 42,00
DANIA : O.T. ZALEWSKI, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 17,00	F. 90,00	F. 170,00
HOLANDIA : Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, Tel. (01194) 14073, Postgiro 1379176	Fl h 8,50	Fl h. 50,00	Fl. h. 90,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tél. (514) 465-2362; B. Kruski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2; Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. (« Związkowiec »), 1636 Bloor St. W. Toronto, Ont., M6P 1A7	\$ Can. 5,00 DM 9,00 F. 17,00	\$ Can 26,00 D.M. 50,00 F. 95,00	\$ Can. 50,00 D.M. 90,00 F. 180,00
NIEMCY : St Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1.	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00
NORWEGIA : Br Lubinski, Klommenstengt 8, Moss	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F.S. 8,50	F.S. 50,00	F.S. 90,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm, Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonto Nr 48 82 34-6.	K.S. 17,00	F.S. 95,00	K.S. 180,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009, Tél. 475-8886. Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tél. 871-48-47 Irena Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, Tel. 284-6271; V.B. Kwast, 9055 East Lee St., Tucson, AZ 85715, Tel. 886-2128; M. Kosciuch, 12331 French Rd., Detroit Mich 48234; F. Orzechowski, Book, 2036 Chestnut str., Philadelphia, Pa 19103.	\$ US 4,00	\$ US 22,00	\$ US 42,00
POLONIA, Bookstore, 2886 Milwaukee Ave., Chicago, Il. 60618, tel. (312) 489-2554; R.J. Sas-Babczynski, 776 N. Van Ness Av., apt. 27, Los Angeles, Cal. 90038, tél. (213) 463-1817; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich, 48211	£stg. 2,15 F. 17,00	£stg. 12,00 F. 95,00	£stg. 22,50 F. 180,00
W. BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W. 5. ORD. Tel. (01) 370 2210	£stg. 2,15 F. 17,00	£stg. 12,00 F. 95,00	£stg. 22,50 F. 180,00
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 180; półroczna — F. 95.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 2,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy)

Nowości wydawnicze

TOM 306 — CZESŁAW MIŁOSZ

OGROD NAUK

Eseje z dziedziny literatury i filozofii. — Przekłady poezji Charles Baudelaire'a, N. Bomze, Williama Cowpera, Thomasa Mertona, Oskara W. Miłosza, Williama Butlera Yates'a, Tomasa Venclovy, Walta Whitemana i Robinsona Jeffersa wraz z obszernymi notami o autorach i ich poezji a poprzedzone esejem „Gorliwość tłumacza”. — Esej o Eklezjastecie i przekład „Księgi Eklezjasty”.

Str. 256.

Cena F. 65,00.



TOM 307 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

Zawiera m.in.: Stefana Kisielewskiego: *Stosunki Kościół-Państwo w PRL*; J. Ciechanowskiego: *Pierwsza relacja gen. Bora-Komorowskiego o A.K. i Powstaniu Warszawskim*; Jana Ostrowskiego: *Czołówka teatralna Brygady Karpackiej*; Mieczysława Szerera: *Komisja do Badania Odpowiedzialności za łamanie praworządności w sądownictwie wojskowym*. (Dokument z wykazem spraw z Grupy Tatarów i in. rozpatrywanych przez Sąd Wojskowy, biografią M. Szerera i uwagami Redakcji). Obszerne działy: WSPOMNIENIA, POLEMIKI, RECENZJE i LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 40,00.



W ciągu jesieni br. ukażą się wznowienia naszych książek:

George ORWELL: „1984” ze wstępem M. Brońskiego,
Stanisław SWIANIEWICZ: „W cieniu Katynia” (wyd. 3-cie fotograficzne),

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI: „Inny świat” (wyd. 3-cie fotograficzne),

Czesław MIŁOSZ: „Dolina Issy” (wyd. 2-gie, fotograficzne).